

TOMASZ WANDZEL

DOTRZEĆ DO PRAWDY



LIND&CO

TOMASZ WANDZEL

Dotrzeć do prawdy

Tom 1 Komisarz Andrzej Papaj

LIND&CO

LIND&CO

@lindcopl

e-mail: info@lindco.se

tel: [691962519](tel:691962519)

Tytuł oryginału:

Dotrzeć do prawdy

Tom 1 Komisarz Andrzej Papaj

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Wydawnictwa Lind&Co Polska sp. z o o.

Wydanie I, 2023

Projekt okładki: Daniel Rusiłowicz KavStudio

Grafik na okładce:

Patrick Tomasso © Unsplash

Malivan_Iuliia © Shutterstock

Copyright © dla tej edycji:

Wydawnictwo Lind&Co Polska sp. z o o, Gdańsk, 2023

ISBN 978-83-67494-88-5

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek

[Waterbear Graphics](#)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Natrętny dźwięk budzika uświadomił Danielowi Oleksemu, że właśnie minęła siódma trzydzieści, a więc najwyższy czas zmierzyć się z kolejnym dniem. Mężczyzna niechętnie otworzył oczy, i spojrzął na ekran wibrującego smartfonu. Kolorowy animowany napis wstawał, bo ci dzień ucieknął wcale nie zachęcał do wyjścia z łóżka. Mimo to mężczyzna wiedział, że będzie musiał wstać, i stawić czoło rzeczywistości, a ta potrafiła być bardzo przewrotna. Chcąc jednak odwlec moment opuszczenia ciepłej pościeli, sięgnął po leżącą na nocnym stoliku premierową powieść Stefana Króla. Najnowsze przygody prywatnej detektyw Anny Bryłki zapowiadały się równie ciekawie, co te opisane w poprzednich dwunastu tomach. Nie bez przyczyny Stefana nazywano królem polskiego kryminału, i nie chodziło bynajmniej o nazwisko, ale ilość wydanych powieści. Inni pisarze, zwłaszcza ci, którzy męczyli się nad jedną książką rok, albo dłużej, zazdrościli Królowi, że ten wypuszcza nową powieść co trzy miesiące. Daniel przeczytał kilkanaście stron, i niechętnie rozstał się z lekturą. Energicznie odrzucił lekką kołdrę, wstał i po puszystej zielonej wykładzinie podszedł do okna. Odsłonił rolety, i wyjrzał na zewnątrz. Ujrzał jasnobłękitne niebo upstrzone jedynie kilkoma białymi poszarpanymi obłokami. Po kilkunastu latach spędzonych w Anglii, gdzie przez większą część roku miał nad głową jedynie szarość chmur, codzienny widok błękitu był miłą odmianą. Mimo że od powrotu do polski upłynęło już kilka miesięcy, wciąż zachwycał go każdy pogodny dzień i cieszył się tym, jak dziecko nową zabawką, znaną pod choinką lub otrzymaną z okazji urodzin, albo dnia dziecka. Początkowo nie umiał się nawet przyzwyczaić, że zamiast szarości widzi nad głową błękit. Podobnie jak do tego, że w Polsce właściwie nie używał parasola czy kurtki z kapturem. Nagle jego spojrzenie przykuły dwie sarny skubiące gałęzie przy pobliskim zagajniku. Przez chwilę z ciekawością obserwował zwierzęta, a następnie spojrzął na zegarek, który wskazywał siódmą pięćdziesiąt siedem.

– Pora wziąć się do roboty – westchnął, przechodząc do łazienki. Golenie i przysznic zajęły mu nie więcej niż pięć minut. Lata treningu na obczyźnie, gdzie na większość zajęć nawet tych higienicznych zwyczajnie brakowało czasu, i wszystko trzeba było skracać do niezbędnego minimum, zrobiły z niego mistrza szybkiego ubierania, golenia i mycia. Wyemigrował natychmiast po zdaniu ostatnich egzaminów w technikum mechanicznym. Rodzice i nauczyciele przekonywali, aby poszedł na studia. Jednak perspektywa kolejnych pięciu lat spędzonych na wkuwaniu, głównie teorii i późniejsza wizja pracy w jakiejś korporacji jako jeden z trybików globalnej gospodarki zupełnie do niego nie przemawiała. Oleksy miał cel i zamierzał do niego dążyć krok po kroku. Marzył mu się własny warsztat samochodowy, ale nie taki w ciasnym garażu i z prymitywnym wyposażeniem, tylko duży profesjonalnie wyposażony, przy którym autoryzowane stacje obsługi wyglądałyby jak muzea. Oczywiście wiedział, że nie od razu Kraków zbudowano, jak czasami lubiła mówić jego babcia, i właśnie dlatego dał sobie kilka lat na zrealizowanie swojego planu. Najpierw Wyjechał do Belgii i zatrudnił się w dużym serwisie Opla. Później do Anglii, gdzie znalazł pracę w serwisie Forda. Praca w zachodnich warsztatach samochodowych po kilkanaście godzin dziennie i dziesiątki różnych kursów, na które pracodawcy, widząc zaangażowanie młodego Polaka, bardzo chętnie go wysyłali, nie poszła na marne, i przyniosła oczekiwane owoce. Po piętnastu latach wrócił bogatszy nie tylko

o doświadczenie i wiedzę, ale przede wszystkim pieniądze, dzięki którym zamierzał otworzyć własny warsztat samochodowy. Wychodząc z łazienki, jeszcze raz przejrzał się w lustrze. Wiedział, że urodą nie może konkurować z amantami filmowymi. Pocieszał się jednak, że z frankensteinem wygrywał i to bez dwóch zdań. Oczywiście niedoskonałości matki natury nadrabiał poczuciem humoru i serdecznym usposobieniem. Twarz miał szeroką, co jego zdaniem pozwalało mu uśmiechać się pełną gębą. Brązowe oczy lekko zezowały, ale ani jemu, ani jego znajomym to nie przeszkadzało. Nawet żona, tarmosząc go po bujnej czarnej czuprynie, zapewniała:

– Ja tam ty mój tygrysie żadnego zęza nie widzę, ale na czubku głowy niestety zaczynasz już łysieć.

– No co ty, przecież w naszej rodzinie wszyscy mężczyźni szli do ziemi z szopą wspaniałych, czasem tylko lekko siwych włosów – burzał się Daniel w żartach. Choć uwaga o umiერიaniu z włosami była akurat prawdziwa.

– W takim razie módl się, aby nasze dzieciaki przejęły twoje geny – radziła żona, choć na razie o żadnych dzieciach mowy nie było. Roksanę poznał w jednym z londyńskich lokali. Ona pracowała tam jako kelnerka, a on przychodził na niedzielne obiady. Na co dzień zadowalał się czymś ugotowanym na szybko. Najczęściej był to makaron albo ryż z jakimś sosem lub inne gotowe danie. Gdy i na to nie starczało czasu, odwiedzał któryś z setek londyńskich fast foodów, ale raz w tygodniu pozwalał sobie na prawdziwy obiad taki z deserem. Po kilku tygodniach Rokszana dała się zaprosić na kawę, później do kina, a po roku znajomości poprosił ją o rękę. Zgodziła się od razu.

– Ale mam jeden warunek, który nie podlega negocjacji – zastrzegła, a Daniel wiedział, że cokolwiek to będzie, on się zgodzi.

– Wiesz, chcę mieć tradycyjny polski ślub. Taki z księdzem, ryżem, i hucznym weselem – powiedziała, jednak w jej tonie nie było słychać rozmarzenia, typowego dla młodych panien, marzących o ślubie jak z bajki. Choć życzenie Rokszany, która nie była szczególnie religijną osobą, wydało się Danielowi dziwne, nie skomentował go.

– Oczywiście kochanie, będzie dokładnie tak, jak chcesz – zapewnił, i rzeczywiście cała ceremonia przebiegła zgodnie z jej oczekiwaniami. Dopiero po wszystkich przyznała, że tak naprawdę chodziło o zachowanie pewnej rodzinnej tradycji.

– Dla mnie to nic takiego, ale dla mojej babci ślub i wesele muszą mieć odpowiednią oprawę – wyjaśniła podczas miodowego tygodnia, jaki spędzili na greckich wyspach. To właśnie tam podjęli decyzję o powrocie do polski. Oboje mieli spore oszczędności, co pozwalało na rozkręcenie jakiegoś biznesu. Dom, który właśnie wykańczali, kupili za śmieszne pieniądze. Co prawda budynek był w stanie surowym, ale dzięki temu mogli zdecydować o jego finalnym wyglądzie.

Zbiegając na dół, usłyszał, jak Rokszana krząta się w kuchni, nucąc wesoło: „Dałem ci kamień z wielkim love, nie bo kwiaty szybko schną”. Przebój był melodyjny, wpadający w ucho, i może dlatego grały go niemal wszystkie stacje radiowe.

– Czy to jakaś ukryta aluzja, abym w drodze do lub z pracy odwiedził jubilera? – wyszeptał, przytulając się do ciepłych pleców żony, smażącej naleśniki. Delikatnie odsunął sięgające ramion włosy koloru pustynnego piasku, choć dla niego był to blond, i przywarł ustami do opalonego karku. Skóra jej szyi pachniała zmysłowo, lecz on bardziej wolał określenie obłądnie. Gdy pierwszy raz poczuł zapach ukryty we flakonie nawiązującym kształtem do rzymskich kolumn, od razu się w nim zakochał. Na jego szczęście Rokszana też. Laura Biagiotti, Roma nie należał do topowych zapachów i może dlatego miał w sobie to coś, co wyróżnia przedmioty tworzone z pasją.

– Wcale bym się nie pogniewała – wymruczała miękkiem, zalotnym szeptem. W ciemnoniebieskich oczach dostrzegł igrające iskierki, które on czasami nazywał kurwikami. Określenie to nie było jego

autorstwa, ale jednej z dość kontrowersyjnych działaczek partii, która, choć obecnie nie odgrywała żadnej roli na politycznej arenie, to kiedyś miała swoje pięć minut. O dziwo wyrażenie kurwki wcale Roksanie nie przeszkadzało, co więcej Daniel odnosił wrażenie, że podniecało jego żonę.

– No myślę, przecież już Marilyn Monroe zauważyła, że diamenty są najlepszym przyjacielem kobiety – oznajmił Daniel – co prawda powiedziała to pięćdziesiąt lat temu, ale wątpię, aby od tego czasu coś się w tej kwestii zmieniło – dodał, uśmiechając się pod nosem.

– Oj Daniel, nie bądź takim materialistą – mruknęła, puszczać do niego oko – poza tym myślę, że inwestycja w jakąś niewielką błyskotkę będzie korzystna dla całej trójki – kontynuowała, posyłając mu figlarny uśmiech. Zobaczył go w lustrze, które zajmowało przestrzeń między blatem a wiszącymi szafkami. To był pomysł Roksany, aby zamiast tradycyjnych płytek zamontować lustro, i nawet argumenty Daniela, że będzie ono bardziej kłopotliwe w utrzymaniu, nie zdołały jej odwieść od tej bądź co bądź innowacyjnej aranżacji.

– Jak to dla trójki? – Daniel zmarszczył brwi, nie do końca rozumiejąc, co żona ma na myśli.

– Zwyczajnie, dla ciebie, bo ci to wynagrodzę, dla mnie, bo będę wyglądała wspaniale, i dla jubilera, bo będzie miał zarobek – wyliczała, prowokacyjnie kręcąc biodrami.

– Gdyby spojrzeć na to w ten sposób, to masz zupełną rację – potwierdził Daniel, w zamyśleniu kiwając głową.

– Ja zawsze mam rację, a w tym przypadku mogę tutaj i teraz dać ci przedsmak swojej wdzięczności – wyszeptła, oblizując pełne czerwone usta koniuszkiem różowego języka. Daniel odsunął się od Roksany i usiadł przy stole.

– A już miałam nadzieję, że zrobimy coś szalonego przy smażeniu naleśników – westchnęła zawiedziona, wykładając na talerz kolejny złocisty placek.

– Brzmi naprawdę kusząco, ale po pierwsze ja dzisiaj muszę być w warsztacie, bo ekipa będzie wykonywała cokoły pod mające wkrótce przyjechać podnośniki, i wolałbym wszystkiego osobiście dopilnować – oznajmił, nie zagłębiając się w wyjaśnianie szczegółów technicznych dotyczących parametrów cokołów i właściwego ich uzbrojenia – a ty o ile dobrze pamiętam, też masz jakieś wywiady na mieście – dodał, przypominając sobie wczorajszą rozmowę prowadzoną w ich ogromnej wannie pełnej pachnącej piany.

Z prezydentem jestem umówiona na dziesiątą trzydzieści, a ze Stefanem Królem na trzynastą, więc na szybkie kuchenne bzykanko znajduję czas w kalendarzu – nie ustępowała i prowokacyjnie rozchyliła poły szlafroka, pod którym tak jak Daniel przypuszczała była naga.

– Nie mówiłaś, że przeprowadzasz wywiad z Królem? – zdziwił się, uciekając spojrzeniem od smukłego ciała żony.

– Mówiłam, mówiłam, gdy wczoraj braliśmy kąpiel, ale ty wolałeś bawić się w nurka i szukać muszelki, zamiast słuchać tego, co mówi twoja żona.

– Jak widzisz, przy tobie tracę nie tylko rozum, ale i słuch – bąknął Daniel, udając zawstydzenie – ale wracając do Króla, to mogłabyś poprosić, aby podpisał mi swoją najnowszą powieść? Zostawiłem ją w sypialni, na nocnej szafce. Rano próbowałem czytać i chociaż nowe przygody Anny Bryłki zapowiadają się rewelacyjnie, to przegrały z zapachem twoich naleśników.

– To cię będzie słono kosztowało – zapowiedziała Roksana, podrzucając na patelni kolejnego naleśnika. Placek poszybował w górę, zrobił obrót i z powrotem wylądował na patelni.

– Rozumiem, że jubiler ma znaleźć dwie błyskotki?

– Nie, masz dzisiaj pojechać ze mną do sklepu, wybrać meble do salonu – oświadczyła, siadając naprzeciw.

– Roksi, przecież wiesz, że nie cierpię chodzenia po sklepach, a poza tym ty znasz się lepiej na wybieraniu mebli niż wszyscy dekoratorzy wnętrz razem wzięci – przekonywał Daniel. Temat meblowania salonu pojawiał się w ich rozmowach co kilka dni. W jednym zgadzali się oboje, chcieli, aby w ich domu dominowało naturalne surowe drewno, a nie jakieś materiały drewnopochodne. Dotyczyło to również mebli. Tym bardziej że kupując dom, który był w stanie surowym, wykończyli go, wkomponowując w ściany sporo drewnianych belek.

– No tak, autograf od Króla to byś chciał, ale pomóc żonie wybrać sofę, fotele i stolik, których na pewno razem będziemy później używać, to już nie!

– Dobrze – skapitulował Daniel i obserwując, jak Roksana ustawia na stole talerze z naleśnikami oraz spodeczki z konfiturą i białym serem, analizował w myślach kalendarz. Prace związane z wykonaniem cokołów obliczał na dwa lub trzy dni. Dziś ekipa powinna wykuć otwory, oszalować je i uzbroić. To nie powinno zająć więcej niż cztery godziny. Później czekała go wizyta w zakładzie energetycznym, gdzie miał podpisać umowę na dostawę prądu. Jednak pierwszą sprawą, jaką musiał załatwić, było spotkanie z człowiekiem, który bardzo pomógł mu w zakupie budynku starych warsztatów szkolnych. To tam już wkrótce planował otworzyć własny warsztat samochodowy. Specjalnie umówił się na dziesiątą. Chciał mieć to wszystko za sobą i zapomnieć o całej sprawie.

– Będę wolny o piętnastej – odpowiedział, nakładając na naleśnika grubą warstwę konfitury wiśniowej.

– Mi pasuje. Ostatni wywiad z kobietą, która napisała powieść inspirowaną swoimi wspomnieniami, powinnam skończyć około czternastej. Wiesz, ona była sanitariuszką w radzieckim oddziale, który zdobył Wrocław. Jednak nie poszła dalej na Berlin, tylko została tutaj – Daniel uwielbiał opowieści żony, która pracując w jednej z lokalnych gazet, zawsze raczyła go jakimś niezwykłymi historiami. Poza tym to ona zaplanowała z najdrobniejszymi szczegółami kampanię marketingową jego warsztatu. Miała ona ruszyć już niebawem. Słuchając historii pani Tatiany, Daniel pożerał wzrokiem siedzącą naprzeciw Roksanie. Ubrana tylko w czarny satynowy szlafrok zdobiony czerwonymi chińskimi znakami wyglądała tak ponętnie, że gdyby nie konieczność dopilnowania prac w warsztacie spędziłby z nią jeszcze godzinę lub dwie w ich sypialni.

– No dobra na mnie już czas, bo muszę jeszcze załatwić sprawę z Kowalskim – westchnął i wstał od stołu, próbując ukryć podniecenie. Podszedł do żony i pocałował ją w usta.

– Dobrze, że o nim wspomniałeś – powiedziała Roksana, przytrzymując go za rękę.

– Możemy o tym nie rozmawiać? – westchnął z niezadowoleniem. Nie miał zamiaru tłumaczyć się żonie ze swojego postępowania. Teraz żałował, że o wszystkim jej powiedział, ale obiecali sobie absolutną szczerość.

– Możemy – zgodziła się żona – tylko wtedy nie dowiesz się, że dziennikarze oraz smutni panowie z CBA węższą wokół przetargów na remonty kamienic, jakie ogłaszał zarząd miejskich nieruchomości.

– Ale co to ma wspólnego z Kowalskim?

– Jeszcze nic, ale w kularach redakcji często pada nazwisko Henryka Żeromskiego, który dziwnym trafem wygrywa osiemdziesiąt procent tych przetargów, a to przecież jego firmę polecił ci Kowalski do wykonania remontu warsztatów.

– Owszem – zgodził się Daniel – lecz nadal nie rozumiem, do czego zmierzasz?

– Do tego, że skoro teraz polują na Żeromskiego, to niebawem wezmą pod lupę Kowalskiego, bo to on odpowiada za wszystkie przetargi i jak sądzą koledzy z redakcji, ustawia większość z nich. Uważasz, że przetarg na zakup warsztatów ustawił dla ciebie tylko dlatego, że zna dobrze twoich rodziców i chciał ci pomóc w rozkręceniu biznesu?

– Roksana, nie jestem dzieckiem i wiem, że chodziło mu tylko o te dwadzieścia tysięcy, jakie ma ode mnie dostać.

– No właśnie! A jaką masz pewność, że gdy facetowi zaczniesz się palić grunt pod nogami, nie wyśpiewa smutnym panom, kto, kiedy, ile, i za co mu zapłacił?

– Nie wyśpiewa, bo wie, ile ryzykuje – zapewnił Daniel, chcąc jak najszybciej skończyć tę rozmowę.

– Skoro jesteś taki pewny, to zapłać i przy okazji zamów mszę za jego milczenie – zadrwiła żona.

– W najgorszym wypadku, wszystkiego się wyprę.

– No teraz to mówisz jak małe dziecko – oznajmiła Roksana, zanosząc się gardłowym śmiechem.

– Dam mu kasę i koniec sprawy.

– Miejmy nadzieję – skwitowała – bo teraz za wręczanie łapówki można przez kilka lat korzystać z darmowej opieki wymiaru sprawiedliwości – dodała tym samym ironicznym tonem, co przed chwilą.

– Wiem, ale nie było innego sposobu, aby kupić te warsztaty – upierał się Daniel.

– Zawsze mogłeś poszukać czegoś mniejszego, w innej lokalizacji, a te dwadzieścia tysięcy, które Kowalski weźmie właściwie za nic, bo co to jest dopisanie do warunków przetargu jednego zdania, mógłbyś przeznaczyć na jakieś maszyny.

– Kochanie, już ci tłumaczyłem, że dla warsztatu samochodowego ważna jest lokalizacja i powierzchnia. Nie chcę ruszać z warsztacikiem w blaszanym garażu na zadupiu.

– Bill Gates, też zaczął w garażu – wtrąciła Roksana.

– To raczej nie jest dobry przykład. On rozkręcał interes w stanach, a tam nie trzeba dawać łapówek, aby coś załatwić. U nas, chociaż komunizm podobno umarł ćwierć wieku temu, to łapówkarstwo wciąż żyje i ma się całkiem dobrze.

– Daniel, nie chcę krakać, ale jak sprawa się rypnie, to będziemy, a raczej ty będziesz w czarnej dupie.

– A dlaczego miałyby się rypnąć? Przecież to w interesie Kowalskiego jest, aby nic nie wypłynęło.

– Pamiętaj, że gówno i trupy zawsze wypływają – przestrzegła Roksana poważnym tonem. Daniel miał już dość tej rozmowy, zwłaszcza że do niczego konkretnego nie prowadziła.

– Kochanie nie chcę się z tobą kłócić, a poza tym muszę pędzić, bo grafik mam mocno napięty – powiedział, całując Roksane w rozchylone usta.

– Tak jak to, co masz między nogami? – usłyszał ciche pytanie żony i poczuł, że jej dłoń rozpoczyna niebezpieczną wędrówkę w górę jego uda.

– Mówiłem ci już, że jesteś nieznośnie cudowna? – rzucił, i zostawiając chichoczącą żonę przy stole, ruszył do wyjścia. Z szafy w wiatrołapie wyjął oliwkową sportową marynarkę i przez pomieszczenie kotłowni przeszedł do garażu. Terenowe Volvo, choć miało już czternaście lat i prawie trzysta tysięcy kilometrów na liczniku nie wyglądało ani na swój wiek, ani przebieg. Oleksy lubił tę dawną skandynawską surowość, pozbawioną tych wszystkich nowoczesnych gadżetów, którymi zachwycali się inni kierowcy. Jemu wystarczyły podgrzewane fotele, elektryczne szyby, automatyczna skrzynia biegów i może jeszcze klimatyzacja. Wiedział, że gdy przyjdzie czas na zmianę samochodu, trudno będzie mu znaleźć coś podobnego. Wycofał z garażu, stojącej w oknie żonie przesłał buziaka i ruszył przez uśpione jeszcze o tej porze osiedle. Większość działek była już zabudowana nowoczesnymi domami. Wśród mieszkańców przeważali korporacyjni pracownicy wyższego szczebla oraz dwóch czy trzech lekarzy. Zwłaszcza obecność tych ostatnich, którzy mieli w domach prywatne gabinety, mogła okazać się przydatna.

Był mniej więcej w połowie osiedla, gdy zobaczył stojącego na poboczu Nissana Micre. Przy samochodzie stała wysoka brunetka o krótkich włosach przewiązanych niebieską opaską. Kiedy

podjechał bliżej, zauważył, że kobieta była zdenerwowana. Jeden rzut oka na samochód wystarczył, aby Oleksy poznał powód jej frustracji. Kapecz w tylnym kole wnerwiłby każdego nawet mechanika, a co dopiero zwykłego użytkownika czterech kółek, dla którego samochód miał po prostu jeździć, i psuć się najrzadziej jak to możliwe, a najlepiej wcale. Daniel włączył kierunkowskaz i zaparkował za Micrą. Auto wyglądało na stosunkowo nowe. Niebieski perłowy lakier idealnie pasował do opaski na głowie kobiety. Tylnie szyby były przyciemniane, a oznaczenie na klapie bagażnika wskazywało, że autko, choć małe wyposażono w mocny silnik o pojemności jeden sześć litra.

– Dzień dobry, widzę, że ma pani mały kłopot – zagadnął, uśmiechając się do nieznajomej. Gdy stanął z kobietą twarzą w twarz, okazało się, że jest ona bardzo młoda.

– Jeśli zatrzymał się pan tylko dlatego, aby mi to uświadomić, to szkoda pańskiego czasu. Może gdyby uszkodzeniu uległa końcówka drążka amortyzatora miałabym problem z postawieniem trafnej diagnozy, ale w przypadku kaptcia potrafi to nawet małe dziecko – rzuciła z przekąsem. Jej lekko pociągła twarz o wyraźnym, jak dla Daniela nawet nieco wulgarnym makijażu mimo wszystko miała w sobie to coś, i zapewne przyciągała męskie spojrzenia. Duże błękitne oczy patrzyły z jawną wyniosłością, będącą domeną osób pewnych siebie, a nawet zarozumiałych.

– Nazywam się Daniel Oleksy, jestem mechanikiem, i zamierzałem zaproponować pomoc w usunięciu tej niedogodności – mówiąc to, delikatnie kopnął w pozbawione powietrza koło – o ile oczywiście będzie pani skłonna ją przyjąć – zastrzegł, widząc jak w zasadniczym spojrzeniu kobiety, pojawia się cień podejrzliwości.

– Jakoś na mechanika to mi pan nie wygląda – pokręciła z niedowierzaniem głową – ale powiedzmy, że zaufam panu na słowo – mruknęła i otwierając bagażnik, wskazała na ukryte pod maskującą matą koło zapasowe. Oleksy przyniósł ze swojego samochodu elektryczny podnośnik i akumulatorowy klucz do kół.

– No chyba jednak jest pan tym mechanikiem, bo normalnie, to nikt nie wozi w bagażniku małego warsztatu samochodowego – przyznała kobieta, obrzucając zdziwionym spojrzeniem, przyniesione przez Daniela narzędzia.

– Wie pani to takie zboczenie zawodowe, a poza tym czasami warto zaufać ludziom na słowo.

– Nie sądzi pan, że to trochę ryzykowne wdawać się w rozmowę z nieznajomym mężczyzną?

– Gdybyśmy byli gdzieś na odludziu, i otaczała nas noc, to przyznałbym pani rację, ale mamy środek dnia, wokół domy, a poza tym jesteśmy sąsiadami, co prawda nie najbliższymi, bo mieszkam na końcu osiedla, ale zawsze to jakieś sąsiedztwo – odparł Daniel, dokręcając ostatnią śrubę.

– I po kłopotcie – oznajmił, sprawdzając czujnikiem poziom ciśnienia w zamontowanym kole – a z tym kołem proponuję odwiedzić wulkanizatora – wskazał na dość dużych rozmiarów śrubę wbitą w oponę.

– Pierdolone drogi – prychnęła kobieta, ignorując zdziwione spojrzenie Oleksego – za działki to miasto bierze kupę kasy, ale urządzić drogę na nowym osiedlu, to już im się nie chce. Przed zakupem ziemi są dla ciebie słodcy jak cukierek, a gdy już człowieku podpiszesz akt notarialny, to mają cię głęboko w dupie.

– Trudno nie przyznać pani racji – zgodził się Oleksy, chowając uszkodzone koło do bagażnika.

– To pan kupił ten niedokończony dom po Wasilakach? – zainteresowała się nagle kobieta.

– Wie pani, nawet nie wiem, kto był jego poprzednim właścicielem. Wszystko załatwiliśmy przez pośrednika. Cena była atrakcyjna, budynek poza tym, że trzeba go było wykończyć, nie miał żadnych wad, więc kupiliśmy. Akt notarialny podpisywaliśmy jednak z takim starszym małżeństwem, ale teraz nie mogę sobie przypomnieć ich nazwiska. – Państwo Kuraś – wtrąciła nieznajoma.

– No tak, państwo Kuraś! A skąd pani wie?

– Przecież tutaj wszyscy wiedzą o tej sprawie. Przez kilka tygodni żył nią cały Wrocław.

– O jakiej sprawie?

– No o tym morderstwie.

– O jakim morderstwie? – spytał Daniel, nie rozumiejąc, co kobieta ma na myśli.

– To pan o niczym nie wie? – zdziwiła się nieznajoma, a w spojrzeniu jej niebieskich oczu malowało się niedowierzanie.

– Nie, nic nie wiem o żadnym morderstwie.

– W tamtym domu zostało zamordowane małżeństwo. Ciała znalazł pan Kuraś. Podobno garaż, gdzie zostali zabici, przypominał rzeźnię. Proszę sprawdzić w internecie. To było na początku września – poraziła nieznajoma. Jej słowa sprawiły, że Oleksy poczuł nieprzyjemny dreszcz przebiegający mu po kręgosłupie. Ani pośrednik, ani starsza para, z którą finalizowali transakcję, słowem nie wspomnieli o tej zbrodni. Czy to więc możliwe, aby ta kobieta żartowała sobie z niego? Jeśli tak, to musiała mieć wyjątkowo czarne poczucie humoru.

– A wiadomo, kto ich zabił?

– Z tego, co pisano w gazetach i internecie, sprawcy nie udało się jeszcze schwytać – odpowiedziała kobieta, i nagle porzucając temat morderstwa, wróciła do przebitej opony.

– Ile się należy? – zapytała i sięgając do przewieszzonej przez ramię torebki, wyjęła masywny portfel z brązowej skóry.

– Zamiast pieniędzy wystarczy dobre słowo – zasugerował Daniel, chowając sprzęt do samochodu – proszę to potraktować jako dobrosąsiedzką przysługę – dodał, widząc zaskoczone spojrzenie nieznajomej.

– Jakoś trudno mi uwierzyć w dobrych sąsiadów, ale po raz drugi zaryzykuję – odparła kobieta, wsiadając za kierownicę.

– Przepraszam, lecz z tego całego stresu zapomniałam się przedstawić – powiedziała, uchyłając szybę – nazywam się Kalina Tomczyk i jeszcze raz bardzo panu dziękuję za pomoc.

– Naprawdę żaden kłopot, ale gdyby coś działo się z autkiem, to zapraszam do swojego warsztatu, otwieram za kilkanaście dni – zaproponował Oleksy, wręczając kobiecie swoją wizytówkę.

– Dobrze panie Danielu, będę pamiętała – zapewniła, a na jej ustach po raz pierwszy pojawił się nikły uśmiech noszący znamiona serdeczności. Oleksy obserwował, jak Kalina Tomczyk szarżuje niewielkim samochodem po gruntowej drodze, i miał pewność, że przy takim eksploatowaniu auta ich kolejne spotkanie jest jedynie kwestią czasu.

Droga do dawnych warsztatów szkolnych, które niebawem miały być jego miejscem pracy, zajęła czterdzieści minut, co biorąc pod uwagę wymianę koła swojej pierwszej potencjalnej klientce oraz końcówkę porannego szczytu było dobrym rezultatem. Jedynie sprawa morderstwa nie dawała mu spokoju. Zastanawiał się, czy powinien o nim powiedzieć Roksanie. Wiedział, że żona uwielbia zagadki kryminalne, ale tylko te dziejące się na kartkach książek. Wątpił, aby świadomość, że mieszka w domu, gdzie ktoś pozbawił życia dwie osoby, była dla niej przyjemna. Parkując przed wysokim budynkiem z czerwonej cegły, postanowił, że na razie niczego jej nie powie. Wysiadł, otworzył duże rozsuwane drzwi i wszedł do jasnego wnętrza. Główna hala miała ponad osiem metrów szerokości, piętnaście długości i cztery wysokości. Na jej końcu znajdowało się kilka pomieszczeń, które miały zostać wykorzystane na biuro, oraz zaplecze sanitarno-socjalne. Wysokie okna po obu stronach pomieszczenia wpuszczały wystarczająco dużo światła.

– Część z nich, zwłaszcza te od północnej strony trzeba będzie zamurować, aby nie zżarzył mnie koszty ogrzewania – pomyślał Oleksy, przechadzając się po pustym wnętrzu. Jego kroki na poplamionym betonie odbijały się echem od ścian i sufitu. Choć obiekt został zbudowany jeszcze przed drugą wojną światową, był w bardzo dobrym stanie technicznym. Przede wszystkim dlatego, że Rosjanie, demolując wyzwolony Wrocław, jakby o nim zapomnieli. Później urządzono w nim warsztaty jednej ze szkół kształcących ślusarzy, tokarzy i frezerów, a co za tym szło, budynek był regularnie remontowany. Po zlikwidowaniu szkoły miasto zamierzało go rozebrać, a sam teren sprzedać jakiemuś deweloperowi pod kolejną galerię handlową lub apartamentowiec. Lokalizacja była doskonała, więc ze zbyciem nie byłoby żadnego problemu. Jednak plany miejskich urzędników pokrzyżował konserwator zabytków, który nie wyraził zgody na wyburzenie budynku. Wtedy właśnie podjęto decyzję o jego sprzedaży. Daniel dowiedział się o tym od dawnego znajomego swoich rodziców, który pracował w dziale przetargów. Lokalizacja i stan budynku mogły skusić wielu kupujących i tego Oleksy obawiał się najbardziej. Jednak wystarczyło dwadzieścia tysięcy złotych, aby w ogłoszeniu o przetargu znalazł się zapis, że prawo do udziału w przetargu mają wyłącznie osoby, które w zakupionym budynku będą prowadziły działalność usługową o profilu motoryzacyjnym. Dzięki temu Daniel był jedynym oferentem. Chodząc po pustej hali, co jakiś czas wyglądał na żwirowy parking, który miał zamiar wyłożyć kostką brukową. Rzecz jasna, nie od razu. Najpierw musiał zacząć zarabiać, aby móc dalej inwestować. Pięć minut przed dziesiątą pod budynkiem zaparkował wiśniowy Fiat 500. Z samochodu wysiadł Edward Kowalski. Oleksy wiedział, że mężczyzna ma pięćdziesiąt pięć lat, ale gdyby zobaczył go na ulicy, dałby mu znacznie mniej. Sylwetka o szczupłej wysportowanej budowie mogła należeć do czterdziestolatka. Jedynie kilka zmarszczek wokół ust i w kącikach oczu oraz kolor włosów, które tu i ówdzie zmieniały już barwę, z głębokiej czerni na delikatny popiel, mogły świadczyć o wieku mężczyzny. Okrągła starannie ogolona twarz o serdecznym uśmiechu wzbudzała zaufanie. Duże szare oczy patrzyły przyjaźnie. Modny granatowy garnitur z przeszyciami, i błękitna rozpięta pod szyją koszula wyraźnie wskazywały, że Kowalski lubi ubierać się nowocześnie i młodzieżowo. Oleksy obserwował, jak mężczyzna sprężystym krokiem pokonuje parking. Jego czarne lśniące w porannym słońcu buty chrzęściły na szarym żwirze. Daniel nie wiedział, jak ma się zachować. W końcu po raz pierwszy w życiu miał wręczyć komuś łapówkę, i nie była to kawa, czy jakaś bombonierka dla pielęgniarki za dogładanie po operacji, ale dwadzieścia tysięcy złotych. Mimo że koperta nie była ani gruba, ani ciężka, to ciążyła mu w kieszeni marynarki jak kamień.

– Dzień dobry panie Edwardzie – powiedział, gdy Kowalski wszedł do środka. – Witaj chłopcze – odpowiedział mężczyzna, wyciągając na powitanie szczupłą wypielęgowaną dłoń, której prawdopodobnie nigdy nie skalał fizyczną pracą – o widzę, że wszystko gotowe do rozkręcenia biznesu – dodał, rozglądając się uważnie po pustej hali.

– No tak, za pół godziny ma się zjawić firma, która będzie robiła cokoły pod podnośnik. Później tylko montaż maszyn i mogę otwierać zakład.

– Brawo, brawo, ja wiedziałem, że wyrośniesz z ciebie łebski facet – pochwała, choć wypowiedziana szczerym tonem pozbawionym ironii wyraźnie speszyła Daniela. Może gdyby usłyszał ją w innych okolicznościach, podziękowałby, a tak tylko się zaczerwienił.

– W takim razie nie będę przeszkadzał – stwierdził Kowalski, otwierając trzymaną w dłoni skórzaną teczkę. Daniel w mig pojął ten gest. Wyjął z wewnętrznej kieszeni kopertę i szybkim ruchem jakby trzymał w dłoni skorpionia, wrzucił do środka.

– Gdybyś miał kiedyś jakieś kłopoty, to wał do mnie jak w dym – powiedział mężczyzna, ściszącą nieco głos. Daniel podziękował, choć miał nadzieję, że żadna pomoc ze strony Edwarda Kowalskiego

nie będzie już potrzebna. Teraz kiedy był właścicielem tego miejsca, postanowił ze wszystkim radzić sobie sam.

– A i przekaz pozdrowienia rodzicom – poprosił Kowalski, odbierając dzwoniący telefon i kierując się do wyjścia. Oleksy odprowadził go wzrokiem, a gdy wiśniowy fiat włączył się w sznur samochodów jadących do centrum, odetchnął z ulgą.

– No wreszcie po wszystkim – pomyślał, ocierając chusteczką pot z czoła. Miał nadzieję, że już nigdy w życiu nie będzie musiał powtarzać tego, co właśnie zrobił. Jednak ta myśl niespecjalnie go pocieszyła. Przecież jeszcze kilka tygodni wcześniej nawet mu do głowy nie przyszło, że aby rozkręcić własny biznes będzie się musiał uciekać do takich metod. Co więcej, był przekonany, iż takie praktyki są wyłącznie reliktem dawnych czasów, o których on wiedział jedynie z opowieści. Tymczasem okazało się, że i w nowej rzeczywistości koperty służyły nie tylko do wysyłania listów. Nawet fakt, że propozycja załatwienia sprawy wyszła od samego Kowalskiego, była marnym usprawiedliwieniem. Doskonale wiedział, że facet nie zrobił tego ze względu na znajomość z jego rodzicami, ale z przyczyn bardziej przyziemnych. Kowalski, choć jeździł kilkuletnim fiatem, to miał wille na Krzykach, które uchodziły za drogą dzielnicę. Poza tym posiadał domek letniskowy niedaleko Sobótki, i młodszą o prawie trzydzieści lat żonę. To wszystko kosztowało, a pensja urzędnika, nawet na kierowniczym stanowisku raczej by tego nie udźwignęła. Postanawiając zapomnieć jak najszybciej o całym zdarzeniu, wrócił do samochodu po plany. Choć Już kilka dni wcześniej na betonowej posadzce grubą kredą wyrysował miejsca, w których należało skuć beton i wykonać zbrojone cokoły wołał jeszcze przed samą robotą sprawdzić, czy wszystko się zgadza. Obszedł trzy obrysy, porównał je z planami, i zadowolony zostawił dokumenty na parapecie jednego z okien. Gdy minęła dziesiąta trzydzieści, zaczął się denerwować. Co prawda Henryk Żeromski właściciel małej firmy budowlanej, z którym rozmawiał kilka dni temu, wydawał się człowiekiem rzeczowym. Dodatkowo na jego korzyść świadczył fakt, że polecił go Edward Kowalski. Wtedy wydało się to Oleksemu dziwne, ale po dzisiejszej rozmowie z żoną wszystko stało się dla niego jasne. Mimo to Daniel wiedział swoje. Uważał, że fachowcom nawet takim, którzy mieliby referencje od samego papieża, trzeba po pierwsze patrzeć na ręce, po drugie nie ufać na słowo, a po trzecie płacić tylko i wyłącznie po wykonanej robocie. Pełen najgorszych przeczuć wyszedł na zewnątrz. Rozejrzał się po nieodległej ulicy, ale nigdzie nie zauważył samochodu mogącego należeć do firmy budowlanej.

– Cholera jak ci fachowcy wystawili mnie do wiatru, to kicha – pomyślał, odszukując w telefonie numer do Henryka Żeromskiego. Już miał zadzwonić, gdy na parking wjechał mały biały Citroen. Sądząc, że to właściciel firmy osobiście przyjechał wytłumaczyć nieobecność pracowników, podszedł do samochodu.

– Przepraszam czy od ręki mogę zrobić u pana wymianę oleju? – zapytał kierowca, opuszczając szybę.– Otwieramy dopiero za dwa tygodnie – odparł Oleksy – ale, że jest pan pierwszym potencjalnym klientem mam dla pana trzydzieści procent rabatu – mówiąc to, wręczył kierowcy Citroena pierwszą z pakietu kart rabatowych, jakie wymyśliła Roksana. Mężczyzna podziękował, obiecał, że na pewno skorzysta i odjechał. Chwilę później w sznurze samochodów jadących od centrum Daniel zobaczył pomarańczową półciężarówkę firmy budowlanej, i odetchnął z ulgą. Auto wjechało na parking i zatrzymało się obok jego Volvo. Logo firmy wypisane na burcie ostrym zielonym kolorem brzmiało jak ostrzeżenie. „USŁUGI BUDOWLANE – TANIO SZYBKO DOBRZE”. Daniel nie wierzył w żadne z trzech słów, zwłaszcza w tej konkretnej konfiguracji. Henryk Żeromski, korpulentny jegomość po pięćdziesiątce miał ogorzałą twarz, typową dla ludzi, którzy sporo czasu spędzają na świeżym powietrzu. Zwinnie wskoczył z szoferki, i rażnym krokiem podszedł do Oleksego.

– Dzień dobry panie Danielu – odezwał się jowialnym tonem. Uścisk spracowanej dłoni był mocny i pewny. Poranne słońce rozbijało się o jego okazałe zakola.

– Przepraszam za drobne spóźnienie, ale korki nawet o tej porze dają się we znaki – wyjaśnił skruszonym tonem, i energicznymi gestami zaczął popędzać swoich dwóch pracowników

– Najważniejsze, że pan przyjechał.

– Proszę pana u mnie, jak to mawiał Kargul słowo droższe pieniędzy – oświadczył uroczyście.

– To mówił Pawlak – wtrącił nieśmiało Oleksy, który razem z rodzicami w każde święta obowiązkowo oglądał trylogię o kresowej rodzinie rozpoczynającej nowe życie na ziemiach odzyskanych.

– A czy to ważne, który z nich – Żeromski zbył uwagę Daniela, i spojrzął na otwarte drzwi warsztatów, przez które jego pracownicy wnosili do środka młot udarowy, łopaty i skrzynkę z narzędziami, niezbędnymi przy pracy.

– To co, możemy zaczynać? – upewnił się mężczyzna, wchodząc za robotnikami do hali.

– Tak można – potwierdził Oleksy, wskazując wyrysowane na posadzce kwadratowe kontury – każdy z otworów musi mieć osiemdziesiąt centymetrów głębokości – wyjaśnił, obserwując, jak robotnicy przygotowują sprzęt do pracy.

– Pan się nie martwi, chłopaki uwiną się najwyżej w dwie godziny – zapewnił Żeromski, wzrokiem popędzając pracowników. Wyższy z nich nałożył ochronne gogle, nauszniki i rękawice, a po chwili ciszę przerwało miarowe, głośnie terkotanie młota. Kiedy robotnicy zaczęły kruszyć beton Daniel i Żeromski wyszli na zewnątrz.

– Wyrobicie się panowie w dwa dni? Nie chodzi mi o samo wykucie otworów, ale też ich uzbrojenie i zalanie – sprecyzował Oleksy, wiedząc, że od tej operacji zależą jego dalsze kroki. Gotowe cokoły musiały jeszcze odczekać jakiś czas, aby można było zamontować na nich podnośniki.

– Kierowniku, my mielibyśmy się nie wyrobić! – głos Żeromskiego był lekko oburzony i przypominał ton rasowego warszawskiego cwaniaka jeszcze sprzed wojny. Pewność siebie, z jaką mężczyzna deklarował dotrzymanie terminu, nie przekonywała Oleksego. Nagle, jakby na potwierdzenie przeczuć hałas młota ucichł, a po chwili z hali wyszedł jeden z pracowników. Miał szeroko otwarte oczy, drżał na całym ciele, a jego twarz była szara, i to nie z powodu betonowego pyłu, ale przerażenia.

– Szeffe będzie lepiej, jeśli pan to zobaczy – wyjąkał, nerwowo przelitykając ślinę. Po plecach Daniela drugi raz w ciągu zaledwie godziny przebiegł zimny, nieprzyjemny dreszcz. Wygląd mężczyzny wskazywał, że w środku stało się coś poważnego. Żeromski i Oleksy wymienili zaniepokojone spojrzenia, po czym niemal równocześnie ruszyli do środka. Robotnik, który ich zawołał, pozostał przy drzwiach, a jego kolega opierał się o ścianę. Obaj byli bladzi, jakby ktoś oprószył ich twarze mąką. Młot udarowy leżał obok sporej wielkości dziury. Daniel stanął obok Żeromskiego. Obaj niemal jednocześnie nachylili się nad wykopem, na którego brzegu leżały zwały skruszonego betonu, piasku i ziemi.

– O kurwa – zaklął budowlaniec, pobladł, i szybko podniósł się z kłęczek. Oleksy dopiero po chwili zrozumiał, na co patrzy. Idąc w stronę wykopu, przez głowę przebiegały mu dziesiątki myśli. W takich miejscach możliwe były różne niespodzianki, począwszy od niewypalów z czasów wojny, a skończywszy na tajemniczych rurach i kablach, które jakimś cudem nie były naniesione na plan techniczny obiektu. Budynek liczył sobie przecież prawie sto lat, i Daniel nie miał złudzeń, że dokonywane w nim remonty, szczególnie te zaraz po wojnie nie były wcale dokumentowane. Wtedy nikt nie zwracał sobie głowy papierami. Miało być szybko, dobrze i bez zbędnej, nikomu

niepotrzebnej biurokracji, która w tamtych czasach jedynie hamowała rozwój socjalistycznej polski. Teraz po kilkudziesięciu latach to on na własnej skórze miał ponieść konsekwencję. Jednak to, co ujrzał w wykopie, sprawiło, że krew odpłynęła mu z twarzy. Nie chodziło o znalezisko, ale o konsekwencje z nim związane. Już wiedział, że otwarcie warsztatu opóźni się co najmniej o tydzień, a może nawet znacznie, znacznie więcej. Nachylił się jeszcze bardziej i ostrożnie odgarnął dłonią kilka brył wilgotnej ziemi, które zasłaniały oczodoły ludzkiej czaszki.

– Chyba będziemy musieli zadzwonić na policję – usłyszał za sobą roztrzęsiony głos Żeromskiego. Oleksy przez chwilę rozważał, czy nie zaproponować innego rozwiązania. Mógłby każdemu z obecnych wręczyć po tysiącu lub dwóch, a w zamian odkryte kości zostałyby zakopane gdzieś w podwrocławskim lesie, i wszyscy byliby zadowoleni. Jednak ta opcja nie wchodziła w grę przy tylu świadkach.

– Do cholery przestań kombinować. Nie wystarczy ci, że przed kilkudziesięcioma minutami wręczyłeś dwadzieścia tysięcy łapówki – zganiał się w myślach.

– Tak jasne, zaraz to zrobię – zapewnił, czując, jak rozsadza go złość. Wstał z posadzki i skierował się do wyjścia. Żeromski i jego pracownik ruszyli natychmiast za nim, zostawiając w hali wszystkie narzędzia. Wyciągając telefon i wybierając numer 112, Oleksy rozmyślał, czy ten nieboszczyk nie jest karą, za jego nieuczciwe postępowanie. Jednak nie miał szans na rozwinięcie tej myśli, bo usłyszał w słuchawce miły głos operatorki numeru alarmowego.

– Dzień dobry nazywam się Daniel Oleksy i chciałem zgłosić znalezienie ludzkich kości podczas prac budowlanych – powiedział spokojnym tonem, choć w jego głowie kotłowały się setki różnych myśli.

– Proszę poczekać, przełączę pana do właściwej sekcji – zapowiedziała kobieta, na której informacja o znalezisku nie zrobiła specjalnego wrażenia. Jednak biorąc pod uwagę, że każdego dnia na numer alarmowy trafiały dziesiątki znacznie bardziej makabrycznych zgłoszeń, Oleksego zupełnie to nie zdziwiło. Rozmawiając z kolejną osobą, kątem oka dostrzegł, że Żeromski także gdzieś telefonuje. Twarz mężczyzny, jeszcze przed chwilą pogodna teraz była wystraszona. Oleksego zaskoczyła taka reakcja. Po pięciu minutach schował telefon i podszedł do stojącej przy półciężarówce ekipy budowlanej.

– Dobra Edek zadzwonię później – dosłyszał ostatnie ściszone słowa Żeromskiego, który zakończył rozmowę, i schował telefon do kieszeni.

– Zaraz ma tu przyjechać policja, kazali, aby wszyscy pozostali na miejscu – przekazał polecenie, jakie usłyszał na zakończenie rozmowy. Żeromski zamrugał kilka razy, głośno przełknął ślinę i westchnął. Było widać, że perspektywa rozmowy z policją niespecjalnie go ucieszyła. Następnie Oleksy wybrał numer żony. Nie uważał, aby to, co właśnie ma zamiar zrobić, było w jakikolwiek sposób naganne. Przecież dziesiątki osób każdego dnia informowały media o różnych zdarzeniach, a część z nich brała nawet za to pieniądze.

– Co jak co, ale odnalezienie szkieletu z pewnością stanie się jedną z lokalnych sensacji tego dnia – pomyślał, czekając, aż Roksana odbierze połączenie.

– Tylko mów szybko, bo za chwilę wchodzę do ratusza – poprosiła lekko zdyszany głosem. Musiała akurat iść, bo w tle słyszał uliczny zgiełk.

– Właśnie przed chwilą znaleźliśmy zabetonowany ludzki szkielet. Myślisz, że zainteresuje to twoich czytelników? – zapytał, kierując się w stronę wykopu.

– Jeśli żartujesz, to wybrałeś sobie zły moment.

– Mówię zupełnie serio – zapewnił Daniel i dla pewności zajrzał jeszcze raz do dziury. Czaszka wciąż była na swoim miejscu.

– Dobra, to cyknij kilka fotek telefonem i mi je prześlij. Tylko pamiętaj, żeby były ostre – dodała i nie czekając na jego odpowiedź, zakończyła rozmowę. Daniel spojrzął przez ramię. Z miejsca, gdzie stał, nie widział ani półciężarówki, ani stojących przy niej mężczyzn, więc i on nie mógł być przez nich widziany. Uruchomił aparat w telefonie i zrobił kilka zdjęć. Dodatkowo nagrał jeszcze kilkusekundowy filmik, a następnie wysłał wszystko do żony.

– Przekłete kości – mruknął pod nosem po raz ostatni zaglądając do wykopu, w którym spoczywała ludzka czaszka. Gdy wyszedł z hali warsztatów, na parking wjeżdżał właśnie radiowóz.

ROZDZIAŁ DRUGI

Komisarz Andrzej Papaj był tego ranka w wyjątkowo dobrym humorze. Po pierwsze za kilka dni wybierał się na urlop, który planował od kilku miesięcy. Po drugie jego współpracownicy byli poza komendą, więc bez przeszkód mógł przeglądać serwis randkowy, szukając kobiet zdecydowanych na kilka niezobowiązujących chwil przyjemności i zapomnienia. Szczególnie interesowały go dziewczyny, które dopiero co założyły konto. Takie można było poderwać najszybciej, na zasadzie kto pierwszy, ten lepszy. Oczywiście należało się postarać, bo większość użytkowników serwisu nie reagowała na banalne zaczepki w stylu „cześć, co słyhać”. Były one oklepane, a szansa, że któraś z kobiet postanowi jednak na taką zaczepkę odpowiedzieć znikoma. Dwa lata randkowania przez internet, kilka przeczytanych poradników o uwodzeniu oraz dziesiątki spotkań z różnymi przedstawicielkami płci pięknej, nauczyły Papaję sprawdzonych sposobów na skuteczne zwrócenie na siebie uwagi. Oczywiście nie każde z tych spotkań kończyło się w jego lub jej łóżku. Jednak dla Papaję nie to było najważniejsze. Kręciło go podrywanie samo w sobie, a końcowy efekt był jedynie wisienką na torcie. Rzecz jasna przestrzegał kilku zasad. Po pierwsze nigdy nie próbował podrywać koleżanek z komendy. Papaj, podobnie jak jego szef, który nie tolerował flirtowania na służbie też uważał, że romanse w pracy nie wróżą niczego dobrego. Po drugie nie zaczepiał dziewczyn mających mniej niż dwadzieścia lat. Z doświadczenia wiedział, że świadomość własnego ciała i swoich potrzeb, mimo całej tej feministycznej gadaninie o wyzwoleniu, jest u młodych kobiet słabo rozwinięta. Andrzej nie zamierzał grać roli nauczyciela. Co prawda kilka razy próbował, ale jak się okazało był kiepskim pedagogiem. Właśnie dlatego bardziej zadowalała go relacja partnerska, a ta najlepiej wychodziła z kobietami przed i po trzydziestce. One prawie nigdy nie kryły, ani nie wstydziły się własnych potrzeb. Wiedziały czego chcą i potrafiły to odpowiednio komunikować. Papaj był już na tyle doświadczony, aby właściwie interpretować wysyłane sygnały. Wiedział która z kobiet chce umówić się wyłącznie na drinka, a która ma ochotę na seks. Ta umiejętność pozwalała uniknąć wielu nieporozumień. Gdy na ekranie wyświetlił się profil Edyty lat 34, Andrzej przez dłuższą chwilę zatrzymał spojrzenie na jej zdjęciu. Kobieta wyglądała bardzo atrakcyjnie. Pociągnęła twarz o dużych intensywnie niebieskich oczach przykuwała uwagę. Właścicielka tego nietuzinkowego spojrzenia patrzyła w obiektyw odważnie, dla niektórych może nawet wyniośle, ale Papaj dostrzegł w jej wzroku jakąś ledwie widoczną zalotność, i nawet ostry makijaż, których raczej nie lubił, tym razem mu nie przeszkadzał. Zdjęcie musiało zostać zrobione gdzieś na Wrocławskim rynku, bo w tle widać było fragment ratusza. Po chwili namysłu postanowił do niej zagadać.

– Cześć, masz super fotki, przyciągają uwagę – napisał, a widząc, że dziewczyna jest online, uznał, że poczeka na odpowiedź kilka minut, a jeśli jej nie otrzyma, spróbuje uderzyć do kogoś innego. Każdego dnia na portalu pojawiała się kilkaset nowych kont, zakładanych przez kobiety, z czego przynajmniej kilkanaście należało do pań mieszkających we Wrocławiu lub jego okolicach, więc było z czego wybierać. Czekając, aż Edyta odpisze, Papaj wyciągnął z plecaka drugie śniadanie. Choć kilkanaście metrów dalej znajdowała się kuchnia, to mało kto z pracowników komendy spożywał w niej posiłki. Pomieszczenie traktowano wyłącznie jako miejsce, gdzie przychodziło się po gorącą

wodę na herbatę lub kawę. Działo się tak z powodu jego rozmiarów. Już trzy osoby sprawiły, że zaczynało być tłoczno. Komisarz poprawił się na fotelu i krytycznym wzrokiem obrzucił zawartość lunch boxa. To, co znajdowało się w środku, można było nazwać typowo kawalerskim posiłkiem. Choć w jego przypadku odpowiedniejszą nazwą było śniadanie rozwodnika. Składało się z trzech prawdziwych kabanosów, o których autentyczności mogła świadczyć choćby cena, pełnoziarnistej bułki, i kilku pomidorów koktajlowych. Z pewną zazdrością obserwował, jak dwójka jego biurowych kolegów otwierała swoje lunch boxy. Zapach pierogów, ryby po grecku, czy sałatki powodował, że nagle musiał wyjść z pokoju, by załatwić coś pilnego.

– Stary ożeń się, to też będziesz miał takie żarełko – kusił komisarz Paweł Polak.

– Właśnie poderwij jakąś wolną gospodynię. Przecież jak mówi przysłowie do trzech razy sztuka – wtórował podkomisarz Tomasz Lipiński.

– Wiesz co, jak komuś dwa razy drzwi przycięły palce, to trzeci raz nie powinien wkładać między nie łapy – oznajmił filozoficznie Papaj. Przeżuwając kabanosa i bułkę, uznał, że jego śniadanie daje mu przynajmniej prawdziwą satysfakcję. W przeciwieństwie do kolegów przygotował je sam i nie wyręczał się innymi. Pokrzepiony tą myślą zaczął nucić pod nosem przebój, który właśnie grano w jednej z wrocławskich stacji, na którą w ramach patriotyzmu lokalnego było nastawione stojące na parapacie radio: „Jolka, Jolka pamiętasz lato ze snu, gdy pisałaś tak mi źle”. Jednocześnie spoglądał przez okno na kołysane majowym wiatrem drzewa. Śpiewanie było jego pasją, a także, o czym wiedziało jedynie nieliczne grono zaufanych przyjaciół, niespełnionym marzeniem. Kiedyś, dawno temu, jeszcze w liceum zamierzał zostać piosenkarzem. Jednak mimo bardzo dobrego głosu zabrakło mu szczęścia, a może odwagi. Zresztą tej ostatniej wciąż miał za mało. Nie chodziło rzecz jasna o odwagę zawodową, czy nawet osobistą. Tych miał aż pod dostatkiem. Czego efektem były dwa postrzały podczas akcji. Na szczęście niegroźne oraz dwa małżeństwa, niestety oba nie udane, lecz zakończone w przyjacielskiej atmosferze, o czym świadczyły choćby życzenia urodzinowe i imieninowe, jakie wysyłał i otrzymywał od swoich byłych żon. W przypadku Papaja chodziło raczej o brak wiary w swoje umiejętności wokalne. Co prawda od kilku lat obiecywał sobie, że zgłosi się do jednego z licznych talent show i spróbuje jednak zawalczyć o swoje niespełnione marzenia, ale na razie na obietnicach się kończyło. Poza tym jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, że z gliniarza przemieni się w piosenkarza. Dotarł w tekście do swojego ulubionego fragmentu o wielkiej wannie, gdy zadzwonił stojący na biurku telefon. Papaj spojrzął na niego nienawistnym wzrokiem.

– Cholera, nie widać, że mam przerwę! – warknął na urządzenie jak pies, któremu ktoś próbuje wyrwać miskę. Ignorując dzwonicie, śpiewał dalej, ale po kilku wersach nie wytrzymał i podniósł słuchawkę.

– Papaj słucham – rzucił tak zimnym tonem, że osoba po drugiej stronie kabła telefonicznego w jednej chwili powinna przemienić się w postać rodem z krainy lodu. Zamiast tego beznamiętny głos oficera dyżurnego poinformował komisarza o ludzkim szkielecie znalezionym na dawnych warsztatach szkolnych przy ulicy Krakowskiej.

– Jarek, ja właśnie jem drugie śniadanie, a ty mi tu wyjeżdżasz z jakimś szkieletem – odparł Papaj z teatralnym obrzydzeniem – proszę, zrób mi tę przyjemność i zadzwoń do kogoś innego, może Pawłowski jest wolny – dodał z nadzieją w głosie. Jednak oficer tym samym beznamiętnym tonem poinformował, że polecenie, aby to właśnie Papajowi przekazać sprawę szkieletu, przyszło z samej góry.

– Tak więc Andrzejku kończ szamanko, zbieraj tylek i do roboty. Na miejscu dwóch mundurowych zabezpiecza teren, technicy zostali poinformowani – zrelejonował szybko oficer – a jeszcze jedno

prokurator Moskal może się trochę spóźnić – dodał i już chciał zakończyć rozmowę, ale Papaj powstrzymał go szybkim pytaniem.

– Jaka prokurator? – nazwisko, które przed chwilą usłyszał, a raczej osoba, która je nosiła jeszcze do niedawna była stałym gościem w jego snach, a sny te śmiało mógł nazwać baśniowymi.

– Jakaś Anna Moskal – odparł dyżurny – wiesz Andrzej, ja tam w plotkach nie gustuję, ale z tego, co gdzieś tam obiło mi się o uszy, to ktoś nowy, wcześniej podobno pracowała w Poznaniu, a przeniesienie do Wrocławia było prawdopodobnie działaniem politycznym.

– Jak na kogoś, kto nie interesuje się pogłoskami, to bardzo sporo wiesz – pomyślał Papaj, ale jego myśli nie przybrały formy werbalnej. Fakt, że już wkrótce spotka się z Anną Moskal, był czymś, o czym nawet nie marzył. Choć spotkanie będzie miało charakter zawodowy, to komisarz miał nadzieję na chwilę osobistej rozmowy. Podziękował za wszystkie informacje i z mieszanymi uczuciami zakończył połączenie. Siedząc nad niedojedzonym śniadaniem, zastanawiał się, czy fakt, że to właśnie Anna Moskal będzie reprezentowała prokuraturę, powinien uznać za szczęśliwy zbieg okoliczności, czy wręcz przeciwnie.

– Murwa mać – rzucił przeróbkę popularnego przekleństwa, które jakiś czas temu zasłyszał, wychodząc z kina. Wolno podrapał się po dwudniowym zarostie i zmarszczył grube czarne brwi stykające się nad lekko garbatym, skrzywionym od złamania nosem.

– Jedyne czego mi teraz brakuje, to nowa sprawa – mruknął do siebie i pomyślał o wyczekiwanym urlopie, który miał zacząć za kilka dni. Po chwili wahania zdecydowanym ruchem ponownie podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer do inspektora Piotra Górskiego, naczelnika sekcji kryminalnej, na którego w komendzie mówiono góra. Znali się od czasów, gdy byli jeszcze równi sobie stopniem i przez te wszystkie lata ich relacja właściwie się nie zmieniła.

– Piotrek mam taką drobną sprawę – zaczął Papaj, gdy tylko Górski odebrał telefon i natychmiast przystąpił do prezentowania argumentów na rzecz przekazania sprawy szkieletu komuś innemu.

– Andrzej ten szkielet to bułka z masłem i właśnie dlatego ty go dostałeś – wyjaśnił przełożony, kiedy Papaj wyłożył wszystkie, logiczne argumenty, jakie na szybko przyszyły mu do głowy – przecież to najpewniej jakiś Niemiec, który leży w tych warsztatach od wojny – dodał Górski, zapewniając jednocześnie, że urlop Papaja nie jest zagrożony. Tok rozumowania przełożonego może i był logiczny, ale komisarz zbyt dobrze znał życie, aby wiedzieć, że od wdepnięcia w psią kupę do wpadnięcia po szyję w szambo, droga potrafiła być bardzo krótka. Nawet fakt, że nie był to pierwszy tego typu przypadek, kiedy podczas remontu starych obiektów odnajdowano ludzkie szczątki, specjalnie go nie uspokoił. Teoretycznie każda taka sprawa przebiegała podobnie. Zabezpieczano znalezisko, rozpoczynano śledztwo, które po kilku dniach umarzano, a szczątki chowano z należytą czcią na jednym z cmentarzy w grobie z tabliczką NN. Tak przedstawiała się teoria, ale praktyka potrafiła być zupełnie inna.

– Jedynym plusem całej tej sprawy będzie okazja ponownego spotkania Anny Moskal – pomyślał z pewną złośliwą satysfakcją. Bez specjalnego pośpiechu dokończył posiłek, spojrzął na ekran komórki i nie widząc odpowiedzi od Edyty, opuścił portal, a następnie biuro. Jadąc w kierunku Krakowskiej, wstąpił na jedną z nielicznych stacji benzynowych, jakie uchowały się jeszcze w centrum miasta. Zatankował symboliczne pięć litrów, aby nikt nie mógł się przyczepić, że zajmuje miejsce przy dystrybutorze i ruszył zapłacić za paliwo. Za ladą zobaczył drobną szatynkę, o spojrzeniu spłoszonej sarny. Widywał ją na tyle często, że dziewczyna zdążyła już poznać jego nawyki zakupowe.

– O witam pana – powiedziała ciepłym głosem – rozumiem, że to, co zwykle – stwierdziła, kasując za pięć litrów benzyny, dużą czarną kawę i jednego sękacza.

– A jako stały klient mogę liczyć na numer pani telefonu? – zagadnął, obdarzając dziewczynę szelmowskim uśmiechem rasowego podrywacza. W odpowiedzi dziewczyna sięgnęła do dekoltu i pomiędzy dwóch pięknych piersi wyjęła srebrny łańcuszek, na którego końcu kołysała się złota obrączka.

– A to zmienia postać rzeczy – oświadczył uroczyście Papaj, unosząc dłonie w geście kapitulacji, a jego uśmiech zmienił się na przepraszący. Co prawda fakt, że dziewczyna była mężatką, właściwie nie miał znaczenia, ponieważ na serwisie randkowym wiele razy podrywał mężatki. Jednak tamte chciały, aby ktoś je poderwał. Zapłacił za zakupy i wrócił do samochodu. Kubek z kawą umieścił w uchwycie między siedzeniami, a następnie rozdarł opakowanie i wsunął do ust cienki plasterk sękacza, który, choć nie przypominał tych tradycyjnych z okolic Suwałk, dawał się zjeść. Popijając gorący napój, ruszył pod wskazany adres. Informacja, że to właśnie Annie Moskal przydzielono tę sprawę, na swój sposób go ucieszyła. Pierwszy, a zarazem ostatni raz widzieli się kilka tygodni wcześniej. Był to jeden z najbardziej szalonych dni w jego karierze internetowego podrywacza. Gdy zawierał znajomość z Anną Moskal nie wiedział, że seksowna blondynka, o melancholijnie zielonych oczach i lekko zadartym nosku, która jak przyznała, dopiero od tygodnia pracuje we Wrocławiu, może być panią prokurator. Ona również nie miała pojęcia, że pozwala się uwieźć komisarzowi policji. Niestety wszystko wyszło na jaw dopiero po upojnej nocy, podczas romantycznego śniadania, które w jednej chwili przestało być sympatyczne. Atmosfera zgęstniała, uśmiech uroczej Anny zgasł i zrobiło się tak jakoś nieswojo. Jemu wkrótce przeszło, a nawet zdobył się na żart, że skoro już tyle ich łączy, to mogli by z powodzeniem prowadzić nawet bardzo skomplikowane sprawy. Jednak Annie Moskal nie było do śmiechu. Uważała, że sypianie z policjantem, nawet takim, z którym jak sama przyznała przed feralnym śniadaniem było jej dobrze, wykracza poza jej zasady moralne. Papaj słysząc tak filozoficzny wywód tylko przewrócił oczami, podziękował za stosunkowo udaną noc i jak przystało na dżentelmena, odwiózł Annę do domu. Później kilka razy widział ją w komendzie, ale oboje udawali, że się nie znają. Czasami nawet miał wielką ochotę podejść i poprosić o chwilę rozmowy, ale obawiał się, że Anna odmówi.

– Może teraz, gdy przyjdzie im pracować razem uda się między służbowymi zdaniami, przemyścić jakiś osobisty wątek – pomyślał, skręcając w ulicę Krakowską. Już z daleka zobaczył masywną bryłę dawnych warsztatów szkolnych. Każdego dnia mijał to miejsce, jadąc z domu do pracy, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że kryje w sobie tak makabryczną tajemnicę. W pewnym sensie było to zupełnie zrozumiałe. Przecież w mieście z taką historią wojenną jak Wrocław, podobne znaleziska ujawniano w zupełnie zwyczajnych miejscach. Przed budynkiem z czerwonej cegły zobaczył radiowóz oraz niebieskie Ducato, którym jeździli technicy kryminalni. Po drugiej stronie zaparkowało terenowe Volvo, półciężarówka firmy budowlanej i Bordowa Mokka należąca do prokuratora. Papaj stanął za radiowozem, zabrał kubek, w którym miał jeszcze prawie połowę kawy, wysiadł i przez dużą rozsuwaną bramę wszedł do środka budynku.

W hali warsztatowej zastał już Annę Moskal i dwóch policyjnych techników. Stali pośrodku pomieszczenia, wpatrzeni w coś, co leżało między nimi na podłodze.

– Witam szanowne towarzystwo – powiedział nieco głośniejszym głosem niż zamierzał. Zabrzmiało to tak, jakby był gwiazdą rocka, a zebrani widownią. Dostrzegł, że Anna Moskal lekko się wzdrgnęła i spojrzała na niego przez ramię. Papaj udął zaskoczenie, ale konsternacja kobiety była autentyczna, a on sam uznał ją za bezcenną.

– O dzień dobry. Nie powiedziano mi, że ciało prokuratora będzie reprezentowane właśnie przez panią – skłamał Papaj, podchodząc bliżej.

– Mnie niestety też nikt nie uprzedził, a szkoda – odburknęła prokuratorka.

– Cóż tam mamy, czyżby kolejny Niemiec? – zapytał, podchodząc bliżej i witając się z obecnymi. Jedyne Anna Moskal udała, że nie zauważyła wyciągniętej na powitanie dłoni. Zamiast tego spiorunowała go wzrokiem pełnym błyskawic dezaprobaty i zawiesiła spojrzenie swoich zielonych oczu na kubku z kawą. Teraz nie było w nich tej rozkosznej melancholii, jaką obserwował tamtej nocy, kiedy powoli, uparcie i zmysłowo wspinała się na szczyt rozkoszy.

– Gdybym wiedział, że Pani jeszcze dzisiaj kawy nie piła, to bym przywiózł – bąknął przepraszająco Papaj – oczywiście taką jak lubi pani najbardziej – dodał, puszczając kobiecie porozumiewawcze spojrzenie, które ona jednak zignorowała.

– To, co kolejny Niemiec – powtórzył pytanie, przerywając osobiste wycieczki pod adresem prokuratorki i skupiając całą swoją uwagę na sprawach zawodowych. Anna Moskal zaprzeczyła ruchem głowy.

– A więc Rosjanin? – zgadywał dalej, drocząc się z kobietą.

– Panie komisarzu, kiedy w końcu wyrośnie pan z tych żartów, które nikogo nie śmieszą?

– Dobre pytanie pani prokurator – wtrącił drapiąc się palcem wskazującym po brodzie – ale niestety nie znam na nie odpowiedzi – dodał, wzruszając bezradnie ramionami i upił kolejny łyk kawy. Kątem oka zarejestrował, że technicy, słuchając ich rozmowy, spojrzeli na siebie, jakby brali udział w przedstawieniu teatralnym, gdzie byli wyłącznie widzami, a on i kobieta aktorami odgrywającymi swoje role.

– Lecz przechodząc do rzeczy i poważniejąc to, co tym razem? – zapytał Papaj, kierując spojrzenie na jednego z techników.

– Może to i Niemiec, narodowości jeszcze nie ustaliłem – odezwał się Cezary Bendka, który, choć do swojej roboty podchodził bardzo poważnie i rzetelnie, potrafił czasem zażartować.

– Czyli to mężczyzna? – wszedł mu w słowo komisarz.

– Tak, tego jestem pewien – potwierdził technik.

– A więc już coś wiemy – ucieszył się Papaj. Fakt, że szczątki należały do mężczyzny, jeszcze bardziej uprawdopodobniały wersję, której zamierzał się trzymać i bronić jej jak niepodległości. – Poza szkieletem raczej czysto. Żadnych pozostałości odzieży, butów, zupełnie nic – kontynuował technik.

– Skoro nie ma niczego więcej – zastanowił się głośno Papaj – to ja jednak obstawiałbym Niemca, bo tylko im można było ukraść ubranie, co Rosjanie chętnie i często robili – zauważył, wymieniając z technikiem porozumiewawcze spojrzenie.

– Jeśli natychmiast nie przestanie pan znieważać ludzkich szczątków, wystąpię o odsunięcie pana od sprawy – zagroziła prokurator, a wyraz jej twarzy wskazywał, że nie żartuje. Propozycja była kusząca i komisarz przez chwilę bardzo poważnie ją rozważał. W pewnym sensie wniosek o odsunięcie go od sprawy rozwiązywał wszystkie ewentualne komplikacje i gwarantował urlop w terminie. Jednak z drugiej strony po takim papierku zawsze był ślad w aktach i ciągnął się za człowiekiem jak smród za przejeżdżającą śmieciarką. Dlatego ostatecznie postanowił skoncentrować się na sprawie i jak najszybciej ją zakończyć.

– Przepraszam, już więcej nie będę – zapewnił, ale ze spojrzenia Anny Moskal wyczytał, że nie wierzy w ani jedno jego słowo.

– Wiadomo coś o przyczynie zgonu? – Papaj zdawał sobie sprawę, że zadanie takiego pytania zwłaszcza w odniesieniu do szkieletu, który przeleżał pod ziemią kilkadziesiąt lat, dla laika mogłoby się wydać idiotyzmem, ale jeśli technik znalazłby na czaszce charakterystyczne wgłębienia po

uderzeniu tępym narzędziem lub jeszcze lepiej dziurę po kuli, a najlepiej pocisk. Wtedy zagadka zgonu zostałyby rozwiązana natychmiast.

– Jeśli chcesz wiedzieć, czy został zastrzelony, to odpowiedź brzmi nie – wyjaśnił Bendka dodając, że czaszka i znalezione kości na pierwszy rzut oka nie noszą żadnych uszkodzeń.

– Oczywiście patolog powie ci więcej niż ja – zastrzegł technik. W to akurat komisarz nie wierzył. Choć technika kryminalistyczna w ostatnich dwóch dekadach zrobiła skok cywilizacyjny, to jego zdaniem kości były tylko kośćmi.

– No dobra to, co robimy z tym bałaganem? – westchnął komisarz, przenosząc spojrzenie na twarz pani prokurator. Co prawda wiedział, że sporo ryzykuje, bo śliczna Anna Moskał mogła sformułowanie bałagan zaklasyfikować jako kolejne znieważenie ludzkich szczątków. Na szczęście dla niego tak się nie stało. Kobieta odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili. – Szkielec do zakładu medycyny sądowej, w całym pomieszczeniu zerwać posadzkę i sprawdzić, czy nie ma pod nią innych szczątków – zarządziła, patrząc na techników, którzy słysząc polecenie, szeroko otworzyli oczy. Oczywiście żaden z nich nie śmiał zaprotestować. Doskonale wiedzieli, że słowa prokuratora, bez względu na jego wiek, płeć czy doświadczenie są święte – a pan niech nie zapomni przesłuchać świadków – zwróciła się do Papaja i ruszyła do wyjścia.

– No to chłopaki nie zazdroście wam roboty – wyszeptał komisarz, posyłając technikom współczujące spojrzenie. W odpowiedzi Bendka pokazał mu język i wprawnym ruchem zamknął suwak czarnego worka, do którego włożono szkielec. Dyspozycje prokuratora były jak najbardziej zasadne. Często bowiem na miejscu znalezienia wojennych szkieletów okazywało się, że były to groby zbiorowe. Czy w tym przypadku było podobnie? Tego nie można było wykluczyć. A ponieważ kolejne szczątki oznaczały nowe kłopoty, to Papaj modlił się w duchu, aby technicy niczego więcej nie znaleźli.

– Pani prokurator może jednak kawa? – zagadnął komisarz, gdy znaleźli się na zewnątrz.

– Ten żart o Rosjanach nie był wcale śmieszny – powiedziała, ignorując jego propozycję.

– Tak jakoś mi się wyrwało, bo dziadek opowiadał, że ruscy to nawet niemieckim trupom majtki kradli – powiedział, nieco ubarwiając opowieści, których jako mały brzdąc słuchał z zapartym tchem i wypiekami na policzkach. Teraz podobne rumieńce zobaczył na twarzy pani prokurator, która posłała mu wściekle spojrzenie, obróciła się na pięcie i odeszła w kierunku bordowej Mokki. Papaj zdusił w sobie odruch, aby za nią pobiec. Wiedział, że rozgniewana kobieta jest groźniejsza od wybudzonej ze snu osy.

– Stary, musisz wyluzować – nakazał sobie i myślami wrócił do tej upojonej nocy, którą spędzili nieświadomi tego, że zawodowo grają w tej samej drużynie, tyle że na dwóch różnych pozycjach. Prokuratora wsiadła do lśniącego w przedpołudniowym słońcu samochodu, zwinnie wykręciła i przejechała obok komisarza, nawet na niego nie patrząc. Papaj odprowadził wzrokiem bordową mokkę, a następnie wolnym krokiem wrócił do swojego Suzuki. Sięgnął do schowka po stronie kierowcy, wyciągnął notes z przyklejonym do niego długopisem i bez pośpiechu ruszył w stronę radiowozu.

Gdyby chodziło o znalezione ciało, jego ruchy byłyby pewnie szybsze. Jednak tu miał do czynienia ze szkieletem i to czy przesłucha świadków natychmiast, czy za pół godziny nikomu z wyjątkiem przesłuchiwanym nie robiło różnicy.

– Macie dane tych, którzy byli tu w momencie ujawnienia szkieletu? – zapytał młodego aspiranta o bujnej lekko zaniedbanej brodzie koloru miedzi.

– Oczywiście panie komisarzu, spisaliśmy wszystkich zaraz po przyjeździe. Tam w tym czarnym Volvo siedzi właściciel, a przy półciężarówce znajdzie pan ekipę budowlaną – oświadczył

funkcjonariusz, sięgając na siedzenie pasażera, gdzie leżało kilka kartek – proszę, tutaj są ich dane wraz z adresami zamieszkania – powiedział podając komisarzowi jedną z nich. Papaj odebrał kartkę, podziękował i przebiegając spojrzeniem po personaliach świadków ruszył w kierunku czarnego Volvo, które jak powiedział aspirant z radiowozu należało do właściciela budynku. Docierając spojrzeniem do ostatniej osoby z listy, jak rażony piorunem zatrzymał się w pół kroku. Nie wiedział kim jest Daniel Oleksy, ale adres zamieszkania mężczyzny znał na pamięć. Podobnie jak rozkład pomieszczeń w jego domu. Papaj spędził tam kilkaset godzin i każdą z nich pamiętał tak dokładnie, jakby wydarzyła się wczoraj, choć od pamiętnych wydarzeń minął prawie rok.

– Czy to możliwe, że Oleksy mieszka w domu, w którym popełniono jedną z najbardziej ohydnych zbrodni, z jakimi Papaj miał do czynienia? – pomyślał komisarz, jeszcze raz patrząc na adres. Nazwa ulicy i numer domu się zgadzały, więc o pomyłce nie mogło być mowy. No chyba, że ten młody aspirant zrobił błąd zapisując dane na kartce. To było jedyne logiczne wyjaśnienie ewentualnej pomyłki. Jednak komisarz wątpił, aby policjant mógł przekręcić nazwę ulicy, co najwyżej mógł pomylić numer domu. To z kolei oznaczało, że Oleksy był sąsiadem zamordowanego małżeństwa, ale Papaj nie przypominał sobie, aby kogoś takiego przesłuchiwał. Papaj porzucił pierwotny pomysł, aby jako pierwszego przesłuchać właściciela warsztatów i skrzył w stronę półciężarówki firmy budowlanej. Miał tylko nadzieję, że nie widać po nim szoku, jakiego przed chwilą doznał. Dostrzegając hasło reklamowe, roześmiał się w myślach. Osobiście nie zatrudniłby ekipy reklamującej się samymi sprzecznościami, a za takie uznał słowa szybko, dobrze i tanio. Przy samochodzie stało trzech mężczyzn. Dwóch dość młodych mogących mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat i trzeci sporo starszy od nich. Komisarz zerknął na kartkę. Sądząc z zapisków, była to ekipa budowlana. Wzrokiem poszukiwał właściciela budynku. Po chwili dostrzegł go siedzącego w terenowym Volvo.

– Dobra najpierw budowlańcy – uznał, planując kolejność przesłuchań, choć w tej sytuacji raczej nie miała ona żadnego znaczenia. Trudno było sobie bowiem wyobrazić, że któraś z tych osób mogła posiadać wiedzę o tym, kim jest ofiara oraz kiedy i przez kogo została zamordowana. Jednak jakiś porządek musiał być zachowany.

– Który z Panów to Henryk Żeromski? – zapytał, pokazując służbową legitymację.

– To ja – mężczyzna po pięćdziesiątce z widocznymi zakolami zrobił krok w jego kierunku. W opalonej twarzy Żeromskiego Papaj dostrzegł jakiś niepokój. Świadczył o nim nerwowy tik powiek i lekkie drżenie głosu. Oczywiście to jeszcze nie musiało nic oznaczać albo wręcz przeciwnie znaczyło bardzo dużo. Na jednym z kursów technik kryminalistycznych, wykładowca przekonywał, że dowody rzeczowe, ślady i zeznanie mają takie same znaczenie, jak emocje przesłuchiwanym osobom. Papaj wziął sobie to głęboko do serca i od tamtej pory zwracał na takie szczegóły uwagę.

– Chciałbym zadać panu kilka pytań – powiedział Papaj, starając się aby ton jego głosu brzmiał oficjalnie – może przejdziemy do mojego samochodu? – dodał wskazując na stojącą obok radiowozu Vitare. Mężczyzna skinął głową i bez słowa ruszył za Papajem.

– Ja zobaczyłem ten szkielet, jak już go moi pracownicy odsłonili – zaczął Żeromski, gdy tylko wsiedli do Vitary. Gorliwość mężczyzny zastanowiła komisarza. W połączeniu z nerwowością oznaczała, że facet prawdopodobnie ma coś za uszami. Lub czego komisarz nie mógł wykluczyć, był niezwykle wrażliwym człowiekiem i widok ludzkiego szkieletu wywołał w nim tak mocny wstrząs. Praktyka pokazywała, że ludzie zazwyczaj czekają na konkretne pytania, a ci, którzy są wyrównani jak Żeromski bardzo często, choć nie zawsze mają coś do ukrycia.

– Mógłby pan na początku zaspokoić moją prywatną ciekawość – poprosił komisarz. Pytanie rzecz jasna wcale nie wynikało z osobistych pobudek Papaja, a miało jedynie rozluźnić przesłuchiwanego,

kierując tor rozmowy na tematy neutralne, niemające żadnego związku ze sprawą. Gdy mężczyzna przyzwalająco skinął głową, Papaj ciągnął, udając zainteresowanie.

– Czy jest pan jakoś spokrewniony.

– Chodzi o Stefana – Żeromski wszedł w słowo Papajowi. Komisarz przytaknął.

– O ile mi wiadomo to raczej nie, ale moi rodzice uwielbiali czytać i rodzinna anegdota głosi, że gdy przyszedłem na świat, to ojciec koniecznie chciał mi dać na imię Stefan. Jednak matka, która uważała, że Sienkiewicz był lepszym pisarzem, uparła się przy Henryku, a że miała większą siłę przekonywania, postawiła na swoim – wyjaśnił mężczyzna.

– No dobrze, a jak było z tym szkieletem? – Papaj wrócił do tematu przesłuchania.

– Normalnie, a jak miało być – stwierdził Żeromski i zaczął opowiadać. Nerwowość, która przez moment opuściła mężczyznę, wróciła jak prawdziwy australijski bumerang.

– Kilka dni temu zgłosił się do mnie Daniel Oleksy, nowy właściciel tego budynku. Chłopak chce tu otworzyć warsztat samochodowy i potrzebował wylać kilka zbrojonych cokołów pod podnośniki i inne jakies urządzenia. Umówiliśmy się na dzisiaj i ledwie moi ludzie zaczęli kuć, a tu takie kwiatki.

– Raczej kości – przemknęło komisarzowi przez głowę, ale zachował te przemyślenia dla siebie.

– A kto zdecydował, gdzie będą stały te podnośniki? – zapytał Papaj, spoglądając na czerwone cegły starego budynku, który o ile dobrze kojarzył, zbudowano jeszcze przed drugą wojną światową. Jego nieżyjący już ojciec wspominał czasem, że uczył się w tych warsztatach fachu tokarza.

– Z tego, co mi wiadomo, to chyba projektant – odparł budowlaniec z pewnym wahaniem – ale o to musi zapytać pan samego właściciela – poradził i dalej ciągnął swoją opowieść – chłopaki mieli wyrysowane na posadzce miejsca i tam kuli. Zerwali warstwę betonu i gdy zaczęli łopatami pogłębiać wykop, usuwając ziemię, natrafili na tego nieboraka – zakończył i ukradkiem spojrzął na zegarek. Papaj wyczuł, że Żeromski wciąż jest zdenerwowany. Nerwowość mężczyzny bardzo komisarza zastanowiła. Był ciekaw czy to zobaczenie szkieletu tak na niego podziałało, czy może coś innego. Postanowił więc trochę przycisnąć budowlanica, a wiedział z autopsji, że na takich typów najskuteczniej działały pytania o prowadzenie firmy. Co prawda sam miał o tym biznesie słabe pojęcie, ale pewne kwestie były uniwersalne dla wszystkich branż.

– A pana pracownicy są zatrudnieni legalnie? – Papaj strzelał, ale widząc, jak mężczyzna tężeje, a w następnej chwili łapie powietrze jak wyciągnięta z wody ryba, zrozumiał, że trafił. – Jacek tak, a ten drugi Wasyl jest z Ukrainy i jeszcze czeka na odpowiednie pozwolenie – wyjąkał Żeromski, a na jego zakolach pojawiły się kropelki potu – ale panie władzo on dzisiaj tylko się przyglądał – dodał, próbując tym samym poprawić swoje niewesołe położenie. W gruncie rzeczy komisarza nie interesowało, czy Żeromski zatrudnia legalnie, czy nie. Chciał jedynie poznać powód zdenerwowania mężczyzny.

– Dobrze, na razie nie mam więcej pytań. Jutro ktoś od nas skontaktuje się z panem i umówi na spisanie oficjalnych zeznań – uprzedził Papaj. Po Żeromskim przyszła kolej na jego pracowników, ale rozmowa z mężczyznami nie wniosła do sprawy niczego nowego. Tym bardziej że jeden z nich ledwie mówił po polsku. Owszem potwierdzili wszystko, co przed momentem Papaj usłyszał od Żeromskiego i na tym koniec. Gdy przyszła kolej na rozmowę z Danielem Oleksym, Papaj najpierw poprosił o podanie adresu zamieszkania. Mężczyzna podał ten sam, jaki był zapisany na kartce.

– Od dawna pan tam mieszka? – zapytał komisarz, a kiedy mężczyzna odpowiedział, że od kilku miesięcy, domyślił się, że Oleksy musiał kupić dom od spadkobierców zabitego małżeństwa. Dalsze zachowanie Daniela Oleksego kazało komisarzowi przypuszczać, że podobnie jak Żeromski chłopak też miał coś na sumieniu. Tyle że w jego przypadku nie mogło chodzić o nielegalnych pracowników, ponieważ jeszcze nikogo nie zatrudniał. Po kwadransie rozmowy Papaj zrozumiał, że niczego

z chłopaka nie wycisnie. Przez chwilę miał zamiar poruszyć temat morderstwa, ale uznał, że to nie jest dobry pomysł.

– Dobrze w takim razie z mojej strony to wszystko – oznajmił, zamykając notes.

– A może mi pan powiedzieć, kiedy będę mógł wznović remont? – pytanie rozbawiło komisarza, jednak tym razem nie mógł sobie pozwolić na żaden żart.

– Najpierw technicy będą musieli skuć całą posadzkę i sprawdzić, czy nie ma pod nią podobnych niespodzianek, a to może im zająć nawet kilka dni.

– Pan chyba sobie żartuje – wszedł mu w słowo Oleksy, zaciskając dłonie w pięści tak mocno, że aż mu kłykcie pobieleły.

– Niestety takie są procedury, a poza tym, to pani prokurator zdecydowała o skuwaniu posadzki – wyjaśnił spokojnie Papaj, chcąc tym samym przerzucić ewentualny gniew na Annę Moskal. – A ja mogę jakoś zaskarżyć tę decyzję? Zapytał Oleksy nieco spokojniejszym tonem, kładąc dłoń na klamce.

– Jasne, że pan może, ale między nami mówiąc szybciej ruszy pan z interesem, jeśli pozwoli naszym chłopakom zrobić to, co do nich należy – poradził Andrzej i podobnie jak w przypadku Żeromskiego uprzedził o konieczności spisania oficjalnych zeznań. Oleksy podziękował, wysiadł i podszedł do terenowego volvo. Komisarz siedział jeszcze przez chwilę, przeglądając zapiski, jakie sporządził. Na pierwszy rzut oka nie było się do czego przyczepić. Facet wraca z Anglii, kupuje stare warsztaty i próbuje rozkręcić własny interes. Wynajmuje firmę, która Podczas remontu wykopuje szkielet. Teoretycznie mogło to spotkać każdego, kto, prowadząc lub chcąc prowadzić biznes w starych wrocławskich budynkach, bierze się za ich remontowanie. W tym konkretnym przypadku trafiło na Oleksego.

– No cóż, gość miał wybitnego pecha – uznał Papaj. Położył notes na siedzeniu pasażera, uruchomił silnik i wrócił na komendę. Wchodząc do swojego biura, z pewną zazdrością rzucił okiem na uporządkowane biurka kolegów, których już nie było w pracy.

– Cholerni szczęściarze. Pewnie teraz zajądają obiadek w domowym zaciszu – pomyślał i odsuwając na bok rozmyślenia o domowych pieleszach Polaka i Lipińskiego usiadł za biurkiem. Przez chwilę bez żadnego konkretnego powodu bębnił palcami o laminowany jasny blat, a potem zabrał się do roboty. Kiedy skończył, dochodziła szesnasta. Schował dokumenty do szuflady i zabierając kartkę z adresami czterech świadków, których zeznania należało spisać, ruszył do sąsiedniego pokoju. Postanowił, że o ile spotkanie z patologiem weźmie na siebie, to świadków zostawi dla kogoś, komu do stopnia komisarza brakowało kilku dobrych lat. Jerzy Pawłowski, który opiekował się narybkiem, jak nazywano nowo przyjętych funkcjonariuszy, był jeszcze u siebie.

– Cześć Jurek, mógłbyś zlecić któremuś z żółtodziobów spisanie zeznań? – poprosił Papaj, przysiadając na jednym z krzeseł.

– To od tego szkieletu? – zapytał Pawłowski, przebiegając wzrokiem otrzymaną kartkę.

– Tak, ale sprawa wygląda na wojennego Niemca, więc każdy, kto zna wszystkie litery alfabetu, poradzi sobie z tym – zapewnił komisarz.

– Dobra zlecę to aspirantce Justynie Nowickiej.

– To jakaś nowa? – zainteresował się komisarz, pierwszy raz słysząc nazwisko policjantki. Owszem obilo mu się o uszy, że przyjęto jakąś nową dziewczynę, ale pomny na ostrzeżenia Górskiego, że nie będzie tolerował żadnych zawodowych romansów, Papaj wolał mniej kłopotliwe znajomości.

– Tak, pracuje od trzech tygodni, przeniosła się do nas z komendy powiatowej w Kłodzku – wyjaśnił Pawłowski – ale wygląda na bystrą i szybko się uczy – dodał, porządkując dokumenty leżące na biurku.

– Z Kłodzka do nas – zdziwił się Papaj – przecież tam mają ciszę i spokój, jak u pana Boga za piecem, a tutaj urwanie głowy, że trudno nawet normalnie kawę wypić.

– Może dziewczyna nie lubi spokoju i nudy – zasugerował Pawłowski, nie przerywając porządkowania swojego miejsca pracy.

– A może ona nie chciała, ale musiała odejść – podsunął komisarz. Pawłowski tylko się roześmiał.

– To raczej nie możliwe – zapewnił z pewną stanowczością.

– Niemożliwe to jest zjeść ciastko i mieć ciastko – odparł filozoficznie Papaj. Po czym już poważnym tonem dodał:

– Dobra niech będzie ta Nowicka. Tylko chciałbym mieć to na wczoraj, bo za kilka dni wyjeżdżam na urlop i wolałbym do tego czasu zamknąć sprawę – poprosił, ruszając do drzwi.

– Jeśli do tego zadania podejdziesz z równym zapałem co do poprzednich, to możesz się tego spodziewać szybciej, niż sądzisz – usłyszał za sobą zapewnienie Pawłowskiego.

– Uwierzę, jak zobaczę – zripostował, przystając w drzwiach.

– Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli – wyprowadził kontrę Pawłowski, ale Papaj już na nią nie zareagował. Pomachał koledze na pożegnanie i zbiegł do samochodu. Wyciągnął zza wycieraczki ulotkę reklamującą najgorętsze dziewczyny we Wrocławiu, zgniótł ją jednym szybkim ruchem i rzucił do odległego o kilka metrów kosza na śmieci. Papierowa kulka zatoczyła w powietrzu łuk, odbiła się od krawędzi śmietnika i balansując przez chwilę, w końcu wpadła do środka. Uradowany Papaj wsiał do auta i odjechał.

W drodze do domu zrobił typowe dla kawalera zakupy, z których najważniejsze były makaron, puszka pomidorów i mięso mielone. Przygotowanie klopsików duszonych w pomidorach podawanych z makaronem zajęło mu tylko pół godziny. Rzecz jasna, że gdy w kolacji towarzyszyła mu jakaś kobieta, potrawy były bardziej wykwintne, ale jedząc w samotności, nie był tak wybredny. Kiedy po skończonym posiłku przeglądał internet, jego uwagę przykuł temat artykułu na jednym z lokalnych portali. „Robili remont – znaleźli szkielet. Makabryczne odkrycie w dawnych warsztatach szkolnych”. Tekst był opatrzony kilkoma zdjęciami ludzkiej czaszki.

– No, no szybko teraz działają nasze lokalne dziennikarskie hienki – pomyślał i bez większego zainteresowania rozpoczął lekturę. Gdy skończył czytać, uzmysłowił sobie trzy sprawy. Po pierwsze szczegóły zawarte w tekście jasno wskazywały, że pisała go osoba doskonale obeznana w sprawie. Po drugie zdjęcia, jakimi został okraszony artykuł, wyglądały na autentyczne. Po trzecie i to chyba najbardziej go rozdrażniło, autor ośmielił się napisać, że wszyscy, którzy mają jakąś wiedzę na temat znalezionej czaszki, proszeni są o kontakt z policją, co było kompletną bzdurą, bo o ile wiedział, nikt takiej prośby do mediów nie wysyłał. Oczywiście wyobraźni Papaj widział tych wszystkich porządnym obywateli, najczęściej w podeszłym wieku, którzy przeczytawszy artykuł, uznają, że mają szczególnie ważne informacje i zaczęły szturmować komendę. Pociuszający był fakt, że choć postęp cyfrowy był bardzo duży, to odsetek seniorów korzystających z zasobów internetu wciąż pozostawał na niskim poziomie. Mimo to postanowił napisać do autora z żądaniem sprostowania informacji o poszukiwaniu świadków. Jednak na próżno szukał jego imienia i nazwiska pod artykułem. Dopiero gdy kliknął zakładkę „nasza ekipa” i zobaczył, iż jednym z redaktorów jest niejaka Rokšana Oleksy, wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć. W kilku zdaniach zaprezentował swoje stanowisko jako osoby prowadzącej sprawę z ramienia policji i grzecznie poprosił o usunięcie odpowiedniego fragmentu artykułu. Następnie wysłał wiadomość na ogólny adres portalu. Zadowolony z siebie zalogował się do aplikacji randkowej w nadziei, że czeka na niego odpowiedź od Edyty, ale jej nie było. Zamiast tego znalazł kilka wiadomości od innych kobiet. One również stosowały techniki zaczerpnięte

z poradników uwodzenia. Zostawiając lekturę na później, odstawił telefon, pozmywał naczynia i zrobił to, o czym marzył mniej więcej od południa, wyskoczył na seans do sauny w pobliskim klubie fitness. Sauna była mała i panowała w niej kameralna atmosfera. Jednak największą zaletą miejsca było przestrzeganie poprawnego saunowania. Tekstylni albo musieli zrozumieć, na czym polega prawdziwe saunowanie, albo szukać innej miejscówki. Po powrocie do domu zauważył, że portal zgodził się z jego zdaniem i poprawił artykuł. Zadowolony odpisał na trzy z ośmiu wiadomości i poszedł spać. Zасыpiając, jego myśli powędrowały do dzikich gór półwyspu skandynawskiego, gdzie zamierzał spędzić swój urlop. O dziwo nie był tam sam, ale w towarzystwie pięknej Anny Moskał.

ROZDZIAŁ TRZECI

Edward Kowalski wjechał na parking w podziemiach galerii handlowej. Jadąc wolno, lustrował mijane miejsca parkingowe, ale nigdzie nie dostrzegł białego passata. Specjalnie się tym nie zmartwił. Do umówionego spotkania brakowało jeszcze ponad dwadzieścia minut. Dojechał do końca parkingu i zatrzymał samochód za jednym z potężnych filarów nośnych. Miał stąd doskonały widok na prawie całą halę parkingową. Wysiadł i sprężystym krokiem ruszył do windy. Wjechał na drugie piętro i wszedł do księgarni. To, czego szukał, znalazł zaraz przy wejściu. Egzemplarze najnowszej powieści Stefana Króla ułożono w ogromną piramidę. Mężczyzna sięgnął po jedną z książek i podszedł do kasy. Sam gustował w bardziej ambitnej literaturze, ale jego żona na każdy kolejny tom z przygodami niesamowitej prywatnej detektyw Anny Bryłki, czekała, jak dzieci czekają na świętego Mikołaja. Różnica polegała na tym, że święty Mikołaj przychodził raz w roku, a nowe powieści Stefana Króla pojawiały się co dwa miesiące.

– To będzie czterdzieści dziewięć dziewięćdziesiąt – powiedziała ekspedientka, pakując opasłe tomisko do firmowej, papierowej torby.

– Już teraz wiem, skąd król polskiego kryminału ma na koncie te miliony, o których wszyscy plotkują – pomyślał Kowalski, opuszczając księgarnię. Nim wrócił na parking, odwiedził jeszcze delikatesy, w których kupił butelkę wody mineralnej. Choć centrum handlowe było klimatyzowane, czuł się tak, jak na karaibskiej plaży. Zastanawiał się, czy bierze go jakieś choróbsko, czy może tak reaguje na człowieka, z którym za chwilę się spotka? Kiedy wrócił do samochodu, uświadomił sobie, że zakupy zajęły mu tylko piętnaście minut. Miał więc jeszcze sporo czasu na myślenie, a myśleć było o czym. Po raz pierwszy zdecydował się na ustawienie przetargu dla kogoś, kto był zwyczajnym bandytą. Choć logika podpowiadała, że bratanie się z przestępcami oznacza wejście na grząski grunt, a jak zwykła mawiać jego babcia „Chodzenie po bagnie wciąga”, to chęć zdobycia dużych pieniędzy była silniejsza od rozsądku. Kiedy Edward ponownie spojrzął na zegarek, do wyznaczonej godziny spotkania brakowało już tylko dwóch minut. Bez pośpiechu wysiadł z auta i ogarnął wzrokiem zapelniony mniej więcej w połowie parking.

– To jest dobra pora na robienie zakupów – uznał, przypominając sobie sobotnie przedpołudnia, gdy żona wyciągała go do galerii.

– Spokojnie kochanie, zaraz znajdziemy jakieś wolne miejsce – mówił wtedy łagodnym tonem, który miał uspokoić nie tyle żonę co jego samego, bo w środku gotował się, jak woda w czajniku. Miał ochotę wyć i przeklinać tych wszystkich ludzi, którzy jakby jemu na złość postanowili zrobić zakupy w sobotni poranek. Na szczęście takich wyjazdów było coraz mniej. Nie znaczy to, że jego żona zrobiła się oszczędna. Wiedział, że Kasia i oszczędność nigdy nie szły i nigdy nie pójdą z sobą w parze. Ona sama nie widziała w swojej rozrzutności niczego złego.

– Misiaczku, przecież zarabiasz tyle, że stać nas na takie drobne zakupy – mówiła z dziecinną beztroską, jakby szmal rósł na drzewach niczym oliwki w Grecji. Niestety Kowalski miał słabość do żony, bo choć nie była specjalnie bystra, to potrafiła wykorzystać inne atuty swego dwudziestosześcioletniego ciała. Dlatego tylko wzdychał, patrząc, jak konto bankowe robi się

szcuplejsze o kilka, a czasem nawet kilkanaście tysięcy miesięcznie. Pewien przełom w zakupowych tradycjach nastąpił, gdy Kasia odkryła magię zakupów internetowych. Dla Edwarda oznaczało to dwie zmiany. Po pierwsze mógł się wypaść, co uznał za duży plus. Niestety był także poważny minus, bo mimo siedzenia w domu, żona wydawała więcej niż na tradycyjnych zakupach. Może i nie były to jakieś zawrotne sumy, ale dla niego te dwa lub trzy tysiące więcej w ciągu miesiąca miały znaczenie. Tym bardziej że jego żona nie pracowała, więc sam musiał harować za dwóch i pracował. Dziś akurat miał urlop, ale typowo biznesowy. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, w kilka godzin zarobi czterdzieści, a może nawet pięćdziesiąt tysięcy. Dwadzieścia już miał. Leżały schowane w skórzaną teczkę na tylnym siedzeniu. Mężczyzna ponownie spojrzął na zegarek, który kosztował go niemal trzydzieści tysięcy i niezadowolony przeciągnął się, zrobił to bardziej z przyzwyczajenia niż potrzeby rozprostowania kości. Następnie sięgnął na tylne siedzenie po skórzaną teczkę i schował ją do bagażnika. Spóźnienie Jarosława Masłowskiego, z którym miał zamiar ubić dobry interes, trochę go zirytowało. W ludziach najbardziej cenił punktualność. Nie jakąś tam szczerłość, co do której nigdy nie było pewności, czy jest prawdziwa, czy też udawana, jak orgazm przez jego żonę. Choć akurat w tym przypadku musiał przyznać, że Kasia robiła to wręcz perfekcyjnie. Prawdopodobności można było się zwyczajnie nauczyć, podobnie jak dobrych manier, które z odrobiną wysiłku mógł przyswoić sobie nawet cham i prostak. Kowalski znał osobiście takich pseudo dżentelmenów. Na przyjęciach ą i ę, pełna kultura, miłe słówka do żony, a w domu nauka pokory przy pomocy pięści. Natomiast punktualności zdaniem Kowalskiego nie można było się nauczyć, a tym bardziej udawać. Była jak papierek lakmusowy, po którym rozpoznawał ludzi. Co ważne mogła o człowieku powiedzieć więcej niż dom, samochód, praca, a nawet pieniądze, jakimi obracał. Znał ludzi, którzy mieli niewiele, ale byli punktualni i odwrotnie. Ci drudzy irytowali go najbardziej. Sądził, że jak mają kasę, to mogą wszystko. Wtem, gdzieś w oddali usłyszał odgłos silnika, a między odległymi filarami błysnęło coś białego i po chwili obok zaparkował passat koloru alpejskiego śniegu. Kowalski rozluźnił się, przywołał na twarz uśmiech i z pewnym niesmakiem patrzył na samochód rzucający się w oczy, jak tekstylni na plaży nudystów. Osobiście uważał, że kolor biały jest dobry dla panny młodej, jeśli rzecz jasna była dziewicą, ale nie dla samochodu. Już kolor jego fiata był ekstrawagancki, ale do czegoś białego nawet żona nie zdołałaby go przekonać. Mężczyzna, na którego czekał, nazywał się Jarosław Masłowski. Kowalski nie znał go, a nawet nigdy w życiu nie widział. Jednak to nie miało żadnego znaczenia, liczyło się tylko to, że poręczyło za niego kilka wysoko postawionych osób. W świecie biznesów, jakie prowadził, takie referencje wystarczyły, aby bez żadnych przeszkód robić interesy z podejrzanymi ludźmi, o których nie miał zielonego pojęcia. Jednak w tym konkretnym przypadku nie chodziło o biznesmena, którego jedynym grzechem było zatajenie przed fiskusem dochodów, ale z kimś, kto podobno kontrolował handel narkotykami, nadzorował nielegalne domy publiczne i pokątny hazard. Mężczyzna zgasił silnik i wysiadł z auta. Mimo dość niskiego wzrostu miał posturę rzymskiego gladiatora. Pod dopasowaną koszulką polo i jeansami odznaczały się wyrzeźbione mięśnie. Fakt, że cały ubiór mężczyzny łącznie z butami i skarpetkami był takiego samego koloru, jak jego samochód szczególnie Kowalskiego nie zdziwił. Wskazywał jednak, że facet ewidentnie kocha biel. Prócz postury i stroju uwagę przykuwały długie czarne jak smoła włosy, związane w kitkę oraz równie mroczna, gęsta, perfekcyjnie wymodelowana broda, której pielęgnacja musiała kosztować nie tylko sporo kasy, ale przede wszystkim czasu. Może chyba dlatego Kowalski wolał każdego dnia poświęcić kwadrans na golenie. Co prawda kiedyś próbował zapuścić brodę, ale zdaniem jego żony, absolutnie mu nie pasowała. Akurat w tej kwestii musiał przyznać jej rację, bo Kasia na urodzie i to nie tylko własnej znała się jak mało kto. Mężczyzna, który wysiadł z passata, samym wyglądem wzbudzał respekt.

Kowalskiemu natychmiast przypomniały się słowa człowieka, z którym rozmawiał poprzedniego popołudnia. „Edward uważaj, bo facet do łagodnych nie należy. Oficjalnie ma kilka legalnych biznesów, ale podobno dziesięć razy tyle wyciąga z tych, o których wiedzą tylko nieliczni. Słyszałem też, że wysłanie kogoś na wózek inwalidzki to dla niego jak splunąć”. Choć rzeczywiście w twarzy faceta rysowała się jakaś brutalność, to Kowalski niespecjalnie się tym przejmował. Przede wszystkim dlatego, że to nie jemu, ale tamtemu bardziej zależało na załatwieniu sprawy.

– No to zobaczymy, jaki z ciebie twardziel – pomyślał Kowalski, wyciągając dłoń na powitanie. Musiał przez cały czas spotkania udawać, że nie boi się Masłowskiego i w tej grze, to on, a nie tamten rozdaje karty.

– Witam, proszę mi mówić Edward – zaproponował, podchodząc do nieznanego.

– Ja jestem Jarek – odparł Masłowski i z wyczuciem ścisnął wyciągniętą dłoń. Zdrabnianie imion, szczególnie męskich Kowalski uważał za objaw zniewieścienia. Ludzi, którzy przedstawiali się w ten sposób, z miejsca traktował z pewną wyższością. Rzecz jasna nie dawał tego po sobie poznać. Przecież to z tymi Jareczkami, Andrzejkami i Januszkami robił interesy.

– Panie Edwardzie mam nadzieję, że się nie spóźniłem? – Kowalski ostentacyjnie zerknął na zegarek.

– Tylko trzydzieści sekund – odparł z ledwie słyszalną przyganą – ale to w żaden sposób nie przekreśla naszego spotkania – dodał uspokajająco. Otworzył drzwi fiata od strony pasażera i gestem zaprosił Masłowskiego do środka. Mężczyzna spojrzął na Kowalskiego oczami przypominającymi dwa węgliki i z pewnym wahaniem wszedł do samochodu.

– W czym mogę panu pomóc? – spytał Kowalski, zajmując miejsce za kierownicą. Właściwie pytanie było zbędne, bo wiedział, czego chce Masłowski, ale należało zachować pewne pozory.

– Roman powiedział, że będzie pan w stanie załatwić atrakcyjny czynsz na jeden z lokali w rynku – fakt, że facet od razu przeszedł do rzeczy, spodobał się Kowalskiemu. W pewnych sprawach wyznawał zasadę, że owijanie w bawełnę to zbędna formalność.

– A który konkretnie lokal pana interesuje? – pytanie było retoryczne, ponieważ od wspomnianego już Romana Kowalski dowiedział się wszystkiego, nie tylko, na jaki lokal Masłowski ostrzy sobie zęby, ale też co ma tam zamiar otworzyć.

– Ten po północnej stronie, gdzie do niedawna działała węgierska knajpka – mężczyzna dokładnie wskazał lokalizację.

– No cóż, panie Jarku, będę z panem szczerzy – zaczął Kowalski, teatralnie marszcząc brwi – lokalizacja jest doskonała, a chętnych wielu – oświadczył, tylko trochę mijając się z prawdą, bo na razie nikt nie składał zapytania. Owszem można to było tłumaczyć faktem, że oficjalnie procedura przetargowa nie została jeszcze rozpoczęta. Jednak wiadomości o wolnych lokalach, zwłaszcza w centrum przekazywano sobie pocztą pantoflową, więc brak zapytań trochę dziwił Kowalskiego.

– A tak na marginesie powiem panu, że wciąż zachodzę w głowę jak poprzedni najemca, mając knajpę w takim miejscu, mógł zbankrutować? – oznajmił Kowalski konspiracyjnym szeptem, choć jako jeden z nielicznych znał kulisy całej afery, ale ich ujawnianie nie miało teraz żadnego sensu, dlatego wołał skupić uwagę na urobieniu Masłowskiego.

– Czyli nie będzie pan mógł pomóc? – w głosie mężczyzny słychać było nutę ni to zawodu, ni hamowanej wściekłości. Reakcja tylko potwierdziła, to czego Kowalski się domyślał. Masłowskiemu cholernie zależało na tym lokalu. Oczywiście nie za wszelką cenę, bo gdyby tak było, to nie zawracałby sobie głowy próbą ustawienia przetargu.

– Tego nie powiedziałem, ale łatwo nie będzie. Przede wszystkim muszę wiedzieć jaka stawka czynszu jest dla pana atrakcyjna – Masłowski zamyślił się jakby od jego odpowiedzi zależały losy całego świata. Zaciśnięta kwadratowa szczęka wskazywała, że myśli bardzo intensywnie. W lekko zmrużonych czarnych oczach odbitych w lusterku wstecznym Kowalski ujrzał chytre iskierki.

– Myślałem o jakichś stu pięćdziesięciu – odparł, jednak w jego głosie nie było zdecydowania, a jedynie ostrożność i Edward postanowił ją wykorzystać.

– Panie Jarku poprzedni właściciel płacił dwieście pięćdziesiąt – skwitował, a wyraz jego twarzy nie pozostawiał złudzeń, że nie widzi on szans na pomyślne załatwienie tego, z czym przyszedł Masłowski. Oczywiście ze strony Kowalskiego była to przemyślana gra. Doskonale wiedział, że mężczyzna tak łatwo nie zrezygnuje.

– Dobrze to, ile jest pan w stanie załatwić? – na to pytanie Kowalski czekał jak wyschnięta rzeka na deszcz.

– Realnie mogę postarać się wpisać do dokumentacji przetargowej dwieście – odparł z głębokim namysłem – oczywiście jest to kwota, uwzględniająca pewne warunki, do których przyszedł najemca będzie musiał się dostosować – zastrzegł Kowalski.

– No dobrze – niechętnie zgodził się Masłowski – jednak jest jeszcze jedna kwestia. Chodzi o okres najmu – dodał, jakby sprawa ta była czymś pobocznym, podczas gdy Edward zdawał sobie sprawę, że to głównie na tym Masłowskiemu zależy najbardziej.

– Wie pan, standardowo jest to pięć lat i powiem otwarcie, że aby zmienić ten zapis na siedem lub więcej lat, musiałbym wspiąć się na szczyty swoich umiejętności.

– A jak wysoko wycenia pan te szczyty? – rzucił bez ogródek Masłowski. Kowalski z jednej strony uznał tak otwarte postawienie sprawy za pewnego rodzaju bezczelność. Zazwyczaj kwestię ceny za usługę omawiano w bardziej zawaolowany sposób. Jednak z drugiej strony podejrzewał, że w kręgach, w jakich obracał się Masłowski pewne kwestie załatwiano szybko, bez zabawy w zbędne podchody. Dlatego postanowił dopasować się do reguł ubranego na białą mężczyznę. Wystarczyło podać kwotę i zrobił to bez zastanowienia. Masłowski wolnym ruchem sięgnął do przyniesionego z sobą plecaka, rozpiął suwak i wyciągnął ze środka grubą kopertę.

– Proszę, tu jest trzydzieści pięć tysięcy, czyli o pięć więcej niż kosztują pana zdolności. Liczę, że ten drobny gratis będzie dodatkowym argumentem do potraktowania mojej sprawy w sposób priorytetowy – oświadczył, wyciągając kopertę w stronę Kowalskiego. Gdy ten ją złapał, Masłowski przytrzymał jego dłoń i patrząc mu prosto w oczy, dodał spokojnym, a mimo to lodowatym tonem.

– A jeśli nie wywiąże się pan z naszej umowy, to proszę sobie zapamiętać, że potrafię być bardzo, ale to bardzo nieprzyjemny – groźba Masłowskiego sprawiła, że Edwardowi nagle zaschło w gardle, a krew odpłynęła z twarzy. Masłowski wysiadł bez pożegnania i po chwili biały passat pędził już w kierunku bramy wyjazdowej. Kowalski rzucił utrzymaną kopertę na siedzenie pasażera, jakby była rozżarzonym węglem i po raz pierwszy w swoim życiu poczuł w ustach dziwną gorycz.

– Czy tak smakuje strach? – pomyślał, nie będąc w stanie wykonać żadnego ruchu. Dopiero po kilku sekundach zdołał wyjąć z klimatyzowanego schowka butelkę wody i zwilżyć wyschnięte na wiór usta. Kiedy już doszedł do siebie, przełożył pieniądze do skórzanej teczki i opuścił parking. Do tej pory wszystkie umowy, jakie zawierał, zakładały możliwość niepowodzenia. W takim przypadku Kowalski zwracał otrzymaną kasę i życie toczyło się dalej. Jednak w przypadku Masłowskiego, gdyby coś poszło nie tak, to sam zwrot pieniędzy nie usatysfakcjonuje mężczyzny i Edward miał tego pełną świadomość. Właśnie dlatego ta sprawa zapowiadała się na najtrudniejszą w jego dotychczasowej karierze.

Rozmyślał właśnie nad pierwszymi krokami, jakie będzie musiał podjąć, gdy zadzwonił leżący między siedzeniami telefon. Kowalski widząc, kto telefonuje, nacisnął klawisz na kierownicy.

– Tak Henryku?

– Edward, tu na tych warsztatach znaleźliśmy zabetonowany ludzki szkielet – oznajmił Żeromski. Jego nerwowy głos wypełniał niewielkie wnętrze fiata. Początkowo Kowalski nie rozumiał, o czym Henryk mówi.

– Jaki szkielet, jakie warsztaty? – rzucił obojętnym tonem. Jego myśli wciąż krążyły wokół sprawy Jarosława Masłowskiego. Jednak gdy po kilku sekundach przypomniał sobie, że to właśnie Henryk miał montować Danielowi Oleksemu jakieś maszyny, dotarło do niego, że zaczyna dziać się coś, przy czym gra w rosyjską ruletkę, była jedynie niewinną zabawą. Zdanie „szkielet zakopany na warsztatach”, jak brakujący element układanki stworzyło pełny obraz historii, która prześladowała Kowalskiego przez ostatnie trzydzieści lat. Próbował o niej zapomnieć, wymazać z pamięci jak się wymazuje gumką błęd w zeszytach dziecka, tyle że ona uparcie powracała, domagając się rozwiązania, i ono wreszcie nadeszło.

– A więc tak to się skończyło – pomyślał Edward i nagle poczuł nieprzyjemny ucisk w okolicy serca. Zaczynało brakować mu powietrza, jakby ktoś ukrywający się na tylnym siedzeniu złapał go nagle za klatkę piersiową i zaczęła ją miażdżyć żelaznym uściskiem.

– Edward jesteś tam? – usłyszał odległe pytanie Żeromskiego.

– Tak jestem – wykrztusił i zjechał na pobliski parking.

– I co ja mam teraz zrobić? – Pytanie Żeromskiego było jak zimne wiadro wody. Kowalski w jednej chwili zrozumiał powagę sytuacji. Pod posadzką warsztatów szkolnych leżał szkielet. Znalazisko na pewno zostanie zgłoszone na policję, a ta, jeśli zacznie drążyć, może powiązać ich obu z tą sprawą. Co prawda niczego im nie udowodnią, ale ostatnie czego teraz chciał, to zamieszanie wokół swojej osoby. Dlatego należało działać i to jak najszybciej. Tylko w ten sposób mogli uniknąć kłopotów.

– Henryk uspokój się i opowiedz mi wszystko po kolei – poprosił Kowalski, jednym haustem wypijając resztę wody z butelki.

– Edward, a co tu kurwa jest do opowiadania! – wrzasnął Żeromski jeszcze bardziej roztrzęsiony niż przed chwilą – w dodatku mają tu przyjechać gliny – dodał, a jego głos brzmiał tak, jakby za chwilę mężczyzna miał się rozplakać.

– Henryk, do jasnej cholery, weź się w garść i opowiadaj od początku jak to było! – Tym razem podziałało, uznał Kowalski, słysząc, że rozmówca opanowuje oddech i zaczyna opowiadać przebieg wypadków. W miarę jak słuchał, jego dłonie samoczynnie zaciskały się na kole kierownicy.

– Edward, przecież tego trupa nie powinno tam być, więc skąd się wziął? – zakończył Żeromski. Na tak postawione pytanie Kowalski wołał nie odpowiadać, głównie z obawy, że Henryk jakimś cudem wyczuje kłamstwo i zacznie drążyć temat.

– Henryk teraz mnie bardzo uważnie posłuchaj. Po pierwsze jak przyjadą gliny, to ty o niczym nie wiesz. Zwyczajnie wykonywałeś zlecenie i w trakcie znalazłeś to, co znalazłeś. Po drugie zadzwonił, gdy już będziesz wolny, a ja do ciebie przyjadę – tłumaczył Kowalski, zastanawiając się, czy może zrobić coś, aby ani on, ani Żeromski nie byli kojarzeni z warsztatami przy Krakowskiej. Po chwili wiedział, od czego musi zacząć.

– Dobra zrobię, jak mówisz, a później do ciebie oddzwonię, ale pamiętaj Edward, że to nie wygląda zbyt wesoło, ani dla mnie, ani dla ciebie – zauważył Henryk, a Kowalski nie musiał pytać, co Żeromski miał na myśli.

Pierwszą rzeczą, jaką Edward Kowalski postanowił sprawdzić, było ustalenie terminu przedawnienia zabójstwa. Odpowiedź, jaką znalazł w przeglądarce internetowej, nie była

optymistyczna. Śledczy mieli trzydzieści lat, aby udowodnić komuś popełnienie zbrodni.

– Jeśli nie znajdą niczego przez trzy miesiące, to mogą mnie w dupę pocałować – pomyślał i zamiast jak pierwotnie planował, pojechać do domu, ruszył do pracy.

– Dzień dobry panie Edwardzie, a pan nie miał dzisiaj zaplanowanego urlopu? – zdziwiła się sekretarka, gdy wszedł do sekretariatu.

– Tak pani Aniu mam dzisiaj urlop, ale czasami praca dopada człowieka nawet podczas wolnego dnia – skłamał, posyłając kobiecie promienny uśmiech i poprosił o klucze do archiwum.

– Pan powie, co trzeba przynieść, a ja to znajdę – zaferowała się sekretarka.

– Naprawdę proszę się nie kłopotać, sam doskonale dam sobie radę – zapewnił i wyszedł z biura. Archiwum zarządu nieruchomości zajmowało prawie całą piwnicę. Kowalski zaglądał tam tylko w ostateczności. Dlatego znalezienie dokumentów, jakich szukał, zajęło mu prawie godzinę. Gdy wreszcie odnalazł poszarzałą teczkę, usiadł przy stoliku. Teoretycznie powinna ona teraz być w rękach Daniela Oleksego, nowego właściciela warsztatów przy Krakowskiej, ale chłopak stwierdził, że jakieś stare dokumenty go nie interesują. Najważniejsza była dla niego aktualna opinia techniczna. Kowalski rozwiązał zeszytniałe tasemki i zabrał się do przeglądania dokumentów. Sam był zdziwiony, jak dokładnie odnotowywano wszelkie prace remontowe prowadzone w obiekcie. Ostatni duży remont obejmował wymianę instalacji elektrycznej, wodno-kanalizacyjnej oraz posadzki. Wykonano go w 1985 roku. Trwał od połowy czerwca do końca sierpnia i to właśnie te dokumenty interesowały Kowalskiego najbardziej. Złożył na czworo kilkanaście kartek i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki. Niemał w tym samym momencie usłyszał za sobą skrzypnięcie drzwi i do pomieszczenia weszła zaniepokojona sekretarka.

– O widzę, że pan sobie w najlepsze dokumenty przegląda, a ja już zaczęłam się o pana bać.

– Pomyślała pani, że facet może zawału dostać – Kowalski zażartował, zamknął teczkę i odniósł ją na swoje miejsce.

– Może, nie aż tak, ale różne rzeczy ludziom się przytrafiają – odrzekła bardzo poważnie.

– Wiem pani Aniu i tym bardziej jestem wdzięczny za troskę – podziękował mężczyzna i oddając kobiecie klucz, poprosił, aby zamknęła archiwum i odniosła go do sekretariatu. Siedząc w samochodzie, ponownie przejrzał zabrane dokumenty. Zawierały wszystkie informacje, począwszy od zakresu prac, przez kosztorys, a na danych wykonawcy, kończąc. Szczególnie te ostatnie mogły stanowić zagrożenie. Co prawda Kowalski uważał, że policja wcale nie musi powiązać znalezionego szkieletu z remontem, jaki przeprowadzono na warsztatach prawie trzydzieści lat wcześniej. Bardziej prawdopodobne było, iż uznają znalezisko za pozostałości po drugiej wojnie światowej. Jednak wołąc dmuchać na zimne, postanowił schować dokumenty w bezpieczne miejsce, a takie było jedynie w jego domu i nie wiedział o nim nikt, nawet jego własna żona. Wiedząc, że i tak będzie tego dnia jechał do Żeromskiego, zaparkował na chodniku przed domem. Zabrał swoją teczkę, wartą obecnie pięćdziesiąt pięć tysięcy i wszedł do garażu. Upewniwszy się, że wszystkie drzwi są zamknięte na klucz, odstąpił kanał i zszedł po kilku schodkach, następnie nacisnął jedną z płytek ceramicznych, którymi były wyłożone ściany. Mechanizm sprężynowy cicho kliknął, a płytka się uchyliła, ukazując niewielki sejf z zamkiem cyfrowym. Kowalski wprowadził kod, profilaktycznie przejrzał zawartość sejfu, włożył do niego pieniądze oraz dokumenty, a następnie zamknął sejf, zamaskował i poszedł do domu. Żonę zastał w łazience. Fakt, że w południe bierze prysznic, szczególnie go nie zdziwił. Kasia lubiła to robić przynajmniej dwa razy dziennie.

– O już jesteś! – zdziwiła się, gdy stanął przy umywalce i zaczął myć ręce.

– Tak, ale wpadłem tylko na chwilę.

– A zdążysz swojej żonce umyć plecki? – zachichotała, otwierając drzwi ogromnej kabiny prysznicowej. Gdy się do niej odwrócił, skierowała strumień wody na swoje piersi i przeciągnęła palcami po gładkim wzgórku łonowym.

– Skoro nalegasz, to dlaczego nie – odparł, czując, jak narasta w nim podniecenie. Błyskawicznie zrzucił z siebie ubranie i nagi, gotowy do działania wślizgnął się pod silny strumień ciepłej wody.

– Takie coś, to ja lubię – wymruczała przeciągle Kasia, kłękając na kremowych płytkach ozdobionych różowymi tulipanami.

– Ja też – potwierdził Edward gardłowym głosem i oparł się wygodnie o ścianę, pozwalając Kasi, na to, w czym była mistrzynią. Gdy dwadzieścia minut później owinięty jedynie ręcznikiem wszedł do kuchni, zobaczył, że ma nieodebrane połączenie od Żeromskiego. Przez chwilę stał niezdecydowany. Z jednej strony wiedział, że musi się spotkać z Henrykiem. Sprawa szkieletu nie mogła zbyt długo czekać. Poza tym teraz miał wolne popołudnie, a kolejne dni zapowiadały się bardzo pracowicie. Jednak z drugiej strony czuł potworne zmęczenie. Seks z Kasią z powodzeniem mógł zastąpić godzinny intensywny trening na siłowni, a on już nie był młodzieniaszkiem. Różnica wieku i temperamentów robiła swoje. Czasami nachodziły go myśli, czy żona nie ma czasami na boku jakiegoś młodziutkiego kochanka, lecz póki nie miał dowodów, wołał odsuwać od siebie takie przypuszczenia. Gdy już podjął decyzję, przeszedł do salonu, usiadł w bujanym fotelu obok wejścia na taras i oddzwonił do Żeromskiego.

– Możesz przyjechać, jestem już w domu – oznajmił Henryk. Znużony głos mężczyzny w pewien sposób pocieszył Kowalskiego. Oznaczał, że nie tylko on jest tego dnia bez siły. Co prawda powody wyczerpania były zgoła odmienne, ale efekt podobny.

– Dobra będę za czterdzieści minut – zapowiedział i ruszył na piętro po świeże ubrania.

Żeromski mieszkał w pięknej willi na Zaciszu. Dom miał ponad dwieście metrów kwadratowych i został zbudowany w 1925 roku przez jakiegoś żydowskiego przedsiębiorcę. Gdy do władzy doszedł Hitler, willa zmieniła właściciela, a po drugiej wojnie światowej zajął ją dziadek Żeromskiego, będący jakimś partyjnym aparatczykiem. Kowalski trochę zazdrościł Henrykowi, nie tyle samego domu, ile lokalizacji. Bliskość parku szczytnickiego czy nadodrzańskich bulwarów była tym, czego mu brakowało. Sam mieszkał w tylko trochę młodszej i mniejszej willi. Choć do parku południowego miał raptem kilka minut spacerkiem, to ten park nie mógł w żadnym stopniu konkurować z rozległymi przestrzeniami zielonych płuc Wrocławia, jak niektórzy nazywali park Szczytnicki. Raz czy dwa Kowalski nawet zaproponował Żeromskiemu odkupienie willi, ale ten nie był zainteresowany, co biorąc pod uwagę wzrost wartości nieruchomości o kilka procent rocznie, nie było niczym dziwnym. Przebiecie się przez zakorkowane centrum Wrocławia zajęło Kowalskiemu prawie godzinę. Gdy wreszcie skręcił w cichą uliczkę, przy której mieszkał Żeromski, ogarnęło go uczucie, że właśnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przeniósł się do jakiegoś niewielkiego cichego miasteczka, w którym każdy dzień płynął leniwym rytmem. Aż trudno było mu uwierzyć, że kilkaset metrów dalej tętniło wielkomiejskie życie. Podobnych enklaw spokoju było w stolicy dolnego śląska jeszcze kilka. Wybierali je głównie ludzie mający duże pieniądze, ale czasami jak w przypadku Żeromskiego wystarczyło mieć trochę szczęścia i sprytnego przodka. Niestety Kowalski nie posiadał żadnego obrotowego protoplasty. Miał za to głowę do różnych interesów i to dzięki nim kupił swoją willę na ulicy Akacyjowej. Co prawda nie było tam tak zacisznie, jak tutaj i sam dom też był znacznie mniejszy, ale pomijając kwestię dostępu do terenów rekreacyjnych, miejsce było doskonałe. Kowalski jeszcze bardziej zwolnił i zaparkował przy chodniku. Przed okazałą willą o reprezentacyjnej fasadzie z jasnego kamienia stał wysłużony kilkunastoletni mercedes. Kontrast między samochodem a budynkiem był tak

widoczny, że gdyby Kowalski nie wiedział, iż auto należy do Żeromskiego, uznałby, że właściciele willi odwiedził jakiś ubogi krewny, agent ubezpieczeniowy lub fachowiec. Po namyśle Kowalski doszedł do wniosku, że swoimi rozważaniami mógł obrazić agentów ubezpieczeniowych i fachowców, którzy nie rzadko jeździli znacznie lepszymi brykami. Wsiadł i ruszył w stronę domu. Minął czarnego mercedesa, którego lakier już dawno stracił pierwotny blask, a nadkola stawały się pożywką dla rdzy. Wąską ścieżką z drobnego granitu podszedł do drewnianych drzwi, które jak twierdził Żeromski, były oryginalnym elementem budynku. Już miał nacisnąć dzwonek, kiedy drzwi się uchyliły i stanął w nich Henryk.

– Wiesz co, lepiej będzie, jak pogadamy w ogrodzie – zaproponował Żeromski. Kowalski nie musiał pytać o powód. Powiedzenie, że ściany mają uszy, traktował bardzo serio. Nie wchodząc do środka przeszli za dom. Ogród podobnie jak budynek potrafił zachwycić, ale w tym była już zasługa pani domu.

– Edward, czy ten trup na warsztatach to Janek? – Żeromski zadał pytanie, którego Kowalski spodziewał się, gdy tylko usłyszał o szkielecie.

– Henryk chyba nie sądzisz, że ja go – zaczął Kowalski, ale Żeromski wszedł mu w słowo.

– A co mam myśleć? Przecież wtedy wykrzykiwałeś, że jak go dorwiesz, to mu nogi z dupy powyrywasz i uduśisz gołymi rękami – wycedził Henryk, zaciskając grube palce na oparciu wysłużonego wiklinowego fotela, który przy każdym poruszeniu niebezpiecznie trzeszczał. Wyrażny rumieniec na twarzy Żeromskiego, wskazywał, że mężczyzna jest mocno zdenerwowany.

– To było powiedziane w złości. Przecież pamiętasz doskonale, co się wtedy stało. Owczarek zniknął, a wraz z nim przepadło nasze trzydzieści tysięcy marek. Chciałbym ci też przypomnieć, że ty również byłeś na niego wściekły.

– Ale ja nie groziłem mu śmiercią – odciął się Żeromski, posyłając Kowalskiemu spojrzenie, w którym oskarżenie było widoczne jak plama po winie lub krwi na białym obrusie.

– Henryk mogę cię zapewnić o dwóch rzeczach. Po pierwsze nie zabiłem Owczarka, a po drugie nie mam zielonego pojęcia, kim jest ten trup z warsztatów – oświadczył Kowalski, mając nadzieję, że jego słowa, choćby ze względu na ich wspólną przeszłość przekonają Żeromskiego. – Czyli ktoś wykorzystał fakt remontu i podłożył nam świnie – mruknął Żeromski.

– Na to wygląda – przyznał Kowalski, choć pewna myśl nie dawała mu spokoju.

– Henryk, a jesteś pewien, że przeszukując wtedy warsztaty, nie pominąłeś tego miejsca? Pytam, bo może ten trup leży tam od wojny?

– To niemożliwe, cały teren dokładnie przekopałem – stanowczo zaprzeczył Żeromski.

– O co pytała policja? – Kowalski zmienił temat.

– Właściwie o nic takiego. Chcieli wiedzieć, jak Oleksy mnie znalazł, kto wskazał miejsca, w których mieliśmy wykuć dziury i niestety wyszło na jaw, że Wasyl nie jest zatrudniony całkiem legalnie. – Kowalski słuchał uważnie, analizując jednocześnie, z której strony może nastąpić uderzenie, jeśli w ogóle będzie.

– Rozumiem, że nie wspomniałeś, kto polecił cię Oleksemu?

– No co ty Edward masz mnie za idiotę? – oburzył się Żeromski.

– Oczywiście, że nie tylko tak zapytałem dla pewności – wyjaśnił Kowalski, choć w myślach uważał, że w pewnych kwestiach mężczyzna jednak jest idiotą. Pierwszą z brzegu było zatrudnienie Ukraińca bez wymaganych pozwoleń. Przecież ryzyko, że sprawa się rypnie, było większe niż w przypadku przemytu tony kokainy z Wenezueli.

– A nie wiesz, czy Oleksego pytali, jak ciebie znalazł?

– Nie mam pojęcia, bo jak tylko pozwolili mi odjechać, to natychmiast zabrałem chłopaków i zniknąłem. Poza tym on był przesłuchiwany jako ostatni.

– No nic, będę musiał zadzwonić do tego chłopaka i wypytać go o wszystko – uznał Kowalski, układając w myślach kolejne posunięcia.

– A ten gliniarz zapowiedział, że wkrótce skontaktują się ze mną, aby spisać oficjalne zeznania – dorzucił Żeromski, zagryzając nerwowo dolną wargę.

– Skoro tak, to trzeba będzie cię przygotować – zakomunikował Kowalski tonem korepetytora przemawiającego do ucznia przed ważnym egzaminem. Gdy godzinę później odjeżdżał od Żeromskiego, był spokojny jak uliczka, którą właśnie jechał. Wiedział, że w interesie samego Henryka jest, aby policja nie dowiedziała się o tym, że trzy dekady wcześniej odszukiwali skarby ukryte przez Niemców, a następnie wywozili je i sprzedawali na zachodzie. Wszystko zaczęło się w willi Żeromskiego, gdy Henryk, porządkując strych, znalazł skrytkę, zawierającą stare Niemieckie dokumenty oraz jakieś plany. Ponieważ sam nie znał Niemieckiego, pokazał znalezisko Janowi Owczarkowi i Kowalskiemu. Cała trójka znała się jeszcze z czasów szkolnych. W dorosłym życiu Owczarek został prezesem spółdzielni pracy „Jedność”, gdzie zatrudnił Kowalskiego i Żeromskiego. Pierwszego jako kierownika do spraw zamówień, a drugiego jako brygadzystę ekipy budowlanej. Owczarek, który doskonale władał niemieckim, po lekturze dokumentów oświadczył, że znalezione dokumenty to plany ukrycia dwóch partii dzieł sztuki. Pierwszą zamurowano w piwnicach urzędu pocztowego przy ulicy Powstańców Śląskich, a drugą zakopano pod podłogą warsztatów szkolnych przy Krakowskiej. Dzięki znajomościom Owczarek przekonał odpowiednie osoby o konieczności przeprowadzenia remontów najpierw w piwnicach poczty, a następnie warsztatów szkolnych. Zlecenia rzecz jasna wykonywała spółdzielnia „Jedność”. Żeromski i Kowalski odnajdowali ukryte dzieła sztuki, głównie złote i srebrne przedmioty sakralne, a Owczarek wywoził je do Berlina Zachodniego i tam sprzedawał. Wszystko szło gładko, aż do ostatniego transportu. Owczarek pojechał z towarem, za który mieli dostać trzydzieści tysięcy marek i zniknął bez śladu. Taką wersję znał Żeromski, ale prawda wyglądała inaczej. Owczarek wrócił i dopiero kilka dni później przepadł jak kamień w wodę, zapominając się z nimi rozliczyć, ale o tym Żeromski nie miał pojęcia. Jadąc do domu, Kowalski rozmyślał nad znalezionym szkieletem i tym, co jeszcze może zrobić, aby nie wiązano jego osoby z warsztatami. Wjeżdżając do garażu, uznał, że na ten moment nic mu nie grozi, a rozmowa z nowym właścicielem warsztatów, powinna zapewnić mu całkowite bezpieczeństwo. Po wejściu do domu natychmiast zadzwonił do Daniela Oleksego. Mężczyzna dał do zrozumienia, że teraz nie może rozmawiać. Uzgodnili więc, że spotkają się następnego ranka u Oleksego w domu. Wrażenia minionego dnia sprawiły, że Kowalski nie potrafił zasnąć, przekręcał się z boku na bok, aż żona spytała, czy dobrze się czuje.

– Oczywiście słoneczko – odparł, nie zamierzając wtajemniczać Kasi w swoje sprawy. W jakimś filmie usłyszał zdanie, że żona jest ostatnią osobą, która powinna mieć wiedzę o interesach, jakie prowadzi mąż. Wtedy, choć jeszcze nie był żonaty, uznał, że jest w tym powiedzeniu sporo racji, a gdy już stał się szczęśliwym mężem, konsekwentnie trzymał się tej zasady. Wreszcie zmęczony natłokiem myśli usnął

Następnego ranka, mimo tylko kilku godzin snu, wstał wypoczęty i gotów do działania. Kiedy ubrany wychodził z sypialni, Kasia jeszcze spała. Wyglądała tak poważnie i zupełnie nie przypominała zalotnej kobietki, którą była na co dzień. Mężczyzna pocałował żonę w policzki, na nocnym stoliku zostawił najnowszą powieść Stefana Króla, kupioną poprzedniego dnia i opuszczając willę, cichutko zamknął drzwi. Oleksy był w domu sam. Dzięki temu mogli swobodnie porozmawiać. Kowalski

odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że poprzedniego dnia nie pytano Oleksego, skąd miał zamiary na firmę Henryka Żeromskiego.

– Panie Danielu sam pan rozumie, że sytuacja jest dość szczególna i dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby policja nie wiązała mojej osoby z tymi warsztatami – zaczął Kowalski – dlatego, jeśli podczas oficjalnego przesłuchania zapytają, jak znalazł pan firmę remontową, to niech pan powie że z ogłoszenia – poprosił Kowalski. Nawet jeśli prośba wydała się mężczyźnie dziwna, nie dał tego po sobie poznać.

– Dobrze, że mi pan to poradził, bo za pół godziny ma przyjechać jakaś policjantka spisać zeznania.

– Szybko działają – przemknęło Kowalskiemu przez myśl. Sam nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Pośpiech mógł oznaczać, że chcą jak najszybciej zamknąć sprawę. Jednak mógł też wskazywać, że chcą się tej sprawie dokładnie przyjrzeć. Mężczyzna przez chwilę przeszukiwał pamięć w poszukiwaniu kogoś z otoczenia policji lub prokuratury, kto zechciałby wyświadczyć mu drobną przysługę, ale nikogo takiego nie pamiętał.

– W takim razie ja będę się już zbierał. Wolałbym, aby nas nie widziano razem, ale gdyby coś się jeszcze na tych warsztatach wydarzyło, to proszę dać znać, być może będę mógł wtedy pomóc. Oczywiście w ramach tamtej umowy – zastrzegł Kowalski, nie chcąc, aby Oleksy pomyślał, że znowu będzie musiał wykładać jakąś kasę.

– Dobrze, będę o tym pamiętał, choć mam nadzieję, że już niczego gorszego nie znajdą – bąknął, odprowadzając gościa do drzwi. Kowalski wszedł do samochodu i ruszył z powrotem w kierunku miasta. Ledwie pokonał zakręt, zobaczył nadjeżdżający mały srebrny samochód, za którego kierownicą siedziała ubrana w mundur policjantka o płomiennych rudych włosach. Kowalski miał tylko nadzieję, że kobieta nie zwróci na niego uwagi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Brawo ty – mruknęła aspirant Justyna Nowicka, parkując swoją srebrną Fiestę niedaleko komendy, w której pracowała od nieco ponad trzech tygodni. Jej zadowolenie wynikało z czasu, jaki poświęciła na dojazd do pracy. Z każdym dniem był on coraz krótszy, a co ważniejsze jeszcze nie otrzymała żadnego mandatu. Lubiła szybką jazdę, ale nie brawurową. Była sceptycznie nastawiona do powszechnie panującej opinii, że szybkość i bezpieczeństwo nie mogą iść z sobą w parze. Jej zdaniem było to możliwe, jednak pod warunkiem, że częściej używało się mózgu niż pedału gazu. Wysiadła z auta i zadrżała. Poranek, choć maj dobiegał już końca, był dość chłodny. Po kilku minutach weszła na salę ogólną i zbliżyła się do wieszaka. Czwórka pozostałych aspirantów siedziała już przy swoich biurkach. Zdjęła kurtkę i właśnie zamierzała ją odwieść, gdy dostrzegła wchodzącego do pomieszczenia komisarza Jerzego Pawłowskiego. Trochę ją to zdziwiło. Przełożony rzadko kiedy zaglądał do nich osobiście. Preferował raczej zdalne przekazywanie obowiązków. Dla Justyny była to pewna nowość. Skoro tym razem odstąpił od tej zasady, to sprawa musiała być wyjątkowa.

– Pani Justyno mogę prosić do siebie? – odezwał się cichym lekko chropowatym głosem. Nowicką zdziwiło to nagłe zaproszenie, w dodatku z samego rana. Prześledziła w myślach kilka ostatnich zleceń, jakie realizowała, ale w żadnym z nich nie dopatrzyła się jakichkolwiek uchybień. Dodatkowo ton przełożonego był raczej przyjazny, więc nie sądziła, aby czekały ją jakieś kłopoty. Tym bardziej że od dnia, kiedy zaczęła pracę, starała się wykonywać sumiennie wszystkie polecenia.

– Oczywiście tylko powieszę kurtkę – odparła, podchodząc do wieszaka.

– Kurtka to się akurat może pani przydać, więc proszę ją zabrać z sobą – poradził Pawłowski i zawrócił do drzwi. Zaintrygowana Nowicka bez słowa ruszyła za mężczyzną.

– Pani aspirant, mam takie drobne zlecenie na mieście – zaczął Pawłowski rozsiadając się w fotelu. Nowicka, słysząc, że w końcu powierzono jej bardziej wymagające zadanie niż przeszukiwanie baz danych, albo wertowanie akt w archiwum komendy, co było jeszcze gorszym zajęciem, posłała komisarzowi ciepły uśmiech.

– No nie wiem, czy ma pani powody do radości – mruknął Pawłowski sięgając do stosu kartek piętrzących się na jego biurku. Wziął tę leżącą na wierzchu i podał Nowickiej.

– Tu ma pani adresy czterech osób, z którymi trzeba spisać oficjalne zeznania – zaczął, podając policjantce kolejną kartkę – to jest notatka komisarza Papaja z sugerowanymi pytaniami oraz opisem całej sprawy – wyjaśnił znużonym tonem – komisarz Papaj nie ukrywał, że zależy mu na czasie, więc gdyby mogła to pani ogarnąć tak szybko, jak wszystkie poprzednie zlecenia, to z pewnością będzie bardzo wdzięczny – zakończył Pawłowski.

Pięć minut później Justyna Nowicka zbiegała już do wyjścia, ściskając w dłoni papierową teczkę, w której miała formularze do prowadzenia przesłuchań oraz kartkę z kilkoma adresami i numerami telefonów. Pierwsza sprawa poza komendą była dla niej czymś, na co czekała z niecierpliwością. Oczywiście, kiedy jeszcze pracowała w Kłodzku, wiele razy przesłuchiwała świadków lub osoby podejrzane. Jednak tam prawie wszyscy ją znali, a to czasami stanowiło pewien problem w dotarciu do prawdy obiektywnej. Między innymi z tego powodu postanowiła zmienić pracę, a fakt, że wrocławską

komenda poszukiwała pracowników, tylko pomógł w podjęciu ostatecznej decyzji. Zdawała sobie sprawę, że w nowym miejscu najpierw będzie musiała wykazać się w tak zwanej czarnej robocie, jak nazywano przeszukiwanie baz danych, czy metalowych regałów w piwnicy, gdzie mieściło się policyjne archiwum. Teraz jednak miała przesłuchać czterech świadków. Sprawa może nie należała do spektakularnych, ale pochodzenie szkieletu odnalezionego pod posadzką starych warsztatów też trzeba było wyjaśnić. Nowicka nie miała złudzeń, że sprawa skończy się tak, jak prawie sto procent podobnych przypadków, czyli umorzeniem. Tak samo myślała poprzedniego dnia, gdy przeglądając wieczorem jeden z lokalnych serwisów, znalazła artykuł o zabetonowanym szkielecie. Jednak czytając tekst, którego autor najwyraźniej był na miejscu, lub czerpał wiedzę od kogoś dobrze poinformowanego, nawet do głowy jej nie przyszło, że będzie brała udział w wyjaśnianiu tej zagadki. Jako pracownik sekcji kryminalnej nie musiała nosić munduru, jednak uznała, że jego założenie w tym konkretnym przypadku wzmocni jej pozycję. Tym bardziej że ilość kobiet pracujących w policji, a w sekcjach kryminalnych zwłaszcza, wciąż była jej zdaniem zatrważająco niska. Gdy tylko wsiadła do samochodu zerknęła na wykaz świadków. Pierwszy na liście był Daniel Oleksy. Zarówno imię jak i nazwisko wydały się Nowickiej niepokojąco znajome. Tak samo nazywał się chłopak, którego Justyna poznała kilkanaście lat wcześniej w Walimiu. Oboje spędzali wakacje u swoich babci, i czasami spotykali się w pobliskim sklepie. Pewnego dnia Daniel do niej zagadał i tak zaczęło się coś, co nawet do teraz nazywane jest wakacyjną przygodą. Przemierzali okoliczne szlaki trzymając się za ręce. Całowali się w opuszczonych sztolniach, a swój wspólny pierwszy raz przeżyli na strychu, kiedy babcia Daniela pojechała na kilka godzin do Wałbrzycha. Wraz z zakończeniem wakacji nadszedł kres ich romantycznej przygody. Chociaż jeszcze przez kilka kolejnych tygodni dzwonili i pisali do siebie, to chyba każde wiedziało, że miłość na odległość jest zwyczajnie niemożliwa. Przez następne lata Justyna ani razu nie pomyślała o Danielu, a teraz miała się z nim zobaczyć, o ile był to ten sam Daniel Oleksy. Czekaając aż mężczyzna odbierze telefon myślała jak powinna się zachować. Zeznania musiała spisać, więc spotkanie było nieuniknione.

– Tak słucham – usłyszała niski, lekko ochrypły głos. Czy należał on do tego Daniela, z którym straciła dziewictwo, nie wiedziała. Minęło zbyt wiele lat, aby go rozpoznać.

– Dzień dobry, z tej strony aspirant Justyna Nowicka – przedstawiła się i wyjaśniła w jakiej sprawie dzwoni. Używała nazwiska po mężu, więc mężczyzna, nawet gdyby był właśnie tym Danielem, nie skojarzył by jej z tamtą dziewczyną.

– Policjant z którym wczoraj rozmawiałem wspominał, że ktoś się ze mną skontaktuje, ale nie sądziłem, że nastąpi to tak szybko – przyznał mężczyzna, a z jego głosu Nowicka wywnioskowała, że wolały odłożyć ich rozmowę na później.

– Panie Danielu, to tylko kilka pytań, więc nie zajmę panu zbyt wiele czasu.

– To pani mogła by do mnie przyjechać? – zapytał zdziwiony.

– Tak – potwierdziła Justyna i nagle zdała sobie sprawę, że jeśli mężczyzna okaże się tym Danielem z przeszłości, to sytuacja podczas rozmowy może być niezręczna. Jednak na odwrót było już za późno.

– W takim razie zapraszam choćby zaraz – odparł wyraźnie zadowolony – wie pani, kurier ma mi dziś dostarczyć kilka dość ważnych przesyłek i wolałbym odebrać je osobiście – wyjaśnił rzeczowo. Justynie nie pozostawało więc nic innego, jak tylko przyjąć zaproszenie.

– Dobrze, będę za jakieś czterdzieści minut – zapowiedziała.

Bardzo proszę, tym bardziej że jak już wspominałem, czekam na kuriera, a poza tym pani koledy wciąż rujnąją lokal, który właśnie przygotowywałem pod warsztat samochodowy i Bóg raczy wiedzieć, kiedy skończą – powiedział mężczyzna, nawet nie próbując ukryć żalu. Justyna postanowiła

przemilczeć pretensje Oleksego, skierowane do działań jakie technicy prowadzili na miejscu zdarzenia. Oni mieli swoją robotę do wykonania, a jej zadaniem było przesłuchanie świadka i na tym zamierzała się skoncentrować, bez względu czy Daniel Oleksy był tamtym chłopakiem o piwnych oczach, który pewnego lata zawrócił jej w głowie. Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że rozmowa na terytorium przesłuchiwanego da jej więcej szans na wnikliwą obserwację świadka, który będąc u siebie, zawsze czuje się bardziej komfortowo niż gdyby składał zeznania na komendzie. Takie rozluźnienie psychiczne gubiło najczęściej tych, którzy mieli coś do ukrycia. Przede wszystkim chodziło o podejrzanych, a nie świadków, bo ci drudzy najczęściej woleli powiedzieć wszystko, co wiedzieli i mieć święty spokój. Drugą osobą z listy był Henryk Żeromski, właściciel firmy budowlanej. On z kolei nie wykazywał ochoty na spotkanie.

– Wie pani dzisiaj mamy sporo pracy i nie będę mógł przyjechać na komendę.

– W takim razie może to ja przyjadę do pana? – Propozycja wyraźnie zaskoczyła mężczyznę. Milczał dłuższą chwilę, jakby kalkulował, która z opcji jest lepsza. Według Nowickiej zupełnie niepotrzebnie. Przecież w końcu i tak będzie musiał złożyć zeznania.

– Wie pan, to, gdzie się spotkamy, nie ma znaczenia, ponieważ prędzej czy później i tak będziemy musieli porozmawiać – wyjaśniła, mocniej akcentując ostatnią część zdania.

– Ma pani rację – niechętnie przyznał Żeromski – w takim razie zapraszam do siebie, powiedzmy na dwunastą, oczywiście, jeśli to nie problem – zastrzegł, a gdy Justyna zaprzeczyła, podyktował jej adres swojego biura. Zapisując go obok adresu domowego, uświadomiła sobie, że mężczyzna mieszka w bardzo prestiżowej dzielnicy. Słyszała, że ceny willi na zaciszu zaczynają się powyżej dwóch milionów złotych. Zmiana ubrania z jeansów i czerwonej koszuli na mundur zajęła Nowickiej pięć minut. Wychodząc z łazienki, spojrzała kontrolnie w lustro.

– Powiedzmy, że może być – uznała, przerzucając przez ramię długie rude włosy związane w koński ogon.

Dotarcie do osiedla nowych domów jednorodzinnych zajęło jej mniej, niż pierwotnie sądziła. Miała więc sporo czasu, aby dokładnie przyjrzeć się okolicy.

– Przeciętny Kowalski to raczej tu nie zamieszka – uznała, lustrując rozległe działki, z których większość była już zabudowana nowoczesnymi willami. Za ogrodzeniami z kutego żelaza lub klinkierowej cegły soczystą zielenią pyszniły się równiutko przystrzyżone trawniki. Na wielu mijanych podjazdach widziała samochody, których marki mówiły same za siebie i jasno dawały do zrozumienia, że ich właściciele osiągnęli wysoką pozycję zawodową oraz, co zrozumiałe także finansową. Jedynym, co nie pasowało do tego luksusowego krajobrazu, była gliniasta droga przecinająca osiedle na pół. Na szczęście zadbane o jej szerokość. Dzięki temu Justyna bez problemów minęła się z jadącym z naprzeciwka wiśniowym fiatem 500, który podobnie jak jej auto i polny trakt nie pasował do tej okolicy. Dopiero gdy pokonała lekki zakręt i dostrzegła w oddali samotny dom zbudowany blisko lasu zrozumiała, że kierowca fiata wracał stamtąd, dokąd ona właśnie jechała. Dom Daniela Oleksego zbudowany tuż przy lesie był ostatnim na osiedlu, a wierząc mapie, dalej nie było żadnej drogi, więc jej rozumowanie miało sens. Zaparkowała na trawiastym poboczu i ruszyła do prostej metalowej furtki. Nacisnęła przycisk domofonu i czekając, aż ktoś odbierze, rozejrzała się po okolicy. Jej spojrzenie przykuły świeże ślady opon, co tylko potwierdzało, że w kwestii wiśniowego fiata miała rację. Gdy usłyszała brzęczek otwieranego zamka, pchnęła furtkę i ścieżką z szarego owalnego kamienia ruszyła do drzwi, w których pojawił się średniego wzrostu mężczyzna. Na szerokiej, szczerej twarzy gościł serdeczny uśmiech, a brązowe, lekko zezujące oczy patrzyły przyjaźnie. Justyna poznała go od razu, choć minęło kilkanaście lat wciąż przypominał tamtego siedemnastoletniego chłopaka. Owszem teraz

był już dorosłym mężczyzną po trzydziestce, ale spojrzenie i uśmiech wciąż miał chłopięcy. Podchodząc do drzwi miała nadzieję, że nie zostanie rozpoznana. Przecież teraz wyglądała zupełnie inaczej. Jednak wyraz zaskoczenia jaki nagle pojawił się na twarzy mężczyzny uświadomił jej, że on także ją poznał.

– Justyna? To naprawdę ty? – wykrztusił Oleksy. Dla niej jego widok nie był aż tak dużym zaskoczeniem i nie było sensu udawać, że jest inaczej.

– Tak – potwierdziła, próbując przywołać na twarz uśmiech.

– Ile to już lat? – spytał, marszcząc w zamyśleniu brwi.

– Chyba piętnaście – odpowiedziała.

– Jaki ten świat jest cholernie mały – stwierdził filozoficznie Oleksy i gestem zaprosił ją do środka.

– Tak, jak mówiłam przez telefon nie zajmę ci zbyt wiele czasu – zapewniła wchodząc do niewielkiego wiatrołapu. W Szare ściany tu i ówdzie wmurowano belki z jasnego drewna, które razem z drzwiami tego samego koloru, tworzyły harmonijną całość.

– tym bardziej, że kurierzy zaczynają już przyjeżdżać – dodała, wchodząc za Danielem do obszernej kuchni. Tu również w pomalowane na łagodną szarość ściany wkomponowano drewniane belki. Połączenie drewna z betonem tworzyło bardzo ciekawy efekt, który zdaniem Nowickiej mógł się podobać.

– Kurierzy? – zdziwił się Oleksy.

– Przed chwilą mijałam jednego z nich w wiśniowym fiacie – wyjaśniła, rozglądając się dyskretnie po jasnym wnętrzu. Wysokie okna wychodzące na tył domu wpuszczały dużo światła. Poza tym widać było przez nie graniczący z działką las.

– A tak rzeczywiście przywiózł mi jedną z przesyłek, na które czekałem – przyznał Daniel, próbując ukryć zmieszanie. Ta reakcja zastanowiła Nowicką. Znała wielu zapominalskich, ale czy można było zapomnieć o kurierze, który przed pięcioma minutami przywiózł nam paczkę?

– Kto wie, może Daniel zamówił jakieś gadżety dla dorosłych i dlatego tak się speszył – pomyślała, nie drażąc dalej tematu kuriera. Całą ścianę na lewo od wejścia zajmowały meble o lśniących prawdopodobnie aluminiowych frontach. Między dolne, a górne szafki zamiast klasycznych ceramicznych płytek wkomponowano lustro. Coś takiego Justyna widziała po raz pierwszy w życiu. Musiała przyznać, że efekt robił wrażenie.

– To pomysł mojej żony – wyjaśnił gospodarz, dostrzegając zainteresowanie, z jakim policjantka patrzyła na swoje odbicie w lustrzanej tafli.

– Masz bardzo pomysłową żonę, bo efekt jest naprawdę oryginalny – pochwaliła, siadając przy ustawionym w rogu pomieszczenia prostokątnym stole z jasnego drewna.

– O tak, oryginalności Roksanie nie można odmówić – przyznał, posyłając Justynie tajemniczy uśmiech.

– Czego się napijesz?

– Poproszę wodę – odpowiedziała, uznając, że na kawę jest jeszcze zbyt wcześnie. Poza tym kawa bardziej pasowała do spotkania towarzyskiego, a ona była tutaj służbowo, i postanowiła o tym nie zapominać.

– Może jednak napijesz się kawy? Mam doskonałą mieszankę prosto z Włoch. Mówię ci idealnie palona, o zbalansowanym bukacie z wyraźnymi nutami orzecha włoskiego – kusił Daniel, a słownictwo jakim operował, wskazywało że zna się na kawie.

– Woda w zupełności wystarczy – zapewniła Justyna – a swoją drogą mówisz o kawie jak profesjonalny balista – dodała otwierając przyniesioną z sobą teczkę, w której miała formularze

przesłuchań.

– Do balisty jeszcze sporo mi brakuje, ale skończyłem podstawowy kurs, bo lubię wypić dobrą kawę – przyznał Daniel, sięgając do jednej z szafek i wyciągając z niej wodę mineralną w szklanej butelce.

– I do tego chyba ekolog – Justyna wskazała na szklane opakowanie.

– Tak, ale raczej z nawyku, niż przekonania. Na zachodzie, gdzie spędziłem ostatnich parę lat do ekologicznych opakowań przywiązuje się dużą wagę – wyjaśnił Oleksy, stając obok sporych rozmiarów ekspresu do kawy. Nacisnął kilka przycisków i urządzenie ożyło. Najpierw rozległ się tak dobrze znany Justynie odgłos młynka, następnie dźwięk pompki tłoczącej pod ciśnieniem wodę do komory zaparzającej, a pół minuty później Daniel siedział naprzeciw z kubkiem parującej, aromatycznej kawy w dłoni.

– Muszę przyznać, że wspaniale pachnie – przyznała Justyna wciągając w płuca wyraźnie orzechowy aromat.

– A jeszcze lepiej smakuje – zapewnił gospodarz, przysuwając kubek do ust.

– Nie wątpię, ale zamiast o kawie powinniśmy porozmawiać o tym, co odkryłeś wczoraj – Nowicka przeszła do kwestii, będącej tematem spotkania.

– Szczepie mówiąc niewiele mam do powiedzenia – zaczął Oleksy i w kilku zdaniach zrelacjonował wydarzenia poprzedniego dnia. Chociaż pozornie wyglądał na zrelaksowanego, to Justyna wyczuwała w nim jakieś napięcie. Słyszała je w głosie, który kilka razy wyraźnie zadrżał, kiedy szczegółowo opisywał jak doszło do odnalezienia szkieletu. Dostrzegala je w rozbieranym spojrzeniu, prześlizgującym się po meblach i ścianach. Widziała jak nerwowo zaciska dłonie na kubku z kawą. Zastanawiała się nad przyczyną tego zdenerwowania. Z pewnością miał na to wpływ fakt, że odnalezienie szkieletu pokrzyżowało mu plany zawodowe, ale czy nie kryło się za tym coś jeszcze? Tego, na razie nie wiedziała, ale miała nadzieję się dowiedzieć.

– A możesz mi powiedzieć, jaki był zakres robót, które miała wykonać w warsztatach firma budowlana?

– Tak jak już mówiłem wczoraj temu policjantowi, z którym rozmawiałem, ekipa miała wykonać kilka otworów pod cokoły niezbędne do osadzenia na nich podnośników samochodowych. Nie chcę teraz zanudzać cię szczegółami, jakiego rodzaju są to podnośniki, do czego służą i jak powinny być osadzone, bo to jak sądzę, nie ma znaczenia dla sprawy.

– Tak jasne – Justyna skinęła głową.

– A kto zdecydował o miejscu zlokalizowania tych podnośników?

– Teoretycznie projektant, a praktycznie ja – Justyna uniosła wysoko brwi, nie bardzo rozumiejąc taką odpowiedź.

– Przepracowałem w zachodnich warsztatach kilkanaście lat i wiem, jak urządzić taki biznes, a projektanci najczęściej opierają się na teorii i gdybym miał im zaufać, to o funkcjonalności mógłbym zapomnieć – oświadczył Daniel, upijając łyk kawy.

– A jak znalazłeś tę firmę budowlaną?

– Tak, jak większość rzeczy w obecnych czasach, czyli w internecie. Konkretnej strony, na której się reklamowała, nie pamiętam, ale zaciekawilo mnie ich hasło reklamowe, „Szybko, tanio i dobrze”. Było w nim coś przewrotnego, ale mimo to postanowiłem ich sprawdzić.

– Byłeś obecny przy tym, jak robotnicy odkryli szkielet?

– Nie, razem z właścicielem firmy budowlanej wyszliśmy na zewnątrz. Musieliśmy porozmawiać o przewidywanym czasie robót, a tam w środku panował taki hałas, że nie sposób było usłyszeć własne

myśli, a co dopiero rozmawiać z drugim człowiekiem. Mniej więcej po dwudziestu minutach zawołał nas jeden z pracowników, weszliśmy do środka i zobaczyliśmy ludzką czaszkę. Natychmiast zawiadomiłem policję, a później to już sama wiesz, co się stało – zakończył z dziwnym westchnieniem, który wyrażał cały jego żal do policji, ekipy budowlanej i pewnie nawet samego pana Boga, choć zdaniem Nowickiej nikt nie był winien temu, co się stało. Notując odpowiedzi Oleksego, Justyna nie dostrzegła żadnych nieścisłości, a jednak uważała, że Daniel nie powiedział jej całej prawdy.

– Może to nie dotyczy odnalezienia szkieletu, tylko czegoś innego – pomyślała, obserwując, jak gospodarz czyta swoje zeznania, a następnie składa pod nimi podpis.

– Teraz, gdy formalności mamy już za sobą może pogadamy o starych dobrych czasach – zaproponował Daniel, oddając Justynie podpisane dokumenty. Kiedy je odbierała ich palce na moment się zetknęły.

– Nie żebym nie chciała, ale po pierwsze jestem w pracy, a po drugie muszę jeszcze porozmawiać z Henrykiem Żeromskim i jego pracownikami, nie wspominając już o tym, że na komendzie też czeka na mnie kilka zleceń – wyjaśniła, chowając dokumenty do teczeki.

– Rozumiem – przyznał Daniel wstając od stołu – to może w takim razie jakaś kawa na mieście po pracy? – zapytał patrząc Justynie prosto w oczy. Ta propozycja kompletnie ją zaskoczyła. Mogła co prawda powiedzieć, że ich spotkanie po tylu latach jest czystym przypadkiem i lepiej będzie jeśli takim zostanie.

– Szczerze mówiąc mam sporo pracy i niewiele czasu wolnego – powiedziała, próbując w ten subtelny sposób dać Danielowi do zrozumienia, że nic z tego nie będzie.

– W takim razie do następnego spotkania, może złapiesz mnie kiedyś na radar i wypiszesz mandat – spróbował zażartować, maskując w ten sposób wyraz zawodu malujący się na jego twarzy.

– To mało prawdopodobne, bo nie pracuję w drogówce, tylko w sekcji kryminalnej – wyjaśniła wstając od stołu. Rzuciła ostatnie zazdrosne spojrzenie na lustro między kuchennymi szafkami i ruszyła za Oleksem do wyjścia. Kiedy znaleźli się na zewnątrz i Justyna wyciągnęła do niego dłoń na pożegnanie, Daniel zrobił minę, jakby chciał o coś zapytać. Bojąc się, że zapyta o przeszłość zamierzała szybko się pożegnać.

– Skoro pracujesz w dziale kryminalnym, to znaczy, że zajmujesz się morderstwami? – zapytał nagle. Tego pytania Nowicka nie brała pod uwagę. Zaskoczona spojrzała na Daniela i potwierdziła jego przypuszczenia.

– W takim razie wiesz, co wydarzyło się w tym domu? – ciągnął, spoglądając wymownie za siebie.

– W twoim domu? – zapytała przenosząc spojrzenie z twarzy Daniela na szarą elewację ozdobioną jasnymi deskami. Zastanawiała się, czy pytanie Oleksego ma jakikolwiek związek ze sprawą szkieletu, znalezionej na warsztatach. Jeśli tak rzeczywiście było, to Nowicka nie rozumiała na czym ten związek miałby polegać.

– Gdy kilka miesięcy temu kupiliśmy ten dom uważałem, że mieliśmy cholerne szczęście. Nie dość, że cena była naprawdę okazjna, to jeszcze udało się ją obniżyć o dziesięć tysięcy. Początkowo sądziłem, że wpływ na to miał fakt, iż dom był w stanie surowym, co prawda zamkniętym, ale i tak cały środek trzeba było wykończyć. Natomiast wczoraj rano jedna z sąsiadek powiedziała mi, że w garażu tego domu zostało zamordowane młode małżeństwo – oznajmił Daniel, a Justyna poczuła jak zimny dreszcz przebiega jej po kręgosłupie. Zrozumiała też dlaczego był ciekaw, czy zajmuje się morderstwami.

– Nie miałam o tym pojęcia – przyznała próbując dojść do siebie po doznanych właśnie szoku.

– Przecież o tym pisały wszystkie lokalne, a nawet ogólnopolskie media! – oznajmił Oleksy, zaskoczony tym, że ona nic nie wie o morderstwie.

– We Wrocławiu pracuję dopiero od trzech tygodni – powiedziała Justyna, mając nadzieję, że te wyjaśnienia usprawiedliwią jej niewiedzę.

– A mogłabyś się czegoś dowiedzieć?

– Ale co konkretnie chciałbyś wiedzieć?

– Przede wszystkim, czy policja coś robi w tej sprawie. Z tego co pisały media sprawców nadal nie złapano.

– Daniel, takie sprawy nigdy nie są porzucane – zapewniła, czując w słowach Oleksego żal skierowany do działań policji – tylko nie o wszystkich podejmowanych czynnościach informuje się media – dodała, wyjaśniając, że często jest to podyktowane dobrem śledztwa.

– Wiem, ale gdybym wiedział, że ten zwyrodnialec jest na waszym celowniku spałbym spokojniej.

– Postaram się czegoś dowiedzieć, i jeśli będą jakieś nowe fakty nie objęte tajemnicą śledztwa, to dam ci znać, ale niczego nie obiecuję – uprzedziła Justyna.

– Wielkie dzięki – powiedział Daniel, spoglądając na drogę, którą nadjeżdżała szara Corsa.

– Chyba kolejny kurier – zauważyła Nowicka, także patrząc w kierunku nadjeżdżającego samochodu.

– Nie tym razem to moja żona – wyjaśnił Oleksy, a policjantka poczuła, że się czerwieni.

– Przepraszam, nie wiedziałam – bąknęła zmieszana.

– Nic się nie stało – zapewnił mężczyzna, obdarzając Justynę rozbajającym i szczerym uśmiechem. Z auta wysiadła atrakcyjna blondynka ubrana w zwiewną chabrową sukienkę.

– To moja żona Roksana, a to pani aspirant Justyna Nowicka, – Oficjalny ton, jakim Daniel dokonał prezentacji ucieszył Justynę. Zawsze przecież mógł powiedzieć, że jest ona jego starą znajomą z lat młodzieńczych. Kobieta wyglądała na wyraźnie zaskoczoną. Tak jakby mąż nie poinformował jej, że ma go odwiedzić ktoś z policji.

– Zapewne teraz zmyje mu głowę z powodu mojej wizyty – pomyślała Justyna z pewnym rozbawieniem i zachowując neutralny wyraz twarzy, wymieniła z blondynką uścisk dłoni.

– Pani przyjechała spisać zeznania o tym szkielecie, znalezionym na warsztatach – wyjaśnił Oleksy. Teraz to on wyglądał na zmieszanego. Odebrał od żony koszyk z zakupami, jakby tym gestem mógł ją przeprosić, choć zdaniem Nowickiej nie było za co. Justyna jeszcze raz podziękowała za poświęcony czas i ruszyła do swojego samochodu. Sprawnie wykręciła i wolno potoczyła się w kierunku początku osiedla. W lusterku wstecznym doskonale widziała małżeństwo, które wciąż stało przed domem i o czymś rozmawiało. Kobieta była odwrócona plecami, więc Justyna nie mogła widzieć jej twarzy, ale nerwowe ruchy głowy i ramion nie pozostawiały wątpliwości, że jest na coś lub kogoś zła. W pewnej chwili wyrwała mężowi koszyk, i szybkim krokiem weszła do domu. Oleksy wzruszył ramionami, następnie wyciągnął z kieszeni smartfon i gdzieś telefonował. Nowicka zastanowiła scena, której przed chwilą była świadkiem. Mimo że wyglądało to na zwykłą małżeńską sprzeczkę, intuicja podpowiadała, że istnieje jakieś drugie dno.

– Czyżby zachowanie tych dwojga miało związek z tym, co wydarzyło się w ich domu? – pomyślała, obiecując sobie, że przyjrzy się dokładnie sprawie podwójnego morderstwa, o którym dowiedziała się kilka minut wcześniej.

Abym dotrzeć na czas do firmy Henryka Żeromskiego, Nowicka musiała wykazać się niezwykłym sprytem oraz koniecznością złamania kilku zasad ruchu drogowego, ale przecież licencji rajdowej nie dostała za piękne oczy. Właściciel firmy budowlanej przyjął ją w niewielkim pokoju, który dumnie i na

wyrost nazywał swoim biurem. Pomieszczenie zostało wydzielone z dużej hali, gdzie przechowywano różnego rodzaju urządzenia oraz narzędzia niezbędne w firmie budowlanej i mogło mieć nie więcej niż piętnaście metrów kwadratowych. Gładkie białe ściany, jasne meble z Ikei i trzy fotele o szarej tapicerce powodowały, że wewnątrz było nudne, bezosobowe i zimne, a unoszący się w powietrzu odświeżacz o zapachu wiśni wyjątkowo sztuczny.

– Wie pani, robię w branży budowlanej od prawie czterdziestu lat, ale coś takiego przytrafiło mi się po raz pierwszy – zaczął mężczyzna, teatralnie przewracając oczami. Z leżącej na stoliku obok biurka paczki chusteczek higienicznych wyciągnął dwie i otarł spocone czoło.

– Różne rzeczy się odkopywało, ale żeby szkielet to jeszcze nigdy – kontynuował i nim Nowicka zdążyła zareagować, słuchała opowieści o zamurowanych listach, książkach i srebrnych łyżkach. Gadatliwość mężczyzny zastanowiła Justynę. Gdy rozmawiała z nim przez telefon, uznała go za człowieka oszczędnego w słowach, co potwierdziła początkowa niechęć złożenia zeznań. A teraz facet nawijał jak najęty. Coś ewidentnie było na rzeczy. Rozwiązania tej zagadki były zdaniem Nowickiej dwa. Po pierwsze mylnie go oceniła w trakcie rozmowy telefonicznej. Po drugie gość próbował nieistotną paplaniną zamieszać nie tylko w jej głowie, ale i swoich zeznaniach.

– Zdolny aktor – przyznała w myślach Nowicka, czekając na odpowiedni moment do przerwania tego spektaklu, który niczego do sprawy nie wnosił, a tylko marnował jej czas. Kiedy Żeromski sięgnął po butelkę wody mineralnej, zaczęła wdrażać w życie własny scenariusz przesłuchania.

– A jak to się stało, że wykonywał pan remont tych warsztatów – spytała serdecznym tonem, obserwując reakcje mężczyzny.

– Właściwie to trochę przez przypadek – przyznał Żeromski, nieporadnie kryjąc rozczarowanie faktem, że teraz będzie musiał odpowiadać na jej pytania.

– Wie pani, obecnie jest taki bum na budowlańców, że znalezienie wolnego terminu graniczy z cudem. Więc jak zadzwonił pan Oleksy, to potwierdziłem, że owszem jestem gotowy podjąć się tego zlecenia, ale z miejsca uprzedziłem, że pierwszy wolny termin mam dopiero za dwa miesiące. Mężczyzna podziękował i powiedział, że poszuka kogoś innego. Jednak kilka godzin później zadzwonił do mnie klient, któremu mieliśmy remontować łazienkę z prośbą o przesunięcie terminu. Okazało się, że musi nagle pójść do szpitala, jakaś pilna operacja. Ustaliliśmy więc nowy termin, a ja oddzwoniłem do pana Oleksego. Takim sposobem on znalazł wykonawcę, a ja robotę – wyjaśnił budowlaniec. Słuchając opowieści Żeromskiego, Justyna zastanawiała się, dlaczego Oleksy, gdy zapytała, czy nie miał problemów, ze znalezieniem firmy stwierdził, że takich nie było. Wytlumaczenie tej pozornie nic nieznaczącej kwestii, mogło być banalne. Albo Żeromski nie powiedział Oleksemu o kliencie, który zrezygnował z usługi, albo pan Daniel uznał tę historię za nic nieznaczącą.

– A czy podczas samych robót nie wystąpiły jakieś komplikacje?

– Pomijając ten szkielet to raczej nie – odparł mężczyzna, zaplatając palce dłoni na biurku – beton powiem szczerze kiepskiej jakości to i kucie szło chłopakom dość szybko. Gdyby posadzka była jeszcze poniemiecka, to tak łatwo by nie poszło – zapewnił mężczyzna i nagle umilkł, tak jakby powiedział o kilka słów za dużo.

– To pana zdaniem ta podłoga była nowa?

– Gdzie tam nowa – zadrwił Żeromski – ale z pewnością nie pamiętała czasów wojny. Tak na moje oko to obstawiam lata sześćdziesiąte lub siedemdziesiąte – wyjaśnił po chwili namysłu. – Czyli możliwe, że ten szkielet nie leżał tam od wojny? – Pytanie wyraźnie zastanowiło Żeromskiego. Ponownie przetarł czoło, upił łyk wody, jakby tymi czynnościami chciał zyskać czas na sformułowanie odpowiedzi.

– Jeśli chce pani znać moje zdanie – zaczął, ostrożnie dobierając słowa – to mógł tam leżeć nawet przed wojną. Chłopaki odkryli go dopiero, jak wykuli dziurę głęboką na prawie metr, a sam szkielet nie był zabetonowany, tylko zakopany w ziemi pod posadzką. Więc nawet jeśli po wojnie wymieniali posadzkę, to mogli w ogóle nie wiedzieć, że coś tam jest zakopane – stwierdził mężczyzna. Opinia Żeromskiego wydała się Justynie dość sensowna. Tym bardziej że po pierwsze ona nie była na miejscu, a po drugie nie miała żadnego doświadczenia w sprawach budowlanych i nawet o wbicie gwoźdźcia musiała kogoś prosić. Po zakończeniu rozmowy z Żeromskim przesłuchiwała jego pracowników, którzy potwierdzili większość łącznie z historią o kliencie, który zrezygnował z remontu łazienki, bo trafił do szpitala. Nowicka pożegnała się z Żeromskim i ruszyła do samochodu. Siedząc za kierownicą przebiegła wzrokiem po spisanych zeznaniach. Na pierwszy rzut oka były logiczne, a co więcej te złożone przez Oleksego, pokrywały się z tymi, jakie złożył Żeromski. Mimo to Nowickiej coś się w nich nie podobało.

– Przestań szukać dziury w całym – usłyszała głos w swojej głowie.

– Może rzeczywiście staram się znaleźć coś, czego nie ma – mruknęła pod nosem i odjechała spod biura Henryka Żeromskiego. Jadąc na komendę, wstąpiła do mijanego centrum handlowego na kawę. Siedząc pod oknem jeszcze raz, jakby na złość rozsądkowi przeczytała wszystkie cztery zeznania. Poza tym, że Oleksy pominął szczegół dotyczący znalezienia wykonawcy, wszystko wyglądało spójnie, logicznie i wiarygodnie. Ciekawa była opinia Żeromskiego na temat wieku posadзки, ale uznała, że tę kwestię z pewnością będzie można wyjaśnić. Skończyła czytać, schowała zeznania do teczki i zajęła się kawą. W lokalu nie było zbyt wielu ludzi. Młodzież miała jeszcze lekcje, a popołudniowy szczyt zakupowy na dobre miał się rozkręcić za jakieś dwie godziny. W drodze do wyjścia skorzystała z okazji i odwiedziła kilka mijanych sieciówek z ubraniami, ale krzykliwe zapowiedzi rabatów do 80 procent były wyłącznie tylko chwytym marketingowym, bo poza skarpetkami żadne inne produkty nie były tak przecenione. Mimo to kupiła legginsy w kolorze butelkowej zieleni i czarny golf.

Przekraczając próg komendy, miała poczucie dobrze wykonanej pracy. Teraz pozostawało jedynie oddać zeznania komisarzowi Andrzejowi Papajowi i czekać na kolejne zadanie, może tym razem już bardziej ambitne.

– Panie komisarzu, gdzie znajdę komisarza Papaja – spytała Jerzego Pawłowskiego, meldując swój powrót.

– Pani już tutaj? – zdziwił się komisarz, ignorując pytanie Nowickiej.

– Tak, poszło dość sprawnie i nawet miałam czas na wypicie kawy – przyznała i natychmiast się zawstydziała, jakby odwiedziny w kawiarni podczas służby były czymś nagannym.

– W takim razie dobra robota, a Papaja znajdzie pani w sąsiednim pokoju, tyle że teraz gdzieś wyszedł – poinformował Pawłowski.

– A więc zajrzę do niego później – stwierdziła Nowicka – a teraz zobaczę, czy mam jakieś nowe zlecenia – dodała, ale zamiast wyjść z pokoju przełożonego wciąż stała przed jego biurkiem.

– Czy w czymś jeszcze mogę pomóc? – Pawłowski uniósł na policjantkę zdziwione spojrzenie.

– Właściwie tak – przyznała Justyna z wahaniem – zapewne słyszał pan o morderstwie młodego małżeństwa w domu na peryferiach Wrocławia – ciągnęła dalej odzyskując pewność siebie. Pawłowski spojrzął na nią jeszcze bardziej zaskoczony.

– A kto o tym nie słyszał – odparł sucho.

– Ja, bo pracuję u was dopiero od trzech tygodni – oznajmiła Nowicka.

– A dlaczego interesuje panią ta sprawa? – zaciekawił się komisarz.

– Ten właściciel warsztatów, w których znaleziono szkielet kupił tamten dom i dopiero wczoraj dowiedział się o tej zbrodni – wyjaśniła Justyna.

– Sam za darmo nie chciałbym mieszkać w takim miejscu – mruknął Pawłowski kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Czy są jakieś postępy w śledztwie? – zapytała Nowicka, zdając sobie sprawę, że Pawłowski nie musi jej nic mówić.

– Sprawę prowadził, a właściwie nadal Prowadzi Papaj, ale jak dotąd niczego nie ustalono. Nikt nic nie widział, niczego nie słyszał, a znalezione ślady, choć było ich sporo nie pchnęły sprawy do przodu – wyjaśnił bez wdawania się w szczegóły – jeśli chce pani wiedzieć więcej, to proszę zapytać Papaja – poradził – ale ostrzegam, że jest bardzo drażliwy, jeśli chodzi o tę sprawę – przestrzegł Pawłowski, i wrócił do przeglądania dokumentów.

Nowicka podziękowała i ruszyła do swojego stanowiska. Po uruchomieniu komputera okazało się, że ma kilka nowych zleceń. Zdecydowała, że zacznie od tego oznaczonego priorytetem pilne, które trafiło na jej skrynkę tuż przed południem. Zlecenie pochodziło od jednego z techników kryminalnych i dotyczyło znalezienia informacji o pistolecie P83. Nowicka postanowiła sprawdzić najpierw tam, gdzie szukało się najłatwiej i najszybciej, czyli w rejestrach elektronicznych. Zalogowała się do właściwej bazy i wpisała numery fabryczne broni. Jednak w odpowiedzi otrzymała komunikat, że broń nie znajduje się w rejestrze.

– Czyli czeka mnie wędrówka do królestwa kurzu i stęchlizny – pomyślała smutno i ruszyła do zlokalizowanego w rozległych piwnicach archiwum. Na jej szczęście w numerach fabrycznych był zakodowany rok produkcji broni, co bardzo ułatwiało poszukiwania. Mimo to prawie godzinę wertowała poźółkłe kartki, nim znalazła informacje, o które prosił technik. Okazało się, że pistolet znajdował się na stanie jednego z wrocławskich komisariatów Milicji Obywatelskiej i był przypisany do kaprała Mieczysława Sobótki. Jednak wpis pochodził z czerwca 1985 roku i później nie był już aktualizowany. Sam komisariat został zlikwidowany na początku lat dziewięćdziesiątych podczas restrukturyzacji jednostek terenowych nowej formacji. Chcąc dowiedzieć się, co dalej działo się z pistoletem, Justyna musiała przejrzeć kilka rejestrów, w których odnotowywano utylizację broni, bądź inne zdarzenia takie jak zagubienie, kradzież czy użycie w trakcie przestępstwa. To, czego szukała, znalazła w rejestrze broni poszukiwanej, do którego P83 został wpisany 10 marca 1986 roku. Brakowało adnotacji o przyczynie wpisania, ale tej informacji Nowicka nigdzie nie mogła już zdobyć. Odsyłając to, co ustaliła do technika, który przysłał zlecenie, uznała, że Papaj powinien być już u siebie.

Chwilę później, trzymając pod pachą teczkę z zeznaniami, pukała do drzwi pokoju, w którym urzędował komisarz. Gdy usłyszała stłumione i zdziwione „proszę”, nacisnęła klamkę i weszła do środka. Pomieszczenie było na tyle duże, że zmieściły się w nim trzy biurka, ale o komfortowych warunkach raczej nie można było mówić. Trzech gliniarzy w cywilu spojrzęło na nią z zainteresowaniem.

– Szukam komisarza Andrzeja Papaja – powiedziała, przystając w progu.

– To ja odezwał się średniego wzrostu brunet o piwnych oczach i kilkunniowym zarostem na masywnej kwadratowej szczęce. Widoczny garb na nosie świadczył o tym, że albo pan komisarz miał jakiś wypadek, albo od kogoś zdrowo oberwał. Jednak Nowicka musiała przyznać, że nawet ten feler, zamiast szpecić, dodawał mężczyźnie jakiegoś samczego uroku.

– Przyniosłam zeznania świadków, którzy znaleźli szkielet na warsztatach szkolnych – oznajmiła, podchodząc bliżej biurka, przy którym siedział komisarz.

– Tak szybko? – zdziwił się mężczyzna. Reakcja wyglądała na autentyczną i spodobała się Justynie. Lubiała pozytywnie zaskakiwać, co szczególnie w pracy mogło mieć duże znaczenie.

– Słyszałam, że podobno chce mieć pan to na wczoraj, bo jutro wybiera się na urlop – stwierdziła, przypominając sobie to, co rano mówił jej komisarz Pawłowski.

– A poza tym panie komisarzu, to nie było specjalnie trudne. W poprzedniej pracy zlecano mi bardziej ambitne zadania – przyznała zgodnie z prawdą.

– Nie mniej bardzo pani dziękuję za szybkie załatwienie tej sprawy – podziękował Papaj i schował teczkę do szuflady.

– Jeśli chodzi o mój urlop, to komisarz Pawłowski musiał coś źle zrozumieć – bąknął, patrząc Justynie prosto w oczy. Zaprawiona w takich gierkach nie odwróciła wzroku, a wręcz przeciwnie jej spojrzenie stało się niemal bezczelne. W końcu to Papaj skapitulował. Zadowolona ze zwycięstwa powiedziała do widzenia i ruszyła do drzwi.

– A co do tych ambitnych zadań, to zapewniam, że jeszcze przyjdą i to szybciej niż pani przypuszcza – usłyszała za sobą głos Papaja. W jego słowach nie było żadnej drwiny, a jedynie rzeczowe stwierdzenie faktu.

– Tak wiem – odrzekła, będąc już przy drzwiach. Po powrocie do siebie zabrała się za pozostałe zlecenia. Tym razem nie musiały już schodzić do piwnicy. Kilka minut po wpół do czwartej kliknęła ostatnie z nich. Dotyczyło sprawdzenia samochodu w bazie skradzionych pojazdów. Wpisywała właśnie numery rejestracyjne, gdy usłyszała zbliżające się kroki. Odwróciła głowę i zobaczyła idącego w jej stronę Papaja.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział mężczyzna, stając obok jej biurka.

– O pan komisarz, czyżby coś nie tak z tymi zeznaniami? – spytała wystraszona.

– Nie, z zeznaniami wszystko w porządku – zapewnił mężczyzna uspokajającym tonem – choć przyznając bez bicia, że przeczytałem dopiero te, które złożył Daniel Oleksy. Przychodzę w trochę innej sprawie. Pani wykonywała to zlecenie – bardziej stwierdził, niż zapytał. Nowicka spojrzała na kartkę, którą komisarz położył na blacie biurka. Była to odpowiedź na jedno z kilku zleceń, jakie wykonała po powrocie z miasta.

– No tak, przyszło dzisiaj, kiedy byłam zbierać te zeznania i mogłam się tym zająć dopiero po powrocie. Jednak w bazach elektronicznych nie było żadnej informacji, więc kolejną godzinę spędziłam w archiwum, dlatego też tak długo to trwało.

– Pani Justyno nie musi się pani tłumaczyć. Ja nie przychodzę z pretensjami – wtrącił szybko Papaj – a wręcz odwrotnie – dodał tajemniczym tonem i zaczął spokojnie referować sprawę, z jaką przyszedł. W miarę jak komisarz opowiadał, Nowicka czuła, że właśnie spełniają się słowa, jakie usłyszała nie dalej niż pół godziny wcześniej. Wszystko wskazywało na to, że będzie miała swoje ambitne zadanie i to szybciej, niż mogła się tego spodziewać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jadąc do biura, Papaj postanowił sprawdzić, jak idzie technikom praca na warsztatach. Gdyby musiał nadrabiać drogi, pewnie by sobie odpuścił, ale i tak przejeżdżał obok, więc uznał, że pięć minut to niewiele, a zawsze może dowiedzieć się czegoś nowego, w dodatku z pierwszej ręki. Był kwadrans po ósmej, gdy wjechał na żwirowy parking przed warsztatami szkolnymi. Niebieskie Ducato techników kryminalnych stało już przy otwartej na oścież bramie wjazdowej. Komisarz zaparkował obok, wysiadł i ruszył w kierunku, skąd dochodził miarowy odgłos młota udarowego. Na jego widok Bendka wyłączył urządzenie, zdjął robocze rękawice oraz okulary ochronne i podszedł bliżej.

– No widzę, że już kończycie – odezwał się Papaj, podając technikowi dłoń.

– Chyba chciałeś powiedzieć, że dopiero zaczynamy – odburknął mężczyzna, wyraźnie niezadowolony – wczoraj zrobiliśmy połowę, a teraz idziemy w drugą stronę – wyjaśnił, wskazując na wnętrze hali. Lewa strona posadzki przypominała składowisko gruzu, prawa była jeszcze nietknięta.

– A znaleźliście coś?

– Zupełnie nic, czyściutko jak pod niemieckimi łózkami – stwierdził technik – i pomyśleć, że jeszcze do wczoraj uważałem tę Moskal za równą babkę – dodał, kręcąc z niedowierzaniem głową. Nagle spojrział badawczo na Papaję i zmarszczył brwi.

– A może to twoja sprawa? – rzucił zaczepnie, przyglądając się komisarzowi.

– Niby co jest moją sprawką? – Papaj udał, że nie rozumie o co technikowi chodzi.

– No jej wczorajszy nastrój. Przecież już kilka razy z nią pracowałem, ale jeszcze nigdy nie odwaliła czegoś takiego – zatoczył dłonią krąg nad częścią warsztatów, z której już zerwali betonową posadzkę – chociaż jest nowa, uznaliśmy ją za swoją babkę. Czasami nawet rzuciła jakimś żartem. Wczoraj było podobnie, aż do chwili twojego przyjazdu. Gdy tylko się zjawiliś, jakby trafił w nią piorun, zmiana humoru o sto osiemdziesiąt stopni – zauważył technik, świdrując Papaję podejrzliwym spojrzeniem.

– Wiesz Czarek, kobiety reagują na mnie w dwojaki sposób. Jedne uwielbiają i gotowe są mi nieba uchylić, a inne wręcz przeciwnie, najchętniej wtrąciły by mnie do piekła. Co do tej Moskal, to widocznie nie ma między nami chemii, a mówiąc poważnie, to trudno mi o niej cokolwiek powiedzieć, bo nigdy wcześniej z nią nie współpracowałem – odrzekł Papaj. W jego odpowiedzi nie było żadnego kłamstwa. Na stopie zawodowej był to jego pierwszy kontakt z Anną Moskal.

– A może ona tak reaguje na szkielety – dodał po chwili, próbując odciągnąć rozmowę od swojej osoby, i skierować na inne tory – tym bardziej że sama wygląda trochę jak szkielet, otoczony urodziwym ciałem – rzucił żartobliwie.

– A gdzie tam, zaprzeczył Bendka. Pierwszy był wisielec, drugi potrącony przez samochód, a ostatnim razem ofiara awantury domowej, ale w żadnym przypadku nie zaszalała tak jak tutaj – powtórzył technik, jeszcze raz kierując wymowne spojrzenie na wnętrze hali – zupełnie nie wiem, co jej odbiło? – zakończył.

– Może dostała okres, a może właśnie go nie dostała. Może facet dał jej kwiaty, a może właśnie ich jej nie dał. Za kobietami nie trafisz, a nawet jeśli będziesz próbował, to zblądzisz – stwierdził

filozoficznie Papaj, cytując poważnym tonem zdanie, które dawno temu przeczytał w jakiejś książce. Jak pokazało życie, w jego przypadku maksyma ta sprawdziła się w stu procentach. Oczywiście nie mógł winą za rozpad swoich dwóch małżeństw obwiniać jakiegoś zdania wyrwanego z kontekstu, ale coś musiało w tym być.

– Święte słowa – potwierdził Bendka, kiwając w zamyśleniu głową.

– Dobra ja już muszę lecieć – oświadczył komisarz, spoglądając na zegarek – ale jak coś znajdziecie, to daj znać – poprosił.

– Będziesz pierwszy, który się o tym dowie – zapewnił technik – o ile w ogóle coś tu znajdziemy, bo na mój gust to szyfrowa robota – dodał z powątpiewaniem i wrócił do pracy.

Zadowolony Papaj wsiadł do samochodu i pogwizdując piosenkę Elektrycznych Gitar o dwunastu szczerolotych koronach i marmurowych pomnikach, ruszył w stronę komendy. Fakt, że technicy niczego nie znaleźli, potraktował jako dobrą monetę. Co prawda współczuł im harówki, ale wątpił, aby tak, jak sugerował Bendka na decyzji prokuratorce, zaważyła jego obecność. Ona po prostu przestrzegała pewnych zasad i wolała od razu sprawdzić cały teren, niż później zostać zaskoczona kolejnym ciałem, którego oczywiście mogło tam nie być, lecz równie dobrze być tam mogło. Dla Papaja najkorzystniejsza była ta pierwsza możliwość i trzymał za nią kciuki. Co więcej, gdyby przyjmowano zakłady, postawiłby na nią bez wahania. Zaparkował na ostatnim wolnym miejscu i po dwóch minutach wszedł do biura. Siedzącym za swoimi biurkami kolegom rzucił krótkie „sie ma”, i usiadł na swoim miejscu.

– Słyszałem, że trafił ci się Niemiec? – zagadnął Paweł Polak, również komisarz zajmujący biurko obok drzwi. Jego płaska niemal zawsze poważna twarz o szarych oczach prawie nigdy nie zdradzała żadnych emocji. W głosie kolegi poza ciekawością Papaj dosłyszał także jakiś niepokój i wiedział, czym jest on spowodowany. Gdyby nie udało mu się zamknąć sprawy przed wyjazdem na urlop, to zostałaby przekazana komuś innemu i wcale nie wykluczone, że tym kimś mógłby być Polak, a przecież nikt nie lubił dostawać czegoś, co ktoś wcześniej rozgrzebał. Papaj wiedział o tym z własnego doświadczenia. Dwa razy w swojej policyjnej karierze otrzymał sprawę, której ktoś nie skończył.

– Tak, ale nie musicie się martwić. Przed wyjazdem na urlop wszystko ogarnę i nic po mnie w spadku nie dostaniecie – zapewnił przekonany, że jeszcze tego samego dnia zamknie śledztwo, a szczątki przekaże firmie pogrzebowej, która pochowa je na komunalnym cmentarzu w grobie z tabliczką NN.

– Taki spadek, to nie spadek. Gdybyś miał jakieś brutalne morderstwo, strzelaninę w centrum handlowym lub coś podobnego, to mielibyśmy się czego bać, ale kości to bułka z masłem – zauważył lekceważąco drugi z kolegów. Podkomisarz Tomasz Lipiński był z całej trójki najniższy rangą, ale jak policyjna wieść niosła już niebawem mógł się spodziewać awansu.

– Spadek, nie spadek, ale robotę ktoś musiałby po mnie odwalić – skwitował Papaj, uruchamiając komputer i sprawdzając otrzymaną pocztę. Prócz ogólnych wiadomości rozsyłanych przez Górskiego i księgowość nie znalazł nic, godnego uwagi.

– Idę po kawę, przynieść komuś? – rzucił, wstając zza biurka, jednak żaden z kolegów nie był zainteresowany jego propozycją. Kiedy dostarczył organizmowi pierwszą tego dnia dawkę kofeiny, uznał, że jest gotów ruszyć tam, gdzie w końcu i tak będzie musiał pojechać, czyli do Zakładu Medycyny Sądowej. Wizyty w tym miejscu zawsze wiązały się z oglądaniem ciał, a te w zależności od okoliczności prezentowały się bardzo różnie. Najczęściej jednak ich widok do przyjemnych nie należał. Ostatnim razem, kiedy odwiedził patologa Adama Kuchcińskiego, musiał oglądać ciała młodych małżonków, których jakiś szajbus dosłownie zaszlachtował. Samych ran klutych patolog naliczył ponad

sto. Tym razem Papaj pocieszał się, że będzie miał do czynienia z samymi kośćmi. Choć podobnej sprawy wcześniej nie prowadził, to zawsze uważał, że w kościach jest coś bezosobowego. Pozbawione ludzkiej tkanki nie zmuszały do patrzenia na twarz czy ciało ofiary, które w zależności od przyczyny zgonu wyglądały bardzo różnie. Dlatego, gdyby tylko mógł wybierać, rezerwowałby dla siebie wyłącznie te sprawy, których przedmiotem były szkielety. Opuścił budynek komendy, wsiadł do swojego Suzuki i po dwudziestu minutach był na miejscu.

Siedziba zakładu medycyny sądowej nie robiła na Papaju ani dobrego, ani złego wrażenia. Traktował ją najbardziej bezprzedmiotowo, jak tylko było to możliwe. Przeszedł przez hol, w którym grupka studentów najwyraźniej na kogoś czekała i przez nikogo niezatrzymywany zszedł do piwnicy, pograżonej w chłodnym półmroku. Następnie skręcił w lewo i ruszył dobrze sobie znanym korytarzem. Był w tym miejscu dostateczną ilość razy, aby poznać je na pamięć. Szedł wolno i po kilkunastu krokach dotarł do królestwa Adama Kuchcińskiego, jednego z najlepszych patologów, jakich wydała polska medycyna. Zapukał do uchylonych drzwi i wszedł do przedśionka piekieł, jak niektórzy nazywali pomieszczenie, za którym znajdowała się sala sekcyjna. Tego zapachu nie sposób było pomylić z niczym innym.

– Właściwie to nie wiem, po co mam zakładać ten fartuszek i rękawiczki, skoro tam na stole leży tylko dwieście kilka kości z czasów drugiej wojny światowej – rzucił komisarz, odbierając od patologa zestaw ochronny. Znał go na tyle dobrze, aby wiedzieć, że największym atutem Kuchcińskiego była fachowość objawiająca się wręcz maniacką precyzją podczas oględzin ciała i sekcji zwłok. Jednak tak jak medal ma dwie strony, tak samo patolog prócz zalet posiadał wady, a największą z nich było chorobliwe zamiłowanie do biurokracji, i rygorystyczne przestrzeganie przepisów.

– A po czym pan wnioskuje, że ten szkielet pochodzi z tamtego okresu? – zdziwił się Kuchciński. Pytanie patologa zadane chłodnym, niemal obojętnym tonem zabrzmiało dziwnie niepokojąco.

– Został znaleziony pod posadzką budynku zbudowanego jeszcze przed wojną, stąd taki wniosek – wyjaśnił Papaj, próbując znaleźć w twarzy Kuchcińskiego potwierdzenie bądź zaprzeczenie swoich przypuszczeń.

– Co do czasu, przez jaki szkielet leżał pod ziemią, to mam pewne przemyślenia, ale o nich później. Natomiast musi pan pamiętać, że

kości też zawierają bakterie, które mogą wyrządzić nam wiele złego – odparł patolog głosem tak ciepłym, że bardziej pasował do prezentera radiowego czytającego wiadomości lub prognozę pogody, niż faceta, który każdego dnia kroi zwłoki. Papaja zawsze zastanawiało jak niski, okrągłutki człowieczek, o serdecznym uśmiechu, którego niebieskie oczy ukryte za szklami w rogowych oprawkach patrzyły przyjaźnie, mógł mieć tak koszmarną profesję.

– Nie wątpię, że ma pan rację – przyznał komisarz, wciągając na dłonie lateksowe rękawiczki. Ledwie to powiedział, zrozumiał swój błąd, ale na odwrót było już za późno. Patolog, traktując luźno rzuconą uwagę jak zaproszenie, zaczął przekazywać mu całą swoją wiedzę, jaką posiadał o ludzkich kościach. Po kwadransie komisarz pożałował tego, że zapytał, czy musi wkładać ubranie ochronne. Gdy Kuchciński zrobił krótką przerwę na nabranie oddechu, Papaj postanowił delikatnie, acz stanowczo przerwać wykład.

– To bardzo ciekawe, co pan mówi, a czy te kości – wskazał na metalowy stół sekcyjny – mają jakieś tajemnice, przydatne dla śledztwa? – zapytał i podszedł bliżej szkieletu.

– No cóż, zważywszy, że w tym przypadku nie mamy klasycznego ciała, a jedynie szkielet, to udało się ustalić bardzo dużo – odparł patolog, podchodząc do stołu.

– Ale proponuję zacząć od podstaw – powiedział, dotykając Drewnianym wskaźnikiem jednej z kości. Zrobił to nadzwyczaj ostrożnie, jakby obawiając się, że może ją uszkodzić.

– To jest kość biodrowa, dzięki niej wiemy, że szkielet należy do mężczyzny. Wzrost około 180 centymetrów. Wnioskując po szwach czaszkowych, denat w chwili zgonu miał między dwadzieścia pięć, a trzydzieści lat – wyrecytował Kuchciński. Ta informacja zaskoczyła komisarza. Choć Papaj znał anatomię człowieka na tyle, by wiedzieć co to są i do czego służą szwy czaszkowe, to nie sądził, aby można było dzięki nim określić wiek zmarłego. Oczywiście patolog uznał za stosowne dać tym razem krótki wykład o budowie tej części szkieletu. Papaj słuchał cierpliwie, zastanawiając się jednocześnie, jak mógł wyglądać mężczyzna, po którym zostały jedynie kości. Jakiego koloru miał włosy, oczy? Czy jego twarz była pociągła, a może owalna? Wszystkie te informacje miały zasadnicze znaczenie przy identyfikacji. Co więcej, istniały sposoby rekonstrukcji twarzy tylko na podstawie czaszki, ale w tym wypadku zdaniem Papaja taka procedura była zbędna.

– Teraz przejdziemy do tego, co zapewne interesuje pana najbardziej, czyli przyczyny zgonu – zapowiedział Kuchciński, robiąc krok w kierunku czaszki.

– Na ogół, jeśli szkielet nie nosi widocznych uszkodzeń, bardzo trudno jest ustalić przyczynę śmierci. W tym przypadku nie odnotowałem żadnych złamań kości, czy charakterystycznych pęknięć czaszki. Dlatego pierwotnie uznałem, że albo denat zmarł śmiercią naturalną, albo jeśli przyjmiemy zabójstwo, został otruty. Tę drugą wersję można sprawdzić przy pomocy analizy substancji chemicznych pobranych z kości – Papaj miał świadomość, że wywody patologa są czystą teorią. Przecież prokurator nigdy nie wyda zgody na kosztowne badania tylko po to, aby poznać przyczynę śmierci kogoś, kto nie żyje od siedemdziesięciu lat.

– Jednak po dokładniejszym zbadaniu szkieletu odkryłem dwie ciekawe anomalie – ciągnął patolog, sięgając po dwie niewielkie kości leżące z boku stołu sekcyjnego. Przyłożył je do siebie i pokazał komisarzowi.

– Wie pan co to za kość?

– Jeśli mam być szczerzy, to przypomina mi podkowę, ale proszę mnie nie pytać o dokładną nazwę, a zwłaszcza po łacinie, bo anatomia nigdy nie była moją mocną stroną – przyznał Papaj z rozbijającą szczerością.

– Rozumiem – skwitował patolog, kiwając głową – ale nic nie szkodzi, bo to nie było pytanie egzaminacyjne – dodał, przyglądając się bacznie trzymanym w palcach kościom.

– To kość gnykowa, po łacinie os hyoideum – kontynuował rzeczowym tonem. Jest częścią krtani. Normalnie powinna być w jednym kawałku, ale jak widać, została złamana – na potwierdzenie Kuchciński oddzielił od siebie trzymane razem części kości.

– Sytuacje, w których najczęściej dochodzi do jej złamania, można policzyć na palcach jednej dłoni. Jednak najczęstsza z nich to duszenie – oznajmił, podkreślając ostatnie słowo – dlatego przypuszczam, że ten człowiek został uduszony – oświadczył Kuchciński. Papaja zamurowało, wiedział, że patolog jest doskonałym specjalistom, ale jadąc do niego, nie miał pojęcia, że czekają go takie rewelacje. Co prawda dla prowadzonego śledztwa odkrycie jakiego dokonał, nie miało większego znaczenia, ale komisarz i tak był pod wielkim wrażeniem.

– Wiem, że ta wiedza raczej się panu nie przyda – stwierdził, jakby czytając w myślach komisarza – osobiście uważam, że zidentyfikowanie ofiary oraz znalezienie sprawcy bądź sprawców jest mało prawdopodobne – przyznał niezadowolony patolog.

– To podobnie jak ja – potwierdził Papaj – ale powiedział pan, że odkrył dwie anomalie – dodał, przypominając sobie słowa patologa sprzed kilku minut.

– Pamiętam, pamiętam – odrzekł Kuchciński, ponownie nachylając się nad czaszką. Papaj nie wiedząc czego ma się spodziewać, czekał w napięciu na kolejne sensacje patologa.

– A teraz przejdziemy do najbardziej zaskakującego odkrycia – zapowiedział Kuchciński, teatralnie zawieszając głos, jak wytrawny iluzjonista informujący, że zaraz wyciągnie królika z pustego kapelusza.

– Denat bardzo dbał o zęby – powiedział Kuchciński, tonem kogoś, kto właśnie dokonał wiekopomnego odkrycia – proszę tylko spojrzeć – zachęcił, rozchylając kości żuchwy i ukazując rząd poszarzałych zębów. Papaj niechętnie wykonał polecenie. Nie bardzo wiedział, dlaczego fakt, że facet za życia lubił szczoteczkę i pastę, jest aż tak interesujący? Owszem wydawał się dość dziwny, zważywszy, że regularna troska o uzębienie, podczas gdy wokół trwała wojna musiała być cholernie trudna.

– Żadnych wypełnień amalgamatowych, wszystko wypełnione kompozytem – zachwycał się patolog, na powrót zwierając kości – co prawda jeszcze nie znam jego składu, ale próbki już trafiły do laboratorium.

– A dlaczego pana zdaniem to takie ciekawe? – zainteresował się komisarz. Jego ciekawość nie wynikała jednak z przekonania, że odkrycie może mieć szczególne znaczenie dla sprawy. Nie chciał, aby Kuchciński uznał go za ignoranta, który nie szanuje pracy innych ludzi i w dupie ma ich wysiłki. Komisarz znał to uczucie. W jego zawodzie bardzo często miał do czynienia z osobnikami, którzy traktowali pracę policjantów bez żadnego szacunku.

– Przede wszystkim dlatego, że wypełnienia kompozytowe zaczęto stosować dopiero na początku lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, a więc prawie trzydzieści lat po zakończeniu wojny. Wcześniej używano wyłącznie wypełnień amalgamatowych – wyjaśnił patolog, a Papaj poczuł, że mężczyzna nie żartował i właśnie zachował się jak rasowy magik, wyciągający królika z pustego kapelusza, królika, którego komisarz zupełnie się nie spodziewał. Papaja znowu замуrowało. Jednak teraz czuł się tak, jak wtedy, gdy jego pierwsza żona oznajmiła, że chce rozwodu.

– O murwa mać – bąknął w myślach, uznając, że przy Kuchcińskim używanie wulgaryzmów, nawet tych zmutowanych byłoby czymś nagannym.

– Czyli chce pan powiedzieć, że wnioskuje po wypełnieniach zębów, denatem jest osoba zmarła kilkadziesiąt lat po zakończeniu wojny? – zapytał, gdy w końcu odzyskał głos. Nawet jeśli patolog uzna jego pytanie za dziwne, bo przecież wyraźnie określił, od kiedy stosuje się te wypełnienia kompozytowe, Papaj wołał się upewnić, że teoria o Niemcu spoczywającym pod posadzką warsztatów od zakończenia wojny, jest już nieaktualna.

– Właśnie tak panie komisarzu uważam – potwierdził Kuchciński, odkładając drewniany wskaźnik na półkę. Papaj poczuł dwie rzeczy. Pierwszą był przyspieszający puls, a drugą wibrowanie komórki w kieszeni. Ubrany w fartuch nie miał żadnej możliwości rozłączenia dzwoniącego telefonu. Na szczęście przed wejściem przezornie go wyciszył, więc słychać było jedynie miarowe buczenie wibracji, które po chwili ucichło.

– Jest oczywiście również inne rozwiązanie tej zagadki, choć gdyby to ono było prawdziwe, mielibyśmy nie lada sensację – powiedział patolog, odchodząc od stołu.

– To znaczy? – zainteresował się Papaj, zostawiając za sobą stół sekcyjny z kompletnym szkieletem i przechodząc za patologiemi do drugiej części pomieszczenia.

– Jeśli te szczątki rzeczywiście leżały w tych warsztatach od wojny, to właśnie mamy namacalny dowód, iż wypełnienia kompozytowe zaczęto stosować dużo wcześniej, niż do tej pory sądzono, i nim zostały oficjalnie uznane za bezpieczne dla ludzkiego zdrowia oraz dopuszczone do użytku. – Słowa

Kuchcińskiego Papaj uznał za nikłe światelko w ciemnym tunelu, które jednak po chwili zgasło. Patolog jak do tej pory nigdy się nie pomylił, tak więc trudno było zakładać, aby tym razem miało być inaczej.

– Czy coś jeszcze pana zastanowiło? – zapytał komisarz, skupiając wzrok na gładkiej opalonej twarzy patologa.

– Nie z zaskakujących odkryć to wszystko – odpowiedział zdecydowanie mężczyzna.

– Czy może mi pan przesłać wyniki tego kompozytu? – poprosił Papaj, ruszając za patologiem do wyjścia.

– Naturalnie jak tylko je otrzymam – zapewnił medyk, odbierając od komisarza ochronny fartuch i lateksowe rękawiczki, które natychmiast wyrzucił do kosza.

Idąc do samochodu, Papaj rozmyślał o tym, czego właśnie się dowiedział. Rewelacje patologa nie tylko rzuciły nowe światło na całą sprawę, ale też stawiły pod wielkim znakiem zapytania urlop, który komisarz zaplanował sobie kilka miesięcy wcześniej. Jednak najważniejsza kwestia dotyczyła pochodzenia szczątków. Skoro szkielet pochodzi sprzed czterdziestu lat, to jednak trzeba będzie podjąć próbę ustalenia, kim był zamordowany mężczyzna.

– Przekłęte kości – wycedził przez zaciśnięte zęby – przez jeden szkielet cztery tygodnie włóczenia się po skandynawskich górach szlag trafił – pomyślał, wsiadając do samochodu.

– Murwa mać – syknął i rozładował złość, waląc z całej siły w kierownicę. Uderzenie było tak silne, że poczuł ból rozchodzący się od dłoni po bark, a ostry dźwięk klaksonu wypełnił całą okolicę. Przechodząca obok starsza dama z jamnikiem aż podskoczyła i ściskając mocniej smycz, przyspieszyła kroku. Miał już uruchomić silnik i ruszyć, gdy przypomniał sobie o telefonie, który wibrował w Sali sekcyjnej. Sięgnął i wyciągnął aparat. Zobaczył nieodebrane połączenie i wiadomość tekstową od technika, z którym widział się zaledwie trzy godziny wcześniej w hali warsztatów szkolnych.

– Przyjeżdż do mnie to pilne – przeczytał i poczuł, że nie tylko patolog odkrył coś rewelacyjnego. Już miał odstawić telefon, gdy dostrzegł ikonkę nowej wiadomości z portalu randkowego. Ku jego zadowoleniu odezwała się tajemnicza Edyta.

– Cześć przystojniaku, twoje fotki też robią wrażenie.

– W realu jest jeszcze lepiej – odpisał, dodając na końcu wiadomości lekki uśmiešek.

– A to ciekawe? Chyba będę musiała to sprawdzić – zadowolony przeczytał odpowiedź, która przyszła błyskawicznie.

– To może drink gdzieś na rynku? Z fotek wnioskuję, że lubisz tę okolicę – zaproponował postanawiając przejść na kolejny poziom znajomości.

– Jesteś spostrzegawczy, a to u facetów rzadka cecha. Już masz u mnie plusa. Teraz muszę uciekać, bo szef mnie wzywa. Odezwę się później – obiecała Edyta, a Papaj poczuł ten tak dobrze znany dreszczyk towarzyszący każdej nowej znajomości. Pół godziny później pukał do biura, gdzie urzędował Cezary Bendka.

– O dobrze, że już jesteś – powiedział wyraźnie ożywiony technik.

– Wyglądasz tak, jakbyś cały długi weekend przekopywał działkę teściowej – zażartował komisarz, spoglądając na zmęczoną twarz Bendki.

– Gdybym mógł wybierać, to biorę szpadel i ogródek mamusi niż młot udarowy i kilkaset metrów betonu – rzucił technik, sięgając po kubek z kawą.

– Ale rozumiem, że coś z tych wykopków wyszło i że nie są to ziemniaki, skoro oczy ci się świecą, jak nos świętego Mikołaja? – ciągnął Papaj żartobliwym tonem.

– A wyszło, wyszło – przyznał zadowolony, choć zmęczony Bendka – gdybyś dzisiaj rano przyjechał kilkanaście minut później, to byłbyś naocznym świadkiem tego, jak z wrazenia upadły nam szczęki. Ja to swojej szukałem przez kwadrans i jeszcze teraz mam wrażenie, że niedokładnie ją wstawiłem – powiedział technik, ruszając teatralnie żuchwą. Papajowi natychmiast przypomniało się drugie z odkryć patologa. Ono również dotyczyło zębów, ale w zupełnie innym kontekście.

– Gdybyśmy zaczęli wczoraj od skucia prawej, a nie lewej strony posadzki, to mielibyśmy to już prędzej – oznajmił technik, wstając od biurka. Wolnym zmęczonym krokiem przeszedł do sąsiedniego pokoju, a zaintrygowany Papaj podążył za nim. Drugie pomieszczenie zastawione było kilkoma stołami. Na jednym z nich leżała skórzana teczka, od której bił zapach mokrej ziemi.

– I to ma być spektakularne odkrycie? – pomyślał komisarz, czując jak zalewa go fala rozczarowania. Spodziewał się czegoś, co, jeśli nawet nie przyspieszy rozwiązania zagadki, to skieruje ich na odpowiednie tory, pozwoli złapać trop, po którym jak po nitce dojdą do kłębka. Jednak wąpił, aby stara, na wół zjedzona przez robaki teczka była w tym pomocna.

– Jakis metr od szkieletu odkopaliśmy teczkę – odezwał się technik, podchodząc bliżej stołu – jak na warunki, w których przebywała, trzyma się całkiem dobrze – przyznał, zakładając lateksowe rękawiczki.

– Pewnie ruscy ją przeoczyli – zażartował Papaj, zakładając podaną parę rękawiczek.

– O tym samym pomyślałem – przyznał Bendka, jednak poważny ton, jakim to powiedział, uświadomił Papajowi, że technik nie żartował. Nagle, gdy mężczyzna zaczął ją otwierać, Papaja olśniło. To nie teczka była tym, co zaskoczyło Cezarego, ale jej zawartość.

– Niestety pierwotna hipoteza o Niemcu jest nieaktualna – rzucił technik, wyciągając z wnętrza torby coś, czego Papaj zupełnie się w niej nie spodziewał. Szok jakiego doznał był tak silny, że komisarz nie tylko szeroko otworzył oczy, ale i usta.

– Nie rozdziawiaj tak gęby, bo ci szczeka wypadnie – poradził Bendka, obracając w dłoniach przedmiot, który jeszcze bardziej komplikował sprawę.

– O Murwa mać – wyrwało się Papajowi, kiedy zobaczył, co technik trzyma w dłoniach – to taki łagodniejszy i bardziej nowoczesny synonim kurwy – wyjaśnił komisarz, widząc zdziwione spojrzenie Bendki.

– Całkiem sympatyczne, chyba też zacznę go używać – skwitował mężczyzna – a mówiąc serio, gdy to zobaczyłem, zareagowałem tak samo, jak ty – dodał, wyciągając dłonie, na których leżał pistolet. Papaj służył w policji od prawie piętnastu lat, ale historia broni palnej była dla niego tym, czym biblia dla gorliwego księdza, znał ją niemal na pamięć. To było jego drugie hobby, zaraz po śpiewaniu. Choć większość pistoletów widział wyłącznie na fotografiach, to potrafił je rozpoznać bez trudu. Wystarczyło, że rzucił okiem na pistolet czy broń długą, by wiedzieć co to za model. Kaliber, a nawet, w jakich latach go produkowano i w których jednostkach jest lub był używany. W tym konkretnym przypadku było podobnie. Pistoletem, jaki pokazywał mu technik był stary dobry P83 Wanad, ulubiona broń polskiej milicji obywatelskiej.

– Mogę – poprosił, nabożnie wyciągając dłoń do technika. Ten bez słowa podał mu pistolet. Papaj wziął do ręki znaną broń i zaczął się jej dokładnie przyglądać. Kilka razy miał przyjemność używać jej na strzelnicy i uważał, że p83 był jednym z bardziej udanych pistoletów samopowtarzalnych skonstruowanych przez Polaków. Papaj sprawdził magazynek. Tkwiło w nim pięć naboji.

– Trzech brakuje – powiedział bardziej do siebie niż technika.

– Tak – potwierdził Bendka. Jednak komisarza bardziej od brakujących pocisków zainteresowały numery fabryczne broni. Były czytelne, a to oznaczało, że dzięki nim będzie można bardzo szybko

ustalić do kogo należał pistolet. Dalsze oględziny nie wykazały żadnych widocznych uszkodzeń, czy innych znaków szczególnych. Pistolet wyglądał tak, jakby właśnie opuścił fabrykę.

– Gdyby nie teczka, to wyglądałaby zupełnie inaczej – rzucił technik, odgadując myśli Papaja.

– Sprawdziliście już numery?

– Jeszcze nie, dopiero przed chwilą to przywiozłem.

– A jest jakaś szansa na odciski?

– To zależy – zawahał się technik, odbierając od Papaja pistolet i chowając go do przygotowanej papierowej koperty – spróbujemy użyć ninhydryny lub techniki termalnej, ale teraz niczego nie mogę ci obiecać – zastrzegł Bendka, odkładając ciężką kopertę obok skórzanej teczki.

– Czarek sprawdź najpierw te numery, może po nich uda się ustalić właściciela, albo czy broń była użyta – poprosił komisarz, czując, że sprawa szkieletu zaczyna zmierzać w kierunku, który nawet teraz mógł być niebezpieczny. Znalezienie przy szkielecie tego konkretnego typu broni oznaczało, że w sprawę mogą być zaplątane dawne organy bezpieczeństwa. Przecież to w tamtych formacjach P83 był używany najczęściej. Co więcej, broń zaczęła być produkowana w latach osiemdziesiątych, a więc i z tego okresu pochodził znaleziony szkielet. Nie trzeba było mieć zbyt bogatej fantazji, aby wyobraźnia podsunęła zaginionych bez wieści opozycjonistów. Papaj wolał nawet nie myśleć o takiej ewentualności. Najpierw musiał poukładać fakty, a te były następujące. Po pierwsze, pistolet i szkielet prawdopodobnie pochodziły z tego samego okresu, ale czy były z sobą powiązane? Tego jeszcze nie wiedział. Po drugie, legalne posiadanie broni w latach osiemdziesiątych było czymś rzadkim i ograniczało się jedynie do służb mundurowych oraz wąskiej grupy cywilów, a ci ostatni mieli najczęściej doskonale układy w kręgach władzy. Dlatego należało liczyć się z tym, że ofiarą może być ktoś z tego otoczenia. Po trzecie, jeśli ten, kogo zabetonowano pod posadzką, był jednocześnie właścicielem broni, sprawa mogła być dość prosta, ale w przeciwnym wypadku, jeszcze bardziej się komplikowała.

– Dobra, trzeba będzie poczekać, co da się ustalić z numerów fabrycznych – pomyślał Papaj i doszedł do wniosku, że jak na jedno przedpołudnie zgromadził wystarczającą ilość informacji, by móc wykonać służbowy telefon do Anny Moskal. Opuścił biuro techników i ruszył do siebie.

Korzystając z faktu, że w pokoju nie było nikogo, postanowił od razu zatelefonować. Prokuratorka odebrała, nim jeszcze wybrzmiał pierwszy sygnał. Zupełnie tak, jakby czekała na jego telefon.

– Dzień dobry pani prokurator.

– Dzień dobry panie komisarzu – ton kobiety był tak chłodny, że Papaj poczuł zimny podmuch na policzku. Dopiero po chwili zrozumiał, że to wina uchylonego okna.

– Gdzież ten żar, który potrafił splywać z jej słów – westchnął w myślach i odpędzając wspomnienia chwil spędzonych w ramionach tej kobiety, spróbował podejść do rozmowy bardziej oficjalnie, ale okazało się to trudniejsze, niż przypuszczał.

– Chciałem zapytać, jak się pani dziś czuje.

– A ja byłam przekonana, że ma pan dla mnie jakieś wiadomości dotyczące śledztwa.

– To również, ale pani nastrój jest dla mnie równie ważny co prowadzone dochodzenie – powiedział bez zastanowienia. Jeśli Papaj sądził, że pochlebstwami zaskarbi sobie przychylność prokuratorki i zdoła wymazać z jej pamięci poprzedni dzień, to był w gigantycznym błędzie.

– W takim razie proponuję, aby od razu przeszedł pan do tych wiadomości, a moje samopoczucie zostawił w świętym spokoju.

– Dobrze, więc najnowsze ustalenia są takie, że znaleziony szkielet, nie jest Niemcem, jak wczoraj, niestety mylnie zakładała moja policyjna intuicja.

– To akurat wiem, bo wczesnym rankiem odwiedziłam doktora Kuchcińskiego, więc jeśli nie ma pan więcej rewelacji, możemy zakończyć rozmowę – zakomunikowała kobieta, nie ocieplając głosu ani o jeden stopień. Fakt, że Anna Moskał była w zakładzie medycyny sądowej wcześniej niż on zabolął, jednak nie na tyle, aby się skrzywić. Mimo to komisarz postanowił skomentować ten fakt.

– A to nie wiedziałem, że z pani taki ranny ptaszek. Do tej pory sądziłem, że lubi pani wylegiwać się do południa – powiedział, nim zdążył ugryźć się w język. Zapadła długa krępująca cisza.

– Bardzo przepraszam, trochę mnie poniosło – bąknął wreszcie skruszonym tonem.

– Czy prócz tego, co ustalił patolog, ma mi pan coś wartościowego do powiedzenia?

– Tak mam moim zdaniem sensacyjne nowiny, normalnie bomba, ale mówiąc poważnie, to proponuję, aby pani usiadła, bo może pani się przewrócić – zaczął, postanawiając podobnie jak Kuchciński wyciągnąć swojego asa z rękawa.

– Proszę sobie darować te blażeństwa, i przejść do rzeczy – stwierdziła sucho prokuratorka, wchodząc komisarzowi w słowo.

– Dziś rano na miejscu ukrycia zwłok technicy ujawnili skórzaną torbę, w której znajdował się pistolet P83 Wanad. Obecnie broń jest sprawdzana po numerach fabrycznych – zakomunikował Papaj. Liczył, że te rewelacje będą dla Anny Moskał interesujące, ale kobieta wciąż rozmawiała z nim, chłodnym, oficjalnym tonem.

– Dziękuję za te wiadomości, a gdyby pojawiły się jakieś nowe, proszę o przesłanie do mnie oficjalnego raportu, o znalezieniu broni również – poleciła prokuratorka i przerwała połączenie.

– Twarda sztuka, ale jak to powiedział klasyk, kropla draży skałę – pomyślał komisarz, zamykając uchylone okno i siadając przy biurku. Z plecaka wyjął pojemnik z kanapkami oraz butelkę wody gazowanej. Ledwie skończył drugie śniadanie, a do pokoju niemal równocześnie weszli pozostali współpracownicy.

Papaj zastanawiał się, czy powiedzieć im o nowych ustaleniach i gdy miał już to zrobić, ktoś zapukał do drzwi. Cała trójka spojrzała po sobie. Zazwyczaj na komendzie nikt nie bawił się w takie uprzejmości jak pukanie. Oczywiście nie dotyczyło to odwiedzin u szefa.

– Proszę – powiedział Paweł Polak, zajmujący biurko przy drzwiach. Po chwili w progu ubrana w nienagannie wyprasowany mundur stanęła wysoka dziewczyna. Długie ognistorude włosy, zebrane w koński ogon przewiesiła przez lewe ramię. Zielone duże oczy prześlizgnęły się po obecnych. Spojrzenie Papaja i pozostałych mężczyzn, automatycznie, jak oko kamery wyposażonej w czujnik ruchu, powędrowały w kierunku młodej policjantki. Jednak ona, nawet jeśli to zauważyła, nie dała niczego po sobie poznać.

– Szukam komisarza Andrzeja Papaja – odezwała się miękko, miłym dla ucha głosem – pracuję dopiero od kilku tygodni i jeszcze wszystkich nie poznałam – dodała, wyjaśniając swoją nieznaną kadry oficerskiej. To, że młoda atrakcyjna dziewczyna rozpoczęła u nich pracę, rozniosło się po komendzie lotem błyskawicy. Papaj, przypatrując się policjantce, uznał, że krążące wśród męskiej części personelu plotki o jej urodzie były przesadzone. Owszem dziewczyna prezentowała się nie najgorzej. Nie była typowym wieszakiem liczącym kalorie, jak nie przymierzając Anna Moskał, ale według niego brakowało jej tego czegoś, a może on tego nie dostrzegał?

– To ja odparł komisarz, wstając zza biurka.

– Przyniosłam panu zeznania świadków z tych warsztatów szkolnych, gdzie znaleziono szkielet.

– Tak szybko – wyrwało się Papajowi, który zeznał spodziewał się najwcześniej następnego dnia.

– To nie było specjalnie trudne – odpowiedziała dziewczyna, obdarzając komisarza uśmiechem, z którego wywnioskował, że sprawy niemożliwe pani aspirant załatwia od ręki, a na te trudniejsze

potrzebuje trochę więcej czasu.

Poza tym słyszałam, że podobno chce mieć pan to na wczoraj, bo jutro wybiera się na urlop – dodała mimochodem.

– Nie jutro, tylko za kilka dni, ale mimo wszystko bardzo dziękuję – odparł komisarz, zastanawiając się skąd policjantka wie o jego urlopie i dopiero po chwili zrozumiał, że źródłem informacji był Pawłowski.

– Naprawdę nie ma za co, tym bardziej, że jak już mówiłam nie wymagało to szczególnych zdolności. W poprzedniej pracy zlecano mi bardziej ambitne zadania – zauważyła i ruszyła do wyjścia.

– Co do tych ambitnych zadań, to zapewniam, że jeszcze przyjdą i to szybciej niż pani przypuszcza – odezwał się Papaj, kiedy policjantka była już przy drzwiach.

– Tak wiem – usłyszał w odpowiedzi. Funkcjonariuszka rzuciła jeszcze szybkie do widzenia i wyszła z ich pokoju, pozostawiając w powietrzu woń delikatnych kwiatowych perfum. Komisarz usiadł ciężko, wyciągnął teczkę i zaczął czytać zeznania pisane drobnym, kształtnym, lekko pochylonym pismem. Czytając, był pod wrażeniem szczegółowości zeznań. Podejrzewał, że nie wynikało to z entuzjazmu świadków do składania wyjaśnień, ale dociekliwości młodej pani aspirant. Osobiście uważał, że dobrego glinę można poznać po tym, jakie zadaje pytania. Sądząc z tego, co właśnie czytał, aspirant Nowicka wiedziała, o co pytać, ale przede wszystkim jak pytać. Po dziesięciu minutach skończył lekturę zeznań Daniela Oleksego. Nie było w nich rewelacji podobnych do tych, jakich dostarczyli mu patolog i technik, ale nie o to przecież chodziło.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– No to pięknieje ta nasza komenda – westchnął podkomisarz Lipiński, gdy za aspirantką Nowicką zamknęły się drzwi. Jego opinia nie trąciła żadną nutą seksizmu. Była jedynie stwierdzeniem faktu. Kobiet, a szczególnie młodych, pięknych i zdolnych wciąż było w policji za mało. Papaj i Polak przytaknęli, dzieląc zdanie kolegi. Justyna Nowicka należała do atrakcyjnych kobiet, które dzięki matce naturze nie musiały sięgać po zbyt wiele upiększaczy, aby podkreślić swoją urodę. Ogniste włosy, zielone czujnie patrzące oczy i delikatna opalenizna sprawiały, że ta twarz mogła nie tylko zapadać w pamięć, ale i zwracać w głowie. Dlatego Papaj choć teraz nie dostrzegał w policjantce cech, które mogły by go zainteresować jako mężczyznę, to postanowił się pilnować. Nie miał zamiaru doprowadzić do sytuacji, w której pani aspirant stanie się dla niego kimś więcej, niż tylko koleżanką z pracy. Co prawda, jej uroda nie powaliła go na kolana, ale z doświadczenia wiedział, że czasami, to nie ona odgrywała najważniejszą rolę. Odkąd wiódł życie rozwodnika, odkrył w sobie słabość do płci przeciwnej. Było to, o tyle dziwne, że jako mąż mógł śmiało startować w plebiscycie na najwierniejszego małżonka i to samo mógł powiedzieć o swoich obu żonach. Wbrew krążącym plotkom, powodem jego rozwodów nie były żadne skoki w bok, a wyłącznie niezgodność charakterów. O ile jego obie żony ułożyły sobie życie na nowo i z tego, co mówiły miały szczęśliwe rodziny, to on jeszcze nie znalazł szczęścia. Owszem nawiązywał nowe relacje, jedne nie wykraczały poza filiżankę kawy, inne docierały do jednego lub kilku wspólnych śniadań, więc śmiało, można było nazwać je wszystkimi, znajomościami przelotnymi. Jak dotąd nie trafił jednak na przysłowiową drugą połówkę, choć w jego przypadku byłaby to już trzecia. Krążące po komendzie ploteczki, że Papaj podrywa wszystko, co chodzi w spódnicy, były tak prawdziwe, jak to, że na marsie jest życie. Lubił flirtować, ale nie uwodził żadnej spotkanej kobiety. Poza tym wyznawał jedną zasadę, której, póki co nie złamał, a brzmiała ona: „żadnych romansów w pracy”. Papaj porzucił rozważania o urodzie policjantek i skupił się na leżącej przed nim teczce. Był ciekaw, jak młodej pani aspirant poszło przesłuchanie pozostałych świadków, bo z Danielem Oleksym poradziła sobie wręcz koncertowo. Miał właśnie sięgnąć po zeznania Henryka Żeromskiego, gdy na jego biurku zadzwonił telefon. Nie przerywając lektury, która mocno go wciągnęła, kątem oka zerknął na wyświetlacz, a widząc, że telefonuje technik, natychmiast odłożył dokumenty i podniósł słuchawkę. Na wiadomość od Bendka czekał już kilka godzin. Sądził, że ustalenie właściciela broni po numerach fabrycznych, nie powinno być specjalnie trudne. Miał jednak świadomość, że jego sprawa nie była priorytetowa, dlatego, zamiast dzwonić co kilkanaście minut, cierpliwie czekał...

– No wreszcie dzwonisz. Już miałem zamiar pójść do ciebie i się przypomniać.

– Spokojnie Andrzej, pamiętałem o tobie, ale ustalenie pewnych rzeczy wymaga czasu – wyjaśnił technik, a Papaj musiał przyznać mu rację.

– Ale rozumiem, że już coś dla mnie masz? – wtrącił komisarz.

– Oczywiście, inaczej bym ci głowy i dupy nie zwracał. Bierz tylek w troki i zaginaj do mnie, bo zaczyna być naprawdę ciekawie – nim komisarz zdołał zapytać o szczegóły, Bendka zakończył połączenie. Tego, że sprawa szkieletu rozwija się w dość nieoczekiwanym kierunku, Papaj był pewien

już po spotkaniu z patologiem. Najpierw poznał prawdopodobną przyczynę śmierci tajemniczego mężczyzny, a kilka minut później dowiedział się, że jego hipoteza o Niemcu była błędna. Odkrycie broni tylko upewniło komisarza, że w tej sprawie jest jeszcze wiele tajemnic.

– Dobra będę za pięć minut – rzucił odruchowo Papaj i dopiero wtedy zorientował się, że mówi sam do siebie. Cisnął słuchawkę na widelki, teczkę z zeznaniami wpełchnął z powrotem do szuflady i wyszedł z biura. Tak naprawdę dotarcie na drugie piętro zajęło mu jedynie dwadzieścia kilka sekund. Gdy nie zawracając sobie głowy pukaniem, wszedł do pokoju, który zajmowali technicy, zastał Bendkę pochylonego nad jakimś dokumentem. Twarz mężczyzny była skupiona, brwi ściągnięte, a zaciśnięte usta tworzyły wąską kreskę.

– Masz coś o tym P83? – rzucił od progu.

– tak mam – potwierdził technik, podnosząc głowę znad kartki, którą właśnie czytał – ale wątpię, aby ci się to spodobało – mruknął znacząco i gestem wskazał krzesło. Komisarz ciężko usiadł, a Bendka odwrócił do niego leżący na biurku dokument.

– Sam przeczytaj, dostałem jakiś kwadrans temu – Papaj przebiegł wzrokiem po kilku linijkach tekstu. To, co właśnie przeczytał, rzeczywiście nie wzbudziło jego zachwytu.

– O Murwa, a kim jest ten kapral Mieczysław Sobótka? – podniósł pytające spojrzenie na technika.

– A ja co wróżka, żebyś takie rzeczy wiedział – wzruszył ramionami Bendka – co prawda próbowałem czegoś poszukać – przyznał technik, zakładając ręce za głowę – ale takich dinozaurów w naszych elektronicznych zasobach nie ma – dokończył, pocierając kciukiem podbródek.

Dla Papaja wiadomość, że broń należała do kogoś z Milicji Obywatelskiej, była potwierdzeniem wcześniejszych rozważań. Gdy jeszcze w biurze rozmyślał nad znalezionym pistoletem, przychodziły mu do głowy różne rozwiązania, także to, które właśnie miał przed sobą. Mimo to, a może właśnie dlatego nie podobało mu się, że cała ta sprawa zaczynała zahaczać o kregi dawnej formacji. Fakt, że od przemianowania Milicji Obywatelskiej na Policję minęło prawie ćwierć wieku, tylko pozornie przeniósł dawną służbę do historii. Wciąż przecież żyli ludzie, którzy kiedyś służyli w Milicji. Niektórzy z pewnością byli umoczeni w różnego rodzaju ciemne interesy. Wyciąganie tych brudów nawet po kilkudziesięciu latach, mogło być niebezpieczne i Papaj doskonale o tym wiedział. Ustalenie do kogo należała broń to jedno, ale dlaczego znajdowała się metr od szkieletu to drugie. Tu też możliwe było kilka scenariuszy, począwszy od tego najprostszego, który nasuwał się samoistnie, czyli że pistolet był własnością denata, co w tym przypadku oznaczało, że znaleziony szkielet to szczątki kaprala Mieczysława Sobótki, aż po taki, że nie miał z nim nic wspólnego. Na obecnym etapie Papaj, pamiętając chybioną teorię o Niemcu, wolał bardzo ostrożnie formułować nowe hipotezy.

– Nie ma tu adnotacji o przyczynie wpisania do rejestru – zauważył nagle komisarz. Brak tak istotnego szczegółu wymagał wyjaśnienia. Czasami powód podejmowanych działań mógł być ważną wskazówką. Gdyby wpisano, że broń została skradziona, to należało liczyć się z tym, że mogła być wykorzystana podczas jakiegoś przestępstwa.

– Też zwróciłem na to uwagę – przytaknął Bendka, rozmasowując dłońmi zeszywniały kark.

– Sądziś, że ktoś z niej strzelał? – pytanie, które właśnie zadał technik, było jednym z pierwszych na długiej liście, jaką Papaj tworzył właśnie w myślach.

– Całkiem możliwe, tym bardziej że w magazynku zamiast ośmiu było pięć pocisków – przypomniał komisarz – ale nawet jeśli, to jedynie między czerwcem 1985 a marcem 1986 – dodał, pukając palcem najpierw w datę wprowadzenia broni do użytku, a następnie w datę wpisania do rejestru broni poszukiwanej.

- Teoretycznie masz rację, ale praktycznie nie wiemy, kiedy dokładnie ciało i pistolet zostały ukryte pod posadzką – zauważył przytomnie technik.
- Czarek, chyba nie myślisz, że zakopano go rok lub dwa lata temu?
- No jasne, że nie. Jednak, aby choć w przybliżeniu określić czas zakopania broni i zwłok musimy ustalić kilka faktów – zaczął wyliczać Bendka.
- Po pierwsze termin. Żeby z człowieka zostało to, co znaleźliśmy, biorąc pod uwagę warunki, w jakich leżało ciało moim zdaniem potrzeba minimum dziesięć lat. Po drugie sposobność, zakopanie ciała pod posadzką nie jest znowu takie proste. Trzeba wykuć dziurę, a potem z powrotem zalać ją betonem. Na to potrzebny jest czas. Poza tym skuwanie betonu to nie kopanie w ziemi i w ciszy tego nie zrobisz. W tym przypadku nikt specjalnie nie zrywał betonu, ponieważ posadzka była jednolita i nie nosiła śladów ingerencji.
- Czyli w grę wchodzi remont – wtrącił Papaj, drapiąc kilkudniowy zarost na podbródku.
- To moim zdaniem, jedyne logiczne wytłumaczenie – potwierdził technik.
- Więc musimy ustalić, kiedy taki remont miał miejsce – mruknął Papaj i po raz kolejny, tym razem znacznie wolniej, przeczytał leżący przed nim dokument. Kiedy dotarł do końca, zobaczył podpis osoby, która go sporządziła.
- Znasz tę dziewczynę? – postukał palcem wskazującym w podpis u dołu kartki.
- Osobiście nie, ale robiła dla mnie sporo zleceń i muszę powiedzieć, że zawsze wszystko było szybko i profesjonalnie wykonane, więc raczej wątpię, aby to ona coś pokickała.
- Dobrze w takim razie trzeba będzie poprosić panią aspirant o ustalenie kilku rzeczy – pomyślał Papaj i dziękując technikowi, wyszedł na korytarz. Zerknął na zegarek, dochodziła piętnasta trzydzieści, więc teoretycznie policjantka powinna być jeszcze na służbie.
- Gdy wszedł do Sali, w której urzędował narybek, od razu zobaczył przy jednym z biurków rudą głowę i ruszył w jej stronę. Dziewczyna musiała go usłyszeć, bo spojrzała na niego przez ramię.
- Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział, stając przy policjantce i mimowolnie zaciągnął się wonią kwiatowych perfum. Nie miał pojęcia, jaka to marka, ale pachniały cudownie. Funkcjonariuszka sprawdzała właśnie coś w bazie skradzionych pojazdów.
- O pan komisarz. Czyżby coś nie tak z tymi zeznaniami? – spytała zaniepokojona, patrząc na Papaja dużymi, zielonymi oczami.
- Nie, z zeznaniami wszystko w porządku – powiedział uspokajającym tonem – choć przyznaję, że przeczytałem dopiero te, które złożył Daniel Oleksy. Przychodzę w trochę innej sprawie. Pani wykonywała to zlecenie – bardziej stwierdził, niż zapytał, kładąc przed dziewczyną kartkę otrzymaną od technika.
- No tak, przyszło dzisiaj, kiedy byłem zbierać te zeznania, więc mogłam się tym zająć dopiero po powrocie.
- Bo widzi pani, okazuje się, że ta broń ma prawdopodobnie związek z tym szkieletem znalezionym na warsztatach – oznajmił komisarz, przysuwając sobie krzesło od sąsiedniego biurka. Siadając obok Nowickiej, usłyszał, jak policjantka głośno wciąga powietrze.
- Czyli zaczyna być ciekawie – mruknęła, zdejmując dłonie z klawiatury laptopa. Miała smukłe palce o krótko przyciętych paznokciach, a blad różowy lakier mienił się w promieniach słońca tysiącami złotych iskier.
- Można to tak ująć – przytaknął Papaj, zastanawiając się, ile z tego, co wiedział, powinien powiedzieć Nowickiej. Nie wątpił, że pewne fakty policjantka wydedukuje samodzielnie. Jakby na potwierdzenie jego rozważań Nowicka bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Rozumiem, że te szczątki nie pochodzą z okresu drugiej wojny światowej.

– Tak, nowe ustalenia coraz bardziej wykluczają tę hipotezę – przyznał komisarz, a świadomość, że jego urlop prawdopodobnie diabli wezmą, sprawiła, iż na moment zacisnął szczęki.

– Boli pana ząb? – pytanie dziewczyny zbiło Papaja z tropu.

– Co proszę?

– Zapytałam, czy boli pana ząb, bo zrobił pan taką minę, jak osoby z ostrym bólem zęba – wyjaśniła policjantka.

– Nie, to nie ząb – zaprzeczył komisarz, nie mając zamiaru tłumaczyć swojej reakcji na myśl o straconym urlopie.

– Pani Justyno, w związku z zaistniałą sytuacją, mam do pani ogromną prośbę. Czy mogłaby pani sprawdzić dla mnie kilka rzeczy?

– Jeśli tylko będę w stanie, to bardzo chętnie.

– Dobrze, więc po pierwsze proszę ustalić wszystko, co się da o tym kapralu Mieczysławie Sobótce – Papaj z podziwem patrzył, jak długie palce policjantki o krótkich pomalowanych na bład róż paznokciach przebiegają po klawiaturze – po drugie muszą wiedzieć, czy od 1985 do 2000 roku przeprowadzano w tych warsztatach jakieś poważne remonty. Interesuje mnie głównie wymiana posadzki – zaznaczył Papaj.

– Panie komisarzu, ale czarodziejką to ja nie jestem – uprzedziła funkcjonariuszka, kończąc zapisywanie tego, czego miała się dowiedzieć.

– Sądząc po tym, co już pani zrobiła, ośmielam się mieć nieco inne zdanie w tej kwestii – odparł Papaj z przekonaniem. Wstał, odstawił krzesło na swoje miejsce, pożegnał się z Nowicką i ruszył do siebie. Musiał jeszcze napisać raport dla prokuratora i w odróżnieniu od samej Anny Moskał, nie było to specjalnie pociągające zajęcie. Jednak wołąc nie pogarszać i tak już fatalnych relacji z ciałem prokuratorskim, wziął się do pisania. Godzinę później z poczuciem dobrze wykonanej pracy opuścił biuro i pojechał do domu. Przejeżdżając Krakowską, dostrzegł przed budynkiem warsztatów terenowe Volvo Daniela Oleksego i pomarańczową półciężarówkę firmy budowlanej. Zwolnił, zamierzając porozmawiać z Żeromskim. Jednak w ostatniej chwili zrezygnował, uznając, że jak na jeden dzień ma już dość wrażeń.

Następnego dnia kilka minut po czternastej ktoś zapukał do drzwi. Papaj Lipiński i Polak spojrzeli po sobie.

– Jak tak dalej pójdzie, to też zacznę pukać i to nawet do kibla – wyszeptał Polak, wracając do swoich zajęć. Papaja specjalnie nie zdziwiło zjawienie się Justyny Nowickiej. Jedyne faktu, że tym razem nie miała na sobie munduru, tylko bardzo dopasowane dzinsy i czarny równie obcisły golf sprawił, że jego spojrzenie zbyt często wędrowało tam, gdzie nie powinno. Policjantka, nawet jeśli była tego świadoma, nie wydawała się tym specjalnie oneśmielona.

– Proszę, niech pani siada – zaproponował, przysuwając do swojego biurka jedyne wolne krzesło. Był ciekaw, ile w ciągu tak krótkiego czasu udało się Nowickiej ustalić. Policjantka podziękowała i zajęła miejsce naprzeciw Papaja. Kartonową teczkę, którą do tej pory trzymała pod pachą, położyła na wysportowanych, zgrabnych udach. Po chwili zdjęła zabezpieczającą ją gumkę, otworzyła i wyjęła kilka pośliskłych ze starości kartek. Komisarz, widząc tak małą ilość materiałów, poczuł się rozczarowany. Powierzając Nowickiej znalezienie wszystkiego, co tylko możliwe o Mieczysławie Sobótce, spodziewał się co najmniej segregatora, a nie paru dokumentów.

– No to o sensacyjnych odkryciach w stylu patologa Kuchcińskiego możesz zapomnieć – usłyszał ironiczny wewnętrzny głosik.

– Na początku muszę uprzedzić, że choć spędziłam w archiwum ponad dwie godziny, to znalazłam tylko trzy dokumenty, w których jest mowa o Mieczysławie Sobótce – powiedziała Nowicka, jakby czytając w myślach komisarza.

– Może to być spowodowane tym, że gdy w 1992 roku likwidowano komisariat, część akt została zniszczona lub zaginęła. Nie mniej, to co udało mi się ustalić, daje wiele do myślenia – zapewniła Nowicka. Następnie podała mu pierwszą z kartek i cichym głosem zaczęła referować swoje dotychczasowe ustalenia.

– Tak naprawdę nawet nie wiadomo, od kiedy Sobótką pracował w milicji. Jednak, skoro w czerwcu 1985 roku otrzymał awans na starszego kaprała, można wnioskować, że pełnił służbę minimum cztery lata, a więc od 1981 roku – Papaj bez większego zainteresowania przeczytał awans podpisany przez ówczesnego komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej.

– Jednak bardziej interesujący jest fakt, że trzy miesiące później 23 sierpnia żona zgłosiła jego zaginięcie – tym razem komisarz niemal podskoczył na fotelu. Odebrał notatkę sporządzoną przez porucznika Antoniego Wilczyńskiego i przeczytał ją uważnie. Z dokumentu wynikało, że 23 sierpnia 1985 roku, około godziny czternastej na komisariat przy ulicy Czerwonooarmistów zgłosiła się Anna Sobótki i zgłosiła zaginięcie swojego męża Mieczysława Sobótki, będącego funkcjonariuszem Milicji Obywatelskiej. Według zgłaszającej mąż poprzedniego ranka wyszedł do pracy i do tej pory nie powrócił.

– To rzeczywiście ciekawe – przyznał Papaj, spoglądając z zainteresowaniem na ostatnią z kartek, spoczywających na kolanach Nowickiej.

– 10 marca 1986 roku, czyli w dniu wpisania służbowej broni Sobótki do rejestru egzemplarzy poszukiwanych, śledztwo w sprawie jego zaginięcia zostało umorzone. Niestety w postanowieniu brakuje uzasadnienia, więc nie wiemy, dlaczego podjęto taką decyzję – Nowicka wzruszyła ramionami, podając komisarzowi ostatni dokument. Rzeczywiście była to tylko część postanowienia, ale zawierała imię i nazwisko prokuratora. Te informacje, teoretycznie mogły być pomocne, jednak pod warunkiem, że pan Władysław Mostowiak jeszcze żył.

– Myślę, że prokurator mógłby nam pomóc, o ile coś z tamtej sprawy pamięta.

– Sprawdziłam, nie żyje od siedmiu lat – oświadczyła Nowicka.

– Widzę, że jest pani skrupulatna i konsekwentna.

– Staram się – bąknęła policjantka, na której komplement Papaja nie zrobił większego wrażenia.

– Dobrze, że znamy sygnaturę sprawy – zauważył Papaj – spróbuję porozmawiać z prokurator prowadzącą, może w ich archiwach zachowały się kompletne akta? – dodał z nadzieją w głosie. Anna Moskal była w tej sytuacji jego ostatnią deską ratunku.

– Bardzo dziękuję za zaangażowanie. Gdyby nie pani, dotarcie do tych informacji zajęłoby mi co najmniej kilka dni – przyznał Papaj i w tym, co mówił, nie było ani grama kłamstwa.

– W takim razie polecam się na przyszłość – odparła policjantka, posyłając komisarzowi delikatny uśmiech – i proszę pamiętać, że bardziej ambitne zlecenia też nie są mi straszne – dodała z przekąsem, ale nie przestała się uśmiechać. Tą postawą zaimponowała Papajowi, który szczególnym szacunkiem darzył ludzi, znających swoją wartość. Uważał, że pewność siebie, zwłaszcza ta zawodowa pozwala nie tylko lepiej wykonywać swoją pracę, ale także czerpać z tego większą satysfakcję. Współczuł tym, którzy podchodzili do swoich zawodowych obowiązków bez entuzjazmu. On sam lubił to, co robił i miał tylko nadzieję, że nigdy nie przestanie. Co prawda nie było w nim tej fascynacji, jaką odczuwał, kiedy piętnaście lat wcześniej rozpoczął pracę w policji. Została ona zastąpiona przez chłodną analizę faktów i poszlak oraz mozolne łączenie pojedynczych informacji.

– A co pani o tym wszystkim sądzi? – był ciekaw jej opinii, bo skoro tak szybko potrafiła znajdować informację, to było całkiem prawdopodobne, że jej zmysł dedukcji również jest na wysokim poziomie.

– Uważam, że istnieją poważne przesłanki wskazujące, iż odnaleziony szkielet to szczątki Mieczysława Sobótki – odpowiedziała policjantka, ostrożnie dobierając każde słowo. Papaj był podobnego zdania. Uznał, że za jednym zamachem wyjaśni dwie sprawy. Po pierwsze broń przestanie figurować w rejestrze zagubionych, a po drugie przekaże pani prokurator pełne dossier denata. On także skłaniał się do hipotezy, że znaleziony szkielet to pozostałości po Mieczysławie Sobótce. Na odkrycie zabójcy lub zabójców były zdaniem Papaja marne szanse, ale oczywiście musiał spróbować. Tym bardziej że jeśli zamordowanym był Sobótka, to do trzydziestu lat, po których czyny takie jak zabójstwa ulegały przedawnieniu, brakowało jeszcze kilku miesięcy. Informacja o zaginięciu milicjanta oraz wstępna hipoteza, że to jego szkielet odnaleziono na warsztatach, rodziły kolejne pytania. Skoro ktoś zabetonował zwłoki pod posadzką, to albo musiał wykuć dziurę, a to nawet podczas wakacji było sprawą raczej trudną, a w ciągu roku szkolnego wręcz niemożliwą. Drugą ewentualnością, jaka przychodziła Papajowi do głowy, był remont. Zabójca bądź zabójcy mogli wykorzystać ten fakt i zakopać zwłoki, które następnie niczego nieświadoma ekipa budowlana zaala betonem. Jednak na obecnym etapie, były to wyłącznie jego domysły, a on potrzebował dowodów i to tak twardych, jak beton, pod którym przez prawie trzydzieści lat spoczywał Mieczysław Sobótka.

– A co z warsztatami? – zapytał ciekaw, czy w tej kwestii Nowicka też mogła pochwalić się jakimiś sukcesami.

– Na to niestety nie starczyło już dzisiaj czasu – usprawiedliwiła się policjantka – ale przyszło mi do głowy, aby sprawdzić czy Mieczysław Sobótka miał jakichś krewnych. Okazało się, że nadal żyje jego żona i córka, a co więcej mieszkają tylko sto kilometrów od Wrocławia – Papaj słuchał i z każdą chwilą coraz bardziej zaczynał doceniać pomysłowość młodej pani aspirant. Jednocześnie był zły na samego siebie, że w swoich przemyśleniach pominął tę tak istotną kwestię. Czy jego amatorskie zachowanie brało się z faktu, że chodziło o szkielet, a nie o zwłoki w dosłownym tego słowa znaczeniu? Kiedy o tym pomyślał, poczuł wstyd. Przecież milicjant miał rodzinę, którą należało powiadomić. Dodatkowo korzystając z DNA córki, można było ustalić, czy szczątki rzeczywiście należą do Mieczysława Sobótki. Nie mówiąc już o tym, że należał mu się godny pochówek, z szacunkiem, który przysługuje każdemu zmarłemu, bez względu na to, w jaki sposób zszedł z tego świata i kim był za życia.

– Bardzo dobrze pani aspirant – powiedział zawstydzony Papaj. Kolejna pochwała również nie zrobiła na policjantce żadnego wrażenia. Po wyjściu Nowickiej, Papajowi przyszła do głowy pewna myśl. Początkowo uznał, że to zły pomysł, aby prowadzić śledztwo tajemniczego szkieletu wspólnie z młodą atrakcyjną policjantką. Zdawał sobie sprawę, że mogą z tego wyniknąć kłopoty. Jednak przy zachowaniu odpowiedniego dystansu towarzyskiego, mogliby stanowić całkiem sprawny tandem. Z tą myślą postanowił pójść do swojego szefa.

Po kilkunastu sekundach stał już przed drzwiami jego gabinetu.

– Stary w jakim nastroju? – zagadnął wysokiego, barczystego aspiranta, który właśnie wychodził z gabinetu komendanta. Mina policjanta była tak wymowna, że Papajowi zrobiło się żal chłopaka.

– Nie martw się chłopie, wszystko kiedyś mija, zły humor szefa też – powiedział życzliwie i serdecznie poklepał aspiranta po plecach.

– Dzisiaj to go chyba szerszeń użądlił – mruknął policjant, odchodząc w stronę schodów. Stan szefa specjalnie Papaja nie zdziwił. Górski właśnie się rozwodził. Podobno nakrył żonę z kochankiem, jak figlowali w wannie i tylko fakt, że tego dnia oddał broń do czyszczenia, zapobiegł podwójnej, a może nawet potrójnej tragedii. On na szczęście nie musiał kończyć swoich małżeństw z takich oczywistych

powodów. W jego przypadku winne były charaktery oraz w pewnym stopniu zawód, jaki wykonywał. Może brak tak bolesnych przeżyć sprawił, że nadal utrzymywał przyjacielskie relacje z obiema swoimi byłymi żonami. Mimo jasnego ostrzeżenia Papaj zapukał i nie czekając na zaproszenie, uchylił drzwi.

– Piotrek mogę na sekundę?

– A to coś pilnego? – spytał Górski, otwierając właśnie jedną z papierowych teczek leżących na biurku.

– Trochę tak – odparł Papaj, wiedząc, że wyrażenie coś pilnego, jest pojęciem bardzo względnym. To, co dla jednych mogło być ważne, inni uznawali za zwykłe zawracanie dupy.

– Dobra, włącz, ale streszczaj się, bo mam sporo pracy – uprzedził komendant.

– OK, w takim razie będzie bardzo krótko i konkretnie. Przydziel mi aspirant Nowicką do sprawy tego zabetonowanego szkieletu – wypalił komisarz. Reakcja przełożonego była do przewidzenia. Górski zmarszczył brwi, spojrzął na Papaję karcącym wzrokiem i przecząco pokręcił głową. Następnie nabrał głęboko powietrza i wygłosił znaną wszystkim regułkę, że nie będzie na komendzie, tolerował niezdrowych relacji towarzyskich i Papaj nie ma co liczyć na ulgowe traktowanie w tej kwestii.

– Piotrek, ta dziewczyna bardzo mi już pomogła. Jest bystra, ma zdolność kojarzenia faktów i zdobywania informacji – Papaj wymieniał zalety policjantki w nadziei, że te przekonają Górskiego.

– Ja to wszystko wiem, ale znam cię na tyle długo, by mieć podstawy wątpić, w twoje czyste zawodowe intencje.

– Czyli nie ma żadnych szans? – upewnił się Papaj, ruszając do drzwi.

– Tego nie powiedziałem – stwierdził komendant – ale twoje chęci to nie wszystko – dodał, wyjaśniając, że jeśli sama zainteresowana, a także Pawłowski, który formalnie, był jej przełożonym, wyrażą zgodę, to on to przyklepie. Papaj podziękował i opuścił gabinet Górskiego. O ile sama Nowicka, wyraziła chęć współpracy, to u Pawłowskiego zaczęły się schody.

– Papaj, chcesz mi zabrać jednego z najlepszych ludzi, a ty wiesz, jakie ja mam tyły? – komisarz już miał powiedzieć, żeby kolega sam wziął się do roboty, to i zaległości będzie mniej. Od dawna było wiadomo, że jedynym, w czym Pawłowski był dobry, to zarządzanie zespołem. Polegało ono głównie na rozdzielaniu zadań między swoich podwładnych. Sam natomiast unikał pracy jak abstynent alkoholu.

– Słuchaj Jurek, ja naprawdę potrzebuję kogoś, aby zamknąć tę sprawę do urlopu, a Nowicka siedzi w niej na tyle głęboko, że zapoznawanie kogoś innego ze szczegółami, to przynajmniej jeden dzień w plecy. Uporamy się ze wszystkim w trzy dni i będziesz ją miał z powrotem u siebie – zapewnił Papaj, mając nadzieję, że ten argument przekona kolegę.

– No dobra, ale tylko na czas tej sprawy – skapitulował Pawłowski.

– Dzięki, jestem twoim dłużnikiem – rzucił Papaj, wychodząc na korytarz.

– Który to już raz – usłyszał za sobą mruknięcie kolegi, jednak teraz mógł on sobie mrużyć, ile chciał.

– Pani Justyno, wszystko załatwione, od jutra jest pani przydzielona do mnie – zakomunikował komisarz – niestety z powodów lokalowych, każde z nas będzie pracowało u siebie – dodał, prosząc, aby następnego dnia policjantka zajęła się znalezieniem informacji o budynku warsztatów.

– Chodzi o wszystkie remonty – przypomniał, choć wiedział, że Nowicka wszystko dokładnie zapisała. Wracając do swojego pokoju, poczuł wibrowanie telefonu w kieszeni. Wyciągnął aparat i zerknął na ekran. Dzwonił Adam Kuchciński.

– Dzień dobry, panie doktorze – powiedział Papaj, wchodząc do pustego biura. Nieobecność Lipińskiego i Polaka specjalnie komisarza nie zdziwiła. W przeciwieństwie do niego bardzo rzadko zostawali w pracy dłużej, niż było to konieczne.

– Panie komisarzu, prosił pan o wiadomość, gdy dostanę wyniki tego kompozytu. No więc przed chwilą dotarli, więc byłoby dobrze, gdybyśmy się spotkali – stwierdził patolog, najwyraźniej nie chcąc rozmawiać o tej sprawie przez telefon.

– Czy dzisiaj jeszcze, zastanę pana w zakładzie? – Papaj spojrział na zegar wiszący na jednej ze ścian.

– Tak, dziś pracuję do osiemnastej.

– W takim razie, przyjadę za mniej więcej godzinę – zapowiedział komisarz, zastanawiając się, czy nie zabrać na to spotkanie Nowickiej. Pomyśl nie był zły, tym bardziej że nie mieli oglądać żadnych zwłok, ani szkieletów, a jedynie porozmawiać o wynikach. Nie chcąc ponownie odwiedzać policjantki, sięgnął po słuchawkę stojącego na biurku telefonu i wybrał jej numer.

– Tak panie komisarzu?

– Pani aspirant, za mniej więcej godzinę jadę do zakładu medycyny sądowej, omówić z patologiem wyniki tego szkieletu. Czy miałyby pani ochotę pojechać ze mną? – pytanie musiało zaskoczyć policjantkę, bo odpowiedziała dopiero po chwili.

– Czemu nie, właściwie nie mam żadnych planów.

– W takim razie, za godzinę przed komendą – odrzekł Papaj, odkładając słuchawkę telefonu. Następnie wybrał numer Anny Moskal. Prokuratorka odebrała po kilku sygnałach. Po odgłosach, jakie słyszał i fakcie, że rozmawiała przez zestaw głośnomówiący, wywnioskował, że właśnie jechała samochodem.

– Dzień dobry, pani prokurator, mogę zająć chwilkę?

– Jeśli tylko tyle, to proszę – usłyszał chłodną odpowiedź, pozbawioną jakiegokolwiek serdeczności. Już miał ochotę rzucić coś w stylu, aby się uśmiechnęła, ale w porę się opanował.

– Ustaliliśmy, że broń znaleziona przy zwłokach należała do Mieczysława Sobótki, kaprała Milicji Obywatelskiej, który zaginął w sierpniu 1985 roku. Próbowaliśmy znaleźć coś na jego temat, ale akta są mocno wybrakowane. Tak sobie pomyślałem, że może w archiwum prokuratury zachowały się dokumenty.

– A ma pan sygnaturę tych akt?

– To akurat udało się ustalić.

– W takim razie proszę mi ją przesłać, a ja zobaczę czy będę mogła pomóc.

– Bardzo dziękuję i będę pani dłużnikiem.

– Podziękowania w zupełności wystarczą – ucięła prokuratorka i zakończyła połączenie.

– To się jeszcze okaże – powiedział Papaj sam do siebie, i postanowił sprawdzić, co dzieje się w wirtualnym świecie towarzyskim. Uruchomił aplikację randkową.

– Jak tam wizyta u szefa? – zagadnął Edytę, widząc, że ta jest aktywna.

– Może to dziwnie zabrzmie, ale mam ludzkiego szefa, więc wizyty w jego gabinecie nie są dla mnie jak wyruszenie na front.

– To świetnie, ale wracając do drinka na wrocławskim rynku, to który lokal jest twoim ulubionym? – zapytał Papaj, wiedząc z doświadczenia, że pierwsze spotkanie najlepiej zorganizować w miejscu, w którym kobieta będzie się czuła swobodnie. Poczucie komfortu miało bowiem fundamentalny wpływ na rozwój dalszej znajomości.

– Jest ich kilka, ale najbardziej lubię taki mały bar w amerykańskim stylu. Wiesz, wysokie barowe krzesła, dużo chromu i szkła, w kącie grająca szafa – odpisała dziewczyna. O lokalu wybranym przez Edytę Papaj słyszał już kilka razy, ale nigdy w nim nie był.

– Ok, to może o 20:00? – zaproponował. Wybór godziny także nie był przypadkowy. Nie wiedział, gdzie kobieta pracowała. Jednak fakt, że około jedenastej została wezwana przez szefa, wskazywał na jakąś korporację lub urząd.

– Mi pasuje – odpisała Edyta – tylko się nie spóźnij, bo spóźniałskich nie znoszę – dopisała po chwili.

– To kolejna cecha, która nas łączy. Będę punktualnie, a teraz muszę uciekać do pracy – napisał Papaj i wyłączył aplikację.

Popołudniowy szczyt komunikacyjny sprawił, że dotarcie do Zakładu medycyny Sądowej zajęło im nie kwadrans, ale ponad pół godziny. Każde jechało swoim samochodem, więc komisarz musiał poczekać kilka minut na przyjazd Nowickiej, którą zatrzymały światła na skrzyżowaniu. W holu budynku było cicho i pusto. Kroki Papaja i Nowickiej odbijały się głośnym echem.

– Pierwszy raz w takim miejscu? – zapytał Papaj, ciekaw czy policjantka już przedzej miała styczność z patologami.

– Spokojnie, nie należę do tych wrażliwych, tracących przytomność na widok krwi – zapewniła.

– Dzisiaj, to raczej tylko kości zobaczymy, o ile w ogóle będzie taka potrzeba – wyjaśnił Papaj, pukając do drzwi na końcu korytarza. Gdy usłyszeli zaproszenie, komisarz nacisnął klamkę i przepuścił Nowicką przodem.

– To jest aspirant Justyna Nowicka, która także zajmuje się tą sprawą – wyjaśnił komisarz, widząc pytające spojrzenie Kuchcińskiego, skierowane na rudowłosą dziewczynę.

– Zapraszam więc do części biurowej. Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać – powiedział patolog, prowadząc ich do sąsiedniego pomieszczenia. Pokój był niezbyt duży. Umebłowany biurkiem, kwadratowym stołem i kilkoma składanymi krzesłami. Na biurku stał uruchomiony laptop.

– Jak już panu powiedziałem, podczas naszego pierwszego spotkania zastanowiły mnie wypełnienia z kompozytu, które odkryłem w uzębieniu badanego szkieletu – zaczął Kuchciński, kiedy usiedli przy stole – wyniki, jakie dziś otrzymałem, wyraźnie wskazują, że w tym przypadku zastosowano kompozyty porcelanowo-polimeryczne. Ten konkretny model, zaczęto stosować od roku 1983. Odznaczał się na tyle dobrymi parametrami, że z drobnymi modyfikacjami używany jest do dziś – słuchając wyjaśnień patologa, Papaj uznał, że te informacje, obecnie niczego nowego do śledztwa nie wnoszą. Przecież wiedzieli, kiedy zaginął starszy kapral Mieczysław Sobótka.

– Przepraszam, czy mogę zadać panu pytanie? – wtrąciła nieśmiało Nowicka.

– Oczywiście, proszę pytać.

– Czy te wypełnienia w Polsce były powszechnie stosowane? Może to idiotyczne pytanie, ale ostatnio jak mój dentysta zakładał mi kompozytowe wypełnienie, to wspomniał, że to u nas wciąż dość nowa technika plombowania.

– Droga pani, nie ma idiotycznych pytań, co najwyżej są tylko głupie odpowiedzi – uśmiechnął się Kuchciński, nim przeszedł do wyjaśnienia kwestii, poruszonej przez Nowicką.

– Ale tak, pani dentysta miał rację. W Polsce wypełnienia kompozytowe zaczęto stosować dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych, więc w porównaniu z innymi krajami to rzeczywiście jesteśmy trochę w tyle – przyznał mężczyzna.

– Zaraz, czy ja dobrze rozumiem, że denat nie leczył zębów w Polsce? – zdezorientowany Papaj wszedł patologowi w słowo.

– Tego może być pan pewien, że nieboszczyk nie leczył zębów w naszym kochanym kraju, tylko gdzieś na zachodzie – wyjaśnił patolog, a komisarz w mig zrozumiał, co to oznacza. Skoro Mieczysław Sobótkę, było stać na takie luksusy, to raczej nie był tylko zwykłym kapralem milicji obywatelskiej.

Milicjanci owszem mieli pewne przywileje, ale nie takie, aby dostawać paszporty, dzięki którym mogli wyjeżdżać na zachód, żeby tam w luksusowych warunkach, borować swoje polskie zęby. A nawet jeśli Sobótka mógł wyjeżdżać, to takie leczenie było kosztowne, więc skądś musiał mieć dewizy. Kim zatem jeszcze mógł być Mieczysław Sobótka, poza byciem milicjantem? Możliwości było wiele, ale jedna szczególnie prosiła się o sprawdzenie.

– Trzeba będzie poszperać w archiwach IPN, czy pan Sobótka nie był czasami na usługach wywiadu – pomyślał Papaj, dziękując w duchu, że aspirant Nowicka miała gadatliwego dentystę oraz że sama była na tyle bystra, aby zapytać Kuchcińskiego o kwestię, na którą on zupełnie nie zwróciłby uwagi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po opuszczeniu Zakładu Medycyny Sądowej, Justyna Nowicka miała w głowie kompletny mętlik. Kilka niewinnych zdań patologa, dotyczących leczenia zębów spowodowało, że teoria Papaja, ku której ona również się skłaniała, musiała zostać zmodyfikowana. Hipoteza o tym do kogo należą szczątki, zdaniem Nowickiej nadal była aktualna i sensowna, tym bardziej że poparta mocnymi dowodami, w postaci znalezionej broni oraz faktu, że Mieczysław Sobótka zaginął. Jednak w obliczu nowych ustaleń pojawiła się na niej wyraźna rysa. Co prawda pęknięcie nie było aż tak duże, aby mogło spowodować katastrofę, jednak stało się jasne, że osoba Mieczysława Sobótki jest bardziej tajemnicza, niż do tej pory zakładali. Szczególnie fakt, że ofiara leczyła zęby za granicą, zasiał w Nowickiej ziarno zwątpienia. Papaj również wyszedł dziwnie zamyślony. Zamierzała nawet zapytać, czy jego koncepcja także legła w gruzach, ale uznała, że jeśli będzie chciał, to sam podzieli się z nią swoimi przemyśleniami. Komisarz odezwał się dopiero wtedy, gdy dotarli na parking.

– Sluchaj, zorganizuj sobie jutro pracę w taki sposób, abyśmy mogli około dziesiątej pojechać do żony tego Sobótki – poprosił Papaj, kiedy znaleźli się na parkingu – uważam, że powinniśmy z nią porozmawiać. Może ona wie, jak przebiegało śledztwo i dlaczego zostało umorzone – wyjaśnił – chyba że masz lepszą propozycję? – dodał po chwili. Nowicka obecnie nie miała żadnego pomysłu, więc bez wahania przystała na plan Papaja.

– Nie mamy nic do stracenia, a nawet jeśli niczego się nie dowiemy, to zrobimy sobie wycieczkę krajoznawczą – rzucił komisarz, gdy już wsiadła do swojej Fiesty.

– Rano odwiedzę kilka miejsc i popytam o archiwalną dokumentację techniczną warsztatów, ale myślę, że do dziesiątej się wyrobię.

– Dobra, w takim razie będę czekał na ciebie w swoim biurze – powiedział Papaj, wsiadając do zaparkowanej obok Vitary. Nowicka obrzuciła czarne Suzuki komisarza zazdrosnym spojrzeniem, uruchomiła silnik i odjechała. Jej samochód był już prawie nastolatkiem, który powoli zamieniał się w skarbonkę.

– Może sprawić sobie coś takiego jak ma Papaj – pomyślała – ale najpierw musiałabym obrabować bank – mruknęła pod nosem. Porzucając marzenia o nowym aucie, powróciła myślami do śledztwa. Jadąc w sznurze samochodów, zastanawiała się, kto zamordował mężczyzną zakopanego pod posadzką warsztatów, bo wszystkie dotychczasowe ustalenia właśnie na to wskazywały. Nurtowało ją również, dlaczego ciało i broń zostały zakopane razem. Przecież istniały lepsze sposoby na pozbycie się pistoletu. Pozostawienie go obok ofiary oznaczało, że zabójca nie brał pod uwagę możliwości ujawnienia zwłok. W przeciwnym razie nie zostawiałby śladu prowadzącego do ustalenia tożsamości swojej ofiary.

– A jeśli broń została zakopana celowo? – pomyślała Justyna i spróbowała znaleźć logiczne wyjaśnienie takiej hipotezy. Jedyne jakie przyszło jej do głowy zakładało, iż morderca liczył się z możliwością ujawnienia zwłok, a pistolet miał tylko zmylić kierunek śledztwa. Jednak teoria ta była bardziej szalona niż fabuły powieści kryminalnych pisanych przez Stefana Króla. Zdawała sobie sprawę, że na część z pytań, mogą nie znaleźć odpowiedzi i będą musieli bazować na poszlakach.

Jednak pewne rzeczy były do ustalenia i na nich właśnie postanowiła się skoncentrować. Kiedy wreszcie zaparkowała przed swoim blokiem, dochodziła osiemnasta. Aby ułatwić sobie analizę dotychczasowych ustaleń, wyjęła ze schowka stary, gruby brulion. Teoretycznie służył jej do zapisywania prywatnych spraw, takich jak telefony, adresy, tytuły książek do przeczytania. Praktycznie zaś większą jego część zajmowały zapiski zawodowe. Znalazła czystą kartkę i szybkim ruchem długopisu podzieliła ją na dwie kolumny. Po lewej zaczęła zapisywać fakty. Pierwszym był znaleziony pistolet. Broń ponad wszelką wątpliwość należała do Mieczysława Sobótki. Drugim było zaginięcie milicjanta. Co prawda fakt zgłoszenia zaginięcia, nie był równoznaczny z tym, że ktoś rzeczywiście zaginął, ale opierając się na dokumentacji, Nowicka uznała, że to prawda. Pozostałe ustalenia, trudno było jej zaklasyfikować jako fakty. Dlatego przyczynę śmierci, podaną przez patologa, a nawet przypuszczenie, że denat za życia leczył zęby za granicą, wpisała jako domysły do kolumny po prawej. Nie miała podstaw, aby nie wierzyć Kuchcińskiemu, który zdaniem Papaja, był jednym z najlepszych patologów w kraju. Jednak nie miała też żadnych dowodów. Przecież pęknięcie kości, mogło być wynikiem wypadku, a nie uduszenia. Możliwe było też, że jakiś krajowy dentysta, stosował w latach osiemdziesiątych technologię z zachodu. Również w prawej kolumnie, znalazła się hipoteza, że szczątki z warsztatów należą do Mieczysława Sobótki. Liczyła jednak, że dzięki córce milicjanta i badaniom DNA dość szybko będzie można ustalić tożsamość ofiary. Nowicka kilka razy przeczytała swoje zapiski i nie bardzo wiedząc, co jeszcze mogłaby do nich dodać, schowała brulion do schowka, a następnie wysiadła z samochodu. Najchętniej poszłaby do mieszkania, wzięła gorącą kąpiel i odpoczęła, ale musiała jeszcze zrobić zakupy. Żałowała, że nie wstąpiła do któregoś z licznych, mijanych po drodze marketów. Niechętnie ruszyła więc do osiedlowego sklepu. Początkowo miała zamiar przyrządzić sobie normalną kolację. Jednak zmęczenie całym dniem pracy wzięło górę. Kupiła gotową sałatkę z grillowanym kurczakiem, kilka jogurtów i bochenek razowego chleba.

Po wejściu do bloku sprawdziła skrzynkę na listy, ale prócz ulotek okolicznych marketów i rachunku za prąd, nie znalazła niczego ciekawego. Wrzuciła korespondencję do torby z zakupami i ruszyła na drugie piętro. Mieszkanie, w którym obecnie pomieszkiwała, należało do jej siostry. Paulina od pół roku przebywała na stypendium badawczym w Nowym Yorku. Mimo pokrewieństwa były zupełnie inne i to już od wczesnego dzieciństwa. Podczas gdy Justyna grała z chłopakami w piłkę i wspinała się na drzewa, Paulina wolała oglądać programy dokumentalne i czytać książki. Nic więc dziwnego, że w szkole zawsze należała do grona uczniów, których nauczyciele stawiali innym za wzór. Justyna nigdy nie zazdrościła siostrze niczego. Ani tego, że zawsze miała czerwony pasek na świadectwie, ani czołowych miejsc w olimpiadach i konkursach przedmiotowych, ani studiów, na które wyjechała do Warszawy. Zawsze cieszyła się z jej sukcesów i mogła liczyć na to samo ze strony Pauliny. Była wdzięczna siostrze za prawie darmowe lokum. Płaciła jedynie za czynsz i media. Gdyby z policyjnej pensji musiała utrzymać się we Wrocławiu, to w grę wchodziło jedynie wynajęcie pokoju i to raczej z kimś do spółki, bo nawet samodzielne pokoje, osiągały zawrotne ceny. Idąc po schodach, chcąc nie chcąc uczestniczyła w życiu lokatorów mijanych mieszkań. Po dwóch tygodniach wiedziała, że pod jedyneką mieszka starsza samotna kobieta, prawdopodobnie mająca kłopoty ze słuchem, ponieważ w jej mieszkaniu zawsze głośno grał telewizor. Pod dwójką mieszkało czworo studentów, korzystających z uroków studenckiego życia. Mieszkanie pod trójką, chyba nie było zamieszkałe. Pod czwórką mieszkało małżeństwo z bliźniaczkami, w wieku przedszkolnym. Obok małżeństwo emerytów, których często odwiedzał pijany wnuk. Nowicka słyszała rozmowy i kłótnie toczące się w mijanych mieszkaniach, które mimo ścian i drzwi nie zapewniały absolutnie żadnej prywatności. Choć budynek oddano do użytku zaledwie przed rokiem, to pod względem izolacji akustycznej wciąż

przypominał bloki z wielkiej płyty, w których Justyna mieszkała podczas studiów. Kiedy wreszcie dotarła na drugie piętro, stanęła jak wryta. Na drzwiach jej mieszkania zobaczyła coś, co podziało na nią, jak płachta na byka. Ktoś taśmą klejącą przyczepił kartkę, z odręcznie napisanymi kilkoma słowami, które obudziły w Justynie prawdziwą bestię. Wściekłość, jaką odczuwała była tak silna, że gdyby teraz miała stoczyć walkę z Gołotą, to jednym ciosem posłałaby go na deski. „Nie wpierdalał się do cudzego życia ty policyjna suko”. Czerwone niezgrabne litery z pewnością przykuwały spojrzenia każdego, kto tędy przechodził, a że blok miał cztery piętra, czytelników mogło być sporo.

– Ciekawe, jak długo to tutaj wisi – pomyślała, zrywając kartkę i zgniatając ją w małą papierową kulkę, nie większą od orzecha. Znalazienie tego, kto przesłał jej wiadomość, nie wymagało skomplikowanego śledztwa. Wystarczyło jedynie zejść piętro niżej i zadzwonić do mieszkania, znajdującego się pod jej mieszkaniem. To tam mieszkał barczysty czterdziestolatek, o włosach tak krótkich, że nie potrzebowały grzebienia oraz tatuażach pokrywających wszystkie odkryte, a i pewnie, te ukryte części ciała. Nowicka widziała go tylko raz, gdy najpewniej wracał z pracy. Kulturalnie powiedział dzień dobry, a nawet przepuścił ją w drzwiach wejściowych do bloku. Wtedy wzięła go za sympatycznego, choć może ciut oryginalnie wyglądającego człowieka. Jednak kilka godzin później usłyszała, jak w domowym zaciszu rozmawiał z żoną, przy pomocy pięści. Następnego dnia Justyna przykleiła do drzwi jego mieszkania ostrzeżenie. „Jeśli jeszcze raz uderzy pan swoją żonę, to wezwę policję”.

– Widocznie groźba rozmowy ze stróżami prawa, podziała na faceta w sposób odwrotny do zamierzonego – uznała Justyna, wchodząc do mieszkania. Po zjedzeniu sałatki, przeszła do łazienki, zrzuciła ubranie i naga stanęła przed lustrem. Zdezynfekowała dłonie i ostrożnie zdjęła szkła kontaktowe. Jej oczy z zielonych zmieniły się na piwne. Patrząc na swoje odbicie, zatęskniła do tej innej Justyny, o naturalnie czarnych jak węgiel włosach i oczach koloru migdałowego bursztynu. Odruchowo sprawdziła czubek głowy, w poszukiwaniu odrostów, ale jeszcze żadnych nie znalazła. Opuszczając Kłodzko, zmieniła nie tylko pracę i numer telefonu, ale również wygląd. Tylko w ten sposób, mogła się odciąć od przeszłości. Zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później będzie zmuszona stanąć z nią twarzą w twarz, ale najpierw musiała ochłonąć, pozbyć się złości na człowieka, który cztery lata był jej mężem, z czego przez trzy zdradzał ją regularnie i z wyrachowaniem. Po chwili namysłu zrezygnowała z długiej kąpeli, na rzecz krótkiego prysznica. Pięć minut później, ubrana w wygodny dres, usiadła przed laptopem. Nigdy wcześniej, nawet gdy pracowała w Kłodzku, nie zabierała pracy do domu. Przede wszystkim dlatego, że większość zadań, jakie wykonywała, wymagały dostępu do policyjnych baz danych. Jednak sprawa odkopanego szkieletu, była inna. To, co mogła ustalić w oficjalnych źródłach, już ustaliła i teraz trzeba było, sięgnąć do ogólnie dostępnych zasobów, a tych w internecie nie brakowało. Najpierw postanowiła sprawdzić rodzinę Mieczysława Sobótki. Oficjalnie jego żona i córka mieszkały w Nowym Świątowie, niewielkiej wsi oddalonej od Wrocławia o sto kilometrów. Jednak wystarczyło pięć minut, spędzone na portalu społecznościowym, aby dowiedzieć się, że Izabela Sobótka faktycznie mieszka we Wrocławiu i pracuje w jednym z centrów handlowych. Twarz dziewczyny wydała się Nowickiej znajoma. Miała nieodparte wrażenie, że już ją kiedyś widziała, a co więcej, musiało to być całkiem niedawno. Nowicka kliknęła, powiększając zdjęcie profilowe córki Mieczysława Sobótki. Dziewczyna jak na swoje trzydzieści lat wyglądała bardzo dziewczęco. Okrągła, delikatnie opalona twarz, o regularnych łagodnych rysach. Duże niebieskie oczy, zmrużone w lekko figlarnym uśmiechu. Całości dopełniały krótkie, jasne włosy z postrzępioną grzywką. Nowicka wpatrywała się uparcie w zdjęcie. Za wszelką cenę próbowała przypomnieć sobie, gdzie i kiedy widziała już tę dziewczynę. Gdy niemal straciła nadzieję, doznała olśnienia. Spotkały się

poprzedniego dnia w sklepie, gdzie Nowicka kupiła sobie golf. Sobótka pracowała tam jako ekspedientka. Co prawda nie obsługiwała Nowickiej, ale inną klientkę obok. Mimo to zapadła policjantce w pamięć. Profil Izabeli Sobótki nie był specjalnie przeładowany zdjęciami czy wpisami. Dwa, może trzy zdjęcia na tydzień uświadomiły Nowickiej, że dla dziewczyny ważniejsze jest realne życie z rzeczywistymi ludźmi, niż wirtualna sława. Na jednym ze zdjęć, jak wynikało z opisu zrobionym przy wieży widokowej na Biskupiej Kopie, Izabela była w towarzystwie swojej matki. Nowicka patrzyła na zdjęcie, próbując dostrzec jakieś podobieństwo między kobietami, ale poza kolorem oczu nie znalazła żadnego.

– Pewnie jest podobna do ojca – przemknęło Nowickiej przez myśl. Już miała przejść do kolejnej fotki, ale przeszkodził jej odgłos dzwonka, oznajmającego nowe połączenie wideo od Pauliny. Kliknęła zieloną słuchawkę i usłyszała głos siostry, która uwzględniając różnicę czasu, najpewniej miała przerwę na lunch.

– No hej siostra, co tam ciekawego we Wrocławu?

– A ty nie w pracy? – zdziwiła się Justyna, widząc, że siostra siedzi w łóżku ubrana w koszulkę, której przód zdobiła ogromna truskawka.

– Nie, dzisiaj mam wolne, więc mogę poleniuchować.

– Takiej to dobrze, nie dość, że siedzi w stanach, to jeszcze może sobie pozwolić na leniuchowanie.

– Jak widzę, ty też już wskoczyłaś w ulubiony dresik – zauważyła siostra, wystawiając język do kamerki.

– Słuchaj Justyna – powiedziała Paulina, porzucając luźny ton – wczoraj napisała do mnie Anka Gutowska i poprosiła o twój nowy numer telefonu – Nowicka, słysząc nazwisko koleżanki ze studiów, której nie widziała od ich zakończenia i prócz grzecznościowych komentarzy na Facebooku, nic ich nie łączyło, poczuła nieprzyjemny ucisk w dołku. To nie mógł być przypadek, że w kilka tygodni po opuszczeniu Kłodzka, ktoś, podszywając się pod dawną koleżankę, próbuje zdobyć jej nowy numer.

– Mam nadzieję, że nie dałaś się nabrać? – zapytała Justyna, której nie uśmiechała się ponowna zmiana numeru.

– No co ty, przecież jestem siostrą gliniarki – obruszyła się Paulina – grzecznie poprosiłam, aby rzekoma Anka dała mi swój numer, a ja ci go przekaże – dodała z miną przebiegłego spryciarza.

– I co dała? – spytała Justyna z czystej ciekawości.

– No właśnie dała, a chcesz go?

– Nie, raczej podziękuję. Wystarczy, że mam już na głowie twojego sąsiada, który przykleja mi wiadomości do drzwi.

– O ile mnie pamięć nie myli, ty zaczęłaś pierwsza – przypomniła siostra.

– I jak trzeba będzie, to również pierwsza to zakończę, ale póki co mam trochę roboty, więc uciekam – rzuciła Nowicka i po wymianie pożegnalnych grzeczności, zakończyła połączenie. Przed pójściem do łóżka, ustaliła jeszcze kilka telefonów, które mogły okazać się pomocne przy zdobywaniu wiedzy o historii warsztatów szkolnych, na ulicy Krakowskiej. Próbowała zasnąć, ale wspomnienia o wydarzeniach minionego dnia, skutecznie jej to uniemożliwiały. Szczególnie fakt, że przeszłość, którą miała nadzieję zostawić w Kłodzku, najwyraźniej nie dawała za wygraną. Kiedy wreszcie sen zwyciężył, był tak mocny, że gdy rano otworzyła oczy, zorientowała się, że przespała dzwonek budzika, choć ten nastawiła na maksymalną głośność.

Zdobywanie wiedzy o historii warsztatów przy Krakowskiej, Nowicka postanowiła rozpocząć od telefonu do Daniela Oleksego. Wyszła z założenia, że jako nowy właściciel, powinien posiadać

dokumentację techniczną budynku, wraz z opisanymi remontami. Tak przynajmniej podpowiadała logika. Niestety Oleksy nie odbierał.

– No trudno, spróbuję później – pomyślała i chowając do torebki notes oraz kilka innych drobiazków, wyszła z mieszkania. Zbiegając po schodach, usłyszała odgłos zamykających się drzwi wejściowych, do którego po chwili, dołączył dzwonek telefonu.

– Tak kochanie, kupiłam wszystko, już jestem w bloku – kobieta mówiła szybko, a jej ton nawet przy słowie kochanie brzmiał tak, jakby się czegoś lub kogoś bała. Gdy Nowicka skręciła na półpiętrze, kilka schodów niżej zobaczyła żonę wytatuowanego sąsiada. Mimowolnie zwolniła i mijając sąsiadkę, dokładnie się jej przyjrzała. Kobieta miała na nosie przeciwsłoneczne okulary, które jednak nie zdołały zasłonić ciemnych siniaków. Justyna bąknęła dzień dobry i odwracając wzrok, z którego każdy bez większego trudu wyczytałby wściekłość wymieszaną z żądzą wymierzenia sprawiedliwości, na zasadzie oko za oko, ząb za ząb, minęła kobietę, postanawiając jednak, że nie zostawi tak tej sprawy. O przemocy domowej wiedziała więcej, niż by chciała. Praca w policji, brutalnie otworzyła jej oczy na to zjawisko. Po dwóch latach służby przekonała się, że domowym tyranem może być absolutnie każdy, poczynając od bezrobotnego, wечно pijanego lesera, przez zajmujących wysokie stanowiska lekarzy, prawników, urzędników, polityków, a na policjantach kończąc. Wszyscy oni byli zdolni do tego, aby wyładowywać na żonie i dzieciach, swoje frustracje i niepowodzenia.

– Już ja cię nauczę szacunku dla żony – pomyślała, podchodząc do samochodu. Właśnie miała wsiąść, gdy dostrzegła, że auto jest dziwnie przechylone. Spojrzała zaniepokojona na koła po swojej stronie, ale te były w porządku. Dopiero gdy okrążyła Fiestę, poczuła, jak rośnie w niej furia. Przednia opona miała długie rozcięcia.

– A to skurwiel – syknęła, podnosząc głowę w kierunku okien mieszkania na pierwszym piętrze. W jednym z nich ktoś poruszył firanką i jakaś postać schowała się w głębi. Nowicka otworzyła drzwi od strony kierowcy, sięgnęła do kamery samochodowej i wyjęła kartę pamięci. Ściskając prostokąt w palcach, popędziła do mieszkania. Po chwili, na monitorze laptopa, wyświetlił się zarejestrowany obraz. Przyspieszając odtwarzanie, obejrzała zapis z ostatnich dwunastu godzin. To, czego szukała, znalazła po kilku minutach. Zegar w górnym rogu wskazywał 04:29, gdy w kadrze ukazała się sylwetka mężczyzny, idącego w stronę samochodu. Kiedy zbliżył się na odległość dwóch metrów, Nowicka rozpoznała w nim wytatuowanego sąsiada. O ile prędszej tylko podejrzewała, kto stał za przecięciem opony, to teraz miała namacalny dowód. Wylączyła komputer, wyszła z mieszkania, zbiegła po schodach i nacisnęła dzwonek przy drzwiach, interesującego ją mieszkania. Po chwili zgrzytnął otwierany zamek, a w progu stanął facet, którego umięśnione, pokryte licznymi tatuażami ramię, było prawie tak grube, jak udo Nowickiej.

– Tak słucham? – burknął opryskliwie, stając w rozkroku i zaczepnie wysuwając dolną szczękę. Nowicka bez zastanowienia wyprowadziła silnego kopniaka między uda mężczyzny, a gdy ten jęcząc, zgiął się w pół, poprawiła, uderzając kolanem w jego nos. Rumor przewracającego się ciała rozniósł się echem po pustej klatce schodowej. Nowicka weszła do korytarza, zamykając za sobą drzwi.

– Dzień dobry, chciałam z panem o czymś porozmawiać – zagadnęła, przyklękając w bezpiecznej odległości od wytatuowanego byczka, który wciąż skamlał, jak ranne zwierzę.

– Po pierwsze, nie lubię, jak ktoś niszczy moją własność – wycedziła lodowatym głosem, bacznie obserwując ruchy leżącego – a po drugie, bicie słabszych jest oznaką tchórzostwa – dodała, starając się mówić spokojnie, jakby tłumaczyła dziecku, że pewnych rzeczy zwyczajnie nie wolno robić. Cienka stróżka krwi, spływająca z rozbitego nosa mężczyzny, skapywała na jasną terakotę.

– Już jesteś martwa, ty wredna suko – wycharczał mężczyzna, próbując wstać. Nowicka poderwała się na równe nogi, i kilkoma kopniakami w żołądek przekonała faceta, że leżenie na podłodze będzie dla niego korzystniejsze, niż ciskanie gróźb pod jej adresem.

– Twoje groźby mam głęboko w dupie, a nawet jeśli spróbujesz, to pięciu takich jak ty złoży ci wizytę i zapewniam, że oni będą znacznie mniej subtelni, niż ja – przestrzegła Nowicka, stając przy drzwiach – a jutro dostarczę ci rachunek za naprawę koła – dodała, kładąc dłoń na klamce – oczywiście płatne gotówką – zaznaczyła, otwierając drzwi. Gdy je za sobą zamykała, usłyszała przerażony głos sąsiadki.

– Misiu, co ona ci zrobiła. Nowicka miała ochotę wrócić i poradzić, aby kobieta fundowała mężowi kilka razy w miesiącu podobną terapię, to wtedy z pewnością zacznie ją szanować, ale zrezygnowała i zbiegła do samochodu.

– Takie to smutne, że znaczna część kobiet mimo wszystko tkwi w związkach, gdzie przemoc jest czymś powszechnym – pomyślała, wyjmując zapasowe koło, lewarek i klucz. Po kwadransie jechała już w stronę centrum. W chwili kiedy parkowała obok miejskiego zarządu nieruchomości zadzwoniła jej komórka. Ucieszyła się widząc, że dzwoni Oleksy. – Cześć, dopiero teraz zobaczyłem, że do mnie dzwoniłaś.

– Tak, wielkie dzięki za oddzwonienie. Słuchaj mam do ciebie takie pytanie, czy kupując warsztaty dostałeś jakąś dokumentację techniczną tego budynku?

– Dokumentację techniczną? – zdziwił się Daniel – sądziłem, że masz jakieś informację w sprawie mojego domu – dodał wyraźnie rozczarowany.

– Jestem w trakcie ustalania szczegółów, ale jest jeszcze za wcześnie na jakieś konkrety – skłamała Justyna. Już kilka razy chciała zagadnąć Papaja o tę sprawę, ale pamiętając przestrożę Pawłowskiego, postanowiła poczekać, aż ona i Papaj poznają się bliżej.

– A możesz mi powiedzieć do czego jest ci potrzebna ta dokumentacja? – Justyna przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Zdawała sobie sprawę, że powiedzenie prawdy nie wchodzi w grę, ale ujawnienie tylko jej części i to tej mniej istotnej już tak.

Podjeżdżamy, że te zwłoki zostały tam ukryte już po wojnie, a jedyną sposobnością aby tego dokonać mógł być remont – wytłumaczyła pomijając fakt znalezienia broni i ustalenia, że należała ona do Mieczysława Sobótki.

– Właśnie dlatego poszukujemy dokumentacji zawierającej wykaz remontów, jakie tam wykonywano – zakończyła.

– Bardzo chciałbym ci pomóc, ale jedyne czym dysponuję, to ekspertyza techniczna oraz wycena rzeczoznawcy. Jednak w żadnym z tych dokumentów nie ma wzmianki o wcześniejszych remontach. O ile dobrze sobie przypominam, zarząd nieruchomości miał mi przesłać jakieś stare dokumenty, ale powiedziałem im, że ich nie potrzebuję, więc pewnie są u nich. Dlatego powinnaś tam pojechać i zapytać – poradził Daniel. Już sama wskazówka, jaką właśnie otrzymała, była pomocna. Nie dość, że Oleksy skierował ją do właściwego miejsca, to jeszcze potwierdził, że są tam dokumenty, w których miała nadzieję znaleźć odpowiedzi na kilka nurtujących ją i Papaja pytań. Mimo to wiedzona jakimś impulsem poprosiła o przesłanie skanu ekspertyzy i wyceny. Chciała wiedzieć, kto je sporządził i na jakiej podstawie.

– Żaden problem, mam je zeskanowane, więc podaj mi swój adres emailowy, a za pięć minut będziesz je miała na skrzynce – obiecał.

– A korzystając z okazji możesz mi polecić jakiegoś dobrego wulkanizatora? – poprosiła wyjaśniając, że jakiś wandal przeciął jej w nocy oponę.

– Oczywiście, namiary znajdziesz w wiadomości ze skanami – zapewnił. Justyna podziękowała i zakończyła połączenie. Czekając na wiadomość rozglądała się po parkingu. W pewnej chwili rzucił się jej w oczy wiśniowy fiat 500. Bardzo podobny do tego, jaki miał ją, gdy jechała do Daniela, spisać jego zeznania. Choć zdawała sobie sprawę, że takich samochodów we Wrocławiu może być kilkadziesiąt, postanowiła zweryfikować swoje przeczucia. Nie było to szczególnie trudne, ponieważ cały czas jeździła z włączoną kamerą samochodową. Słyszając dźwięk przychodzącej wiadomości przeniosła wzrok na wyświetlacz telefonu. Przejrzała otrzymane skany, adresy firm, które je wykonały zapisała w notesie i wysiadła z samochodu.

Przechodząc obok wiśniowego fiata, zapamiętała jego numery rejestracyjne i dla pewności, zapisała je w podręcznym notesie. Po chwili weszła do siedziby miejskiego zarządu nieruchomościami. Nie wiedząc, gdzie mogłaby uzyskać potrzebne informacje, Nowicka zastosowała stary, sprawdzony trik. Zapukała do najbliższych drzwi i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. W pomieszczeniu stały trzy biurka. Dwa z nich były uprzątnięte, natomiast przy ostatnim, siedziała niska kobieta w średnim wieku. Farbowane na atramentowy kolor włosy sięgały lekko za ucho. Długa grzywka przesłaniała czoło i niemal dotykała niebieskich oprawek okularów. Urzędniczka szybkim ruchem schowała do szuflady biurka trzymany w dłoni smartfon, który co chwile wydawał charakterystyczne dźwięki przychodzących wiadomości. Wyglądała jak ktoś, kto właśnie został przyłapany na robieniu czegoś zakazanego.

– Dzień dobry, w czym mogę pani pomóc? – spytała, próbując uśmiechem zatuszować zmieszanie. Nowicka przedstawiła się, pokazała legitymację i wyjaśniła, czego chciałaby się dowiedzieć. Urzędniczka zmarszczyła ciemne, perfekcyjnie wyregulowane brwi.

– Z tego, co wiem, to tamtym budynkiem zajmował się pan Edward Kowalski – odparła po chwili namysłu – znajdzie go pani w pokoju 203 – dodała, posyłając Nowickiej uśmiech osoby, która właśnie spełniła dobry uczynek. Policjantka podziękowała i ruszyła na poszukiwania tajemniczego Edwarda Kowalskiego. Gdy zamykała za sobą drzwi, dostrzegła jak dłoń kobiety, szybko wędruje do szuflady biurka. Odszukanie wskazanego pokoju nie sprawiło Nowickiej żadnego problemu, znajdował się na drugim piętrze, tuż przy schodach. Obok drzwi wisiała tabliczka z napisem: Edward Kowalski kierownik działu przetargów". Jednak, aby wejść do gabinetu Kowalskiego musiała odczekać swoje. Przed nią było jeszcze dwóch petentów. Czekając na swoją kolej Nowicka, usiadła na krześle pod oknem, wyjęła telefon, uruchomiła przeglądarkę i odszukała najbliższy zakład wulkanizacyjny. Na wspomnienie rozciętej opony poczuła, jak poziom adrenaliny w jej organizmie gwałtownie rośnie. Gdy chowając uszkodzone koło do bagażnika, przyjrzała się dziurze, miała wątpliwości, czy da się ją naprawić. Jednak teraz to już nie był jej problem, a raczej wytatuowanego byczka. Coś jej mówiło, że mężczyzna bez szemrania ureguluje rachunek. Dlatego mimo zapewnień pracownika firmy wulkanizacyjnej, który twierdził, że są w stanie zreperować prawie wszystkie przebiccia i przecięcia, postanowiła kupić nową oponę. Umówiła się na siedemnastą i chwilę po zakończeniu rozmowy, weszła do pokoju 203. W środku za nowoczesnym biurkiem zobaczyła mężczyznę po pięćdziesiątce, ubranego w modny granatowy garnitur i błękitną koszulę. Niebieskie oczy urzędnika obrzuciły ją obojętnym spojrzeniem.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytał przyjaznym tonem, bardziej pasującym do pracownika międzynarodowej korporacji, niż urzędnika publicznego. Wiadomość, że jest z policji i chciała dowiedzieć się czegoś o remontach w warsztatach na ulicy Krakowskiej nie wywołała u mężczyzny żadnej reakcji. Zupełnie tak, jakby ktoś uprzedził go o jej wizycie.

– No tak, panienka ze smartfonem – przypomniała sobie Nowicka, siadając na jednym z dwóch krzeseł, stojących przed biurkiem Kowalskiego.

– A można wiedzieć, do jakich celów potrzebuje pani tych bądź co bądź historycznych już wiadomości? – w pytaniu nie było słycać zainteresowania, a raczej kiepsko udawane zdziwienie.

– Dwa dni temu, podczas prac remontowych znaleziono tam ludzkie szczątki i teraz prowadzimy postępowanie – wyjaśniła, bez wdawania się w szczegóły.

– Aha, rozumiem – bąknął, marszcząc brwi w wyrazie zamyślenia. Nowicką zastanowiło zachowanie mężczyzny. Było w nim coś podejrzanego, czego jednak nie potrafiła sprecyzować.

– Myślę, że będę mógł pani pomóc – oznajmił po chwili – oczywiście oryginały dokumentów muszą pozostać u nas – zastrzegł, sięgając po słuchawkę telefonu.

– Pani Anno, czy mogłaby pani pójść do archiwum i przynieść mi teczkę z dokumentami warsztatów szkolnych przy Krakowskiej? – poprosił Kowalski – znajdzie ją pani na drugim regale, po lewej stronie od drzwi, w takim zielonym segregatorze – dodał, a Justyna aż uniosła w zdziwieniu brwi.

– Gratuluję tak doskonałej wiedzy o zasobach archiwum – pochwaliła Nowicka – ja, ilekroć schodzę do naszego, muszę się dobrze naszukać, nim coś znajdę – przyznała szczerze. Pochwała wyraźnie zawstydziła mężczyznę.

– Może to kwestia stanu posiadania – zasugerował Kowalski, dodając, że ich archiwum zajmuje tylko jeden mały pokój. Chciał jeszcze coś dodać, ale wtedy, ktoś zapukał w drzwi i do gabinetu weszła ta sama urzędniczka, z którą Nowicka rozmawiała kilkanaście minut wcześniej. W dłoniach trzymała poszarzałą teczkę. Kowalski podziękował i rozłożył na biurku kilkanaście pożółkłych kartek.

– Jak pani sama widzi, za wiele tego nie ma – westchnął, rozkładając bezradnie ręce – zaraz to wszystko skseruję i przyniosę kopie – powiedział i przepaszając, wyszedł z biura. Nowicka wstała, podeszła do okna, przy którym stał okrągły szklany stolik z czterema fotelami i wyjrzała na zewnątrz. Miała stąd widok prawie na cały parking. Wśród kilkunastu aut dostrzegła również wiśniowego Fiata.

– Może zapytać Kowalskiego, czy wie kogo to samochód? – przyszło jej do głowy. Nagle uwagę Nowickiej zwrócił krótki dźwięk. Rozejrzała się uważnie. Po chwili zlokalizowała spojrzeniem leżący na biurku smartfon. Podeszła bliżej i nachyliła się nad telefonem. Na podświetlonym ekranie widniała wyświetlona wiadomość SMS: „Jak tam nasza sprawa? Kiedy będzie ogłoszony przetarg?”. Treść wiadomości była intrygująca. Bez namysłu, wyjęła z torebki własny telefon, skierowała obiektyw aparatu na wiadomość i zrobiła zdjęcie. Ułamek sekundy później ekran zgasł. Nowicka szybko wróciła na swoje miejsce i udając, że rozgląda się po gabinecie, czekała na powrót Kowalskiego. Kiedy pięć minut później zęgnęła się z mężczyzną, ścisła pod pachą białą teczkę z kopią dokumentacji. Siedząc w samochodzie, jeszcze raz, tym razem na spokojnie przejrzała ją i zmarszczyła brwi. Gdyby wierzyć dokumentom, ostatni większy remont przeprowadzono na warsztatach w 1970 roku, ale nawet on nie obejmował wymiany posadzki. Tak więc dokumentacja nie była kompletna. Nowicka wysiadła i wróciła do Kowalskiego.

– Czy jest pan pewien, że to są wszystkie dokumenty o tych warsztatach, jakimi państwo dysponują?

– Tak, poprzedni zarządca niczego więcej nam nie przekazał – zapewnił urzędnik – jedyne co w tej sytuacji mogę pani podpowiedzieć, to wizyta w wydziale oświaty, który zarządzał budynkiem przed nami. Może tam będą mieli bardziej szczegółową dokumentację – poradził mężczyzna po chwili zastanowienia, jednak sceptycyzm w jego głosie nie pozostawiał złudzeń, że szanse na to są niewielkie. Nowicka podziękowała i wyszła na korytarz, pozostawiając uchylone drzwi, przez które wślizgnął się do gabinetu kolejny petent.

Jadąc do wydziału edukacji, oddalonego o kilka przecznic zastanawiała się, czy wizyta w tym miejscu w ogóle ma sens, skoro cała dokumentacja trafiła do miejskiego zarządu nieruchomości. Już miała zrezygnować, gdy wpadł jej do głowy pomysł, który mógł okazać się lepszy niż szukanie dokumentów. W wydziale edukacji skorzystała ze sprawdzonego wcześniej patentu. Weszła do pierwszego lepszego biura, powiedziała, kim jest i czego potrzebuje. Pół godziny później miała listę kilkunasstu osób, które w latach 1985 – 1987 pracowały w zespole szkół, pod który podlegały warsztaty szkolne. Wracając na komendę, Nowicka zastanawiała się, kto z nich jeszcze żyje i jest w na tyle dobrej formie psychicznej, aby pamiętać coś z tamtego okresu. Uznała, że tutaj powinna mieć więcej szczęścia. Przyjmując, iż ktoś z pracowników był wtedy po dwudziestce, to teraz mógł mieć pięćdziesiąt kilka lat, czyli nie był to wiek, w którym pamięć zaczyna płać figle. Po sprawdzeniu wszystkich w bazie ewidencji ludności, policjantka wytypowała cztery osoby. Najmłodsza z nich miała obecnie pięćdziesiąt trzy, a najstarsza pięćdziesiąt osiem lat. W pierwszej kolejności postanowiła złożyć wizytę Beacie Owczarek, przede wszystkim dlatego, że kobieta mieszkała w sąsiedztwie komendy. Idąc do wyjścia, Justyna zobaczyła stojącego przy oknie Papaja. Szybko zrelacjonowała mu dotychczasowe ustalenia, poinformowała o zamiarze rozmowy z Beatą Owczarek i zapowiedziała, że w związku z tym może się trochę spóźnić.

– Żaden problem, ja też mam jeszcze coś do załatwienia, więc wcześniej niż o jedenastej nie wyjedziemy – bąknął Papaj, chowając do kieszeni trzymany w dłoni telefon.

Dotarcie do kamienicy, w której mieszkała Beata Owczarek, zajęło Nowickiej nie więcej niż trzy minuty. Korzystając z tego, że właśnie ktoś wychodził, weszła do budynku. Choć klatka schodowa wyglądała na niedawno remontowaną, to Nowicką owionął zapach obecny w każdej starej kamienicy. Coś jakby pomieszanie wilgoci, tytoniu, pleśni i przepelnionych kubłów na śmieci. Po trzeszczących, przy każdym kroku schodach, ruszyła na drugie piętro. Drzwi mieszkania pod numerem 7 otworzyła dziewczyna o dużych niebieskich oczach, ostrych rysach twarzy i krótkich falujących włosach koloru mokrego piasku. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia kilka lat. Srebrna kulka po prawej stronie jej nosa nie zrobiła na policjantce żadnego wrażenia. Krótka wiosenna kurtka, którą dziewczyna trzymała w rękę, oznaczała, że właśnie ma zamiar gdzieś wyjść.

– Dzień dobry, nazywam się Justyna Nowicka, jestem z policji i poszukuję pani Beaty Owczarek.

– Mamo to do ciebie – zawołała dziewczyna, ubierając kurtkę. Po chwili z głębi mieszkania wyszła kobieta, będąca starszą kopią swojej córki. Obie były do siebie tak bardzo podobne, że pokrewieństwo nie podlegało dyskusji. Nowicka ponownie się przedstawiła, pokazała legitymację i poprosiła o chwilę rozmowy. Beata Owczarek nie kryła zaskoczenia ani wizytą, ani prośbą policjantki.

– Wie pani za pół godziny, wychodzę do pracy – zaczęła kobieta, ale Nowicka oznajmiła, że zajmie jej dosłownie kilka minut. Nie zamierzała wdawać się w zbędne pogawędki, interesowały ją wyłącznie informacje i jeśli nie uzyska ich od Beaty Owczarek, to odwiedzi pozostałe osoby z listy.

– No dobrze, jeśli tylko kilka minut, to bardzo proszę – powiedziała gospodyni, wprowadzając Nowicką do niewielkiego, wysokiego pokoju, pełniącego funkcję salonu. Widać było, że osoba, która go urządziła, miała dobre wyczucie gustu. Wyposażenie stanowiły dwa fotele i kanapa z jasnej skóry, między którymi stał mały kawowy stolik o szklanym blacie. Wszystko łącznie z beżowymi ścianami tworzyło harmonijną całość. Jedynie wiszący na ścianie telewizor, jakoś tu nie pasował.

– Pani Beato, od 1984 do 1989 roku była pani kierownikiem warsztatów szkolnych na ulicy Krakowskiej – zaczęła Nowicka, postanawiając od razu przejść do rzeczy.

– No tak, ale to było bardzo dawno temu – potwierdziła kobieta zdziwionym tonem.

– Zdaję sobie z tego sprawę, jednak chciałam zapytać, czy w tamtym czasie dokonywano na warsztatach jakichś większych remontów? – spytała Nowicka, obserwując uważnie twarz kobiety.

– Remont, mówi pani? Właściwie co chwilę coś tam remontowano.

– Ale mnie interesuje taki bardziej gruntowny z wymianą dachu lub instalacji elektrycznej – sprecyzowała Nowicka, celowo nie wspominając w pytaniu o posadzce, aby niczego kobiecie nie sugerować. Owczarek myślała przez dłuższą chwilę, pocierając kciukiem pokrytą drobnymi zmarszczkami skroń. Nagle jakby coś sobie przypomniała.

– Był taki dość duży remont. Trwał przez całe lato 1985 roku, ale wtedy nie wymieniano ani dachu, ani instalacji, tylko wylewano nową posadzkę.

– Jest pani pewna, że było to w 1985 roku? – kobieta spojrzała na Nowicką z lekkim oburzeniem.

– Wie pani sklerozy, to ja jeszcze nie mam – zapewniła – a co do roku, to jestem pewna, bo właśnie wtedy zaginął mój mąż – dodała, przymykając powieki i zaczęła opowiadać o kulisach zniknięcia Jana Owczarka. Gdy dziesięć minut później Nowicka opuszczała mieszkanie Beaty Owczarek, zadawała sobie tylko jedno pytanie.

Czy fakt, że mąż kobiety zaginął dokładnie w tym samym dniu, co Mieczysław Sobótka to tylko i wyłącznie zbieg okoliczności? Intuicja podpowiadała, że te dwie sprawy, mają z sobą coś wspólnego. Tym bardziej że nie tylko czas zniknięcia obu mężczyzn, ale także inne szczegóły dawały wiele do myślenia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Papaj odprowadził wzrokiem srebrną fiestę, ale sam nie uruchomił silnika i nie odjechał spod Zakładu Medycyny Sądowej. Zamiast tego rozparł się wygodnie w fotelu kierowcy i intensywnie myślał. Pomyślał, że Mieczysław Sobótka mógł mieć coś wspólnego z wywiadem, może i był szalony, ale nie niemożliwy, lecz żeby pójść tym tropem, musiał mieć absolutną pewność. Swoje podejrzenia mógł sprawdzić na dwa sposoby. Pierwszym była oficjalna droga. Jednak wysłanie zapytania do odpowiednich instytucji, a później czekanie aż łaskawie zechcą sprawdzić i odpowiedzieć, mogło trwać tygodniami, a w pewnych sytuacjach nawet miesiącami. Co prawda zaczynał godzić się z myślą, że planowany urlop szlag trafi i diabli wezmą, jak mówiła jego druga żona, wtedy gdy coś jej nie szło. Jednak nie zamierzał czekać, aż tak długo, aby zakończyć tę sprawę. Przez chwilę rozważał, czy skorzystać z drugiego, mniej oficjalnego sposobu pozyskania informacji o ewentualnej współpracy Mieczysława Sobótki z wywiadem. W końcu podjął decyzję, wyciągnął z kieszeni telefon i zaczął przeglądać kontakty. Znał tylko jedną osobę, która mogła mu pomóc ustalić, czy Mieczysław Sobótka miał coś wspólnego ze służbami specjalnymi. Po kilku sekundach znalazł poszukiwany kontakt i wybrał numer, pod który ostatni raz dzwonił jakieś kilka miesięcy wcześniej. Cieszył się, że oba jego małżeństwa zakończyły się w sposób przyjazny. Dzięki temu była szansa, że pierwsza żona będzie chciała mu pomóc. Czekając, aż Sylwia odbierze, bębnił palcami o deskę rozdzielczą, wystukując melodię „Słodkiego miłego życia”, graną właśnie w radio. Gdyby nie fakt, że czekał, aż jego żona łaskawie raczy odebrać, pewnie by sobie nawet pośpiewał.

– Ten Skawiński to jednak ma głos – pomyślał, wspominając kilka koncertów grupy Kombi, na których miał przyjemność być. Doczekał do dziewiątego sygnału i przerwał połączenie. Uruchamiając silnik, postanowił, że jeśli Sylwia nie oddzwoni, to spróbuje zadzwonić jeszcze raz wieczorem. Zamierzał właśnie ruszyć, gdy leżący na siedzeniu pasażera telefon zawibrował, a ciepły głos Beaty Kozidrak, śpiewającej o dwóch sercach, wypełnił wnętrze samochodu.

– Cześć, wielkie dzięki, że oddzwaniaasz – powiedział, wyłączając silnik.

– Cześć Papaj, to ty żyjesz? – usłyszał w słuchawce zaskoczony głos Sylwii.

– Jak słyszysz, jeszcze daję radę.

– No, ale skoro dzwonisz do mnie, to znaczy, że albo pomyliłeś datę moich urodzin, albo chcesz pożyczyć kasę? – wesołkowaty drwiący ton, jakim to powiedziała, świadczył o jej pozytywnym nastroju, co Papaj wziął za dobrą monetę. Wyliczanka żony nie była przypadkowa. Jeszcze będąc małżeństwem, zdarzyło mu się pomylić datę jej urodzin. Wyskoczył wtedy z kwiatami i prezentem o całe dwa tygodnie wcześniej, niż powinien. Później już po rozwodzie, kiedy jakieś hieny motoryzacyjne, ukradły mu spod bloku leciwego golfa, pożyczył od Sylwii kilka tysięcy, jakie brakowało mu na nowy wóz.

– Tym razem, mam trochę inny interes i nie ukrywam, że chciałbym go z tobą omówić przy dobrej kawie.

– Mówisz dobrej kawie – powtórzyła za nim Sylwia – no nie wiem, czy Leszkowi by się to spodobało. Wiesz on w przeciwieństwie do ciebie, jest cholernie zazdrośny i uważa, że w obowiązki żony powinna

być wpisana regularna spowiedź i to nie tylko przed księdzem, ale także przed mężem. Przy czym grzechy małżonki najpierw powinien poznać i ocenić mąż.

– Od kiedy ty jesteś taka pobożna? – tym razem to on pozwolił sobie na drwinę, okraszoną cichym śmiechem.

– A kto twierdzi, że jestem? Ja tylko przedstawiam stanowisko swojego męża, ale wracając do ciebie, to masz szczęście. Dzisiaj kończę o osiemnastej, Leszek wyjechał do Londynu, a ja na wieczór nie mam żadnych planów, więc możemy wypić kawę. Tylko powiedz, gdzie? – Papaj gorączkowo szukał w myślach takiego lokalu, w którym nigdy nie byli razem. Wolał uniknąć ewentualnych sentymentalizmów i przywoływania wspomnień.

– Co powiesz na „Literatkę”? To taki lokal na rynku, obok biblioteki wojewódzkiej – zaproponował, przypominając sobie knajpkę, w której poznał Weronikę, swoją drugą teraz już także byłą żonę. Było to w jakiś mroźny grudniowy wieczór. Rynek zasypany śniegiem i przystrojony świątecznymi ozdobami wyglądał jak scenografia do komedii romantycznej. Papaj zachęcony przez koleżankę z pracy, która zachwalała lokal, twierdząc, że serwują tam jedną z najlepszych kaw w całym Wrocławiu, wstąpił do Literatki. Popijając rzeczywiście doskonałą kawę, przyprawioną odrobiną kardamonu usłyszał pod swoim stolikiem dzwonek telefonu. Zaskoczony zanurkował i po chwili rozmawiał z sympatyczną właścicielką dzwoniącego telefonu o imieniu Weronika. Dziewczyna wyjaśniła, że telefon, który Papaj właśnie trzymał w dłoni, należy do niej.

– Wie pan, najgorsze jest to, że nawet nie wiem, gdzie go zgubiłam – przyznała dziewczyna z rozbrajającą szczerością.

– Znalazłem go w literatce pod stolikiem przy oknie.

– No tak, byłam tam pół godziny temu. Widocznie musiał mi wypaść z torebki – przypomniała sobie dziewczyna. Papaj zaproponował, że poczeka na nią w lokalu, aby osobiście oddać zgubę. Głos Sylwii odpedził wspomnienia o Weronice, przywracając Papaja do rzeczywistości.

– Może być – zgodziła się, zaznaczając, że każde płaci za siebie.

– Skoro nalegasz, to niech tak będzie – odparł tonem pokonanego i odstawił telefon, który kilkoma krótkimi piknięciami oznajmił, że połączenie zostało przerwane.

– Cholera ni w kij, ni w drewka – mruknął, spoglądając na zegarek, który wskazywał za kwadrans siedemnastą. Aby pojechać do domu i coś zjeść, a następnie wrócić do centrum czasu było zbyt mało. Z kolei czekać godzinę w lokalu, też mu się nie uśmiechało. Wreszcie znalazł złoty środek. Postanowił zaparkować w Galerii Dominikańskiej, tym sposobem rozwiąże kwestię parkingu, zapchać żołądek jakimś szybkim daniem, co pozwoli zaspokoić pierwszy głód i spacerem dojść do Literatki.

W lokalu zjawił się kilka minut po osiemnastej. Sylwią wypatrzył w głębi Sali. Siedziała pochylona nad jakąś książką. Widok jej skupionej, opalonej twarzy z niewielkim pieprzykiem przy lewym uchu, mimowolnie obudził w Papaju wspomnienia. Nawet z tej odległości widział, jak Sylwia nieznacznie porusza wargami. Robiła tak zawsze podczas czytania. Od ich ostatniego spotkania, zaszły w jej wyglądzie pewne zmiany. Przede wszystkim zmieniła fryzurę.

– Cześć miło cię widzieć – powiedział, stając obok stolika – widzę, że zapuściłaś włosy i postanowiłaś zostać platynową blondynką – dodał, odsuwając sobie krzesło.

– A ty jak zwykle nieogolony – zripostowała, zamykając książkę i chowając ją do torebki.

– Takie to już jest życie gliniarza. Ani nie dośpi, ani nie doje, ani się nie ogoli – spróbował zażartować, ale dowcip najwidoczniej nie był zbyt śmieszny, bo wyraz twarzy kobiety, która kiedyś dzieliła z nim życie, nadal emanował powagą. Szare, nieco skośne oczy, skupiła na jego lekko skrzywionym nosie, złamanym czternaście lat wcześniej w trakcie interwencji.

- Andrzej, pewnie są kobiety, które uwielbiają, jak dwudniowy zarost drapie je po policzkach, ustach, szyi, piersiach.
- Nie idź tą drogą, bo to ślepa uliczka – przestrzegł Papaj, wpadając jej w słowo i żartobliwie grożąc palcem.
- Masz rację, ja lubię ogolonych, a gusty innych mnie nie interesują – przyznała lekceważącym tonem – na przykład tej blondi, z którą Leszek widział cię kilka tygodni temu w Edenie – dodała kąśliwie.
- Co twój stateczny małżonek robił w takim miejscu? – zainteresował się Papaj, a jednocześnie próbował przypomnieć sobie z kim był wtedy w lokalu, do którego zaglądały single w poszukiwaniu towarzystwa.
- Miał tam jakieś służbowe spotkanie.
- Służbowe spotkanie, w takim miejscu? – pomyślał Papaj szczerze zdziwiony, ale postanowił nie ciągnąć tego wątku.
- Zaprosiłem cię na kawę, bo mam pewien zawodowy kłopot i sądzę, że mogłabyś mi go pomóc rozwiązać – Papaj przeszedł do powodu, dla którego siedział w przytulnej knajpce z pierwszą, prawdziwą miłością swojego życia. Czasami zastanawiał się, czy gdyby nadal byli małżeństwem, wciąż darzyliby się takim szacunkiem i przyjaźnią, jak teraz? Oboje doskonale wiedzieli, że nawet te drobne uszczypliwości, jakimi czasami w siebie rzucali, nie miały w sobie ani grama nienawiści. Może dlatego, że rozstali się w zgodzie, ich relacje wciąż pozostawały dobre.
- Jeśli uważasz, że będę mogła pomóc, to śmiało mów co ci siedzi na wątrobie i podgryza żołądek – zachęciła, przybierając pozę zasluchanej uczennicy.
- Kilka dni temu, podczas remontów dawnych warsztatów szkolnych przy Krakowskiej, nowy właściciel znalazł zabetonowany ludzki szkielet – zaczął Papaj, upijając łyk aromatycznej kawy z kardamonem.
- Bardzo ciekawy początek. Gdybyśmy byli na randce, uznałabym cię za wyjątkowo romantycznego gościa – wtrąciła Sylwia.
- Bo ja naprawdę jestem romantycznym facetem.
- Tak, tak wiem, a do tego czarujący i skromny. Tyle że ja znam cię jak nikt inny, więc jak to powiedział Hans Kloss „Nie ze mną te numery Papaj” – zacytowała jeden z bardziej znanych dialogów serialu Stawka większa niż życie, zmieniając tylko Brunera na Papaja – ale mów dalej, co z tym kościotrupem – ponagliła, opierając brodę na złożonych dłoniach.
- No więc znalazł ten szkielet, zawiadomił, kogo trzeba, a że nie było żadnego chętnego pod ręką, to sprawę powierzono mojej skromnej osobie. Początkowo myślałem, że to kolejny Niemiec z czasów wojny, ale następnego dnia technicy przeszukujący warsztaty, znaleźli torbę, a w niej prawie nowy P83. Tym samym moja teoria o Niemcu, wzięła w łeb. Co więcej, po numerach seryjnych ustalono, że broń znajdowała się na wyposażeniu pewnego milicjanta, który, żeby było jeszcze ciekawiej, zaginął pod koniec sierpnia 1985 roku – Papaj zauważył, że Sylwia, która początkowo słuchała jakby od niechcenia w miarę ujawniania nowych faktów, coraz bardziej skupiała się na opowieści.
- Jak sama widzisz, puzzle zaczęły układać się w logiczną całość. Niestety właśnie wtedy patolog badający szkielet oświadczył, że denat leczył zęby na zachodzie. Tego, nawet jak dla mnie, było już za dużo. Zacząłem więc mieć wątpliwości, czy ten gliniarz, był tylko zwykłym milicjantem.
- Dobra, resztę potrafię sobie sama dopowiedzieć – przerwała Sylwia – powiedz tylko, jak się ten facet nazywa, a ja zajmę się resztą. Jeśli miał coś wspólnego z tajnymi służbami, to w zasobach IPN–u

będą jakieś ślady. Nie obiecuję, że jutro przy porannej kawie, dostarczę ci sensacyjnych nowin, ale jak znajdę wolną chwilę, to poszperam tu i ówdzie – zapewniła, podsuwając Papajowi fiszkę i długopis.

– Myślisz, że to aż tak tajne? – zapytał, zapisując na karteczce imię i nazwisko człowieka, który, póki co był jedną wielką zagadką.

– Nie sądzę, zwłaszcza po tylu latach, ale jak wiesz mam słabą pamięć, więc wolę wszystko mieć na piśmie. Jak coś uda się ustalić, to zadzwonię – zapowiedziała Sylwia, chowając karteczkę do torebki.

– Może cię podwieźć? – zaproponował Andrzej, gdy wyszli na tętniący życiem wrocławski rynek. Było dopiero kilka minut po dziewiętnastej, więc mógł spokojnie odwieźć Sylwię i wrócić na spotkanie z Edytą.

– Nie, wezmę taksówkę, ale wielkie dzięki za propozycję – powiedziała Sylwia, cmokając Papaję w policzek – a przy okazji życzę miłej zabawy, bo jak sądzę, dzisiejszego wieczoru nie spędzisz w samotności – wyszeptwała na odchodne, a później zniknęła w gwarnej ludzkiej masie, przetaczającej się przez rynek. Komisarz odprowadził wzrokiem kobietę, która przez pięć lat była jego żoną, a gdy zniknęła mu z oczu, obrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył w przeciwną stronę.

Pięć minut później dotarł do samochodu, a po kilku następnych zaparkował przed komendą. Wszedł do biura, z biurka wyjął świeżą, zwiniętą w rulon koszulkę polo. Tego sposobu składania ubrań nauczył się od Weroniki, swojej drugiej żony. Dzięki odpowiedniemu zrolowaniu wyprasowana odzież prawie wcale się nie gnioła. Metoda sprawdzała się podczas pakowania walizek na wakacje, ale Papaj korzystał z niej, przechowując w biurku komplet świeżych ubrań, aby gdy zajdzie potrzeba zmiany garderoby nie musiał pędzić do domu. Pół godziny później siedział przy barze na wysokim chromowanym stołku. W lokalu było kilkanaście osób, grała amerykańska muzyka, a na półkach między butelkami stały modele amerykańskich krążowników szos, zarówno tych osobowych, jak i ciężarowych. Knapka była amerykańska do tego stopnia, że nawet czarnoskóry kelner, wyglądał jak przeniesiony z baru w Nowym Yorku. Papaj sączył wodę mineralną, jednocześnie dyskretnie, obserwując wejście. Edyta zjawiła się minutę przed dwudziestą. W zwiewnej letniej sukience koloru pudrowego różu wyglądała jeszcze atrakcyjniej niż na fotkach z portalu randkowego. Widząc, że kobieta rozgląda się po lokalu, Papaj pomachał do niej. Gdy go dostrzegła podeszła i usiadła na sąsiednim stołku.

– To jednak ty – powiedziała, nie kryjąc zaskoczenia i wyciągnęła na powitanie szczupłą dłoń o długich palcach, których paznokcie miały kolor dokładnie taki sam, jak jej sukienka.

– A spodziewałaś się kogoś innego? – odparł, unosząc brwi w geście zdziwienia.

– No cóż, czasami faceci wolą pokazać się dopiero podczas spotkania, a na profilu zamieszczają zdjęcie przystojniejszego brata, kuzyna lub sąsiada. Dlatego widząc ciebie, muszę przyznać, że kolejny raz pozytywnie mnie zaskoczyłeś – stwierdziła Edyta z rozbijającą szczerością, patrząc Papajowi prosto w oczy. Spojrzenie miała intensywne i odważne, czym jasno dawała do zrozumienia, że należy do kobiet, które dokładnie wiedzą, czego chcą od świata, życia i facetów.

– Zawsze gram w otwarte karty, a pożyczanie wizerunku to moim zdaniem kiepski początek zawierania znajomości – oświadczył Papaj, przywołując gestem barmana.

– Nie tylko kiepski, ale też mało skuteczny – dodała Edyta, a jej ton wskazywał, że coś o tym wie. Papaj również dwa lub trzy razy miał nieodparte wrażenie, że dziewczyna ze zdjęcia i ta, która przyszła się z nim spotkać, to dwie różne osoby. Oczywiście udawał, że wszystko jest super, ale takie znajomości nie wykraczały nawet poza fazę wymiany numerów telefonu.

– Czego się napijesz? – zapytał, zmieniając temat.

– Dla mnie Roccio – oznajmiła Edyta, nie patrząc nawet na leżącą przed nią kartę.

– A dla mnie Blue Lagoon – powiedział Papaj, który miał okazję zapoznać się z menu jeszcze przed przyjściem Edyty.

– Bardzo proszę – odparł kelner czystą polszczyzną i posyłając Edycie serdeczny uśmiech, odszedł przygotować drinki. W ciągu kilku minut Papaj dowiedział się o kobiecie, że lubiła umawiać się na randki i na miejsce spotkania najczęściej wybierała amerykańską knajpkę. Ta wiedza wystarczyła, by wybrać odpowiednią taktykę.

– Barmanowi chyba też wpadłaś w oko – stwierdził Papaj, ścisząc głos do ledwie słyszalnego szeptu.

– Mario jest gejem, więc prędzej poderwie ciebie, niż mnie – ostrzegła dziewczyna – ale fakt, lubimy się i to bardzo – przyznała, zakładając za ucho niesforny kosmyk, uparcie opadający na policzek. Gdy po dwóch godzinach opuścili lokal, Edyta tryskała humorem.

– To co, do ciebie, do następnego baru, czy na spacer? – zapytała, stając tak blisko Papaja, że ten poczuł żar bijący od jej ciała. Gdyby był piątek, decyzja byłaby oczywista, ale dopiero kończyła się środa, więc bezpieczniej było wybrać ostatnią propozycję.

– Rzuciłem w myślach monetą i wypadło na spacer – kobieta spojrzała na niego rozbawionym, błyszczącym wzrokiem.

– Rozumiem, że orzeł to do ciebie, reszka do następnego baru, a krawędź to spacer?

– To bardzo dobrze rozumiesz – potwierdził Papaj. Ruszyli w kierunku Ostrowa Tumskiego. Przecieli wciąż gwarny rynek i zanurzyli się w wąskie, stare uliczki. Tu ludzi było znacznie mniej, a rozstawione co kilkadziesiąt metrów latarnie tworzyły scenerię, jak z filmu grozy. Rozmawiali o ostatnio przeczytanych książkach, obejrzanych filmach i górskich wędrownkach, których jak się okazało, Edyta była wielką fanką.

– Po skandynawskich górach jeszcze nie miałam okazji się powłóczyć – przyznała, gdy Papaj wspomniał o urlopie, który wisiał na włosku. Kiedy dotarli w okolicę Hali Targowej, Edyta zatrzymała się przy białej Hondzie.

– No to jesteśmy na miejscu – oznajmiła, wyjmując z torebki kluczyki.

– Chyba nie zamierzasz w tym stanie jechać?

– Oczywiście, że nie. Najpierw wsiadziemy do środka, później zrobię ci loda, a gdy skończę, to sobie pojedę – roześmiała się, wsiadając za kierownicę. Papaj usiadł na miejscu pasażera.

– Z tym lodzikiem to oczywiście był żart – stwierdziła otrzeźwiona Edyta, próbując włożyć kluczyk do stacyjki. Wreszcie za którymś razem próba się powiodła.

– Z twoją jazdą również – oświadczył Papaj, wyjmując kluczyki i chowając je do schowka. Następnie sięgnął do kieszeni marynarki po telefon.

– Co ty sobie wyobrazasz? Natychmiast oddawaj kluczyki! – zażądała Edyta, która teraz wyglądała na zupełnie trzeźwą.

– Niestety, jazda pod wpływem alkoholu, to zły pomysł – stwierdził sucho Papaj – zamówię taksówkę i bezpiecznie pojedziesz do domu.

– A co ty do kurwy nędzy jesteś moim ojcem albo mężem? – warknęła kobieta, wyciągając rękę do schowka, w którym Papaj schował kluczyki.

– Możesz mnie raczej nazywać swoim aniołem stróżem – rzucił, czekając na zgłoszenie się dyspozytora korporacji.

– No teraz, to już bredzisz. Pierdolony anioł stróż się znalazł. Dobrze, że nie pan policjant, co porządku pilnuje – drwiła, próbując otworzyć schowek. Papaj bardzo rzadko, a na pierwszym spotkaniu właściwie nigdy nie wspominał, kim jest i gdzie pracuje, ale też do tej pory, nie miał do

czynienia z pijaną kobietą, zamierzającą prowadzić samochód. Dlatego tym razem, postanowił złamać swoje zasady.

– Brawo, wygrała pani zapas dobrego humoru na rok – odrzekł, wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki policyjną legitymację. Kobieta zamurowała. Trwało to na tyle długo, że Papaj zdążył zamówić taksówkę.

– Ty naprawdę jesteś pieprzonym gliną – bąknęła Edyta, przewracając oczami i zanosła się szalonym śmiechem.

– Po pierwsze już ci powiedziałem, że zawsze gram w otwarte karty, a po drugie nie rozumiem, dlaczego to takie śmieszne? – zdziwił się, chowając legitymację – zawód dobry, jak każdy inny – dodał, wysiadając z samochodu.

– Wiesz, nie sądziłam, że policjanci, zamiast łapać bandytów, podrywają dziewczyny w internecie.

– Jedno nie wyklucza drugiego. W pracy łapię przestępców, a po pracy kobiety – oznajmił Papaj, którego sytuacja zaczynała nie tyle śmieszyć, ile męczyć. Na szczęście w oddali dostrzegł zbliżającą się taksówkę.

– Kluczyki masz w torebce – rzucił, odprowadzając Edytę do czekającej taksówki. Chciał jeszcze dodać, że włożył tam również swój numer telefonu, ale uznał, że będzie lepiej, gdy kobieta sama go znajdzie.

– Gdyby ta pani zechciała jednak wrócić tutaj po swój samochód, proszę wówczas zawiadomić policję – przekazał taksówkarzowi, a na środkowy palec, który Edyta wyciągnęła w jego stronę, zareagował serdecznym uśmiechem i przesłał jej całusa.

Kiedy wreszcie wszedł do własnego mieszkania, dochodziła dwudziesta trzecia trzydziści. Był tak zmęczony, że nie miał na nic ochoty i jedyne, o czym marzył to sen. Wszedł do sypialni i pozbywszy się większej części garderoby, z ulgą padł na łóżko. Naciągnął na siebie kołdrę i niemal natychmiast zasnął.

Następnego ranka, obudził go odgłos przychodzącej wiadomości. Przecierając oczy, sięgnął po leżący na skraju łóżka telefon.

„Przepraszam panie władzo, że wczoraj byłam niegrzeczna i obiecuję poprawę. Już trzeźwa Edyta”. – Papaj przeczytał SMS, uśmiechnął się do siebie i powłókł do łazienki. Gdy godzinę później przekroczył próg biura, poczuł na sobie zaskoczone spojrzenia pozostałych policjantów.

– Tylko bez żadnych pytań, w stylu, co ci się stało? Jaka to okazja? – uprzedził Papaj, grożąc wszystkim palcem. Kiedy rano po wejściu do łazienki zobaczył swoje odbicie w lustrze, aż jęknął zdegustowany. Wyglądał tak, jakby przez kilka dni ostro balował, a on przecież wypił zaledwie trzy drinki.

– Ale przecież my o nic nie pytamy – odezwał się Polak i wrócił do czytania, leżących przed nim dokumentów. Papaj zamierzał jakoś odpowiedzieć, ale tylko machnął ręką i

zabrał się do pracy. Sprawdził służbową pocztę, w której nie znalazł niczego ciekawego prócz biuletynów informacyjnych i ogólników rozsyłanych przez dział kadr. Następnie odszukał w aktach adres Anny Sobótki, uruchomił mapę i sprawdził, jak dojechać do Nowego Świątowa. Było kilka minut po dziewiątej, gdy poczuł jak w kieszeni przewieszzonej przez oparcie fotela marynarki, zawibrował telefon. Wyciągnął aparat, spojrział na wyświetlacz i zdziwiony, uniósł wysoko brwi. Odpowiedzi od Sylwii nie spodziewał się wcześniej niż za kilka dni. Dlatego telefon od byłej żony był pewnego rodzaju zaskoczeniem. Odebrał połączenie, i wyszedł na korytarz.

– No cześć – powiedział, podchodząc do okna wychodzącego na wewnętrzny dziedziniec komendy, przez który dwóch mundurowych prowadziło do czekającego radiowozu niskiego mężczyźnie

w kajdankach.

– Co powiesz na kolejną wspólną kawę? – usłyszał w odpowiedzi pytanie Sylwii. Mówiła tonem, w którym brzmiały te tak dobrze znane nuty podniecenia, spowodowanego odkryciem czegoś, czego zupełnie się nie spodziewała. Pamiętał doskonale jak wiele razy po powrocie z Instytutu Pamięci Narodowej, gdzie zaczęła pracę zaraz po studiach, opowiadała mu różne historie, skrywane w dawnych aktach, które dopiero po kilkudziesięciu latach wychodziły na światło dzienne. Słuchał ich wszystkich z zapartym tchem. Jak dziecko opowieści o smokach.

– Czemu nie – odparł, wiedząc doskonale, że przez telefon niczego od niej nie wyciągnie.

– Dobra w takim razie, za pół godziny tam, gdzie wczoraj – powiedziała i bez żadnego cześć, czy do zobaczenia zakończyła połączenie. Zdezorientowany Papaj stał, wpatrując się tępo w ekran telefonu. Fakt, że Sylwia zaproponowała, a dokładniej rzecz ujmując, wyznaczyła spotkanie tak szybko, oznaczał, że to, co znalazła, nie mogło czekać.

– Andrzej mogę ci chwilę zająć? – usłyszał za sobą pytanie Nowickiej.

– Zależy jaką chwilę – odrzekł, zapominając na moment o Sylwii i jej ustaleniach związanych z Mieczysławem Sobótką. Policjantka szybko zrelacjonowała to, co sama ustaliła i zapowiedziała, że może się spóźnić, bo właśnie idzie zobaczyć się z osobą, która w interesującym ich okresie, zarządzała warsztatami szkolnymi.

– Wiesz, sędzę, że jeśli wtedy były prowadzone jakieś remonty, to ona będzie je pamiętała.

– Spokojnie, mi też właśnie wypadło pilne spotkanie, więc wcześniej niż o jedenastej nie wyjedziemy – oświadczył Papaj, idąc do biura po marynarkę.

Mimo wczesniej pory w Literacie było już sporo klientów. Gwar rozmów mieszał się z bałkańskimi rytмами, płynącymi z głośników. Tym razem Sylwia nie czytała żadnej książki. Siedziała wyprostowana, wpatrzona w drzwi wejściowe. Papaj był niemal pewny, że gdy go zobaczyła, na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi.

– Skąd ty wystraszałeś tego Sobótkę? – zapytała szeptem, gdy tylko usiadł przy stoliku.

– Tak, jak ci wczoraj powiedziałem, leżał zabetonowany w warsztatach przy Krakowskiej – przypomniał, nie mogąc doczekać się rewelacji, jakie z pewnością odkryła Sylwia. W przeciwnym razie nie wyciągałaby go z biura o tej porze.

– No mów, co ustaliłaś – ponaglił również szeptem.

– Miałaś nosa, Mieczysław Sobótką nie był zwykłym milicjantem, tego jednego jestem pewna – zaczęła, jeszcze bardziej ścisząc głos.

– W takim razie kim był? – Papaj wszedł jej w słowo, wiedząc, że Sylwia lubiła opowiadać wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, nie koniecznie mającymi znaczenie dla sprawy, a jego interesowały wyłącznie konkrety, najlepiej podane w esencjonalnej formie. – No właśnie, tego jeszcze dokładnie nie ustaliłam. Wiem, że pracował w II wydziale departamentu bezpieczeństwa. Jednak dziwnym zbiegiem okoliczności, wszystkie jego akta gdzieś zniknęły – oznajmiła, a widząc zbliżającego się kelnera, zmieniła temat i zaczęła opowiadać fabułę jakiegoś romansu.

– Mnie to raczej nie dziwi – przyznał Papaj, gdy kelner odszedł zrealizować ich zamówienie – przecież akta wielu agentów, puszczono z dymem w 1989 roku – przypomniał.

– Andrzej, niby masz rację, ale te konkretne akta jeszcze rok temu były w archiwum.

– Jesteś tego pewna?

– Dokładnie sprawdziłam i z rejestru wynika, że ostatnią osobą, która je wypożyczała była Anna Karlińska, doktor Uniwersytetu gdańskiego.

– A wiadomo, dlaczego wypożyczyła właśnie te akta?

– Pracowała na wydziale historii, więc teoretycznie miała powód, ale że podobnie jak ty nie wierzę w przypadki, postanowiłam z nią porozmawiać. Pierwszy telefon wykonałam do dziekanatu, przedstawiłam się i poprosiłam, aby przekazano mój telefon pani doktor z prośbą o oddzwonienie. Jednak pani z dziekanatu bardzo uprzejmie poinformowała, że doktor Karlińska już u nich nie pracuje. Wtedy myślę sobie, jak nie z tej strony, to z innej i uruchomiłam prywatne kontakty. Zadzwoeniłam do znajomego z Gdańska, mówię mu, w czym rzecz, oczywiście bez szczegółów i proszę o załatwienie prywatnego numeru Karlińskiej – Papaj przytakiwał co kilka sekund w nadziei, że tymi gestami, zmusi Sylwię do pominięcia szczegółów, które zupełnie go nie obchodzą.

– Spokojnie Andrzejku, już przechodzę do finału – mruknęła, puszcżając do niego oko.

– Więc proszę tego kolegę o załatwienie numeru, a ten mi mówi, że Karlińska od roku jest już na tamtym świecie. Nie wiem jak dla ciebie, ale dla mnie coś w tej sprawie ewidentnie śmierdzi – zakończyła Sylwia, upijając łyk letniej już kawy.

– Czyli pani Karlińska, raczej niczego nam nie powie – westchnęła rozczarowany Papaj.

– A no nie – przyznała z żalem Sylwia – ale nie uważasz, że to zastanawiające? Kobieta wypożycza akta, jakiegoś tam pracownika wywiadu, o którym wie garstka ludzi, a kilka dni później jest już martwa – zakończyła dramatycznym tonem.

– Ale przecież te akta, powinniście mieć w formie cyfrowej – zauważył Papaj, przypominając sobie czytany niedawno artykuł, w którym przedstawiciele IPN-u chwaili się, że 95% akt mają przetworzonych na formę cyfrową.

– Na twoje nieszczęście, akta Sobótki były w grupie czekającej na cyfryzację – wyjaśniła rzeczowo Sylwia.

– To jakim cudem, ktoś zabiera jedyny komplet dokumentów i wywozi na drugi koniec polski?

– Dobre pytanie Andrzejku, ale ja nie znam na nie odpowiedzi i nie zamierzam jej szukać. Co innego sprawdzać bazy danych, a nawet fizyczne akta, a co innego zadawać przełożonym dziwne pytania. Mam zamiar dopracować tam do emerytury, więc szukać i szperać mogę, ale rozpytywać nie będę – ucięła ostro Sylwia.

– A wiadomo coś o przyczynie jej śmierci? – zainteresował się komisarz, który podobnie jak jego była żona, nie wierzył w zbiegi okoliczności.

– No właśnie i tutaj mamy kolejną zagadkę – oznajmiła Sylwia, a Papaj chciał już zapytać, czy dużo ma jeszcze asów w rękawie, ale wołał jej nie drażnić.

– Według policji, popełniła samobójstwo, tyle że ta wersja dla wielu jej znajomych jest zastanawiająca. Ich zdaniem, nie miała absolutnie żadnego powodu, aby z sobą skończyć. A wręcz przeciwnie, wszystkim wokół opowiadała o swoich planach na przyszłość.

– Moja droga, powody, by z sobą skończyć zawsze się znajdują – stwierdził z przekonaniem Papaj. W swojej policyjnej karierze prowadził kilka spraw, gdzie wszyscy wykluczali samobójstwo, podejrzewając udział osób trzecich, a po wnikliwym prześwietleniu życiorysu zmarłego, wychodziło na jaw, że motywów do targnięcia się na swoje życie miał tyle, iż mógłby nimi obdzielić tuzin samobójców.

– Ale mówiłaś, że Sobótka pracował w II wydziale – komisarz wrócił do wątku, który jego zdaniem mógł być w tej sprawie kluczowy – możesz mi powiedzieć, czym się ten wydział zajmował? – poprosił, upijając łyk chłodnej kawy. Wśród wielu rzeczy drażniących Papaja na jednym z czołowych miejsc, było picie zimnej kawy. Według niego kawa im gorętsza tym lepsza. Wynalazków takich jak kawa mrożona, to już zupełnie nie uznawał. Ze spojrzenia, jakie posłała mu Sylwia, wynioskował, że będzie musiał wysłuchać kolejnego wykładu. Jednak czasu miał wystarczająco dużo.

- Wydział II został utworzony w 1977 roku, po ucieczce na zachód porucznika Andrzeja Kopczyńskiego – zaczęła Sylwia i nawet jej ton przypominał teraz surową panią profesor, tłumacząc leniwemu studentowi rzeczy, o których sam powinien poczytać – był on jednym z absolwentów pierwszego rocznika agentów szkolonych w Starych Kiejkutach. Mimo że nie posiadał szczególnie ważnych informacji, to zdekonspirował wszystkich, którzy byli szkoleni razem z nim. Tak na marginesie, to po zmianach ustrojowych wrócił do polski, próbował swoich sił w różnych biznesach, ale mu nie wychodziło. Podobno zwrócił się nawet o pomoc do Czempińskiego, którego notabene także zdekonspirował. Jednak ten wcale nie chciał z nim rozmawiać i wyrzucił go z biura. Jednak wracając do II wydziału, to jego zadaniem było organizowanie akcji wywiadowczych przeciw USA. Dotyczyło to operacji zarówno tu na miejscu, jak i tych poza granicami polski – Papaj słuchał, a jednocześnie intensywnie myślał, co Mieczysław Sobótka mógł mieć wspólnego z komórką wyspecjalizowaną w szpiegowaniu wuja Sama.

- Czy Sobótka, będąc pracownikiem tego wydziału, mógł wyjeżdżać na zachód? – zapytał, bezceremonialnie przerywając wykład swojej byłej żony. Sylwia spojrzała na niego z wyrzutem, jednak przyznała, że większość ludzi z tego wywiadu miała takie możliwości i według niej, wszyscy z tego korzystali.

- Wiesz, czasami nawet nie chodziło o jakieś akcje szpiegowskie, ale o zwykły handel. Przecież nawet nasi etatowi agenci, zarabiali zgodnie ze stawkami PRL, więc dorabiali sobie na różne sposoby, między innymi zajmując się handlem międzynarodowym.

- A czy możliwe jest ustalenie, kiedy były takie wyjazdy?

- No wiesz co Andrzej, teraz to już żądasz niemożliwego. Co prawda uważam siebie za zdolną kobietę, ale czarodziejką to niestety nie jestem – odparła Sylwia, przewracając oczami.

- Tak tylko zapytałem, sądząc, że masz jakieś magiczne moce – mruknął Papaj, rozglądając się po lokalu, w którym zaczęło być coraz bardziej tłoczno.

- Niestety nie mam, czego również żałuję, ale jeśli trafię na coś ciekawego, to zadzwonię – zapewniła Sylwia, wstając od stolika – a i mam prośbę zapłać za moją kawę, bo dziś wyjątkowo nie zabrałam z domu karty – dodała, i nim ruszyła do wyjścia, wyszeptala mu wprost do ucha, że gustownie się ubrał, że wspaniale pachnie Diorem, ale te worki pod oczami są okropne.

- Jędza z ciebie – rzucił w odpowiedzi – i nadal jesteś zapominalska – pomyślał, odprowadzając wzrokiem kształtną sylwetkę swojej byłej żony. Położył pod talerzyk pięćdziesięciozłotowy banknot i skłaniając się kelnerowi, opuścił lokal. Wracając na komendę, próbował dodać zdobyte przed chwilą informację do tych, które już posiadał i z tego wszystkiego stworzyć jakąś logiczną hipotezę. Pierwsza, jaka przyszła mu do głowy, zakładała, że Sobótkę zglądzili amerykańscy agenci, których wytropił. Choć założenie było dość sensacyjne i naciągane, a przeprowadzenie takiej akcji, zwłaszcza na obcym terenie cholernie trudne, to teoretycznie coś takiego mogło mieć miejsce. Na wymyślenie kolejnej hipotezy nie starczyło czasu, bo nim się obejrzał, stał przed wejściem do komendy, gdzie już czekała Nowicka.

- To, co ruszamy? – zapytała policjantka, spoglądając wymownie na zegarek. Papaj poszedł za jej przykładem i ze wstydem stwierdził, że dochodzi południe.

- O murwa mać, ale dałem ciała – bąknął, czerwieniąc się jak zakochany uczeń.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Justyna strasznie cię przepraszam. Miałem spotkanie z jedną taką gadułą na temat przeszłości Mieczysława Sobótki i straciłem poczucie czasu – tłumaczył autentycznie zawstydzony Papaj.

– A było chociaż owocne? – zapytała Nowicka, nie mając komisarzowi za złe, godzinnego spóźnienia. Czekaając na Papaja, mogła w spokoju przemyśleć to wszystko, czego dowiedziała się przez ostatnie cztery godziny, a myśleć było nad czym. Po pierwsze czy fakt, że dokumentacja, jaką otrzymała od Edwarda Kowalskiego, miała poważne braki, należało uznać za przypadek? A może ktoś celowo usunął z teczek informację o remoncie, który przeprowadzono w 1985 roku? Po drugie czy zaginięcie Jana Owczarka, ma jakikolwiek związek ze szkieletem odnalezionym na warsztatach? Pobieżna analiza nie wykazywała żadnych powiązań między zniknięciem Sobótki, Owczarka, a odkryciem szkieletu, tym bardziej że zdaniem Beaty Owczarek, mąż nie znał Mieczysława Sobótki. Tyle że jak Nowicka przekonała się na własnej skórze, żona zazwyczaj nie wie z kim i gdzie spotyka się jej mąż. Ostatnią kwestią, był zagadkowy SMS, jaki otrzymał Edward Kowalski. Co prawda, nie miał on bezpośredniego związku ze sprawą szkieletu, ale i tak wydał się Nowickiej podejrzany.

– Myślę, że spotkanie mogę uznać za bardzo owocne – odparł, wyraźnie zadowolony – teraz mam pewność, że Sobótka nie był tylko zwykłym gliną, ale pracował dla wywiadu – Nowicka, słysząc rewelacje Papaja, otworzyła szeroko oczy i zaskoczona spojrzała na komisarza.

– A jak do tego doszedłeś? – spytała, sądząc, że to jej ustalenia o remoncie i zaginięciu Owczarka powalą Papaja na kolana, a tymczasem stało się odwrotnie. To jego ustalenia wydawały się rewelacyjne.

– Opowiem ci po drodze – obiecał, idąc do zaparkowanej nieopodal Vitary.

– A ty odkryłaś coś ciekawego? – zainteresował się, wsiadając do samochodu.

– Chyba zapomniałeś, że to ty pierwszy miałeś się spowiadać – przypomniała Nowicka, którą ciekawość zżerała jak korniki Puszcze Białowieską.

– No dobra, zaczniemy od tego, że miałem dwie żony – oświadczył Papaj, wyjeżdżając z parkingu.

– Andrzej, wspominając o spowiedzi, nie miałam na myśli całego życia – roześmiała się Nowicka – ale mówiąc serio, to Rozumiem, że twoje byłe żony są zamieszane w tę sprawę?

– Nie obie, ale tylko ta pierwsza. Co do drugiej, mogę ci ją polecić jako znakomitą kosmetyczkę. Weronika podobno jest świetna, w tym, co robi, takie przynajmniej krążą opinie w sieci. Jednak wracając do sprawy, moja pierwsza żona pracuje w Instytucie Pamięci Narodowej. Ponieważ nadal mamy przyjacielskie relacje, czasami wyświadczamy sobie jakieś drobne przysługi – wyjaśnił Papaj, przyspieszając i przelatując przez skrzyżowanie na żółtym świetle.

– Więc z racji tych naszych przyjacielskich relacji, poprosiłem ją wczoraj o drobną przysługę. Chciałem, aby sprawdziła tego Sobótkę w zasobach IPN-u i wyobraź sobie, że facet rzeczywiście pracował dla służb specjalnych. Był zatrudniony w wydziale, który specjalizował się w działaniach przeciwko USA. Jednak to nie koniec sensacji – oznajmił Andrzej, znacząco zawieszając głos. Nowicka spojrzała na niego wyczekująco. Już miała zamiar go ponaglić, lecz komisarz, jakby czytając w jej myślach, kontynuował.

- Prócz tego, że Sobótka pracował w wywiadzie, interesujące są jeszcze dwie sprawy. Po pierwsze jego akta zniknęły.
- Dlaczego mnie to nie dziwi – wtrąciła policjantka, przypominając sobie niekompletną kopię dokumentacji technicznej warsztatów szkolnych, Jaką rano otrzymała od Kowalskiego.
- Ja też w pierwszej chwili tak pomyślałem – przyznał Papaj – ale Sylwia twierdzi, że one nie zniknęły w trakcie zmiany ustroju, ale jakiś rok temu.
- To rzeczywiście bardzo dziwne – mruknęła Nowicka, tak cicho, iż wątpiła, aby komisarz to usłyszał.
- Po drugie, osoba, która ostatnia oficjalnie wypożyczyła te akta, w tydzień po ich wypożyczeniu popełniła samobójstwo – Nowicka w zamyśleniu pokiwała głową. Słuchając opowieści o Annie Karlińskiej, odniosła wrażenie, że choć z dnia na dzień mają coraz więcej informacji, to ta wiedza w żaden sposób nie zbliża ich do rozwiązania zagadki szkieletu zakopanego pod posadzką warsztatów szkolnych przy Krakowskiej. Teoretycznie nowe fakty, powinny rozjaśniać obraz sytuacji, jednak w tym konkretnym przypadku było zgoła odwrotnie.
- No dobra ja już się wypowiadałem – zakończył Papaj, hamując przed bramką. Wydrukował bilet i ruszył wolno w stronę autostrady.
- Teraz twoja kolej – zachęcił, przepuszczając kilka pędzących samochodów, po czym płynnie włączył się do ruchu.
- Ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie mogę się pochwalić, aż takimi rewelacjami – uprzedziła Nowicka, z niepokojem obserwując, jak strzałka prędkościomierza przekracza sto pięćdziesiąt kilometrów. Lubiła szybką jazdę, ale wyłącznie pod warunkiem, że to ona, a nie ktoś inny siedział za kierownicą. Jako kierowca miała kontrolę nad samochodem, a jako pasażer, była zdana na umiejętności tego, kto kierował. Czy Papaj był dobrym kierowcą? Tego nie wiedziała. Ze sposobu, w jaki ruszał, przyspieszał, wyprzedzał i hamował, wyłaniał się obraz, doświadczonego użytkownika czterech kółek. Jednak Nowicka wiedziała, że to mogą być tylko pozory. Tak naprawdę umiejętności wytrawnego kierowcy, ujawniały się dopiero w sytuacjach ekstremalnych. To wtedy refleks i trafność decyzji, którą należało podjąć w ułamku sekundy, mogły zadecydować o czymś życiu lub śmierci. Nowicka wiedziała o tym z autopsji i dlatego bardzo niechętnie podróżowała samochodem w roli pasażera. Jednak nie miała zamiaru zwracać komisarzowi uwagi. Tym bardziej, że gdy wyprzedził tira, zwolnił do stu dwudziestu.
- Rano zatelefonowałam do Oleksego, ale on nie miał żadnych dokumentów o wcześniejszych remontach i odesłał mnie do miejskiego zarządu nieruchomości. Tam miałam więcej szczęścia. Otrzymałam kopię tego, co posiadali, ale gdyby wierzyć tym dokumentom, to ostatni większy remont przeprowadzono tam w 1970 roku, lecz on nie obejmował wymiany posadzki.
- Czyli dokumentacja jest wybrakowana – wtrącił Papaj, marszcząc w zamyśleniu brwi.
- Doszłam do takiego samego wniosku – potwierdziła Justyna – i dlatego węszyłam dalej. Pomyślałam, że skoro nie ma dokumentów, to może żyją jeszcze osoby, które wtedy pracowały na warsztatach. Pojechałam więc do wydziału edukacji i tam otrzymałam wykaz pracowników warsztatów z lat 1984 – 1987. Okazało się, że jedna z nich mieszka blisko komendy, więc postanowiłam ją odwiedzić i namówić na krótką rozmowę. Beata Owczarek powiedziała mi dwie rzeczy, z których jedna na pewno może mieć związek ze sprawą szkieletu, a druga niekoniecznie, ale też jest zastanawiająca. Po pierwsze pamięta, że od czerwca do września 1985 roku w budynku warsztatów prowadzono remont. Nie potrafiła dokładnie określić jakie prace obejmował, ale jest pewna, że wymieniano posadzkę.

– Czyli wtedy ktoś mógł zakopać ciało – mruknął Papaj.

– Też o tym pomyślałam – potwierdziła policjantka. Tym bardziej, że kobieta nie przypomina sobie żadnych późniejszych remontów. Jednak jest jeszcze jedna ciekawa sprawa. Otóż dokładnie 23 sierpnia 1985 roku, zaginął mąż Beaty Owczarek. W piątkowe popołudnie wybrał się na ryby i przepadł jak kamień w wodę.

– Czyli sugerujesz, że ktoś go utopił?

– Nie, a skąd takie przypuszczenie? – zdziwiła się Justyna.

– Mówisz, że facet wybrał się na ryby i przepadł, jak kamień w wodę, a ryby zazwyczaj łowi się właśnie nad wodą, więc pomyślałem, że celowo użyłaś tego określenia – wyjaśnił rzeczowo Papaj.

– Tak mi się tylko powiedziało, ale może rzeczywiście utonął – zastanowiła się Nowicka – jednak wracając do samego zniknięcia Owczarka, to zwróć uwagę, że Mieczysław Sobótko, zaginął dokładnie tego samego dnia.

Chcesz powiedzieć, że oba te zniknięcia są z sobą w jakiś sposób powiązane?

– Nawet jeśli uznamy, że mamy do czynienia ze zbiegiem okoliczności, to sam musisz przyznać, że jest on bardzo zastanawiający – zauważyła Justyna.

– Rzeczywiście dziwny – przyznał Papaj – ale ja raczej nie wiązałbym tych obu spraw – dodał po chwili zastanowienia.

– Kolejna dziwna rzecz dotyczy poszukiwań Owczarka – kontynuowała Nowicka – Beata Owczarek zgłosiła zaginięcie męża na milicję. Zostały wszczęte poszukiwania, ale po dwóch tygodniach sprawę zamknięto.

– Tak szybko? – Papaj nie krył zdziwienia.

– Według Beaty Owczarek miał na to wpływ fakt, że dwóch kuzynów jej męża mieszkało w Monachium.

– A to zmienia postać rzeczy – oznajmił poważnie komisarz – pewnie władze uznały, że Owczarek prysnął na zachód – dodał z przekonaniem. Rozumowanie Papaja było tożsame z tym, co Nowickiej przyszło do głowy jeszcze podczas wizyty u Beaty Owczarek.

– Pomyślałam o tym samym, ale według Beaty Owczarek, jej mąż nie miał powodu, aby uciekać. Był prezesem jakiejś spółdzielni więc finansowo i materialnie wiodło mu się całkiem dobrze, a poza tym dość często legalnie wyjeżdżał na zachód.

– Wyjeżdżał legalnie? – powtórzył z niedowierzaniem Papaj – to, kim on był, skoro bez problemu dostawał paszport? – dodał, wyprzedzając kolejną ciężarówkę.

– Jak powiedziałam, prezesem jakiejś spółdzielni pracy, ale przede wszystkim wojewódzkim działaczem PZPR – wyjaśniła Nowicka, która znając realia minionego systemu z opowiadań rodziców i literatury, wiedziała, jakie wtedy korzyści dawała partyjna legitymacja.

– Czyli według ciebie, tym kościotrupem może nie być Sobótko, tylko Owczarek?

– Wiesz, póki nie mamy wyników badań DNA, to możliwe są wszystkie hipotezy, jakie sobie wymyślimy. Również taka, że rzeczywiście na warsztatach znaleziono szczątki Owczarka, a nie Sobótki – zauważyła Nowicka. – Zwróć uwagę, że Owczarek często jeździł na zachód, a więc mógł tam leczyć zęby, szczególnie że z pensji prezesa było go na to stać.

– Masz rację, to może mieć sens – przyznał komisarz po dłuższym zastanowieniu – tylko, jak w takim razie wytłumaczyć obecność broni w pobliżu szkieletu? – dodał w następnej chwili. –

– No właśnie tego nie potrafię wyjaśnić – przyznała policjantka. Była pewna, że to znaleziona broń jest kluczem do rozwiązania zagadki. Przecież dzięki niej natrafili na ślad Sobótki, a Owczarek pojawił się w tej historii niejako przypadkowo i mógł wcale nie mieć związku z całą sprawą.

– Słuchaj, a może ten Owczarek jednak postanowił zwiać na zachód i tam zacząć nowe życie bez żony? – nie zrezygnował Papaj, zjeżdżając z autostrady na szosę prowadzącą do Nysy.

– Wykluczyć tego nie można – niechętnie zgodziła się Nowicka – ale Beata Owczarek na początku lat dziewięćdziesiątych pojechała do Niemiec, rozmawiała z kuzynami męża i ci zarzekali się, że o żadnej ucieczce nie wiedzieli.

– Jeśli facet miał zamiar zniknąć, to wątpię, aby w swój plan wtajemniczał kogokolwiek – obstawał przy swoim komisarz – poza tym stara maksyma mówi, że tajemnica jest tylko wtedy, gdy wie o niej jedna osoba – dodał filozoficznie.

– Wiesz Andrzej, jest jeszcze jedna sprawa, może nie ma związku z tym szkieletem, ale wydaje się podejrzana. Gdy czekałam, aż Kowalski skseruje mi dokumentację warsztatów, facet dostał wiadomość, a że jego komórka leżała na biurku, to niechcący ją zobaczyłam i przy okazji zrobiłam jej zdjęcie – w spojrzeniu komisarza Nowicka dostrzegła niedowierzanie, które po chwili zastąpiła nagana.

– Rozumiem, że także zupełnie niechcący – zadrwił Papaj, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– To akurat bardzo chcący – przyznała Nowicka, sięgając po swój telefon i odczytując komisarzowi treść SMS, jaki ktoś wysłał do Kowalskiego.

– To może być zupełnie niewinna wiadomość – skwitował – ale równie dobrze możemy mieć do czynienia z jakimiś ciemnymi interesami pana kierownika – przyznał. Nowicka była podobnego zdania, w końcu takie stanowisko dawało wiele możliwości do zarabiania lewej kasy, choćby z ustawiania przetargów.

– Wiesz Justyna, uważam, że powinniśmy skoncentrować się na głównym wątku, czyli na szkielecie. Te poboczne historie może i są dziwne, podejrzone i warte tego, aby im się bliżej przyjrzeć, ale moim zdaniem nie wnoszą do naszej sprawy nic, prócz informacyjnego zamętu. Skupmy się na szkielecie i na Mieczysławie Sobótce – zaproponował.

– Pewnie masz rację – zgodziła się Nowicka, ale zdjęcia z wiadomością SMS, jaką otrzymał Edward Kowalski, nie skasowała.

– Muszę kupić jakiś energetyk – oznajmił komisarz, skręcając na stację benzynową – a ty będziesz coś chciała? – zapytał, wysiadając z samochodu.

– Nie dzięki, może w drodze powrotnej walnę sobie kawę, ale tobie ten energetyk się przyda – przez twarz mężczyzny przemknął cień zażenowania. Nowicka już rano zauważyła, że Papaj kiepsko wygląda. Przypominał kogoś, kto poprzedniego wieczoru ostro zabalował i jeszcze nie doszedł do siebie. Fakt, że spora grupa policjantów topiła frustrację, stres i zawodowe oraz osobiste niepowodzenia w alkoholu nie był tajemnicą. Mówiło się o tym otwarcie, ale na tym koniec. Nowicka nie zauważyła żadnych działań, ze strony przełożonych, aby zmierzyć się z tym problemem. Wymówki w stylu, że to, co policjanci robią po pracy, to wyłącznie ich prywatna sprawa, były tylko częściowo uzasadnione. Przecież jeśli któryś z nich pił, to ten fakt odbijał się na wszystkich aspektach jego życia, także tych zawodowych. Gdy Papaj wrócił i ruszyli w dalszą drogę, komisarz stał się milczący i pograżony we własnych myślach. Nowicka nie próbowała nawiązać rozmowy, tylko obserwowała przemykające za oknem krajobrazy. Wjechali właśnie na wzniesienie, za którym znajdował się cel ich podróży. Majowe słońce rozświetlało rozległe pola kwitnącego rzepaku, a w dali na horyzoncie majaczyły górskie szczyty. Słuchając wskazówek nawigacji, po dziesięciu minutach dojechali na miejsce.

Zatrzymali samochód na poboczu wąskiej bocznej drogi i wysiedli.

– Jak to rozegramy? – zapytał Papaj, spoglądając na niewielki dom z czerwonej cegły.

– Myślę, że powinniśmy jedynie zasugerować, iż znalezione szczątki to może być jej mąż – odparła Nowicka po chwili namysłu. Wolała uniknąć sytuacji, gdyby po badaniach DNA okazało się, że szkielet znaleziony na warsztatach szkolnych, nie należy do Mieczysława Sobótki. Pistolet, choć był wyraźną poszlaką, trudno było uznać za ostateczny dowód.

– Też tak uważam – potwierdził komisarz, ruszając do drewnianej furtki. Dom, w którym mieszkała Anna Sobótka, nie wyróżniał się niczym szczególnym na tle innych podobnych zabudowań. Posesja sprawiała wrażenie zadbanej. Za ogrodzeniem z drucianej siatki rósł równo przyszyrzyżony żywopłot. Po obu stronach kamiennej ścieżki prowadzącej do drzwi kwitły róże. Nowicka próbowała policzyć ich kolory, ale przy dwunastym zrezygnowała.

– Tutaj chyba nie stosuje się domofonów – mruknął Papaj, popychając uchyloną furtkę, która otworzyła się z cichym skrzypnięciem. Przemierzyli kilkumetrową ścieżkę i stanęli przed drzwiami z ciemnego drewna. Na dźwięk dzwonka gdzieś w głębi domu zaczął wściekle ujać pies. Sądząc po wysokich tonach, był to jeden z tych niewielkich słodko wyglądających psiaków. Takie były według Nowickiej najgorsze. Do dziś pamiętała jak podczas wakacji spędzonych u swojej kuzynki, ciocia wysłała je do proboszcza, aby pod nieobecność gosposi zaniósł mu obiad. Ksiądz był stary i sympatyczny. Podobnie jak jego maleńki piesek, który wedle zapewnień duchownego muchy by nie skrzywdził. Jednak nie wiedzieć czemu, dziabnął Nowicką w łydkę. Na szczęście rana nie była głęboka, psina miała ważne szczepienie, ale ślad pozostał na całe życie. Po chwili do szczekania dołączył niski kobiecy głos.

– Bazyl cicho, bo zamknę cię w łazience.

– Proszę to zrobić, bo inaczej zastrzelę bydlaka – wyszeptał Papaj na tyle głośno, że Nowicka nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Kilkanaście sekund później w drzwiach pojawiła się szczupła niewysoka kobieta około sześćdziesiątki o krótkich zafarbowanych na brąz włosach. Ubrana w dopasowane jeansy i koszulkę z kwiatowym motywem obrzuciła ich badawczym spojrzeniem. Nowicka od razu rozpoznała ją z fotografii na Facebooku.

– Jeśli chcą państwo porozmawiać o Bogu, to niestety nie mam czasu – rzuciła kobieta opryskliwym tonem, i nie czekając na ich reakcję zamierzała zamknąć drzwi.

– Komisarz Andrzej Papaj i aspirant Justyna Nowicka z komendy wojewódzkiej we Wrocławiu – oznajmił Andrzej grzecznym tonem i na dowód swoich słów pokazał służbową legitymację. Przytrzymał ją na tyle długo, by kobieta mogła dokładnie obejrzeć dokument.

– Z policji? – tym razem w głosie słychać było zdziwienie, które jednak bardzo szybko zastąpił strach, gdy kobieta zadała pytanie, którego Nowicka zupełnie się nie spodziewała.

– Czy chodzi o Izę? Coś się jej stało? – przerażenie malujące się w niebieskich oczach sprawiło, że Nowicka zareagowała błyskawicznie.

– Spokojnie, pani córka jest cała i zdrowa, przyjechalśmy w zupełnie innej sprawie – kobieta odetchnęła z ulgą. Rysy jej twarzy, stężale pod wpływem lęku o własne dziecko złagodniały, a spojrzenie znowu stało się czujne.

– Czy moglibyśmy z panią chwilę porozmawiać? – poprosił Papaj, chowając legitymację.

– Tak, ale chciałabym wiedzieć w jakiej sprawie?

– Jeśli pozwoli nam pani wejść, to wszystko wyjaśnimy – odezwała się Nowicka, posyłając kobiecie serdeczny uśmiech.

– Bardzo proszę – ustąpiła Sobótka, wpuszczając ich do domu. Nowicka sądziła, że wewnątrz budynku, który z całą pewnością został wybudowany jeszcze przed drugą wojną światową, przypomni jej dom babci w Walimiu, uroczej miejscowości położonej w sercu gór sowich. On też był z czerwonej

cegły i miał dwuspadowy dach pokryty bordową dachówką. Zaraz za drzwiami znajdował się niewielki korytarz oraz schody na piętro i do piwnicy. Do każdego z pomieszczeń prowadziły osobne drzwi z korytarza, a same pokoje były raczej małe. Jednak wewnątrz w domu Anny Sobótki było nowoczesne, pełne otwartych przestrzeni. Zamiast małego ciemnego korytarzyka za drzwiami wejściowymi był rozległy salon połączony z kuchnią. Na piętro prowadziły drewniane kręcone schody. Gospodyni wskazała gestem skórzaną czarną sofę i dwa fotele ustawione naprzeciw wmontowanego w ścianę kominka. Przez uchylone na taras drzwi podparte sporych rozmiarów kamieniem wpływał do pomieszczenia delikatny zapach kwitnącego bzu.

– Więc jak już powiedziałem, przyjechaliśmy z Wrocławia – powtórzył Papaj, zajmując jeden z foteli. Nowicka usiadła na drugim, a gospodyni na kanapie.

– Kilka dni temu w starych remontowanych obecnie warsztatach szkolnych robotnicy odnaleźli zabetonowany szkielec mężczyzny oraz broń. Po sprawdzeniu numerów fabrycznych okazało się, że pistolet należał do pani męża, a z dokumentów, do jakich dotarliśmy, wynika, że on zaginął w 1985 roku – kobieta słuchała, jednak wyglądała tak, jakby cała ta sytuacja zupełnie jej nie dotyczyła. Nowicka uchwyciła zaniepokojone spojrzenie Papaja, który widząc reakcję Anny Sobótki, a raczej jej brak, trochę się zmieszał.

– Dlatego też mamy podstawy sądzić, że znalezione szczątki to ciało pani męża – zakończył komisarz, ostatnie zdanie wypowiadając nieco ciszej. Nowicka dyskretnie obserwowała reakcję gospodyni. Tak naprawdę nie wiedziała czego się spodziewać. Ludzie bardzo różnie reagowali na wiadomość o śmierci swoich bliskich i to nie zależnie od okoliczności, w jakich tamci umarli. Mogło to być westchnienie ulgi, że wreszcie po tylu latach znaleziono jej męża. Często nawet najstraszniejsza prawda, była przecież lepsza od niewiedzy. Jednak równie dobrze Anna Sobótko mogła wybuchnąć płaczem, uświadamiając sobie, że nikły płomyk nadziei pielęgnowany starannie przez tysiące dni, został definitywnie zgaszony. Jednak ku zdumieniu policjantki kobieta patrzyła na Papaja, jakby ten był wariatem i wygadywał brednie.

– To jakaś pomyłka – odezwała się, kiedy tylko komisarz skończył mówić. Głos miała pewny, swobodny, pozbawiony nerwowego napięcia.

– Oczywiście całkowitej pewności nie mamy i dopiero szczegółowe badania DNA, dadzą jednoznaczną odpowiedź – przyznał komisarz – jednak wiele wskazuje na to, że – zdecydowany ton Anny Sobótki zagłuszył jego słowa.

– Powtarzam panu, że to jakaś pomyłka – oświadczyła kobieta, nie pozwalając dokończyć myśli. Gospodyni była tak przekonująca, że Nowickiej przemknęło przez myśl, iż zaraz zawoła, a z piętra cały i zdrowy zejdzie do nich Mieczysław Sobótko.

– Ma pan rację, że mój mąż nie żyje, ale Mietek jest pochowany na tutejszym cmentarzu – powiedziała bardzo powoli, tak jakby chciała, aby dobrze zrozumiano jej słowa. Tym razem to Papaj okazał zaskoczenie. Otworzył szeroko oczy i z niedowierzaniem patrzył na kobietę. Nowicką usłyszana informacja także zamurowała.

– W konkursie na najbardziej sensacyjną wiadomość dnia, wygrywa Anna Sobótko – pomyślała policjantka, próbując zebrać myśli. W ciszy, jaka nastąpiła wyraźnie było słychać stłumione popiskiwanie psa, zamkniętego gdzieś na piętrze i odległe odgłosy, ruchliwej szosy.

– A mogę wiedzieć, kiedy mąż zmarł? – Nowicka przerwała niezręczną ciszę i współczująco popatrzyła na wdowę.

– To kiedy zmarł, nie zostało ustalone, ale pogrzeb odbył się 15 marca 1986 roku – wyjaśniła kobieta spokojnym głosem.

– A czy może nam pani powiedzieć coś więcej, o okolicznościach śmierci męża? – drążyła Nowicka, przeczuwając, że wizyta u Anny Sobótki zamiast odpowiedzi na kilka pytań, przyniesie im jeszcze więcej niewiadomych.

– Mąż tak, jak państwo wiedzą zaginął pod koniec sierpnia 1985 roku – zaczęła kobieta, opierając się wygodnie o zagłówek kanapy. Gest ten oznaczał, że tego, co ma do powiedzenia, nie da się streścić w kilku zdaniach.

– Kiedy poznałam Mietka, on już pracował w milicji. Dość szybko, bo już po ośmiu miesiącach wzięliśmy ślub. Przez pierwsze lata przerwali go z miejsca na miejsce. Najpierw był Szczecin, później Bydgoszcz, Gdańsk i Warszawa. Gdy wczesną wiosną 1985 roku po trzech latach takiej tułaczki, został przeniesiony do Wrocławia, powiedział, że tym razem to już na stałe. Nawet mnie to cieszyło, ponieważ do swoich rodziców, którzy mieszkali w Nowym Świątowie miałam dość blisko. We Wrocławiu dostaliśmy służbowe mieszkanie w nowym bloku. W czwartek 22 sierpnia około szóstej jak zwykle mąż wyszedł do pracy. Miał wrócić około siedemnastej, ale zadzwonił, że musi wziąć nocny dyżur za kolegę i będzie w domu dopiero rano. Jednak, gdy następnego dnia nie przyszedł, zaczęłam się niepokoić i po południu poszłam na komisariat. Tam powiedziano, że Mietek nie miał żadnego nocnego dyżuru, a gdy po dokładnym sprawdzeniu okazało się również, że przed opuszczeniem komisariatu nie zdał służbowej broni. Wtedy zarządzono jego poszukiwania. Jednak, choć były prowadzone na dość szeroką skalę, łącznie z publikacjami zdjęcia w lokalnej prasie, nie przyniosły rezultatu. Ponieważ byłam wtedy w zaawansowanej ciąży, w październiku wróciłam tutaj i zamieszkałam u swoich rodziców. Na początku marca 1986 roku w lesie kilka kilometrów stąd, ornitolog dokumentujący zimowe życie ptaków, znalazł zamrożone ciało mężczyzny. Zwłoki były w dość zaawansowanym stadium rozkładu. Swoje zrobiły również leśne zwierzęta. Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że mężczyzna powiesił się, ale sznur pod wpływem panujących warunków atmosferycznych i ciężaru ciała pęknął. Mężczyzna miał przy sobie dokumenty oraz inne przedmioty osobiste, należące do mojego męża. Ponadto ubrany był w służbowy mundur. Po sekcji i jakiś tam badaniach wydano mi ciało. Jeśli chcecie państwo wiedzieć, dlaczego Mietek się powiesił, to niestety nie mam zielonego pojęcia – zakończyła kobieta, bezradnie rozkładając ręce. W opowieści Anny Sobótki Nowicka znalazła rozwiązanie dwóch zagadek. Już wiedziała, dlaczego 10 marca 1986 roku umorzono śledztwo w sprawie zaginięcia Mieczysława Sobótki oraz wpisano jego pistolet do rejestru broni poszukiwanej. Jednak nadal wiele kwestii nie było do końca jasnych jak choćby identyfikacja ciała. Mimo iż poruszanie tego tematu mogło być dla pani Anny bolesne, Nowicka musiała go podjąć.

– Rozumiem, że pani dokonała identyfikacji?

– Ja go wcale nie widziałam, pokazano mi tylko jego zegarek i obrączkę ślubną z wygrawerowaną datą ślubu – odpowiedziała kobieta, dodając, że według śledczych, klasyczna identyfikacja ciała nie była możliwa.

– Jesteśmy wdzięczni, że poświęciła nam pani czas – podziękował Papaj, podnosząc się z fotela – przepraszamy za te wszystkie pytania i konieczność powrotu do wspomnień, zapewne bolesnych – dodał współczującym tonem.

– Wie pan, teraz po prawie trzydziestu latach nie ma już we mnie tamtych emocji.

– Czy mogę jeszcze o coś zapytać? – poprosiła Nowicka, gdy byli już na ścieżce prowadzącej do furtki.

– Tak – zgodziła się kobieta.

– Czy pani mąż wyjeżdżał za granicę?

– Tak, kilka razy byliśmy na Węgrzech i w Bułgarii, jeśli to w tamtych czasach można było nazwać zagranicznymi wyjazdami – odpowiedź kobiety była przesycona ironią, co szczególnie Nowickiej nie zdziwiło. Sama z opowiadań rodziców wiedziała, jakie w latach osiemdziesiątych panowały warunki życia, i że wyjazdy zagraniczne przysługiwały nielicznym, a najczęstszym kierunkiem były zaprzyjaźnione kraje socjalistyczne.

– No i masz babo placek – westchnął Papaj, kiedy na powrót znaleźli się w jego samochodzie. Zapiął pas i uruchomił silnik.

– Raczej kolejnego nieboszczyka – sprostowała Nowicka, próbując poukładać w myślach to, co już wiedzieli.

– W tej sytuacji ten Owczarek może mieć znaczenie – zauważył Papaj i westchnął, jak ktoś, kto, próbując dojść na szczyt zamiast wierzchołka, widzi za zakrętem kolejne podejście. Nowicka była podobnego zdania. Elementy układanki nagle zaczęły do siebie pasować. Najpierw mieli jednego trupa, teraz dołączył kolejny, co w zestawieniu z dwoma zaginionymi dawało wiele do myślenia. Musieli tylko ustalić, co łączyło Mieczysława Sobótkę z Janem Owczarkiem.

– Myślę, że Owczarka i Sobótkę, poza tym, że obaj mieszkali we Wrocławiu i obaj zaginęli w tym samym czasie, musiało jeszcze coś łączyć – stwierdziła Nowicka.

– Pewnie masz rację – potwierdził komisarz, kiwając w zamyśleniu głową.

– To, gdzie teraz?

– Chyba na cmentarz – mruknął Papaj, wykręcając na wąskiej szutrowej drodze. Po kilku minutach zaparkowali obok niewielkiego wiejskiego cmentarza. Plac służący za parking nie licząc granatowej Toyoty, był pusty. Kamienny cmentarny mur tu i ówdzie pokrywały zielone plamy mchu.

– Przepraszam, czy mogłaby nam pani powiedzieć, gdzie leży Mieczysław Sobótka? – zagadnął Papaj kobietę w średnim wieku, która właśnie wychodziła z cmentarnej alejki. Dzięki jej wskazówkom odnalezienie właściwego grobu zajęło im tylko chwilę.

– Jak sądzisz który z nich to Sobótka? – zapytała Nowicka, przyglądając się pomnikowi z jasnego kamienia. Z owalnej czarno-białej fotografii patrzyła na nią twarz przystojnego blondyna przed trzydziestką. Było to pierwsze zdjęcie Mieczysława Sobótki, jakie widziała.

– Dobre pytanie – potwierdził zamyślony Papaj – jak na mój gust to trzeba będzie zarządzić ekshumację i przebadać te szczątki – dodał, odchodząc od grobu w stronę kutej cmentarnej bramy, na której lśniła świeża warstwa czarnej farby. Nowicka była podobnego zdania. Przez większą część drogi powrotnej jechali w milczeniu każde pogrążone we własnych myślach.

– Nie wiem jak ty, ale ja mam ochotę na kawę – oznajmił Papaj, gdy mknęli już autostradą.

– Też chętnie przyjmę dawkę kofeiny, może rozjaśni mi umysł – westchnęła Nowicka.

– A jeśli po badaniach DNA okaże się, że ustalimy personalia tylko jednego z nich? – zapytała policjantka, gdy siedzieli już przy kawie na jednej ze stacji benzynowych.

– Jeden jest zawsze lepsze od zera – odparł filozoficznie Papaj.

– Czyli wychodzisz z założenia, że połowa sukcesu jest lepsza od pełnego zwycięstwa? – spytała Nowicka, kątem oka obserwując granatową Toyotę, przejeżdżającą wolno wzdłuż parkingu. Była pewna, że ten sam samochód stał przed cmentarzem w Nowym Świątowie. Zastanawiała się, czy nie podzielić się z komisarzem swoim spostrzeżeniem, ale w końcu uznała, że to może być czysty przypadek.

– Słuchaj Justyna, mogłabyś dziś albo jutro jeszcze raz poszperać w archiwum? Może jednak gdzieś jest jakiś ślad po sprawie Sobótki? Chętnie zobaczyłbym również akta Owczarka, o ile jeszcze się

ostały – poprosił komisarz, kiedy godzinę później zaparkował obok komendy. Nowicka zapewniła, że zrobi co w jej mocy i ruszyła do siebie. Ledwie usiadła przy biurku, zabrzęczał jej telefon.

– No hej Andrzej – powiedziała, uruchamiając komputer.

– Słuchaj mam jeszcze jedną sprawę. Przyszła do mnie jakaś kobieta. Twierdzi, że ma jakieś ważne informacje o szkielecie z Krakowskiej. Moim zdaniem, wygląda na taką, co to nie ma się komu wygadać, ale przesłuchać ją trzeba. Ja muszę jeszcze napisać raport dla pani prokurator. Mogłabyś z nią porozmawiać? Czeka na dole.

– Oczywiście zaraz do niej zejdę – zapewniła Nowicka, która wychodziła z założenia, że każdy świadek jest cenny i nikogo nie należy lekceważyć.

– Dzień dobry aspirant Justyna Nowicka – przedstawiła się wysokiej, zasuszonej kobiecie około sześćdziesiątki. Jej długie zafarbowane na jasny popiel włosy, szare oczy i blada cera tworzyły dość specyficzną całość.

– Podobno posiada pani jakieś informacje o szczątkach znalezionych na warsztatach szkolnych przy ulicy Krakowskiej?

– Tak ja wiem, kogo tam zabetonowano – odpowiedziała kobieta tonem, z którego emanowała pewność siebie. Takiej odpowiedzi Justyna się nie spodziewała.

– Dobrze w takim razie zapraszam do pokoju, gdzie będziemy mogły spokojnie porozmawiać – powiedziała, prowadząc nieznajomą do jednego z pomieszczeń przeznaczonych dla potrzeb przesłuchań. Gdy usiadły za stołem, włączyła przyniesiony z sobą laptop i zaczęła spisywać zeznania.

– Najpierw proszę mi podać imię i nazwisko oraz adres zamieszkania i datę urodzenia – poprosiła.

– Nazywam się Elżbieta Witos, mieszkam na Kętrzyńskiej 102/52, urodziłam się 28 sierpnia 1960 roku – Justyna szybko zapisała dane personalne i przeszła do spisywania zeznań.

– Pani Elżbieto, co chciała pani nam przekazać? – kobieta najpierw popatrzyła na Nowicką, a później przeniosła rozbiegane nerwowe spojrzenie za okno. Wyglądała tak, jakby toczyła wewnętrzną walkę.

– Oczywiście wszystko, co pani powie, pozostanie między nami – zapewniła policjantka, chcąc tym samym zachęcić kobietę do rozmowy.

– Jestem przekonana, że na tych warsztatach zakopano ciało Jana Owczarka – zaczęła kobieta, wbijając spojrzenie szarych oczu w blat stołu – Nowicka, słysząc znajome imię i nazwisko, nie zdołała ukryć zaskoczenia.

– Czy pani знаła Jana Owczarka? – wtrąciła, choć początkowo nie zamierzała kobiecie przerywać.

– Tak, pracowałam w spółdzielni „Jedność” jako jego sekretarka – wyjaśniła – a poza tym, byłam jego kochanką, chociaż to określenie nie oddaje głębi, tego, co nas łączyło – dodała uśmiechając się do własnych wspomnień. Nowicką zastanawiały dwie sprawy. Po pierwsze, dlaczego kobieta postanowiła przyjść na policję, a po drugie, jakie miała dowody na potwierdzenie tego, że to Owczarek został zakopany na warsztatach.

– Moim zdaniem ona go zabiła, a później wykorzystując remont hali, zakopała zwłoki – oświadczyła Witos po chwili milczenia.

– Ale kto zabił?

– Jak to kto? Jego żona – wyjaśniła kobieta – ona go nienawidziła i była z nim wyłącznie dla pieniędzy. Janek chciał ją zostawić, mówił, że jak dostanie rozwód, to zaczniemy nowe życie, gdzieś daleko stąd, a ona go zabiła – powtórzyła Elżbieta Witos i nagle zaniosła się spazmatycznym szlochem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Papaj ostatni raz przeczytał raport, którego napisanie kosztowało go prawie godzinę. Następnie kliknął myszką, dołączając plik jako załącznik wiadomości adresowanej do Anny Moskał. Miał wielką ochotę poza oficjalnym belkotem, dopisać coś od siebie. Przez chwilę myślał, czy lepiej zabrzmi, zaproszenie na kawę w ramach przeprosin, czy wystarczą same przeprosiny. Jednak ostatecznie, zrezygnował z obu wariantów. Wolał nie dolewać oliwy do ognia, a co do tego, że Anna Moskał była ogniem, nie miał żadnych wątpliwości. Wracając do wspomnień o wspólnie spędzonej nocy, kliknął guzik, wyslij i po chwili wyłączył komputer. Choć zbliżała się dopiero siedemnasta, uznał mijający dzień za całkiem udany, pod względem wrażeń i mniej udany w sensie ustaleń, mogących przybliżyć go do rozwiązania sprawy znalezionej szkieletu.

– No dobra, pora wrzucić na luz – pomyślał, uruchamiając aplikację randkową. W towarzystwie Nowickiej wolał jej nie używać. Podejrzewał, że bystre oczy policjantki mogłyby zobaczyć coś, czego widzieć nie powinny. W skrzynce odbiorczej znalazł dwie wiadomości od Edyty i kilka zaczepek od użytkowniczek, z których dwie otwarcie deklarowały, że interesuje je tylko jednorazowy, szybki i dobry seks. Papaj wyczuwał w tych wiadomościach niekonsekwencję. Z doświadczenia wiedział, że szybki seks nie może być dobry i odwrotnie. Choć na swojej drodze rozwiedzionego podrywacza, spotykał różne kobiety, to prawie wszystkie świadomie lub podświadomie liczyły na to, że będzie je uwodził i tak też robił. Z wiadomości od Edyty wywnioskował, że czuje się głupio z powodu wczorajszego incydentu.

– No mądre to nie było – pomyślał Papaj, pisząc odpowiedź.

– Nawet gdybym nie był gliną, to też nie pozwoliłbym ci kierować po pijaku. Wiele rzeczy można robić po kilku drinkach, ale jazdy samochodem nie ma na tej liście – napisał i wysłał wiadomość. Odpowiedź od Edyty przysłała po kilkunastu sekundach.

– To, co w takim razie jest na liście?

– Spacer, kino, jedzenie, seks, to tylko kilka przykładów.

– Czy mam te przykłady traktować jako propozycję?

– Oczywiście, a tylko od ciebie zależy, co wybierzesz.

– A jeśli wszystko?

– Tym lepiej dla nas obojga.

– Coś mi się wydaje, że jesteś zbyt pewny siebie.

– Pewna moja droga, to jest tylko śmierć. Ja natomiast, jestem zdecydowany, ciekawy świata, ludzi i żądny rozmaitych wrażeń – napisał Papaj, lecz odpowiedź od Edyty nie przychodziła. Zamknął więc aplikację i wyszedł z biura. Idąc do wyjścia, zajrzał jeszcze do pokoju, w którym urzędowała Nowicka, ale jej biurko było posprzątane. Zbiegł więc po schodach i wyszedł przed komendę. Wyciągnął z kieszeni komórkę i udając, że coś na niej sprawdza, dyskretnie zlustrował okolicę. To, czego szukał, znalazł kilkadziesiąt metrów dalej. Zadowolony z siebie, ruszył wolnym krokiem w tamtą stronę. Mijając granatową Toyotę, zapamiętał jej numery rejestracyjne. Na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w lewo, obszedł cały kwartał i wrócił do budynku komendy. Wszedł do swojego biura, zalogował się do

bazy ewidencji pojazdów i wpisał numer rejestracyjny. Czekając, aż system znajdzie właściciela samochodu, zachodził w głowę, dlaczego ktoś miał by ich śledzić i czy to miało coś wspólnego z prowadzoną sprawą. Po chwili na ekranie zobaczył pełne dane właściciela.

– Sprytny jegomość – pomyślał, zapisując na kartce papieru adres wypożyczalni samochodów, na którą Toyota była zarejestrowana. Wiedział, że zdobycie informacji o tym, kto wypożyczał samochód nie będzie sprawą prostą, ale nie niemożliwą. Wychodząc z biura, Papaj zobaczył idącego w jego stronę Górskiego.

– Andrzej pozwól do mnie na chwilę – inspektor przywołał go ruchem dłoni. Ilość dokumentów leżących na biurku komendanta wskazywała, że osobiste niepowodzenia ma zamiar wyleczyć pracoholizmem.

– Lepiej zapracować niż zapić – pomyślał ze współczuciem Papaj, zajmując jeden z obrotowych foteli.

– Jak tam sprawa szkieletu? Widziałem, że wycofałeś podanie o urlop. Czyżby było aż tak ciężko? – w pytaniu Górskiego więcej było niedowierzania niż zdziwienia.

– Niestety łatwo nie jest – przyznał Papaj, relacjonując dotychczasowe ustalenia.

– Rozumiem, że masz dwa ciała i dwóch zaginionych? – podsumował inspektor.

– Raczej dwa szkielety – sprecyzował komisarz.

– Noto Porównać DNA obu nieboszczyków z żyjącymi członkami rodziny i po kłopotcie – stwierdził Górski tonem kogoś, kto właśnie rozwiązał zagadkę, nad którą inni głowili się bez powodzenia.

– Wiesz Piotrek, ameryki to ty nie odkryłeś, ale najpierw muszę otrzymać od prokuratorki zgodę na ekshumację, następnie pobrać materiał porównawczy i wreszcie czekać na wyniki, a to wszystko potrwa. Dlatego postanowiłem przełożyć urlop na spokojniejsze czasy.

– W naszym fachu nigdy nie ma spokojnych czasów – sentencja inspektora była nie tylko głęboko filozoficzna, ale równie życiowa i Papaj doskonale o tym wiedział.

– A co do pani prokurator – westchnął Górski, spoglądając wymownie na Papaja – to dzwoniła do mnie z prośbą, abym trochę cię stępił, bo podobno jesteś zbyt ostry – powiedział z naganą w głosie.

– Ja zbyt ostry? – pomyślał Papaj, przypominając sobie erotyczne zaangażowanie Anny Moskał.

– No może rzeczywiście trochę przeszarżowałem – przyznał, zdając sobie sprawę, że czasami lepiej jest zgiąć kark, udać skruszonego i przeprosić, niż z uporem maniaka obstawać przy swoich racjach, nawet jeśli były słuszne.

– Czyli temat nieporozumień z panią prokurator, mogę uznać za definitywnie zamknięty – stwierdził zadowolony Górski – a wracając do sprawy szkieletu, to mam znajomego w Gdańsku, jeśli chcesz, to poproszę, aby przyjrzał się śmierci tej Karlińskiej – zaoferował inspektor. Propozycja wydała się Papajowi interesująca. Co prawda sam nie zamierzał przynajmniej na tym etapie śledztwa badać tego wątku, ale nie miał nic przeciwko, aby ktoś inny to zrobił.

– Jeśli to nie problem to bardzo chętnie.

– Dobra jutro do niego zadzwonię – zapewnił Górski, sięgając po jedną z leżących na biurku teczek. Ten gest był wyraźnym, choć niepisanym sygnałem zakończenia spotkania. Papaj pożegnał się i wyszedł na korytarz. Spojrzał na zegarek, dochodziła siedemnasta. Bez zbędnego pośpiechu ruszył do wyjścia. Gdy był już na zewnątrz ponownie, ostrożnie zlustrował okolicę. Po granatowej Toyocie nie było śladu.

Wsiadał właśnie do samochodu, gdy zadzwonił telefon. Widząc na wyświetlaczu uśmiechniętą twarz swojej pierwszej żony, pośpiesznie odebrał połączenie.

– No hej, czyżby kolejna kawa? – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Nie tym razem kolacja – usłyszał w odpowiedzi.

– Uuu to widzę, że będę musiał uruchomić debet na koncie – zażartował.

– Spokojnie zjemy u ciebie – pomyśl tak bardzo zaskoczył komisarza, że o mało nie upuścił telefonu. Od chwili kiedy swoje dwupokojowe mieszkanie, zamienił na kawalerkę, zapraszał do niej wyłącznie kobiety, które poznawał na portalu towarzyskim.

– W końcu zobaczę to twoje gniazdko, o którym już tyle słyszałam, tylko podjedź po mnie do instytutu – poprosiła Sylwia. Papaj nie przypominał sobie, aby opowiadał Sylwii o kawalerce. Owszem przy jakiejś okazji napomknął, że sprzedaje mieszkanie i kupuje mniejsze, ale nic więcej.

– Dobra będę za pół godziny – obiecał, próbując zgadnąć powód, dla którego Sylwia zamiast spotkania gdzieś na mieście wprosiła się do niego i to nie na piwo czy kawę, ale na kolację.

– Jakby mnie nie było pod instytutem, to chwilę poczekaj. Po drodze kupimy kilka piw. A u ciebie zdecydujemy, co zamówimy. Może być chińszczyzna, kebab lub pizza – ciągnęła Sylwia, a Papajowi wydało się, że ktoś cofnął czas o siedem lat, do chwili, gdy byli jeszcze małżeństwem.

– Jak szanowna pani sobie życzy – odrzekł, naśladowując ton warszawskiego cwaniaka rodem z ulicy Chmielnej, który kiedyś doprowadzał Sylwię do śmiechu.

– Tylko nie licz, że zostanę na śniadanie – uprzedziła łagodnym, a mimo to stanowczym tonem i zakończyła rozmowę.

– I bardzo dobrze, bo co jak co, ale seks z byłą żoną to za wiele – pomyślał, uruchamiając silnik. Przez całą drogę do Instytutu Papaj zachodził w głowę, dlaczego Sylwia wyskoczyła z tak dziwnym pomysłem, jak wspólna kolacja. Czy znalazła kolejne materiały na temat powiązań Mieczysława Sobótki z wywiadem PRL-u i wołała opowiedzieć o nich w domowym zaciszu, a nie gwarnej knajpcie? Jeśli rzeczywiście było tak, jak myślał, to oznaczało, iż te informacje są nie tylko ważne, ale i objęte tajemnicą.

– Stary nie podniecaj się, jak zapalony narciarz, na widok pierwszych płatków śniegu, bo powody Sylwii mogą być bardziej banalne – skarcił się w myślach i postanowił, że nie będzie o nic pytał. Zaparkował w pobliżu Instytutu i wysiadł. Po drugiej stronie ulicy zobaczył sklep spożywczy. Szybko przebiegł przez jezdnię, kupił sześciopak piwa pszenicznego i wrócił do samochodu, przy którym czekała już Sylwia.

– O czegoś takiego jeszcze nie piłam – stwierdziła, spoglądając z zainteresowaniem na butelkę.

– Ja też, więc to będzie nasz pierwszy raz.

– Nie jesteś ciekaw, dlaczego wprosiłam się do ciebie na chatę? – zapytała, gdy kilka minut później wjeżdżali na most Grunwaldzki.

– Będziesz chciała, to sama powiesz – odparł pozornie obojętnym tonem. Próbował udawać brak zainteresowania, choć ciekawość buzowała w nim jak woda w czajniku, pod którym ktoś zapomniał wyłączyć gaz.

– Powiem albo nie powiem – droczyła się, jednak po wyrazie jej twarzy Papaj wiedział, że tym razem to on wygra. Sylwia nigdy nie grzeszyła cierpliwością i podejrzewał, że to się nie zmieniło. Zawsze chciała wiedzieć, co dostanie od niego pod choinkę, na urodziny, czy imieniny. W swoich dociekaniach była tak nieustępliwa, że kilka razy Papaj dla świętego spokoju, zdradzał przygotowaną niespodziankę. On pod tym względem był jej przeciwieństwem, a lata podrywania kobiet na portalu towarzyskim jeszcze tę cierpliwość ugruntowały. Wyznawał zasadę, że nigdy nie należy okazywać zbyt dużego zainteresowania i ta zasada, póki co się sprawdzała.

– Całkiem przyjemna okolica – zauważyła Sylwia, gdy zaparkował przed jednym z nowoczesnych bloków. Wokół budynku dominowały ozdobne krzewy i równo przycięte trawniki.

– Miła odmiana od betonowej dżungli – potwierdził Papaj, przypominając sobie swoje poprzednie mieszkanie na osiedlu, gdzie każdy wolny skrawek ziemi zamieniano w parking. Wchodząc po schodach, spostrzegł, że Sylwia z ciekawością rozgląda się wokół. Jednak dopiero gdy przekroczyła próg kawalerki, stanęła jak wryta.

– Ty tutaj mieszkasz? – bąknęła zdziwiona, lustrując uważnie otwartą przestrzeń salonu połączonego z aneksem kuchennym. Było widać, że aranżacja wnętrza, dobór kolorów, mebli, wyposażenia i dodatków zrobił na niej wrażenie. Reakcja Sylwii nie była dla Papaja zaskoczeniem. W ten sposób reagowało dziewięćdziesiąt procent kobiet, które zapraszał do siebie i o to właśnie chodziło. Chciał, aby jego kawalerka w żaden sposób nie przypominała mieszkania stereotypowego faceta po rozwodzie, gdzie z kosza na śmieci wystają kartony po pizzy lub puszki po piwie, a łazienka wygląda jak dworcowy szalet sprzed czterdziestu lat. Wchodząc do jego mieszkania, kobiety miały po pierwsze być zaskoczone czystością i wystrojem. Po drugie powinny czuć się swobodnie, a po trzecie musiały dać się uwieść takim detalom jak pachnące świece, czy cięte kwiaty wazonie. Tych drugich akurat Papaj nie miał, ale też nie były mu teraz potrzebne. Nie zamierzał robić z Sylwią niczego, co wymagało stworzenia odpowiedniego nastroju.

– Ty sam to urządziłeś? – spytała z autentycznym niedowierzaniem.

– Aż takich zdolności to nie mam – przyznał, wstawiając do lodówki kupione piwo – ale znalazłem zdolną dekoratorkę wewnątrz – dodał, siadając obok bylej żony na miękkiej kanapie obitej przytulnym welurem koloru mlecznej czekolady.

– A co tam jest? – Sylwia wskazała przesuwane drzwi z brązowego szkła.

– Moja sypialnia.

– Mogę zajrzeć?

– Bardzo proszę – zgodził się. Gdy zaciekawiona Sylwia poszła oglądać sypialnię, komisarz uruchomił aplikację do zamawiania jedzenia.

– Zamawiam jedzenie, na co masz ochotę? – zawołał, przeglądając oferty pobliskich lokali. Dla siebie postanowił zamówić chińszczyznę.

– A ty co bierzesz? – spytała Sylwia, wracając do salonu i siadając obok. Tym razem usiadła znacznie bliżej, a zdaniem Papaja zdecydowanie za blisko. Czuł zapach jej perfum, a fakt, że nadal używała tych samych, co kiedyś, gdy byli jeszcze małżeństwem, obudził w nim wspomnienia, na które teraz nie miał ochoty. Sylwia jakby odgadując jego myśli, wstała i podeszła do wysokich okien.

– Coś chińskiego – odparł, nie odrywając oczu od smartfonu.

– To ja też się skuszę. Zamów mi coś ostrego z dużą ilością mięsa.

– Może być kurczak w pięciu smakach?

– A nie mają psa? – spytała, siadając w drugim rogu kanapy. Papaj zastanawiał się, czy wzmianka o psie była aluzją do jego zawodu, ale wołał nie zaczynać tego tematu.

– Niestety kilka dni temu chińskie ministerstwo wydało zakaz jedzenia psów, bo są ciężkostrawne – rzucił i dokończył składanie zamówienia.

– To, co może jakieś piwko, póki nie dowiozą tej wykwintnej kolacji? – zaproponowała Sylwia, zakładając nogę na nogę. Przy tym ruchu jej sukienka podniosła się niebezpiecznie do góry, odsłaniając znaczną część jej zgrabnych opalonych nóg.

– Dobry pomysł – podchwycił komisarz, odrywając wzrok od stóp Sylwii i ruszył do kuchni. Wyjął z lodówki dwie butelki, z szafki zabrał szklanki i wrócił na kanapę.

– Chcesz, żebym ci teraz powiedziała o swoim odkryciu czy czekamy na jedzenie?

– Jak wolisz – odparł Papaj, siłąc się na obojętny ton.

– No dobra powiem ci, bo widzę, że umierasz z ciekawości.

– Z tym przenoszeniem się w zaświaty, to przesadziłaś, ale nie ukrywam, że jestem ciekaw twoich rewelacji – przyznał, podając bylej żonie szklanekę napełnioną piwem koloru jasnego miodu.

– A więc miałam rację, że nie możesz się ich doczekać – przyznała triumfalnym tonem. Papaj miał już zamiar odpowiedzieć, ale właśnie wtedy zadzwonił jego telefon. Nim zdążył sięgnąć po aparat, Sylwia zerknęła na wyświetlacz, a na jej ustach zaigrał ironiczny uśmiech. – Justyna, to bardzo śliczne imię – wyszeptala złośliwie, ale komisarz, który wchodził już do sypialni, zignorował jej uwagę i pogroził środkowym palcem. W odpowiedzi Sylwia wystawiła język i przewróciła oczami.

– No hej co tam? – spytał, odbierając połączenie od Nowickiej.

– Andrzej nie przeszkadzam?

– Właściwie nie.

– Słuchaj, dzwonię w sprawie tej kobiety, którą dziś przesłuchiwałam – ton Justyny zdradzał podekscytowanie.

– Tej, co niby miała jakieś ważne informacje o szkielecie? – upewnił się komisarz.

– Właśnie tej – potwierdziła policjantka – wyobraź sobie, że ona знаła Jana Owczarka, co więc jej miała z nim romans. Według tej Witos Owczarek został zabity przez żonę, która następnie ukryła ciało w remontowanych warsztatach.

– Ma kobieta fantazję – pomyślał Papaj, wiedząc z doświadczenia, że wyobraźnia ludzka jest w stanie wymyślić wszystko, ale jedynie kilka procent z tych rewelacji można udowodnić. Głośno zaś zapytał:

– Ma na to jakieś dowody, czy to jedynie jej domysły?

– Konkretnych nie, ale z tego, co zeznała, wynika, iż Beata Owczarek groziła swojemu mężowi, a ją samą pobiła, gdy wyszło na jaw, że ma romans z jej mężem.

– No to już coś mamy – mruknął komisarz, zastanawiając się, co dalej powinni zrobić z tą wiedzą. Elżbieta Witos, nawet jeśli nie miała racji co do tego, kto został zakopany na szkolnych warsztatach, to wskazała ewentualny motyw zbrodni, którego Papaj do tej pory zupełnie nie brał pod uwagę. Zazdrość była przecież jednym z najczęstszych powodów, dla których ludzie zabijali. Tyle że teraz to nie motyw był najważniejszy, ale ustalenie tożsamości znalezionej szkieletu.

– Słuchaj Justyna, poszukaj jutro w archiwum akt dotyczących zaginięcia tego Owczarka, może one rzucą więcej światła na zeznania tej Witos – poprosił Papaj, a słysząc dzwonek domofonu, szybko zakończył rozmowę i poszedł otworzyć.

– Całkiem dobry ten kurczak – oceniła Sylwia, kiedy na talerzach zostały już tylko resztki jedzenia – a skoro już jesteśmy najedzeni, to można brać się do pracy – dodała, przechodząc do części kuchennej i siadając przy dużym stole. Papaj ruszył za nią ciekaw, jakiego rodzaju praca ich czeka. Sylwia w tym czasie postawiła na stole swój laptop.

– Lepiej usiądź, bo na stojąco możesz nie wytrzymać tego, co mam ci zamiar pokazać – poradziła, wskazując drugie krzesło i uruchomiła komputer. Andrzej w milczeniu usiadł obok i czekał na rozwój wypadków. Po chwili Sylwia wyświetliła zdjęcie, które przedstawiało kawałek chodnika, trawnik i rosnące na nim drzewo. W kadrze nie było żadnych ludzi, a nawet budynków.

– Zaczniemy od tego – powiedziała, wskazując ruchem podbródka wyświetloną fotografię.

– Bardzo ciekawe zdjęcie, takie istne nic – zadrwił Papaj, jednak z zagadkowej miny bylej żony wnioskował, że ma ono wielkie znaczenie dla sprawy.

– Przyjrzyj się dokładnie i powiedz, co widzisz – prośba zdumiała komisarza, ale postanowił spełnić życzenie.

– Kawalek chodnika, trawnik, jakieś drzewo, sądząc po leżących na ziemi łupinach, to chyba kasztan – wymienił bez pośpiechu, dokładnie analizując wszystko, co dostrzegł na fotografii – a i jeszcze liście oraz kamień – dodał, nie chcąc pominąć żadnego szczegółu.

– No dobra powiedzmy, że twoją spostrzegawczość oceniam na mocną czwórkę – odparła Sylwia – ale powody, dla których to zdjęcie jest tak ważne, wyjawię ci dopiero za chwilę. Teraz posłuchaj pewnej historii – dodała, upijając duży łyk piwa.

– Nie będę cię zanudzała drobnostkami, ale jedno musisz wiedzieć, znaczna część dyplomatów to szpiedzy. Tak było, jest i będzie. Pracownicy amerykańskiej ambasady w Warszawie nie różnili się pod tym względem. O tym ilu agentów udało im się zwerbować na terenie PRL-u, mogłabym ci opowiadać tygodniami. Jednak spokojnie dzisiaj skoncentruję się tylko na jednym z nich – uprzedziła, wstając od stołu i lekko tanecznym krokiem przeszła do kanapy. Usiadła wygodnie, zrzuciła z nóg czółenka i skrzyżowała stopy w kostkach. Ten widok sprawił, że Papaj wziął duży łyk piwa, i skoncentrował wzrok na prostokacie okna.

– Późnym latem 1984 roku, zjawił się w Warszawie niejaki Adam Pawłowski, Amerykanin polskiego pochodzenia – zaczęła Sylwia, przymykając powieki, co zawsze oznaczało długą opowieść.

– Oficjalnie był pracownikiem ambasady USA, ale Polacy natychmiast zaczęli podejrzewać, że pracuje dla CIA. Od razu więc rozpoczęto jego obserwację. Zostało to zlecone specjalnej jednostce, pod nazwą grupa B. Inwigilacja, choć intensywna i bardzo dyskretna przez długi czas nie przynosiła żadnych efektów. Facet rano wychodził do pracy, wracał około czternastej i godzinę później bez względu na pogodę wyprowadzał na spacer jamnika, przywiezionego ze stanów. W dokumentach znalazłam nawet wzmiankę, że polski wywiad podejrzewał, iż pies był tresowany do wykrywania zapachów osób mogących śledzić Pawłowskiego, ale nie sądzę, aby to było prawdą. Natomiast po przeanalizowaniu wszystkich tras, jakimi poruszał się Pawłowski nabrano pewności, iż nie są one przypadkowe i mają na celu zweryfikowanie przez Amerykanina czy rzeczywiście jest śledzony. Wtedy też zaczęto podejrzewać, że zadaniem Pawłowskiego jest nawiązanie kontaktu z którymś z agentów. A musisz wiedzieć, że to wcale nie było takie proste. Do osobistych spotkań dochodziło wyłącznie w wyjątkowych sytuacjach, a standardową formą kontaktu pozostawały różnego rodzaju skrytki, w których pozostawiano i odbierano materiały czy pieniądze. Jak pokazała nieodległa przyszłość, Polacy mieli rację. Któregoś dnia Pawłowski przekonany, iż nikt go nie śledzi jak zwykle, wybrał się z psem na spacer. Zatrzymał się pod Kasztanowcem, dokładnie tym ze zdjęcia – Sylwia ponownie wskazała podbródkiem drzewo na fotografii – i gdy piesek robił kupkę, on zaczął zbierać kasztany, a później jakby nigdy nic wrócił do domu. Jego zachowanie zaciekało jednego z obserwatorów. Okazał się nim i to ustaliłam ponad wszelką wątpliwość Mieczysław Sobótka – Papaj, którego historia zaczynała nudzić, nagle prawie poderwał się z krzesła.

– Jak to Sobótka, przecież on pracował we Wrocławiu? – zdziwił się rewelacjami Sylwii.

– Tak, ale dopiero od kwietnia 1985 roku. Najpierw przez kilka miesięcy służył w Gdańsku, później na ponad dwa lata trafił do Warszawy, a dopiero na końcu został przeniesiony do Wrocławia.

– Jesteś tego pewna? – zapytał Papaj i w tej samej chwili przypomniał sobie rozmowę z żoną Sobótki. Ona również mówiła, że do Wrocławia przeprowadzili się z Warszawy.

– Oczywiście, bo choć akta Sobótki zniknęły, to czytając poszczególne raporty wywiadowcze, w których pojawia się jego nazwisko, można bardzo wiele rzeczy ustalić. Pozwól jednak, że wrócę do dalszej części opowieści – poprosiła, moszcząc się wygodnie na sofie.

– Tak więc Sobótka postanowił przyjrzeć się dokładnie temu miejscu, ale nie znalazł nic podejrzanego. Odchodząc, ze złości kopnął leżący pod drzewem kamień, a ten ku jego zdumieniu,

przeleciał kilka metrów. Zaskoczony Sobótka podszedł, podniósł go i wtedy odkrył, że jak na swoje rozmiary jest wyjątkowo lekki. O dziwnym znalezisku natychmiast poinformował przełożonych, którzy od razu wiedzieli, że mają do czynienia z kontenerem wywiadowczym.

– Czyli najważniejszy na zdjęciu był kamień – mruknął z niedowierzaniem Papaj.

– Tak Andrzejku najważniejszy był kamień – potwierdziła Sylwia, puszczając do niego oko – ale to jeszcze nie koniec tej historii – dodała, prosząc o kolejne piwo. Komisarz z ociąganiem wstał i przyniósł pozostałe butelki.

– Oo, zapasy nam się kończą – bąknęła, widząc, że w opakowaniu zostały tylko dwie.

– Ty i tak masz już dość – oznajmił Papaj nieco twardszym tonem, niż zamierzał.

– Dobra, to szybko opowiem ci, co było dalej, nim usnę na podłodze, albo nie daj Boże, zarzygam ten śliczny, puszysty dywan – zakpiła, wlewając jasny pieniający się płyn do wysokiej szklanki.

– Po odkryciu Sobótki postanowiono zastawić pułapkę. Kamień odstawiono na swoje miejsce i poddano go całodobowej obserwacji. Z dokumentów wynika, że po kilku tygodniach ludzie biorący udział w operacji zaczęli wątpić, że ktoś w końcu podniesie ten nieszczęsny kamień. Jednak niepokój udzielił się także drugiej stronie. Pawłowski, który omijał tę okolicę, pewnego dnia przeszedł jednak obok drzewa z kamieniem, ale nawet się nie zatrzymał. Z jakiegoś powodu agent mający otrzymać zawartość kamienia nie zgłaszał się po niego. Polacy już chcieli zakończyć operację. Tym bardziej że angażowała sporą grupę wywiadowców i generowała koszty. Specjalnie na tę akcję sprowadzono z zachodu nowoczesny czujnik, który został umieszczony pod kamieniem i miał informować ukrytą w jednym z domów ekipę o próbie jego podniesienia. Wreszcie w połowie listopada przy drzewie zatrzymał się należący do amerykańskiej ambasady samochód. Wysiadł z niego jeden z pracowników o nazwisku Peter Smith i podniósł kamień. Od razu został otoczony i zatrzymany. Niestety chronił go immunitet, więc Polacy nie mogli go aresztować. Dwa dni później Smith wyleciał do USA. Dopiero miesiąc później natrafiono na ślad człowieka, dla którego kamień był przeznaczony, ale to już inna historia – zakończyła Sylwia, patrząc na Papaja zamglonymi oczami.

– Czyli wiemy tyle, że Sobótka najpierw pracował w Gdańsku, potem w Warszawie, a później z jakiegoś powodu został przeniesiony do Wrocławia.

– Tak wynika z zasobów IPN – potwierdziła Sylwia, unosząc do ust szklankę z piwem. Papaj zastanawiał się, czy zdobyte informacje mają jakiegokolwiek znaczenie dla sprawy, którą prowadził. Przecież obecnie priorytetem było ustalenie tożsamości szkieletu z warsztatów oraz tego pochowanego na cmentarzu w Nowym Świątowie. Znalezienie sprawców, którzy ukryli ciało pod posadzką, uważał za mało prawdopodobne. Z zamyślenia wyrwało go ciche pochrapywanie Sylwii, która zwinęta w kłębek spała w najlepsze na kanapie.

– Zawsze miałaś słabą głowę – mruknął do siebie, spoglądając z rozbawieniem na byłą żonę. Następnie przyniósł gruby polarowy koc i starannie okrył Sylwię.

Papaja obudziły dziwne odgłosy, dobiegające z kuchni. Przez niedokładnie zasunięte rolety wpadała do pokoju wąska smuga słońca. Zaniepokojony przez chwilę nasłuchiwał i dopiero gdy usłyszał głos Sylwii nucającej pod nosem jakąś piosenkę, przypomniał sobie ubiegły wieczór. Wstał, szybko się ubrał i stanął w drzwiach. Sylwia ubrana w jego szlafrok, z jego ręcznikiem zawiniętym na mokrych włosach przewracała właśnie na patelni zarumienionego omleta.

– O widzę, że już wstałaś. To dobrze, bo za chwilę będzie śniadanie. Pozwoliłam sobie pożyczyć kilka twoich rzeczy, bo jadąc tutaj wczoraj, nie sądziłam, że zostanę aż do rana.

– Ja też tego nie przewidywałam – mruknął pod nosem Papaj, a głośno powiedział:

– Chciałem cię wczoraj odwieźć, ale tak słodko spałaś.

– Gdybyś mnie nie upił, to bym nie spała – zauważyła z żartobliwym wyrzutem.

– Niby ja cię upilem? – prychnął urażony Papaj.

– A kto kupił piwo?

– A kto powiedział, aby kupić piwo?

– No dobra nie ma sensu się licytować – ustąpiła Sylwia, wykładając na talerze pachnące omelety.

Posypała je drobno startym serem i zaniósła do stołu.

– I co sądzisz o moich ustaleniach? – komisarz wahał się, czy ma powiedzieć jej prawdę. W końcu zdecydował, że szczerść będzie najlepsza.

– Wiesz, to wszystko jest bardzo ciekawe, ale wątpię, czy pomoże mi w ustaleniu tożsamości denata – Sylwia spojrzała na niego trochę zaskoczona.

– A mógłbyś mi przypomnieć, o ile pamiętasz, na czym wczoraj skończyłam? – poprosiła, robiąc niewinną minę małej smutnej dziewczynki, która zapomniała ile to dwa razy dwa.

– Masz na myśli opowieść, czy ilość wypitych butelek?

– Może najpierw to pierwsze – powiedziała, groźnie wymachując widelcem.

– O ile dobrze zapamiętałem na tym, że zatrzymano jakiegoś amerykańskiego dyplomate, który przyjechał po ten kamień – przypomniał komisarz.

– No właśnie, czyli nie powiedziałam ci najważniejszego – oznajmiła, wymownie spoglądając na zamknięty laptop. Odstawiła talerz z niedojedzonym omeletem i sięgnęła po komputer. Po chwili na ekranie pojawiło się kilka nowych zdjęć. Tym razem nie było żadnych kamieni, tylko troje ludzi. Zdjęcia były zrobione w różnych miejscach, ale ich bohaterowie byli ci sami.

– Wiesz, kto to jest? – zapytała, wskazując na niższego z mężczyzn.

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznał szczerze Papaj.

– Spróbuj zgadnąć – zachęciła – w końcu jesteś podobno jednym z lepszych gliniarzy w tym mieście – dodała ironicznym, prowokującym tonem. Papaj zignorował uwagę byłej żony i przyjrzał się fotografii. Została zrobiona w jakiejś kawiarni lub restauracji. Cała trójka siedziała przy stoliku. Ich twarze były wyraźne i co bardziej zastanowiło komisarza naturalne. Tak jakby nie byli oni świadomi obecności obiektywu. To mogło oznaczać, że zdjęcie wykonano z ukrycia. Twarz mężczyzny, o którego pytała Sylwia, wydała się Papajowi znajoma, ale nie potrafił przypisać jej do żadnego ze znanych sobie ludzi. Olśnienie przyszło dopiero po dłuższej chwili.

– Mieczysław Sobótka? – powiedział, przypominając sobie fotografię, jaką widział poprzedniego dnia na cmentarzu w Nowym Świątowie.

– Brawo trafieś i wygrywasz złoty korek do wanny – przyznała Sylwia, nie kryjąc zaskoczenia – a skąd wiedziałeś – zapytała zaintrygowana. Papaj w kilku zdaniach opowiedział o wizycie u Anny Sobótki i rewelacjach z grobem jej męża.

– To dziwne – przyznała Sylwia, wskazując na drugiego mężczyznę ze zdjęcia.

– To teraz zgadnij, kim jest ten jegomość?

– Facet pod pewnymi względami przypominał Sobótkę. Miał jasne włosy, niebieskie oczy, jednak był od niego znacznie wyższy i miał bardziej kwadratową szczękę.

– Tutaj muszę się poddać.

– Też tak myślałam. Dlatego teraz słuchaj bardzo uważnie – poleciła Sylwia – bo dwa razy nie będę powtarzała – ostrzegła, nabierając powietrza jak ktoś zamierzający wygłosić ważną kwestię – tym mężczyzną jest Adam Pawłowski, a towarzysząca im kobieta to Anna Sobótka – informacja dosłownie zamurowała Papaję. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w wyświetloną fotografię, próbując rozpoznać w młodej atrakcyjnej kobiecie Annę Sobótkę.

– Dobra, muszę przyznać, że tymi wiadomościami zakasowałaś mnie – oznajmił komisarz, gdy już odzyskał głos – ale wytłumacz mi, skąd oni się znali? – poprosił, spoglądając błagalnie na triumfującą Sylwią. Jednak ta bezradnie rozłożyła ręce.

– Tego, jak i gdzie się poznali, niestety nie zdołałam ustalić, i wątpię by w tej chwili, było to możliwe – powiedziała, a w jej tonie wyraźnie pobrzmiwała nuta zawodu.

– Jednak wiedząc, czym zajmowali się Sobótka i Pawloski można przyjąć dwie wersje zdarzeń. Pierwsza to taka, że Sobótka otrzymał zlecenie rozpracowania Amerykanina, a druga odwrotna. Natomiast co do śmierci Sobótki możliwe są również dwa scenariusze. Pierwszy, że to Pawloski go zabił i zakopał na tych warsztatach. Drugi, że zrobiła to służba bezpieczeństwa, bo na przykład odkryła, że Sobótka podjął współpracę z CIA. Przy czym jeszcze do wczoraj uważałam, że druga wersja jest bardziej prawdopodobna.

– A dzisiaj już tak nie uważasz? – wtrącił Papaj, który jeszcze nie doszedł do siebie.

– Ten grób Sobótki wszystko skomplikował – oznajmiła, zamykając laptop i chowając go do torby.

– O ile w tym grobie rzeczywiście spoczywa Sobótka – zauważył komisarz, przełykając ostatni kawałek omleta – bo jak dla mnie to wszystko jest jakieś dziwne – dodał, widząc pytające spojrzenie Sylwii.

– Dlaczego dziwne?

– Skoro na warsztatach obok trupa znaleziono broń Sobótki, to jego udział w tej sprawie wydaje się logiczny. Z kolei trup znaleziony w lesie, jeśli wierzyć zeznaniom wdowy był ubrany w mundur jej męża i miał jego rzeczy osobiste – przypomniał Papaj.

– Jednym słowem masz dwa komplety kości i jednego zaginionego gliniarza, a zagadka polega na tym, który z nich to Sobótka – wtrąciła Sylwia, marszcząc w zamyśleniu czoło.

– Coś w tym sensie, ale jest jeszcze ten Owczarek, więc może się okazać, że mam dwa komplety kości i dwóch zaginionych.

– Teraz tak sobie pomyślałam, że wcale nie braliśmy pod uwagę Pawloskiego.

– A dlaczego niby mielibyśmy go w to mieszać? – zdziwił się komisarz, nie bardzo wiedząc, do czego Sylwia zmierza.

– Przecież mogło być tak, że Sobótka wykończył Amerykanina, a potem sam postanowił rozstać się z tym światem – zasugerowała.

– Jeśli już to raczej ktoś mu w tym pomógł – wtrącił Papaj, zbierając ze stołu puste naczynia i wkładając je do zmywarki.

– Masz na myśli samobójstwo, czy wykończenie Pawloskiego?

– Mówiąc szczerze i jedno i drugie – przyznał komisarz, wracając do stołu – moim zdaniem ekshumacja i badania DNA powinny popchnąć sprawę do przodu – dodał z przekonaniem – a póki ich nie mamy, to wszystko jest jedną wielką niewiadomą – zakończył filozoficznie.

– No dobra, to ty wygrzebuj i badaj te kości, a ja poszperam w aktach. Może znajdę informację, czy, a jeśli tak, to kiedy Pawloski opuścił Polskę – powiedziała Sylwia, wstając od stołu i ruszając do łazienki.

– A mogłabyś jeszcze poszukać jakichś informacji o Janie Owczarku? – poprosił Papaj.

– Coś mi się wydaje, że zaczynasz mnie wykorzystywać.

– To tylko prośba, a nową szczoteczkę i kubek znajdziesz w szafce nad umywalką.

– Rozumiem, że ten tekst powtarzasz każdej damie, która spędziła noc w twoim mieszkaniu? – usłyszał w odpowiedzi. Już miał poczęstować byłą żonę jakąś ciętą ripostą, ale dzwonek telefonu pokrzyżował jego plany.

– To pewnie ta Justynka – wyszeptała Sylwia, zamykając cicho drzwi do łazienki. Papaj spojrział na ekran smartfonu. Rzeczywiście telefonowała Nowicka.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Na samą myśl, że znowu spędzi w archiwum kilka godzin, Nowicka poczuła, jak zaczyna swędzieć ją nos. Wiedziała jednak, że wcześniej czy później musiała zejść do ciemnej, zakurzonej piwnicy, w której unosił się zapach stęchlizny. Był on tak mocny i trwały, jak markowe perfumy rodem z Francji, choć jego nuty zapachowe wcale nie przypominały tych z flakonów Chanel i Diora. Dlatego chcąc mieć to jak najszybciej za sobą, zaraz po przyjeździe na komendę, zagłębiła się w jej katakumby. Dość szybko odnalazła regały, gdzie zgromadzono akta z 1985 roku, ale wiedziała, iż najtrudniejsze było dopiero przed nią. Musiała w setkach teczek odnaleźć akta sprawy zaginięcia Jana Owczarka. Teoretycznieteczki powinny być ustawiane według dat, ale jak pokazywała praktyka, bardzo rzadko było to przestrzegane. Ktoś, kto z jakiegoś powodu sięgał po archiwalne dokumenty, nie zawsze zadawał sobie trud, aby odstawić je na właściwe miejsce. Wkurzało ją takie podejście. Może dlatego, że w pracy podobnie jak w życiu prywatnym lubiła porządek. W rodzinnym domu to ona była pedantką, a jej siostra bałaganiarą. Pewnie dlatego została policjantką i zajmowała się pilnowaniem porządku, a Paulina robiła karierę naukową w Ameryce. Mimo tego wcale nie była zazdrosna. No może trochę, ale nie o jej sukcesy, ale o możliwość zwiedzania tylu wspaniałych miejsc, do których ona mogła co najwyżej wdychać. Porzucając marzenia o słonecznym Nowym Yorku, który tętnił życiem przez całą dobę, Justyna skupiła uwagę na teczkach, upchniętych ciasno na metalowych regałach. Z zawodową starannością wyciągała każdą z nich i odczytywała umieszczony na grzbiecie numer akt oraz datę założeniateczki. Po dziesięciu minutach trzymała pod pachą kilkanaście teczek, które sądząc po datach, zawierały akta spraw z przełomu sierpnia i września 1985 roku. Zadowolona podeszła do najbliższego stolika, zapaliła stojącą na nim lampkę, i w ostrym świetle zaczęła przeglądać przyniesioneteczki. Ta, której szukała, była przedostatnia. W środku znalazłazaledwie kilka kartek. Omiotła je szybkim spojrzeniem i zmarszczyła brwi.

– Niewiele tego – pomyślała zawiedziona, chowając dokumenty z powrotem doteczki i odstawiając ją na bok. Następnie odniosła pozostałe akta na swoje miejsce i opuściła archiwum. Wracając do siebie, wstąpiła do biura Papaja, ale komisarza jeszcze nie było w pracy. Uznała, że to trochę dziwne, dochodziła bowiem dziewiąta, a komisarz zazwyczaj już po ósmej zjawiał się w komendzie.

– Jak tylko się pojawi, przekażę, że pani była – zapewnił jeden z jego kolegów. Nowicka podziękowała i ruszyła do siebie, aby na spokojnie zapoznać się z zawartością trzymanej pod pachąteczki. Jej pobieżne przejrzanie jeszcze w archiwum, pozwoliło stwierdzić, że materiał nie był zbyt bogaty, ale chyba kompletny. Usiadła przy biurku i rozwiązała zeszytniałe tasieмки. Na samym wierzchu leżało zgłoszenie zaginięcia. Dokładna jego lektura potwierdziła, to co mówiła Beata Owczarek, że jej mąż zaginął 23 sierpnia 1985 roku. Dalej Nowicka znalazła oficjalne zeznanie kobiety oraz notatki, jakie funkcjonariusze milicji sporządzili w miejscu pracy zaginionego. Wszystkie one, choć szczegółowe, zdaniem policjantki zawierały mało istotne informacje, które niczego ważnego do sprawy nie wносиły. Zupełnie inaczej było w przypadku przedostatniego dokumentu. Choć nie było to żadne oficjalne pismo, wyjaśniało więcej, niż wszystkie pozostałe dokumenty razem wzięte. Kartką,

która zrobiła na Nowickiej takie wrażenie, był anonim. Jego forma świadczyła, że ten, kto go wysłał, nie wykazał się specjalną pomysłowością.

– Dziecinna sztuczka – pomyślała Justyna, patrząc na litery wycięte z gazety i przyklejone na kartkę w kratkę. Wiadomość nie była zbyt długa, ale zdaniem policjantki miała decydujące znaczenie, a może nawet przesądziła o zamknięciu śledztwa.

– Uprzejmie donoszę, że obywatel Jan Owczarek nielegalnie opuścił Polskę i obecnie przebywa u swoich krewnych w Niemczech zachodnich – Justyna kilka razy przeczytała anonim. Była ciekawa komu, aż tak bardzo zależało na skierowaniu milicji na trop, który zdaniem Beaty Owczarek był ślepą uliczką. Wiedziała, że teraz znalezienie odpowiedzi na to pytanie będzie bardzo trudne, a może nawet niemożliwe. Ostatnim dokumentem było umorzenie postępowania. Z dat poszczególnych pism wynikało, że cała sprawa była prowadzona dwa tygodnie.

– Szybko się uwinęli – mruknęła do siebie. Sięgnęła po leżący na blacie smartfon i wybrała numer Papaja. Komisarz odebrał po kilku sygnałach, a ton jego głosu sugerował, że miał ciężką noc.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam? – zaczęła Justyna, zerkając w rozłożone na biurku dokumenty.

– Jasne, że nie.

– To dobrze, bo znalazłam teczkę z dokumentami sprawy zaginięcia tego Owczarka.

– I jest coś ciekawego? – wszedł jej w słowo komisarz.

– To zależy jak na to spojrzeć. Dokumentacja jest biedna, ale kompletna – odparła Nowicka, referując kolejno każdy z dokumentów. Kiedy skończyła, nastąpiła długa chwila ciszy.

– Niby wszystko gra – westchnął niepewnie komisarz – ale jak na mój gust to trochę szybko zamknięto całą tę sprawę – dodał tonem, w którym pobrzmiwała nuta zastanowienia.

– Mnie też dziwi, że na podstawie jakiegoś tam anonimu zdecydowano się zakończyć poszukiwania – potwierdziła Justyna, której również nie podobało się tak szybkie umorzenie śledztwa.

– Słuchaj, za pół godziny będę w biurze, to wpadnij do mnie z tymi dokumentami. Jeszcze raz, wspólnie rzucimy na nie okiem – poprosił Papaj – w końcu jak to mówią co dwie głowy to nie jedna – dodał, a pośpiech, z jakim chciał zakończyć rozmowę, tylko utwierdził Nowicką w przekonaniu, że komisarz ma gościa i najpewniej jest nim kobieta. Gdyby ich znajomość była bardziej zażyła, odważyłaby się na jakiś żart pasujący do sytuacji, ale znali się zbyt krótko, i jak na razie byli bardziej na stopie zawodowej niż koleżeńskiej. Dlatego też postanowiła nie komentować swoich podejrzeń.

– Żaden problem, nie musisz się śpieszyć. Tylko jak już dotrzesz, to daj mi znać – poprosiła i zakończyła połączenie. Następnie zebrała wszystkie dokumenty, schowała do teczki i odłożyła na bok. Znalezienie akt sprawy zaginięcia Jana Owczarka było jednym z wielu zadań, jakie postawiła przed sobą na ten dzień. Kolejną pozycją na liście było przejrzenie archiwalnych numerów gazet z sierpnia 1985 roku. Nie obiecywała sobie po tym zbyt wiele, ale zawsze mogła znaleźć jakąś informację, istotną z punktu widzenia śledztwa. Aby móc poczytać, o czym przed trzydziestoma laty pisano we Wrocławskich gazetach, musiała odwiedzić bibliotekę wojewódzką, zamówić dostęp do wybranych czasopism i poczekać kilka dni. Jednak tym razem postanowiła skorzystać z rodzinnych koneksji i przyspieszyć wizytę. Miała to szczęście, że jej kuzyn Bartek pracował w bibliotece. Co prawda nie w dziale czasopism, ale sądziła, że i tak będzie mógł jej pomóc. Odnalazła jego numer i zadzwoniła. Kiedy odebrał, nie krył zaskoczenia, co specjalnie jej nie zdziwiło, ponieważ mimo pokrewieństwa nie byli z sobą zbyt blisko. Widywali się zazwyczaj podczas uroczystości rodzinnych. Najczęściej były to albo śluby, albo pogrzeby. W ciągu ostatnich trzech lat tych drugich było jednak więcej. Ostatnim był pogrzeb wuja. Gdy wtedy rozmawiali z sobą, Bartek nie przeżywał szczególnie śmierci ojca. Może

dlatego, że wuj długo chorował i wszyscy łącznie z nim samym wiedzieli, że nic nie da się zrobić. Stąd też przejście na tamten świat było i dla niego, i dla rodziny pewnego rodzaju wybawieniem.

– Cześć kuzynie, mam do ciebie sprawę – zaczęła, pomijając zwyczajowe pytania o samopoczucie cioci.

– Chciałabym przejrzeć Wrocławskie dzienniki z sierpnia 1985 roku – wyjaśniła bez wdawania się w szczegóły – nie ukrywam, że zależy mi na czasie i dlatego właśnie do ciebie dzwonię – dodała.

– Dobra, zobaczę, co da się zrobić – odpowiedział Bartek, który nawet nie zapytał o powód jej zainteresowania gazetami sprzed kilkudziesięciu lat.

– Podaj mi tylko o jakie gazety chodzi – poprosił. Nowicka przedyktowała wypisane na kartce tytuły.

– jak będę coś wiedział, to do ciebie oddzwonię lub puszcze SMS, ale niczego nie obiecuję – zastrzegł, nim się rozłączył.

– Albo się uda, albo nie – mruknęła Nowicka pod nosem i wiedząc, że teraz pozostaje jej tylko czekać, schowała telefon do przewieszanej przez oparcie krzesła torebki.

SMS od Papaja przyszedł pół godziny później.

Justyna wstała od biurka, zabrała teczkę i po chwili pukała już do drzwi pokoju komisarza. Słyszając, stłumione proszę, nacisnęła klawisk i weszła do środka. Papaj był sam. Jeden rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że nie myliła się w swoich przeczuciach. Zmęczone spojrzenie świadczyło o tym, że mężczyzna miał ciężką noc.

– Nieciekawie dziś wyglądasz – zauważyła, zapominając o postanowieniu niewyglaszania komentarzy, powziętym trzy kwadranse wcześniej. Karcące spojrzenie Papaja sprawiło, że uniosła ręce w obronnym geście.

– Cofam czas, nie było uwagi – oświadczyła uroczyście, i usiadła przed jego biurkiem. Palcem wskazującym stuknęła w szarą teczkę, która kilkadziesiąt lat temu była biała.

– To akta tego Owczarka? – zapytał komisarz, wyciągając rękę. Nowicka potwierdziła ruchem głowy.

– Trochę mało tego – stwierdził, marszcząc grube, czarne brwi – ale biorąc pod uwagę anonim, więcej nie trzeba im było – dodał, patrząc na rozłożone dokumenty.

– A ty co o tym sądzisz? – spojrzał pytająco na Nowicką.

– Tak jak już ci mówiłam przez telefon, uważam, że coś jest w tej sprawie, nie tak jak być powinno. Czekać na ciebie, wysmażyłam trzy hipotezy.

– Aż trzy? To szybka jesteś – wszedł jej w słowo Papaj, i skinął głową, aby kontynuowała.

– Pierwsza, anonim jest prawdziwy i został sporządzony przez kogoś, kto wiedział o ucieczce Owczarka na zachód. Druga, anonim jest fałszywy i jego autorem jest sam Owczarek, który dopiero po tym, jak cała sprawa ucichła prysnął za granicę. Trzecia, Owczarek nigdzie nie wyjechał, ale został zamordowany, a anonim wysłał morderca, aby milicja nie węszyła wokół tej sprawy.

– No, no jedna bardziej interesująca od drugiej – ocenił komisarz, stukając palcami o blat biurka.

– Wiem, że brzmią one dość fantastycznie – potwierdziła Nowicka, ale to jedyne co przyszło mi na pozekaniu do głowy.

– Jakby się tak dłużej nad tym zastanowić, to moim zdaniem wcale nie są one szczególnie niedorzeczne. Co więcej, gdybym miał obstawiać, to najbardziej wiarygodne są pierwsza i trzecia – oznajmił Papaj po chwili namysłu.

– Dlaczego według ciebie właśnie te?

– Mój znajomy, który zawodowo zajmuje się historią twierdzi, że w okresie PRL-u, charakterystycznymi cechami Polaków było obrabianie dupy sąsiadom oraz zawiść – stwierdził Papaj, wstając zza biurka i podchodząc do uchylonego okna – – według niego Polacy uwielbiali podkładać sobie świnię, nawet wtedy gdy sami nie mieli z tego żadnej korzyści – zaznaczył, opierając się o parapet – dlatego uważam, że ten, kto wysłał anonim, chciał zaszkodzić, ale nie Owczarkowi, bo on, jeśli faktycznie uciekł był poza zasięgiem polskich służb, ale jego rodzinie, która pozostała w kraju.

– Tak sobie myślę, że mimo upływu lat niewiele się w tej kwestii zmieniło – wtrąciła Nowicka.

– I tu masz absolutną rację – poparł ją komisarz – ale co do twoich hipotez – wrócił do właściwego tematu rozmowy – to ta ostatnia też ma sens. Przyjmijmy, że Owczarek zostaje zamordowany. Pomijam w tej chwili i motyw i sprawcę, ale jeśli tak było, to nie ma skuteczniejszego sposobu na zniechęcenie milicji jak życzliwe poinformowanie, że facet cały i zdrowy używa życia w Berlinie Zachodnim, więc szukanie go w Polsce nie ma sensu. Oczywiście teraz, póki nie mamy ustalonej tożsamości szkieletu z warsztatów przy Krakowskiej, i lokatora trumny z cmentarza w Nowym Świątowie, są to wyłącznie rozważania teoretyczne – zakończył Papaj, podkreślając ostatnie słowa. Nowicka w odpowiedzi pokiwała głową. Do niej podobnie jak do komisarza najbardziej przemawiały pierwsza i trzecia hipoteza, ale udowodnienie którejkolwiek na obecnym etapie śledztwa było tak jak trafienie szóstki w totka. Zdawała sobie sprawę, że nawet jeśli któryś z denatów okaże się Janem Owczarkiem, postawienie komuś zarzutów będzie bardzo trudne.

– Wiadomo, kiedy prokuratura wyda zgodę na ekshumację? – zapytała Justyna, zbierając do teczki poźółkłe dokumenty leżące na biurku.

– Mam nadzieję, że szybko – westchnął Papaj i przetarł dłońmi zmęczoną twarz.

– Może mocna kawa? – zaproponowała, idąc w kierunku wyjścia.

– W sumie czemu nie – zgodził się komisarz, i także ruszył do drzwi.

– Poczekaj, tylko odniosę te papiery – poprosiła Justyna, wskazując na trzymaną w dłoni teczkę, i nie czekając na odpowiedź komisarza, poszła do siebie. Gdy wyszli przed budynek, usłyszała dźwięk nadchodzącej wiadomości. Wyjęła telefon, mając nadzieję, że to odpowiedź od Bartka, i nie myliła się.

– „Masz rezerwację na dzisiaj od 11:00 do 13:00” – przeczytała zadowolona. Odpisała, dziękując za pomoc i schowała telefon.

– Masz minę, jakbyś wygrała w totka – rzucił obserwujący ją bacznie Papaj.

– Nie to tylko dobre wieści z biblioteki – odparła Nowicka, wyjaśniając, że zamierza przejrzeć gazety z okresu, gdy zaginęli Sobótka i Owczarek.

– Czyli z kawy nici?

– Dlaczego od razu nici? W bibliotece muszę być o jedenastej, więc mamy ponad czterdzieści minut, a to na kawę chyba wystarczy? Musimy tylko znaleźć jakiś lokal w rynku.

– Tak się składa, że znam doskonale miejsce, i w dodatku tuż przy bibliotece – oznajmił komisarz.

– W takim razie prowadź partnerze – zażartowała Nowicka i ruszyła za Papajem. Przeszli obok opery, następnie przemierzili coraz bardziej zatłoczoną ulicę Świdnicką, i po kwadransie byli już na rynku. Ponieważ wewnątrz literatki wszystkie stoliki były zajęte, usiedli w ogródku.

– Całkiem przyjemne miejsce – uznała Nowicka, która, mimo że mieszkała we Wrocławiu od prawie miesiąca, nie odwiedziła do tej pory żadnego lokalu. Powodów było kilka. Po pierwsze nie należała do ludzi zbyt towarzyskich. Po drugie samotne spędzanie czasu w lokalach wiązało się z propozycjami dziwnych znajomości. W końcu samotna kobieta zawsze mogła wpaść komuś w oko. Po trzecie Justyna kompletnie nie orientowała się w gastronomiczno- rozrywkowej mapie miasta, i zwyczajnie nie wiedziała, jakie lokale warto odwiedzać, a których lepiej unikać.

- mam takie samo zdanie – potwierdził komisarz – tym bardziej że ostatnio bywam tu dość często.
- A nie wyglądasz na kogoś, kto całe wieczory przesiaduje w knajpkach? – skłamała, patrząc na zmęczoną twarz, która mogła być dowodem, że poprzedniego wieczoru odwiedził nie jeden, ale kilka lokali.
- Pozory mogą mylić – uśmiechnął się Papaj – ale ostatnie kilka spotkań można uznać za służbowe – wyjaśnił poważnym tonem. Rozmowę przerwało nadejście kelnera. Zamówili kawę, a Papaj dodatkowo wziął jeszcze sernik.
- To prawda, że przeszłaś do nas z komendy w Kłodzku? – w pytaniu komisarza nie było wścibstwa, a raczej zwykła ciekawość.
- Tak, po kilku latach służby na prowincji postanowiłam zmienić otoczenie – odpowiedziała Nowicka, mając nadzieję, że Papajowi wystarczy takie wyjaśnienie, i nie będzie drażył tego tematu. Jeszcze nie była gotowa, aby opowiedzieć mu o prawdziwych powodach zmiany pracy. Wiedziała, że pewnie kiedyś to nastąpi, ale na razie wolała udawać, że to nuda wynikająca z prowincjonalnej służby, skłoniła ją do przeprowadzki.
- Jeśli sądziłaś, że u nas będzie spokojniej, to niestety byłaś w błędzie.
- Może nie spokojniej, ale na pewno ciekawiej. W Kłodzku raczej nie miałabym okazji prowadzić takiej sprawy – stwierdziła, spoglądając na zegarek.
- Nie martw się, tutaj obsługa działa wyjątkowo szybko i sprawnie – uspokoił komisarz. Jakby na potwierdzenie jego słów w drzwiach stanął kelner z ich zamówieniem.
- A właściwie to, czego chcesz się dowiedzieć z tych starych gazet? – zapytał Papaj, odkrawając widelczykiem kawałek sernika, obsypanego dużą ilością wiórków kokosowych. Ciasto wyglądało naprawdę smakowicie, i gdyby nie fakt, że Justyna wolała unikać słodczy, na pewno by się skusiła.
- Przecież wtedy prasa nie rozpisywała się o zaginionych, tylko wychwalała marne postępy chyłącego się ku upadkowi socjalizmu – ciągnął, unosząc widelczyk do ust.
- Jestem ciekawa, jak wtedy gazety relacjonowały poszukiwania Sobótki, bo ze słów jego żony wywnioskowałam, że publikowano jakieś materiały – przypomniała Nowicka, upijając łyk kawy – poza tym może prócz propagandy, będzie jednak coś o zaginięciu Owczarka – dodała z nadzieją w głosie.
- Nie chcę cię zniechęcać, ale moim zdaniem tylko tracisz czas. Moja pierwsza żona, gdy jeszcze była na studiach pisała jakąś pracę zaliczeniową o dziennikach ukazujących się w PRL- u i pozwoliła mi ją przeczytać. Wnioski były takie, jak już mówiłem. W gazetach pisano o przekroczonych planach, udanych żniwach, nowych blokach mieszkalnych – Nowicka słuchała, udając zainteresowanie. Pewnie w tym, co mówił Andrzej, było sporo prawdy, ale sama miała w rękach kilka starych pism kobiecych i jakoś nie pamiętała, żeby pisano w nich o polityce. Wręcz przeciwnie, poruszano tematy bardzo przyziemne. Znalazła tam porady o zdrowym stylu życia, o modzie, kosmetykach i uczuciach, zupełnie jak we współczesnych magazynach kobiecych.
- Tak czy inaczej zaryzykuję – stwierdziła z determinacją.
- Jeśli jednak znajdziesz coś ciekawego, to chciałbym się o tym dowiedzieć jako pierwszy – poprosił Papaj, wycierając usta serwetką.
- Masz to jak w banku – zapewniła Nowicka, i korzystając z okazji, że Papaj był w doskonałym humorze, postanowiła dowiedzieć się czegoś o morderstwie w domu Daniela Oleksego.
- Andrzej, prowadziłeś kilka miesięcy temu sprawę zabójstwa młodego małżeństwa, mógłbyś mi coś o niej powiedzieć?
- Masz na myśli morderstwo w domu na osiedlu słonecznym?
- Tak, właśnie to – potwierdziła Justyna.

– A dlaczego ono cię interesuje? – zapytał Papaj przyglądając się jej uważnie. Jego nastrój zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni. Uśmiech znikł, a migdałowe oczy straciły łagodność.

– W tym domu mieszka teraz Daniel Oleksy – wyjaśniła Justyna.

– Wiem, zwróciłem na to uwagę, gdy go przesłuchiwałem. Tylko nie rozumiem jaki to ma związek z prowadzoną przez nas sprawą?

– Żadnego – przyznała, zaczynając żałować, że poruszyła ten temat – ale chciałam z czystej policyjnej ciekawości, poznać szczegóły tej sprawy – dodała, wiedząc, że to tylko połowa prawdy. Ta druga musiała pozostać tajemnicą. Przecież nie mogła ujawnić, że zna Daniela Oleksego, bo wtedy Papaj nic by jej nie powiedział o morderstwie.

– No cóż – zaczął komisarz marszcząc gęste czarne brwi – ktoś mi kiedyś powiedział, że zbrodnie można podzielić na doskonałe i bezsensowne. Z tymi drugimi miałem do czynienia wiele razy. Z tymi pierwszymi nigdy, ponieważ według mnie wcześniej lub później każdą sprawę da się rozwiązać. Jednak w przypadku morderstwa na osiedlu Słonecznym można śmiało powiedzieć, że było ono bezsensowne i doskonałe. Nie znaleźliśmy żadnego motywu, dla którego ktoś chciałby się pozbyć tego małżeństwa. Chociaż na miejscu zabezpieczono sporo śladów, w tym również odciski palców oraz narzędzie zbrodni, to ich analiza niczego nie dała. Tak więc na dzisiaj sprawa jest nierozwiązana – podsumował Papaj, i kilkoma łykami dopił swoją kawę. Nowicka miała dziwne przeczucie, że komisarz nie powiedział jej całej prawdy. – Uważasz, że da się ją kiedyś rozwiązać? – zapytała Justyna po chwili milczenia, potrzebnego na przyswojenie tego, co przed chwilą usłyszała.

– Jestem o tym przekonany – odpowiedział twardo Papaj – słyszałaś o kradzieży obrazu Claude'a Moneta Plaža w Pourville? – zapytał. Justyna nie wiedziała jaki związek z podwójnym morderstwem może mieć kradzież jakiegos pejzażu. Owszem знаła nazwisko malarza, ale ani o obrazie, ani jego kradzieży nic nie wiedziała.

– Niestety nie – przyznała zawstydzona.

– Szkoda, bo jest to klasyczny przykład tego, że nawet po kilku latach można rozwiązać sprawę, która wydawała się beznadziejna. Kiedyś przy okazji opowiem ci całą tę historię – obiecał Papaj – a teraz już chyba musisz iść – dodał spoglądając wymownie na zegarek. Zapłacili i wyszli z lokalu. Do budynku biblioteki mieli zaledwie kilkanaście metrów.

– Jeśli znajdziesz coś ważnego, to pamiętaj, że chcę o tym wiedzieć pierwszy – powtórzył Andrzej, odprowadzając Justynę pod same drzwi.

– Oczywiście panie komisarzu – zapewniła, posyłając Papajowi łobuzerski uśmiech.

Przekraczając próg biblioteki poczuła przyjemny chłód klimatyzacji. Podeszła do dużej tablicy informacyjnej, sprawdziła lokalizację czytelnicy czasopism, a następnie ruszyła do schodów. Po kilku minutach podeszła do lady, za którą siedziała niska krępa brunetka około pięćdziesiątki.

– Dzień dobry, nazywam się Justyna Nowicka, składałam zamówienie na dostęp do wrocławskich dzienników z 1985 roku – bibliotekarka sprawdziła coś w komputerze.

– Tak – potwierdziła po kilku sekundach – materiały czekają na stoliku numer osiem – dodała, wskazując wejście do rozległej czytelnicy – proszę tylko pamiętać o wyłączeniu telefonu komórkowego – przypomniała, i wróciła do swoich zajęć. Policjantka podziękowała, wyciszyła smartfon i weszła do obszernego, jasnego pomieszczenia. W środku panowała nabożna cisza.

– Prawie jak w kościele – pomyślała, mijając prostokątne stoliki, przy których kilka osób przeglądało wypożyczone gazety. Na stoliku numer osiem leżało kilkanaście gazet. Mimo że były to kopie, nosiły wyraźne ślady użytkowania. Nowicka, pamiętając radę matki, aby nigdy nie stawiać torebki na ziemi, bo to podobno zwiastowało nieoczekiwane wydatki, postawiła ją na sąsiednim

krześle. Zamawiając gazety, kierowała się przekonaniem, że jeśli napisano w nich coś o zaginięciu Sobótki lub Owczarka, to w grę wchodziły wydania od 24 sierpnia do 5 września. Mimo to postanowiła przejrzeć także prasę z kilku poprzednich dni. Jednak one interesowały ją jako ciekawostka. Dlatego też zostawiła je na sam koniec. Lubiła historię, a z codziennej prasy można się było o niej sporo dowiedzieć. Lekturę zaczęła od gazet z 30 sierpnia. Wszystkie donosiły i przestrzegały przed planowanymi manifestacjami z okazji piątej rocznicy podpisania porozumień sierpniowych. Najbardziej zaciętym językiem operowała Gazeta Robotnicza. Natomiast Wiecór Wrocławia i Słowo Polskie, choć równie stroniczne nie były aż tak bezwzględne. W numerach z następnych dni Nowicka znalazła głównie opisy protestów i słowa ostrej krytyki pod adresem protestujących, Jednak o zaginięciu Sobótki nie było ani słowa. Postanowiła więc sprawdzić gazety z sierpnia. Tym razem miała więcej szczęścia. W Wieczorze Wrocławia z 26 sierpnia znalazła wreszcie to, czego szukała. Na pierwszej stronie zobaczyła zdjęcie milicjanta wraz z informacją o jego zaginięciu. Komunikat był bardzo lakoniczny, i nie wniósł do sprawy nic nowego. Nowicka przejrzała pozostałe artykuły, z których kilka obalało teorię Papaja. Prócz komunikatu o zaginięciu Mieczysława Sobótki, znalazła artykuł o katastrofach lotniczych, a nawet o ucieczce wysokiej rangi urzędnika RFN do Niemiec wschodnich.

– To się Papaj zdziwi, kiedy pokażę mu, o czym można było przeczytać trzydzieści lat temu – pomyślała, czując wewnętrzną satysfakcję. Już nie mogła doczekać się miny komisarza, ale na razie musiała dokończyć przeglądanie gazet. Na jednej z kolejnych stron zobaczyła tytuł, który od razu ją zainteresował.

– „Młodzież wróci do wyremontowanej szkoły” – krzyczały czarne litery. Jednak to nie sam tytuł, ale treść artykułu i zamieszczone pod nim zdjęcie sprawiły, że poczuła, jak krew w jej żyłach zaczyna szybciej krążyć.

– „Mimo niepokojów społecznych podsycanych przez wrogów ojczyzny, państwo z pomocą lojalnych przedsiębiorstw przygotowuje szkoły na przyjęcie uczniów, którzy już za kilka dni rozpoczną naukę – zaczęła czytać i wiedziała, iż ten artykuł w pewnym sensie potwierdzi opinię Papaja. Jednak z drugiej strony wniesie do sprawy to coś nowego, o czym mówił komisarz.

– Jednym z pozytywnych przykładów jest dobiegający końca remont warsztatów szkół mechanicznych przy ulicy Krakowskiej. Remont obejmował wymianę starej posadzki oraz wielu ważnych instalacji. Wszystkie prace wykonała budowlana spółdzielnia pracy Jedność. Jak przyznaje jej prezes pan Jan Owczarek, zadanie nie było łatwe, ale dzięki zaangażowaniu załogi udało się wszystko wykonać na czas. Jak podkreśla prezes, szczególne wyrazy uznania należą się kierownikowi Edwardowi Kowalskiemu oraz młodszemu brygadziście Henrykowi Żeromskiemu”. Ten ostatni zaznacza, że pozostało jedynie wylać nową posadzkę i za kilka dni warsztaty zostaną przekazane szkole”.

Nowicka siedziała wpatrzona w artykuł opatrzonego zdjęciem, na którym przed budynkiem warsztatów stało trzech mężczyzn. Nie musiała nawet specjalnie się przyglądać, aby rozpoznać dwóch z nich. Żeromski i Kowalski mimo upływu trzydziestu lat niewiele się zmienili.

– Ciekawe, dlaczego Żeromski oraz Kowalski ukryli fakt, że w 1985 roku brali czynny udział w remoncie warsztatów? – zastanowiła się policjantka.

– Czyżby obaj o tym zapomnieli? – pomyślała, ale w następnej chwili odrzuciła taką możliwość. Co prawda minęły trzy dekady, ale przecież nie chodziło o jakieś mało znaczące wydarzenie, lecz dość dużą inwestycję, więc trudno uwierzyć, aby zwyczajnie wyleciało im to z pamięci, a skoro tak, to pozostawała ewentualność, iż mężczyźni celowo zataili ten fakt. Jednak jeśli tak było, to jaki mieli

powód? – Justyna podejrzewała, że znalezienie odpowiedzi na to pytanie jest teraz kluczowe dla sprawy. Wstała od stolika, zabrała torebkę oraz gazetę z artykułem o remoncie, i wyszła z czytelnii. Po chwili znowu stała przed ladą, za którą siedziała krępa bibliotekarka.

– Czy mogę to u pani skserować?? – pokazała stronę z artykułem o remoncie warsztatów.

– Tak oczywiście zaraz zrobię ksero – potwierdziła kobieta, wychodząc do sąsiedniego pomieszczenia.

– Albo proszę mi zrobić kopię całej gazety – poprosiła policjantka, nim bibliotekarka zniknęła za drzwiami. Czekając na powrót kobiety Justyna rozmyślała nad tym, co powinna zrobić w tej sytuacji. Zasadniczo możliwości były dwie. Pierwsza powrót na komendę, i poinformowanie komisarza o dokonanym odkryciu. Wtedy decyzję o dalszych krokach podjąłby już Papaj. Druga opcja to złożenie wizyty panu Żeromskiemu. Mogłaby spróbować wyciągnąć z mężczyzny jakieś dodatkowe informacje o remoncie. Gdyby miała szczęście, to może nawet zdradziłby powód zatajenia faktu, że osobiście remontował warsztaty, na których również prawie osobiście trzydzieści lat później, odkrył zabetonowany szkielet. Z zamyślenia wyrwał ją głos bibliotekarki.

– To będzie dziesięć złotych – powiedziała kobieta, kładąc na ladzie kilkanaście kartek. Nowicka zapłaciła, podziękowała, bąknęła do widzenia, i zbiegła po schodach. Chowając kartki do torebki, szybkim krokiem ruszyła przez rynek. Dziesięć minut później siedziała już w samochodzie i jechała do biura Henryka Żeromskiego. Co prawda obiecała Papajowi, że natychmiast podzieli się z nim swoimi odkryciami, ale doszła do wniosku, że skoro są to jej odkrycia, to również ona powinna sama spotkać się z Żeromskim.

Pół godziny później pukała już do drzwi biura Henryka Żeromskiego.

– Dzień dobry, przepraszam, że tak bez uprzedzenia, ale czy mogłabym zająć panu chwilę? – Żeromski wyglądał na kompletnie zaskoczonego. Co więcej, jego mina wskazywała, że Nowicka jest ostatnią osobą, z którą chciałby teraz rozmawiać. Mimo to odsunął się od drzwi.

– Tak proszę – odparł z jawną niechęcią, i ruszył do stojącego pod oknem biurka.

– Wie pan, zastanowiła mnie pańska opinia, dotycząca wieku tej posadzki – zaczęła, siadając na tym samym krześle, na którym siedziała kilka dni wcześniej.

– To raczej przypuszczenie, a nie opinia – sprostował Żeromski, zaplatając dłonie na blacie biurka.

– W związku z tym mam do pana takie pytanie – ciągnęła, ignorując uwagę mężczyzny – czy to możliwe, aby ta posadzka została wylana w 1985 roku? – z satysfakcją zauważyła, że Żeromski drgnął i mocniej zaplótł dłonie. Zmarszczył ciemne brwi tu i ówdzie przytykane siwizną. W zestawieniu z dużymi zakolami wyglądały one dość komicznie.

– Wie pani trudno mi to ocenić, aż z taką dokładnością, ale sądzę, że jest to możliwe – odparł po chwili udawanego zamyślenia.

– Bo wie pan, próbowaliśmy na różne sposoby ustalić czas zakopania ciała, a po tym, co mi pan ostatnim razem powiedział, zaczęłam nawet szukać jakiejś dokumentacji na temat remontów przeprowadzanych w tym budynku – Żeromski zeszywniał, zacisnął usta, i z wyczekiwaniem patrzył na Nowicką.

– Niestety nie znalazłam żadnej dokumentacji technicznej – przyznała zgodnie z prawdą. Mężczyzna ledwo powstrzymał westchnienie ulgi. Nowicka zastanawiała się, czy już teraz ma przypuścić atak, czy jeszcze zamarkować planowane uderzenie. Wreszcie zaczęła z innej beczki.

– Panie Henryku czy lubi pan czytać gazety? – mężczyzna spojrział na nią tak, jakby była niespełna rozumu.

– Gazety? – upewnił się, marszcząc czoło.

– Tak, chodzi mi głównie o lokalne Wrocławskie dzienniki – potwierdziła Nowicka.

– Przyznam szczerze, że nie bardzo mam czas na takie lektury, i nie bardzo rozumiem, jaki to może mieć związek z tym, co znalazłem na warsztatach – oświadczył Żeromski.

– No jasne pan majster woli kryminały – pomyślała, zauważając na stoliku przy oknie najnowszą powieść Stefana Króla.

– Wie pan, mam podstawy sądzić, że są pewne powiązania – oznajmiła policjantka, sięgając do torebki.

– Zupełnie przypadkiem natrafiłam na coś takiego. Czy mógłby pan na to zerknąć? – poprosiła, podając gospodarzowi złożoną na czworo kartkę. Kątem oka dostrzegła, że mężczyzna obserwuje ją z napięciem. Żeromski z ciekawością sięgnął po kartkę i powoli ją rozłożył. Jednak już w następnej chwili poblądł, jakby właśnie zobaczył ducha i nie panując nad nerwami, cisnął artykuł na blat biurka, niczym rozżarzony kawałek węgla, który przez przypadek złapał w palce.

– To może teraz porozmawiamy szczerze – zaproponowała Nowicka, patrząc na Żeromskiego z wyczekiwaniem.

– Ale o czym niby mamy porozmawiać – wyjął Żeromski, próbując opanować drżenie głosu.

– O tym – powiedziała z naciskiem i palcem wskazującym, stuknęła w kartkę. Mężczyzna milczał, jego oczy błędziły po ścianach, unikając patrzenia na biurko. Jakby zamiast zwykłej kartki leżała tam żmija, gotowa w każdej chwili zaatakować.

– Ale ja naprawdę nie bardzo rozumiem, co ma wspólnego dawny remont warsztatów szkolnych, o którym szczerze mówiąc, nawet nie pamiętałem, ze znalezionym tam szkieletem – odezwał się Żeromski, odzyskując na chwilę pewność siebie. Nowicka wstała i nie pytając o zgodę podeszła do okna. Przez chwilę obserwowała nielicznych przechodniów i myślała intensywnie, jak ma to rozegrać. Nie chciała tego spierzyć.

– Panie Henryku znał pan Jana Owczarka – stwierdziła, nie odwracając się od okna.

– No tak, przecież był prezesem spółdzielni, w której wtedy pracowałem – usłyszała za sobą.

– Więc wie pan, że Owczarek zaginął kilka dni przed ukazaniem się tego artykułu.

– Wiem, ale nadal nie rozumiem, do czego pani zmierza – tym razem głos Żeromskiego nie był już tak pewny, jak chwilę wcześniej.

– Do tego – zaczęła Nowicka, odwracając się od okna – że prócz ciała znaleźliśmy tam jeszcze coś, co wskazuje, iż zwłoki zostały zakopane pod koniec sierpnia 1985 roku. To w połączeniu z tym, że zataił pan fakt udziału w remoncie tego obiektu, daje uzasadnione podstawy do sformułowania kilku pytań pod pana adresem – Żeromski zerwał się z fotela, cały drżał. W szeroko otwartych oczach widać było strach.

– Co pani insynuuje? – zawołał rwącym się głosem.

– Panie Henryku ja niczego nie insynuuję – odparła spokojnie Nowicka i z powrotem usiadła na krześle – próbuję jedynie ustalić tożsamość osoby zakopanej na warsztatach, które pan remontował. Wiele wskazuje, iż mogą to być zwłoki Jana Owczarka – skłamała.

– Ale przecież Janek nie został zabity – powiedział Żeromski z takim przekonaniem jakby nie dalek jak dwie godziny wcześniej pił z Owczarkiem wódkę.

– A to ciekawe? – mruknęła Nowicka, mrużąc oczy – a ja rozmawiałam z kilkoma osobami, które mają odmienne zdanie, a co więcej zaklinają się, że wiedzą kto to zrobił – dodała, ścisząc głos. Żeromski jęknął i opadł na fotel.

– To jak panie Henryku porozmawiamy szczerze tutaj, czy woli pan rozmowę na komendzie w obecności prokuratora i pańskiego adwokata?

– Ale ja nie widzę powodu, dla którego miałbym pani cokolwiek mówić! – wrzasnął Żeromski, uderzając pięścią w blat. Następnie zgniótł kartkę z artykułem i cisnął nią o przeciwległą ścianę. – Dobrze w takim razie nie przeszkadzam – westchnęła zrezygnowana Nowicka i wstała z krzesła – następnym razem spotkamy się w innych okolicznościach – zapowiedziała, ruszając do wyjścia – wtedy może przypomni pan sobie więcej szczegółów i będzie bardziej rozmowny – dodała, i nie czekając na reakcję Żeromskiego, szybkim ruchem podniosła z podłogi papierową kulkę, otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Była zawiedziona spotkaniem. Nie dowiedziała się niczego nowego, prócz tego, co już wiedziała. Żeromski, nawet jeśli miał jakieś tajemnice dotyczące warsztatów, to nie zamierzał ich ujawniać. Po dwudziestu minutach zaparkowała pod komendą i kiedy wbiegała na piętro, zobaczyła Papaja rozmawiającego przez telefon.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gdy za Nowicką zamknęły się drzwi biblioteki, Papaj ruszył w stronę komendy. Mimo przedpołudnia wrocławski rynek tętnił życiem. Gwar rozmów w różnych językach był najlepszym dowodem na atrakcyjność miasta w oczach zagranicznych turystów. Po drodze zastanawiał się, co teraz powinien zrobić. Mógł zadzwonić do Sylwii i podpytać, czy ustaliła już coś na temat Owczarka. Mógł również zatelefonować do Anny Moskał, aby zapytać, kiedy może spodziewać się zgody na ekshumację. Mógł wreszcie zaszyć się w biurze, i nadgonić papierkowe zaległości. Po chwili namysłu wybrał ostatnią opcję i ruszył przez zatłoczony rynek. Zamiast pójść skrótem obok opery, zdecydował się na dłuższą trasę. Przeszedł ulicą Świdnicką i dopiero przy domu towarowym Renoma, skręcił w podwale. Dochodząc do budynku komendy, jego uwagę przykuła granatowa Toyota. Samochód stał zaparkowany tam, gdzie poprzednio i podobnie jak wtedy był pusty. Papajowi przeszło przez myśl, że może wcale nikt ich nie śledził, gdy złożyli wizytę Annie Sobótce, a obecność granatowej toyoty w Nowym Świątowie była przypadkowa. Poza tym tak naprawdę nie miał pewności, że jest to ten sam samochód. Owszem zgadzał się model i kolor, ale wtedy nie zapisał numeru rejestracyjnego. Po wejściu do budynku skierował się do dyżurnego.

– Przepraszam, mam jedno pytanie – zagadnął siedzącego za ladą aspiranta – obok komendy stoi granatowa Toyota – Papaj podał model i numer rejestracyjny – czy to wóz kogoś od nas? – dyżurny w zamyśleniu zmarszczył brwi i sprawdził coś na stojącym przed nim laptopie.

– Może ktoś ostatnio zmienił samochód, bo na moim wykazie go nie ma – odparł po chwili. Papaj podziękował i ruszył do siebie. Fakt, że auta nie było na liście samochodów osób zatrudnionych w komendzie, również o niczym nie świadczył. Mogło być tak, jak zasugerował aspirant. Komisarz wszedł do pokoju, przywitał się z Polakiem i podszedł do swojego biurka.

– Przed chwilą był tutaj stary, i pytał o ciebie – oznajmił kolega, nie odrywając wzroku od czytanych dokumentów.

– A mówił, o co chodzi?

– Nie, tylko prosił, abys do niego zajrzał, ale humor miał raczej dobry – wzmianka o nastroju Górskiego dla Papaja nie miała znaczenia. Należał do osób, które nie czuły strachu przed humorami przełożonych. Przewiesił kurtkę przez oparcie krzesła i wyszedł z pokoju. Zapukał do gabinetu Górskiego, a usłyszawszy stłumione proszę, nacisnęła klamkę.

– O dobrze, że jesteś. Mam tu coś dla ciebie, ale nie będziesz zadowolony – uprzedził Górski, sięgając po leżącą na brzegu biurka kartkę. Papaj podszedł, odebrał dokument i nawet nie siadając, szybko przeczytał. Gdy skończył, pytająco spojrzął na przełożonego.

– Piotrek rozumiesz coś z tego?

– Chyba pani prokurator cię nie lubi, skoro odmówiła wyrażenia zgody na ekshumację – bąknął, jakby nie miał zamiaru przeciągać tej wizyty. Dla niego sprawa była jasna, ale nie dla komisarza.

– To trzeba będzie z nią porozmawiać – mruknął Papaj pod nosem, obrócił się na pięcie i ruszył szybkim krokiem do wyjścia.

– Andrzej tylko nie rób niczego głupiego – usłyszał za sobą radę inspektora, wypowiedzianą przyjacielskim tonem. Jeszcze na korytarzu sięgnął po telefon i wybrał numer Anny Moskal. Odebrała po kilku sygnałach.

– Tak słucham? – oficjalny ton sugerował, że albo odebrała, nie zwracając uwagi na numer dzwoniącego, albo co zdaniem komisarza było bardziej prawdopodobne, chciała mu pokazać, że łączą ich wyłącznie relacja służbowa, a ta powinna być oficjalna.

– Możesz mi powiedzieć, co ma znaczyć ta odmowa? – zapytał Papaj, siląc się na spokój, choć wszystko w nim wrzało, jak lawa w kraterze wulkanu, na chwile przed erupcją.

– Panie komisarzu, proszę przeczytać uzasadnienie, tam wszystko jasno i dokładnie wyjaśniłam – lodowaty, drwiący ton prokuratorki, podziałał na Papaja, jak płachta na byka.

– Teraz to panie komisarzu, a wtedy to kudłaty tygrysie! – rzucił bez zastanowienia.

– No To było poniżej pasa – wycedziła Moskal. Papaj miał świadomość, że kobieta zaraz przerwie połączenie, dlatego prawie krzyknął, aby usłyszała go nawet, wtedy gdy odstawi telefon od ucha.

– Podczas ostatniej rozmowy inaczej się umawialiśmy! Wtedy przyznała mi pani rację – przypomniał. Przechodzący obok Pawłowski, spojrzął na niego zaniepokojony. Papaj uniósł kciuk na znak, że wszystko jest ok i już miał zamiar schować telefon, gdy usłyszał głos prokuratorki.

– Tak owszem wtedy przyznałam, że ekshumacja to dobry pomysł, ale po głębszym przeanalizowaniu faktów doszłam do wniosku, że interesuje nas jedynie szkielet znaleziony na warsztatach – wyjaśniła kobieta. To samo, tyle że ubrane w prawnicze wyrażenia Papaj przeczytał z uzasadnienia.

– A jeśli po wykonaniu badań, okaże się, że to nie Sobótka został zakopany pod posadzką warsztatów? – zapytał, wchodząc prokuratorce w słowo.

– Wtedy wrócimy do sprawy ekshumacji – ucięła krótko Moskal i przerwała połączenie.

– Wredna wiedźma – burknął Papaj, patrząc na trzymane w dłoni pismo.

– To było do mnie? – usłyszał za plecami zaskoczony głos Nowickiej. Obrócił się, i uśmiechem spróbował pokryć zmieszanie.

– Ależ skąd, na taki komplement to musisz jeszcze trochę popracować – oświadczył, podając jej dokument.

– No to znowu mamy tylko jeden szkielet – stwierdziła policjantka, kończąc lekturę.

– Niestety – potwierdził komisarz, składając kartkę na czworo – a jak tobie poszło? – zapytał, zmieniając temat rozmowy.

– Trafiłam na coś ciekawego i obiecującego – zaczęła Nowicka zagadkowym tonem – ale myślę, że powinniśmy gdzieś usiąść, bo możesz się przewrócić, gdy wszystko ci opowiem – dodała, kierując się w stronę pokoju Papaja.

– To nie jest dobry pomysł – zatrzymał ją komisarz – Polak jeszcze jest w pracy – wytłumaczył, widząc jej zdziwioną minę.

– Dobra w takim razie proponuję przejazdkę – powiedziała po chwili namysłu – ale tym razem ja kieruję – dodała i nie czekając na Papaja, ruszyła do wyjścia.

– No nie wiem, czy jestem na to gotowy – zażartował Papaj, idąc w jej ślady.

Nowicka sprawnie włączyła się do ruchu. Gdy stanęli na światłach, komisarz zauważył, że kilka samochodów za nimi stoi granatowa Toyota.

– Wtedy, jak pojechaliśmy do Nowego Świątowa też mieliśmy granatowy ogonek – rzuciła ironicznie Justyna i skręciła w prawo. Papaja szczególnie nie zdziwił fakt, iż Nowicka wiedziała o granatowej Toyocie. Była na tyle bystra, że takie rzeczy nie mogły ująć jej uwagi.

– Jak sądzisz, kto nas śledzi? – zapytał, kiedy zbliżali się do kolejnego skrzyżowania. Choć mieli zielone, Nowicka zwolniła. W lusterku wstecznym komisarz zobaczył niezadowoloną minę kierowcy jadącego za nimi samochodu. Starszy pan pokazywał na migi, aby przyspieszyli, ale właśnie wtedy światło zmieniło się na żółte. Zatrzymali się i komisarz chciał ponowić pytanie, jednak nie zdążył.

– Trzymaj się – usłyszał ostrzeżenie Nowickiej i poczuł, jak samochód wyrывa do przodu, przejeżdżając skrzyżowanie już na czerwonym świetle.

– No, no to będzie jakieś pięć stówek, i dziesięć punktów karnych – mruknął, zaskoczony wyczynem policjantki. Teraz wiedział, że jest ona nie tylko bystra, ale i szalona.

– O widzę, że marzy się panu przejście do drogowki – rzuciła Justyna z przekąsem, i dodając gaz, przecięła kolejne skrzyżowanie.

– Tym razem było zielone – uprzedziła ewentualne uwagi i zwolniła do przepisowej prędkości. Po kwadransie minęli park szczytnicki, a chwilę później zaparkowali w pobliżu pętli tramwajowej na Sępólnie.

– Choć przespacerujemy się – zaproponowała Justyna, wysiadając z auta. Ruszyli jedną z parkowych alejek. Spacerowiczów było niewiele. Po kilku minutach przysiedli na jednej z ławek i policjantka podała Papajowi kartkę, która wyglądała tak, jakby ktoś wyciągnął ją właśnie z kosza na śmieci.

– To moim zdaniem jest ciekawsze niż pismo od pani prokurator – zapowiedziała konspiracyjnym szeptem. Komisarz uważnie czytał artykuł i z każdym zdaniem był coraz bardziej zamyślony.

– Ale chyba nie tego szukałaś – stwierdził, oddając Nowickiej kartkę.

– Masz rację, spodziewałam się znaleźć jakiś artykuł o poszukiwaniach Sobótki. Natrafiłam na jeden, ale nie było w nim nic więcej, niż my wiemy. Dlatego, gdy wpadł mi w ręce ten tekst, postanowiłam złożyć niezapowiedzianą wizytę panu Żeromskiemu. Po wyjściu z biblioteki pojechałam więc do jego biura.

– Inaczej się umawialiśmy – wszedł jej w słowo Papaj.

– Wiem, ale to był taki policyjny impuls. Sądziłam, że gdy pokażę mu artykuł i przekonam, iż rozmowa ze mną będzie lepsza niż z prokuratorem, to facet stanie się miękki jak gąbka i rozmowny jak konsultanci infolinii – wyjaśniła Nowicka.

– Wiesz Justyna, do tej pory uważałem cię za bystrą, po twoich rajdowych wyczynach uznałem, że jesteś jeszcze szalona, ale teraz jedyne określenie, jakie przychodzi mi do głowy to nieodpowiedzialna – oświadczył Papaj, ostrym niemal belferskim tonem – i celowo wybrałem właśnie taki synonim głupoty, aby cię nie obrazić – dodał sarkastycznie. Spodziewał się, że policjantka zrobi minę skruszonego dziecka, ale ona hardo patrzyła mu w oczy.

– Czasami najlepsze jest działanie przez zaskoczenie – odparła, spokojnym, opanowanym tonem nie robiąc sobie nic z jego reprimendy. Komisarz chciał powiedzieć, że grożenie komuś prokuratorem bez żadnych podstaw może mieć przykre konsekwencje dla grożącego, ale przecież sam zachował się w podobny sposób wiele razy, więc kto, jak kto, ale on nie miał prawa jej pouczać.

– No dobra Colombo w spódnicy, lepiej mi powiedz, co wycisnęłaś z tego starszego brygadzysty? – poprosił Papaj, ciekaw efektów osiągniętych metodami, które z prawnego punktu widzenia były mocno wątpliwe, i gdyby tylko Żeromski chciał, mogłyby przysporzyć Nowickiej kłopotów.

– Niestety niewiele. Co prawda, gdy zobaczył artykuł, wyglądał jak człowiek w stanie przedzawałowym. Przyznał, że znał Owczarka, ale poza tym nic ciekawego nie powiedział – Justyna bezradnie rozłożyła ręce.

- A co chciałaś, żeby ci powiedział, kogo tam zakopał – zadrwił Papaj, przyglądając się przechodzącej obok parze starsuszków.
- Dlatego właśnie, najszybciej jak to możliwe trzeba wykonać badania DNA. Tylko one dadzą nam odpowiedź na pytanie, kto został tam zakopany – oznajmił Papaj, wstając z ławki.
- Andrzej, a czy od córki Owczarka też pobieramy materiał porównawczy?
- Nie widzę takiej potrzeby. Kluczowym elementem przemawiającym za Sobótką, jest pistolet – wyjaśnił. Zauważył, że jego odpowiedź wywołała na twarzy Nowickiej grymas niezadowolenia.
- Wygląda na to, że pani aspirant jest zwolenniczką trzymania kilku srok za ogon – pomyślał. Sam nigdy nie podchodził w ten sposób do żadnej ze spraw, jakie prowadził.
- A co sądzisz o tej granatowej Toyocie? – Papaj zmienił temat.
- Trudno powiedzieć. Może to tylko przypadek? – komisarz spojrział uważnie na Nowicką. Lekceważący ton nie pasował do jej rajdowej brawury na skrzyżowaniu. Był niemal pewny, że policjantka coś przed nim ukrywa i ma to związek z granatową Toyotą.
- Może masz rację – przyznał, postanawiając nie drążyć dalej tego tematu.
- Przy okazji mam dla ciebie jeszcze kilka innych ciekawych artykułów sprzed trzydziestu lat, które wbrew twoim sugestiom wcale nie opiewały minionego systemu – odezwała się Nowicka, i podała Papajowi skserowany Wieczór Wrocławia.
- Możesz mi wyjaśnić, dlaczego ta kartka wygląda tak, jakby została psu wyjęta z pyska – zainteresował się nagle komisarz, wskazując na artykuł o szkolnych warsztatach.
- Pan Żeromski chciał ją zjeść, i musiałam użyć siły, aby odzyskać swoją własność – zakomunikowała Justyna poważnym tonem, ale błąkając się na jej ustach uśmiech, zaprzeczając temu, co właśnie powiedziała.
- Mam tylko nadzieję, że pomoc medyczna nie była konieczna – rzucił Papaj, ruszając w kierunku wyjścia z parku. Wracając na komendę, komisarz rozglądał się czujnie, próbując wypatrzeć Toyotę, ale nigdzie jej nie dostrzegł. Zamiast tego zobaczył jak na parking przed komendą, wjeżdża bordowa Mokka Anny Moskal.
- O patrz, przyjechała twoja wredna wiedźma – uwaga policjantki tak rozzłościła Papaję, że już miał zamiar w prostych żołnierskich słowach wytłumaczyć jej kilka kwestii, ale w porę się opanował. Zamiast tego spojrział na nią karcąco i wysiadając z samochodu, polecił chłodnym, zasadniczym tonem.
- Proszę, skontaktuj się z córką Sobótki w sprawie pobrania materiału DNA.
- Tak jest szefie – odpowiedziała, posyłając mu drwiący uśmiech.
- Z tej też wyrośnie jędza – skwitował, zatraskując drzwi Fiesty.
- Szybkim krokiem ruszył do wejścia, w którym przed momentem zniknęła prokuratorka. Dogaonił ją na półpiętrze.
- Pani do mnie? – zapytał najmiłszym tonem, na jaki mógł się zdobyć. Moskal zatrzymała się w pół kroku i słysząc znajomy głos, spojrziała przez ramię na komisarza.
- Nie, ale jeśli pana maniery nie ulegną poprawie, to spotkamy się razem u inspektora Górskiego – rzuciła tak lodowatym tonem, że Papaj poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po plecach.
- Może jednak spotkamy się i przy kawie zakopiemy ten niezręczny topór niezgody? – policjant nie dawał za wygraną. Tym razem kobieta obróciła się, jej duże zielone oczy spojrzały na niego z taką niechęcią, że w tej samej chwili pożałował swojej propozycji.
- Rozumiem, że wtedy da mi pan spokój?
- Ja nazwałbym to koleżeńskim ułożeniem relacji zawodowych – odpowiedział, usiłując zachować powagę – tym bardziej że z dużym prawdopodobieństwem jeszcze nie raz przyjdzie nam z sobą

współpracować – dodał rzeczowo. Prokuratorka przez chwilę rozważała propozycję, a komisarz przeczuwał, co zaraz usłyszy. Dlatego zaskoczył go zdecydowany ton Anny Moskał.

– Dobrze, zgadzam się, ale proszę zadzwonić do mnie jutro rano, bo teraz trochę się śpieszę, oświadczyła, i nie czekając na jego reakcję, weszła na piętro, a następnie skręciła w lewo. Papaj zbaraniał i przez chwilę stał wpatrzony w miejsce, gdzie jeszcze sekundę temu widział Annę Moskał. Wreszcie otrząsnął się i mrucząc pod nosem, że nie rozumie kobiet, poszedł do siebie. Kiedy zamykał drzwi pustego już pokoju, zabrzączał jego telefon. Widząc nieznaną numer, uznał, że znowu jakiś przemyły konsultant lub konsultantka będzie chciała zaoferować mu coś, czego kompletnie nie potrzebuje. Mimo to przesunął zieloną słuchawkę.

– Tak słucham – odezwał się chłodnym tonem.

– Czy komisarz Andrzej Papaj? – usłyszał w słuchawce rzeczowy męski głos. Fakt, że mężczyzna znał jego stopień, wykluczał pierwszą myśl o konsultancie infolinii. To z jednej strony przyniosło mu ulgę, ale z drugiej zaniepokoilo.

– Tak przy telefonie – potwierdził, siadając na okiennym parapecie.

– Mówi komisarz Waldemar Sądecki z Gdańska. Otrzymałem pana numer od Piotrka Górskiego. Podobno chce się pan dowiedzieć czegoś o sprawie, którą prowadziliśmy? – Papaj natychmiast przypomniał sobie niedawną rozmowę z przełożonym i jego propozycję skontaktowania go z kimś z Gdańska, kto będzie mógł powiedzieć mu coś o samobójstwie Anny Karlińskiej, która nie wiedzieć czemu wypożyczyła akta Mieczysława Sobótki.

– Tak, bardzo dziękuję za telefon. Wie pan, prowadzę teraz sprawę, w której pojawia się nazwisko Anna Karlińska. Kobieta mieszkała w Gdańsku i kilka miesięcy temu popełniła samobójstwo.

– Rozumiem, że chciałby pan wiedzieć, czy to na pewno było samobójstwo – wtrącił Sądecki.

– To też, ale jeszcze bardziej interesuje mnie los pewnych dokumentów, jakie ta osoba wypożyczyła z Instytutu Pamięci Narodowej na dwa tygodnie przed śmiercią – sprecyzował Papaj i w kilku zdaniach opowiedział o znalezieniu szkieletu i broni oraz o tym, czym zajmował się Mieczysław Sobótka. Naturalnie o udziale swojej pierwszej żony w dotarciu do pewnych faktów nawet nie wspomniał.

– Sprawdzę, co się da i jak będę coś wiedział, to zadzwonię – obiecał Sądecki.

– Będę bardzo zobowiązany – zapewnił Papaj, pożegnał się i odkładając telefon na biurko, ciężko opadł na fotel. Zamknął oczy i przez chwilę siedział w bezruchu. Rozmyślał nad tym, co usłyszał od Anny Moskał. Czy rzeczywiście umówi się z nim na kawę? Czy też będzie tak, jak w przypadku ekshumacji, na którą najpierw wyraziła zgodę, a później ją odwołała? Z zamyślenia wyrwał go dźwięk otwieranych drzwi. Otworzył oczy i ku swojemu zaskoczeniu zobaczył w progu Nowicką.

– No wreszcie zachowujesz się normalnie – powiedział, i dla zobrazowania co miał na myśli, zastukał kłykciami o biurko.

– Jak widzisz, bardzo szybko się uczę, i mam nadzieję, że już wkrótce awansuję na jedzę – oświadczyła, przysiadając na blacie biurka.

– Justyna nie przeciągaj struny – pogroził jej palcem Papaj.

– Dobrze, postaram się, ale ja w trochę innej sprawie – spoważniała, spoglądając na trzymaną w dłoni kartkę – jest pewien ciekawy szczegół, o którym zapomniałam ci powiedzieć. Wyobraź sobie, że sprawę zaginięcia Owczarka prowadził porucznik Antonii Wilczyński – powiedziała Nowicka. Nazwisko, które wymieniła policjantka, wydawało się Papajowi znajome. Wiedział, że już się z nim spotkał, ale musiało upłynąć dobrych kilkanaście sekund, nim skojarzył fakty.

– Ten sam, który przyjął zgłoszenie zaginięcia Mieczysława Sobótki? – zapytał, chcąc się upewnić czy ma rację.

– Właśnie tak – potwierdziła Nowicka – a tu masz jego adres i telefon – dodała, kładąc na blacie biurka, trzymaną w dłoni kartkę.

– Sądziś, że po tylu latach facet będzie coś pamiętał? – Papaj bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Nie wiem, ale możesz spróbować z nim porozmawiać – zaproponowała Nowicka, wstając z biurka i ruszając do drzwi.

– A może ty chcesz spróbować? – rzucił komisarz, patrząc na adres i telefon Antoniego Wilczyńskiego.

– Wiesz teraz tobie dam szansę, abyś się wykazał. Ja zrobiłam to już u Żeromskiego – rzuciła zaczepnie, przystając w progu i nie czekając na ripostę Papaja, wyszła z pokoju.

Komisarz rozparł się wygodnie w swoim fotelu i przez okno obserwował małego ptaszka, który zwinnie przeskakiwał między gałęziami rozłożystego klonu. Następnie sięgnął po słuchawkę stacjonarnego telefonu i wybrał numer Wilczyńskiego. Czekając na połączenie miał tylko nadzieję, że zarówno numer telefonu, jak i adres są jeszcze aktualne. Odczekał osiem sygnałów, i już miał przerwać połączenie, gdy ktoś jednak podniósł słuchawkę.

– Tak słucham – usłyszał przyjemny, kobiecy głos.

– A więc pudło pomyślał, zastanawiając się, czy jest sens pytać kobietę, która odebrała telefon o Wilczyńskiego. Po krótkiej chwili namysłu doszedł do wniosku, że niczym nie ryzykuje.

– Dzień dobry, nazywam się Andrzej Papaj czy mogę rozmawiać z Antonim Wilczyńskim?

– Tak, proszę chwileczkę poczekać – usłyszał w odpowiedzi i poczuł ulgę.

– Dziadku telefon do ciebie – dotarły do niego lekko zniekształcone słowa rozmówczyni, zastąpione po chwili męskim głosem, który zdradzał, że rozmówca nie jest już pierwszej młodości. Wyjaśnienie Wilczyńskiemu kim jest, i w jakiej sprawie dzwoni, zajęło Papajowi jakąś minutę.

– Czy moglibyśmy się spotkać? – zapytał komisarz, mając nadzieję, że milicjant wyrazi zgodę na rozmowę o sprawie Mieczysława Sobótki.

– Dobrze – powiedział Wilczyński po chwili zastanowienia – ale to pan będzie musiał do mnie przyjechać, bo od kilku lat nie wychodzę z domu – dodał, podając ten sam adres, który Papaj otrzymał od Nowickiej.

– Czy jutro rano może być?

– Tak, proszę przyjechać o dziewiątej – zgodził się mężczyzna. Papaj podziękował i zakończył połączenie. Miał już zamiar schować smartfon, kiedy usłyszał dźwięk powiadomienia z aplikacji towarzyskiej. Wiadomość pochodziła od Edyty.

– Czy pan policjant ma dziś wolny wieczór? – przeczytał i uświadomił sobie, że to w gruncie dość niewinne pytanie, może wywrócić do góry nogami wszystkie jego plany. Zamierzał przecież skontaktować się z Sylwią i dopytać, czy zdołała ustalić coś w sprawie owczarka. Jednak fakt, że to Edyta sama zaproponowała spotkanie, mile go polechła.

– Wieczór mam wolny, choć czasami bywam szybki – odpisał, wiedząc, że nie było to specjalnie wyrafinowane.

– W takim razie możemy spędzić wolny wieczór na czymś szybkim – odpisała po chwili dziewczyna. Przez kolejny kwadrans przeczucali się dwuznacznymi wiadomościami, aż wreszcie ustalili, że spotkają się o dwudziestej w tym samym lokalu, w którym widzieli się po raz pierwszy. Papajowi odpowiadało takie rozwiązanie. Miał dość czasu, aby wrócić do domu, posprzątać, wziąć prysznic, a nawet coś zjeść. Ogarniając mieszkanie, wstawił do piekarnika pizzę kupioną w pobliskim markecie. Gdy odświeżony wyszedł z łazienki, danie było już gotowe. Choć zazwyczaj unikał takiego jedzenia, to teraz był tak głodny, że nie minęło pięć minut, a miał przed sobą pusty talerz.

Kiedy Papaj dotarł do amerykańskiego lokalu, Edyta już na niego czekała, sącząc drinka z wysokiej szklanki.

– Czyżbym się spóźnił? – zagadnął, siadając obok.

– Nie, to ja przyszedłam za wcześnie – przyznała dziewczyna, dłonią przywołując barmana.

– Dziś sam tonik z dwiema kostkami lodu – poprosił Papaj. Sądził, że Edyta skomentuje jego zamówienie, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Wyglądasz na zmęczoną – odezwał się komisarz, gdy czarnoskóry barman postawił przed nim wysoką szklankę.

– Widzę, że pan policjant ma doskonały zmysł dedukcji – odparła dziewczyna, wyjaśniając, że miała ciężki dzień w pracy.

– To może coś relaksującego? – zaproponował nieśmiało.

– Mówisz o czymś na S? – zaintrygowała się Edyta.

– Tak, mam na myśli saunę – wyszeptał Papaj, nachylając się do ucha dziewczyny – po ciężkim dniu, najlepszy jest seans w saunie – dodał. Edyta zakryła dłonią usta, powstrzymując śmiech.

– No na saunę, to mnie jeszcze nikt nie podrywał – oznajmiła, autentycznie rozbawiona.

– To znaczy, że będę pierwszym, kto złożył ci tak odważną propozycję.

– Wiesz to nawet interesujące, ale niestety nie mam przy sobie stroju kąpielowego.

– Ja nie proponowałem basenu, tylko saunę, a do sauny wchodzi się na golasa.

– Chyba sobie żartujesz?

– Mówię zupełnie serio. Przy poprawnym saunowaniu używamy tylko ręcznika – wyjaśnił Papaj, ale widział, że Edyta nie do końca mu wierzy. Dopiero gdy pół godziny później przekroczyli próg saunarium dziewczyna zrozumiała, że rzeczywiście będzie siedziała naga wśród kilkunastu innych głosów korzystających z dobrodziejstwa sauny, ale wtedy było już za późno, aby się wycofać.

– Naprawdę będę musiała siedzieć tam tak, jak mnie Pan Bóg stworzył? – zapytała wystraszona, kiedy rozstawali się przy wejściu do szatni.

– Owiń się ręcznikiem, zasłaniając to, co uważasz za stosowne, tak też można – odpowiedział Papaj, nie chcąc już na samym początku, zniechęcać dziewczyny do saunowania. W saunie siedziało już kilka osób, jednak komisarz nie dostrzegł wśród nich Edyty. Zajął miejsce na najwyższym poziomie, gdzie było najgoręcej i oddał się zbawiennemu działaniu wysokiej temperatury. Mijały minuty, a Edyta nie przychodziła. Papaj pomyślał nawet, że dziewczyna zrezygnowała. Jednak w pewnej chwili drzwi się uchylily, i do sauny weszła Edyta owinięta ręcznikiem, który sięgał jej do połowy ud. Dziewczyna usiadła na najniższej ławie wyciągając przed siebie długie szczuple opalone nogi. Uwadze komisarza nie uszło, że dwóch mężczyzn obrzuciło Edytę zaintrygowanymi spojrzzeniami. Po dziesięciu minutach Papaj postanowił zakończyć seans.

– Poczekam na ciebie w holu – wyszeptał, mijając Edytę, która w odpowiedzi nieznacznie skinęła głową.

– Nie sądziłam, że to może być tak przyjemne – przyznała Edyta, gdy wyszli przed saunarium. Wieczór był ciepły, a rosnące przy parkingu krzewy, uwalniały z kielichowatych kwiatów słodki zapach.

– To teraz do mnie, czy do ciebie? – bezpośrednio, z jaką dziewczyna zadała pytanie, spodobała się Papajowi. Uznał, że należy ona do tych kobiet, które doskonale wiedzą, czego chcą.

– Do mnie – zdecydował komisarz, nie mogąc doczekać się chwili, gdy znajdą się w jego mieszkaniu, a dokładniej mówiąc w łóżku. Mieszkanie Papaja tak jak mógł się spodziewać, zrobiło na Edycie wrażenie.

– To ja jeszcze zajrzę do łazienki, a ty zrób drinki – poprosiła szeptem, który jednocześnie kusił i obiecywał. Gdy tylko kobieta zniknęła w łazience, komisarz zasłonił rolety, zapalił kilka świec, i przeszedł do kuchni przygotować drinki. W pewnej chwili usłyszał cichy odgłos bosych stóp i poczuł, że Edyta przywiera do jego pleców. Nawet bez odwracania się wiedział, że jest naga. Jej niecierpliwe, zwinne dłonie sprawnie poradziły sobie z paskiem, guzikiem i rozporkiem.

– Z taką palką to na pewno pracujesz w prewencji – wymruczała, przygryzając delikatnie płatek jego ucha.

– Chyba będę musiał wypisać pani mandat za wulgarność.

– Nie tylko za wulgarność, ale też za wyuzdanie – zapowiedziała, i jak się niebawem okazało, nie rzuciła słów na wiatr. Lubiła seks i widać było, że czerpie z niego wiele przyjemności. Miała jędrne wysportowane ciało, o niezbyt dużych, ale kształtnych piersiach, zgrabne pośladki, a wszystko dokładnie wydepilowane.

– Teoretycznie powinniśmy teraz zapalić – stwierdziła, kiedy wyczerpani, leżeli w skotłowanej pościeli.

– Muszę cię rozczarować, ale nie palę – wyznał Papaj.

– Ja też nie – zachichotała dziewczyna, przeciągając się rozkosznie.

– Mogę zostać do rana? – zapytała, poważniejąc – czy mam się ubrać i zamówisz mi taksówkę?

– Możesz zostać, ale pod warunkiem, że nie będziesz chrapała – odparł Papaj, przyciągając dziewczynę do siebie i namiętnie całując w usta. Edyta przywarła do niego całym ciałem, przewróciła go na plecy i usiadła na nim gotowa na kolejne igraszki. Dopiero pół godziny później, zmęczenie wzięło górę i kompletnie wyczerpana, zasnęła z ręką na jego udzie. Papaj przyglądał się śpiącej dziewczynie, aż sam zasnął. Kiedy się obudził był w łóżku sam. Przez chwilę nasłuchiwał, ale w mieszkaniu panowała kompletna cisza. Wreszcie wstał i przeszedł do salonu. Na stole oparta o wazon z kwiatami stała kartka. „Gdybyś nie chrapał, to pewnie rano powtórzylibyśmy nasze nocne przygody” – przeczytał, i uśmiechając się pod nosem, wszedł do łazienki.

Godzinę później jechał już na ulicę Wiśniową, gdzie mieszkał emerytowany milicjant Antonii Wilczyński. Pokonując kolejne skrzyżowania, zastanawiał się, o co właściwie powinien zapytać byłego milicjanta. Przecież od zaginięcia Mieczysława Sobótki minęło już prawie trzydzieści lat. Czy Wilczyński będzie cokolwiek pamiętał? Może samą sprawę tak, ale szczegóły raczej nie, a to właśnie na nich Papajowi zależało najbardziej. Kiedy dotarł pod blok Wilczyńskiego, dochodziła dziewiąta. W domofonie usłyszał ten sam miły kobiecy głos, ale teraz już wiedział, że należy on do wnuczki milicjanta.

– Proszę wejść, dziadek już na pana czeka – powiedziała kobieta, zwalniając przycisk elektromagnesu. Wnuczka Wilczyńskiego okazała się szczupłą dwudziestolatką o przeciętnej urodzie, ale za to bardzo ciepłym uśmiechu.

– Tylko proszę go zbyt nie męczyć, dziadek jest bardzo chory – poprosiła dziewczyna. Papaj skinął głową i wszedł do środka. W niewielkim pokoju, na inwalidzkim wózku, siedział około siedemdziesięcioletni mężczyzna, ubrany w zielony bawełniany dres.

– Bardzo dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać – powiedział Papaj, ściskając wyciągniętą dłoń.

– Wie Pan, w moim wieku nawet takie odwiedziny to nie lada rozrywka – odrzekł Wilczyński – a poza tym sprawa Sobótki do dziś nie daje mi spokoju – uwaga byłego milicjanta zaciekawiła komisarza.

- Czyżby facet pamiętał szczegóły tamtej sprawy – pomyślał Papaj, siadając na wskazanym przez gospodarza krześle.
- A można wiedzieć dlaczego?
- Wie Pan, w tej sprawie nic do siebie nie pasowało, a mimo to z jakichś powodów uznano, że została rozwiązana.
- Co ma Pan na myśli, mówiąc, że nic do siebie nie pasowało?
- Po pierwsze Sobótka wcale nie nosił munduru. Owszem woził go w samochodzie, ale nigdy nie zakładał. Po drugie sekcja zwłok, a raczej to, co poddano sekcji, wykazała, że kilka żeber było złamanych, a czaszka pęknięta w dwóch miejscach. Owszem to wszystko tłumaczono tym, że gdy pękła lina, na której denat się powiesił, ciało upadło na twardą zamarniętą ziemię i stąd te obrażenia. Po trzecie nie znaleziono jego auta – wycizłał Wilczyński. Dla Papaja już sama wzmianka o obrażeniach dawała do myślenia.
- A czy pańskie uwagi zostały ujęte w aktach sprawy?
- Oczywiście, że zostały – zapewnił Wilczyński oburzonym tonem, tak jakby uważał, że Papaj próbuje wmówić mu brak kompetencji zawodowych – z resztą sam może Pan to sprawdzić – dodał mężczyzna spokojniejszym głosem.
- No właśnie nie bardzo, ponieważ po tych aktach została w archiwum jedynie pusta teczka, z sygnaturą sprawy – wyjaśnił Papaj, licząc, że Wilczyński ma wiedzę, albo podejrzenia, co mogło się stać z aktami.
- To dziwne, bo jeszcze na dwa miesiące przed przejściem na emeryturę przeglądałem te akta – przyznał mężczyzna.
- A kiedy to dokładnie było?
- W marcu bądź kwietniu 1996 roku – odparł Wilczyński.
- To pan pracował w policji? – zdziwił się komisarz, sądząc, że mężczyzna przeszedł na emeryturę jeszcze przed zmianą systemu.
- Tak, zostałem pozytywnie zweryfikowany i robiłem to samo, co jako milicjant. Łapałem bandytów, złodziei, i innych, którzy stawiali siebie ponad prawem – słowa mężczyzny wydały się Papajowi zbyt pompatyczne, ale postanowił ich nie komentować.
- A jak dobrze znał pan Mieczysława Sobótkę? – zapytał komisarz, porzucając wątek śledztwa. Był ciekaw, czy milicjantów łączyło coś więcej, niż tylko relacje zawodowe.
- No cóż, Mietek przyszedł do nas wiosną, a w sierpniu zaginął, więc nie było zbyt wiele czasu na zawarcie bliższej znajomości. Zapamiętałem go jako wiecznie zagonionego. Ciągłe miał jakieś sprawy na mieście, i zastanie go na komisariacie, graniczyło z cudem.
- Wiem, że od tamtych wydarzeń minęło prawie trzydzieści lat, ale czy nie przypomina pan sobie, aby Sobótka przed zaginięciem jakoś dziwnie się zachowywał?
- On od samego początku służby na naszym komisariacie, zachowywał się inaczej niż wszyscy pozostali funkcjonariusze – stwierdził Wilczyński – po pierwsze, jak już wspominałem, nigdy nie nosił munduru. Jednak jeszcze dziwniejsze było to, że nasz komendant, major Strzałkowski, który był wyczulony na kwestię umundurowania, pozwalała na coś takiego. Każdy inny dostawał od niego burę za odpięty guzik, a Sobótka mógł sobie paradować w cywilnych ciuchach. Po drugie, Sobótka rzadko kiedy spędzał na komisariacie więcej niż godzinę dziennie, i to również uchodziło mu płazem – Papaj słuchał wspomnień Wilczyńskiego, rozmyślając jednocześnie czy wnoszą one coś nowego do sprawy. Już sam fakt, że Sobótka był traktowany inaczej niż pozostali, dawał wiele do myślenia.
- Dziękuję, że poświęcił mi pan czas – powiedział Papaj, kiedy Wilczyński skończył swoją opowieść.

– Naprawdę nie ma za co – oświadczył mężczyzna, podając Papajowi chudą dłoń naznaczoną starczymi plamami.

– A mam do pana jeszcze jedno pytanie – odezwał się komisarz, kiedy był już w drzwiach – mniej więcej w tym samym czasie, prowadził pan także sprawę zaginięcia Jana Owczarka.

– A tak – wszedł mu w słowo Wilczyński – to również była bardzo dziwna sprawa. Zaginięcie zgłosiła żona, a kilka dni później dostaliśmy anonim informujący o ucieczce Owczarka na zachód. Jednak jeszcze przed zniknięciem Sobótki i Owczarka, widziałem ich razem, jak pewnego dnia rozmawiali niedaleko komendy.

– Jest pan tego pewien? – tym razem to Papaj wszedł w słowo Wilczyńskiemu.

– Tak jestem pewien – odparł zdecydowanie mężczyzna – później nawet zastanawiałem się, czy ta rozmowa mogła mieć coś wspólnego z ich zniknięciem – dodał zamyślnym tonem. Wychodząc od Wilczyńskiego, Papaj uznał wizytę za owocną. Uzyskane informacje choć nie zapowiadały przełomu w śledztwie, to rzucały nowe światło na zaginięcie Sobótki oraz Owczarka, a także na odnalezienie zwłok tego pierwszego. Komisarza najbardziej zastanawiała jedna kwestia. Jeśli Wilczyński rzeczywiście widział Owczarka rozmawiającego z Sobótką to czy było to przypadkowe spotkanie, czy też może obaj się znali? Rozmyślenia Papaja przerwał dzwonek telefonu. Widząc, że telefonuje Sylwia, poczuł przyjemny dreszczyk.

– Mam coś dla ciebie – rzuciła, gdy tylko odebrał połączenie – ale będzie cię to kosztowało kawę i sernik w Literatce – zastrzegła.

– Może chciałabyś zostać etatowym informatorem? Tacy zarabiają znacznie więcej, niż kawę i ciacho – zażartował, wsiadając do samochodu.

– Interesująca propozycja, będę musiała ją rozważyć. Jednak teraz zbieraj tylek i przyjeżdżaj, ja będę w Literatce za kwadrans.

– To nie jesteś w pracy?

– Andrzejku, nie zapominaj, że każdy pracownik ma prawo do urlopu – rzuciła Sylwia i przerwała połączenie.

– Ja też miałem mieć urlop i co, przez jakiś tam szkielec wszystko diabli wzięli – westchnął w duchu Papaj, wracając myślami do dni, gdy planował wyjazd w surowe i piękne góry Skandynawii. Na wspomnienie Skandynawskiego piękna i chłodu, przypomniał sobie o telefonie do Anny Moskal. Przecież miał zadzwonić do prokuratorki, aby umówić się na kawę, podczas której mieli zakończyć podjazdowe wojenki zawodowe, przesyczone aluzjami osobisto-erotycznymi. Jednak kiedy kliknął ikonkę kontaktów, zobaczył połączenie przychodzące od Justyny.

– No cóż, do pani prokurator zadzwonię później – mruknął, przesuwając kciukiem zieloną słuchawkę.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Edward Kowalski był właśnie w trakcie sprawdzania dokumentacji przetargowej na jeden z magazynów, którymi miasto zarządzało. Obiekt już od dłuższego czasu nie mógł znaleźć swojego najemcy. Powodów było wiele. Po pierwsze lokalizacja, po drugie stan techniczny i po trzecie czynsz. Nagle panującą ciszę przerwał dzwonek telefonu. Mężczyzna sięgnął po smartfon i zdeglustowany zerknął na ekran.

– Czego ten Henryk znowu chce? – westchnął w myślach. Korciło go, aby nie odbierać. Jednak ciekawość wzięła górę. Tym bardziej że ostatnimi czasy Żeromski dzwonił wyłącznie w sprawie warsztatów szkolnych przy Krakowskiej.

– Słuchaj Edward, była dzisiaj u mnie ta policjantka – wyrzucił Żeromski, gdy tylko Kowalski odebrał połączenie. W tonie Henryka słychać było autentyczne przerażenie. Co prawda to wcale nie oznaczało, że wydarzyła się jakaś katastrofa, bo Żeromski bardzo często przesadzał, robiąc z igły widły. Kowalski już chciał zapytać, czego chciała, ale Żeromski mówił dalej – oni wszystko wiedzą.

– Henryk, ale co wiedzą?

– Wiedzą o tym, że ty, ja i Owczarek, mieliśmy udział w remoncie tych pierdolonych warsztatów! – wrzasnął Żeromski, a Kowalski poczuł, jak robi mu się słabo. Opadł ciężko na fotel i kilka razy głęboko zaczerpnął powietrza. Wiadomość, która właśnie do niego dotarła, nie wróżyła niczego dobrego. Jednak, gdy po chwili doszedł do siebie, sprawa nie przedstawiała się w tak czarnych barwach, jak początkowo sądził. Przede wszystkim musiał poznać szczegóły tego, co zaszło u Żeromskiego.

– Henryk uspokój się, i wszystko dokładnie mi opowiedz! – rozkazał.

– A co tu kurwa jest do opowiadania? Ta suka pokazała mi ten artykuł, w którym tak ochoczo chwaliliśmy się tym, że bachory wrócą do wyremontowanych warsztatów – żałośnie zaskomlał Żeromski. Dopiero po tych wyjaśnieniach Kowalskiego olśniło. Przypomniał sobie tekst opublikowany w Wieczorze Wrocławia. W pierwszej chwili podobnie jak Żeromski, poczuł strach ściskający go za gardło. Jednak im bardziej zastanawiał się nad tym, co odkryła policjantka, tym mocniej zaczynał wierzyć, że w gruncie rzeczy nic takiego wielkiego się nie stało.

– Co jej powiedziałaś, gdy pokazała ci ten artykuł?

– A co miałem do kurwy nędzy mówić – rzucił Żeromski z irytacją – ściemniłem, że remont był dawno i zwyczajnie o nim zapomniałem.

– I bardzo dobrze zrobiłeś – Kowalski pochwalił zachowanie kolegi – musimy się trzymać tej wersji – oświadczył, ostatnie słowa wypowiadając bardziej do siebie, niż do Henryka.

– I co teraz zrobimy?

– Nic nie będziemy robić – oświadczył ostro Kowalski – fakt, że remontowaliśmy trzydzieści lat temu jakieś tam warsztaty to jeszcze nie przestępstwo, więc mogą nam skoczyć – dodał, i aż sam się zdziwił, że użył takiego określenia. On, który w każdej sytuacji wykazywał wysoką kulturę osobistą, teraz używał słownictwa jak jakiś menel.

– Obyś miał rację – sapnął Żeromski, przerywając połączenie. Kowalski odłożył telefon i zawiesił spojrzenie na dużej grafice przedstawiającej Wrocławski ratusz, która wisiała na przeciwległej ścianie. Zamyślił się nad konsekwencjami, wynikającymi z odkrycia artykułu. Był ciekaw czy on również będzie przesłuchiwany w tej sprawie. Fakt, że policja najpierw zajęła się Henrykiem, specjalnie Edwarda nie zdziwił. Przecież to jego ludzie odkryli szkielet, a sam Żeromski podczas pierwszego przesłuchania nie wspomniał, że trzydzieści lat wcześniej remontował warsztaty. Co prawda Kowalski również to zataił, gdy policjantka zjawiała się po plany warsztatów, więc uznał, że wcześniej, czy później będzie musiał złożyć zeznania, jednak dzięki Żeromskiemu był przygotowany na taką okoliczność. Mimo tych pokrzepiających myśli, czuł dziwny niepokój. Uczucie towarzyszyło mu przez kolejne godziny i nawet żona, kiedy wrócił do domu, zapytała, czy nic mu nie jest.

– Trochę boli mnie głowa – skłamał i po obiedzie zaszył się na tarasie z najnowszym wydaniem swojej ulubionej gazety. Próbował czytać, ale choć artykuły zapowiadały się ciekawie, to nie potrafił skupić na nich uwagi. Wciąż rozmyślał o rozmowie, jaką kilka godzin wcześniej odbył z Żeromskim.

– Moim zdaniem za ciężko pracujesz – oświadczyła żona, przynosząc mu kawę – dlatego uważam, że powinniśmy wyjechać na urlop – dodała.

– Dobrze kochanie, ale pozwól, że porozmawiamy o tym później – wszedł jej w słowo, przerywając tym samym próbę zaplanowania uroczego wyjazdu, który uszczupli jego konto o kilkanaście tysięcy. Nieco nadąsana Kasia weszła do domu, a Kowalski odetchnął z ulgą, mimo iż była to tylko ulga pozorna. Mijały kolejne godziny, nadeszła północ, a Edward głęboko zamyślony wciąż siedział na tarasie. Wypadki kilku ostatnich dni spowodowały, że miał nad czym myśleć. Początkowo nie przypuszczał nawet, iż znalezienie na warsztatach szkieletu, zapoczątkuje serię zdarzeń, które mogą przysporzyć mu jakichś kłopotów. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego policja z taką gorliwością podeszła do wyjaśnienia tej sprawy.

– Skoro jednak posunęli się nawet do grzebania w starych gazetach, to muszą mieć jakiś ważny powód – pomyślał. Przez moment zastanawiał się nawet, czy nie pomóc policji. Przecież doskonale pamiętał, co tak naprawdę wydarzyło się w tę przeklętą sierpniową noc w 1985 roku. Ba miał nawet na to namacalny dowód, jednak jednocześnie zdawał sobie sprawę, że ujawnienie się i przekazanie policji tego, co od trzydziestu lat spokojnie leżało w sejfie, może mu przynieść więcej szkody niż pożytku.

– Co ty tutaj tak siedzisz? – usłyszał za sobą zdziwiony głos Kasi.

– Jakoś nie mogę spać – westchnął, odwracając głowę i prześlizgując się spojrzeniem po zgrabnej sylwetce żony, otulonej jedynie cienkim prześwitującym szlafrocikiem.

– Mam nadzieję, że nie masz żadnych kłopotów? – zapytała, przysiadając na drugim fotelu.

– Kłopoty moja droga, czają się na każdym kroku – stwierdził Kowalski filozoficznym tonem, wstając z wiklinowego fotela, który lekko zaskrzypiał.

– Od zawsze powtarzam, że najlepsze na kłopoty są seks i pieszczoty – wymruczała Kasia, rozwiązując pasek w talii.

– Seks jest przyjemny, ale niestety nie załatwi wszystkiego – pomyślał Kowalski, kładąc dłoń na płaskim brzuchu żony, a następnie przesunął ją w dół na gładki wzgórek łonowy. Kasia cicho jęknęła, uwolniła się od pieszczoty, wstała, i ruszyła przez salon, gubiąc po drodze szlafrok. Mężczyzna podążył za nią, rozpinając koszulę. Postanowił choć na chwilę zapomnieć o swoich zmartwieniach i wrócić do nich dopiero nazajutrz.

Wychodząc rano z domu, Kowalski był w znacznie lepszym humorze niż poprzedniego dnia, i nie była to zasługa doznań, jakie w nocy zafundowała mu Kasia, ale faktu, że biorąc poranny prysznic, wraz z gorącą wodą spłynęło na niego olśnienie.

– Przecież tak naprawdę nie mam się czym martwić – uznał, myjąc zęby. Postanowił, że najlepszym wyjściem w obecnej sytuacji będzie zgrywanie idioty. Jeśli policja zapyta go o artykuł, to uda, że o nim zapomniał i tyle. Przecież mógł nie pamiętać, co zdarzyło się trzydzieści lat wcześniej. Zadowolony ze swego pomysłu wsiadł do samochodu i pojechał do pracy.

Po drodze myślał jednak nad swoim innym kłopotem, którym był Jarosław Masłowski oraz sprawa, jaką miał dla niego załatwić. Wpisanie do dokumentacji przetargowej zapisów, dzięki którym to właśnie Masłowski wygra przetarg na lokal w sercu Wrocławia, nie było niczym trudnym. Kowalskiego martwił jednak fakt, że dyrektor pionu przetargów wciąż nie zlecił mu opracowania dokumentacji przetargowej. Co prawda od rozwiązania umowy z poprzednim najemcą minęły dopiero trzy tygodnie, i teoretycznie mógł się on odwołać, ale nic nie wskazywało, aby miał taki zamiar. Mimo wszystko Kowalski postanowił podpytać dyrektora o tę sprawę. Jednak najpierw tak jak każdego dnia przed rozpoczęciem pracy zajął do sekretariatu, aby przywitać się z sekretarką.

– Dzień dobry pani Aniu – powiedział, posyłając kobiecie serdeczny uśmiech.

– O dzień dobry panie Edwardzie – kobieta odwzajemniła uśmiech. Jej włosy koloru głębokiego atramentu i okulary w niebieskich oprawkach, zdaniem Kowalskiego nie pasowały do kogoś przed pięćdziesiątką.

– Dobrze, że pana widzę. Chwilę temu dzwonił dyrektor i prosił, aby pan do niego zajrzał – poinformowała sekretarka. Wiadomość ucieszyła Kowalskiego. Oznaczała bowiem, że nie będzie musiał szukać pretekstu do spotkania z przełożonym.

– A w jakim pan Jacek był nastroju?

– Raczej dobrym – odparła kobieta, wracając do swoich zajęć. Kowalski podziękował, i zadowolony ruszył do gabinetu szefa. Zapukał, a słysząc zdecydowaną prośbę, wszedł do nowoczesnie urządzonego pokoju. Przy biurku, pochylony nad jakimiś dokumentami siedział wysoki, szczupły czterdziestolatek. Mimo dość młodego wieku był zupełnie łysy. Brak włosów rekompensował jednak brodą upodabniającą go do słynnego kasiarza Szpicbródki. Podniósł głowę znad dokumentów i spojrzął na Kowalskiego ciemnoszarymi oczami.

– Dziękuję, że pan przyszedł. Proszę usiąść – powiedział, wskazując krzesło po drugiej stronie biurka. Siadając, Edward zwrócił uwagę na dokumenty piętrzące się na biurku przełożonego. Było to bardzo dziwne, ponieważ Rogalski raczej unikał roboty papierkowej, zlecając ją swoim podwładnym. Nawet fakt, że był dyrektorem, zawdzięczał wyłącznie koneksją politycznym, bo o zarządzaniu nieruchomościami miał takie pojęcie jak Edward o budowie samolotów.

– Poprosiłem pana do siebie, ponieważ mamy pewien problem – zaczął Rogalski i otworzył jedną z leżących na blacie teczek – najemca tego lokalu w rynku, z którym niedawno rozwiązaliśmy umowę, pozwał nas do sądu – kontynuował mężczyzna, podając Kowalskiemu pozew sądowy.

– Jak to pozwał? – wyjąkał Edward, czując, że krew odpływa mu z twarzy.

– Według niego wypowiedzenie umowy było niezgodne z prawem – ciągnął Rogalski, przytaczając argumenty zawarte w pozwie, jednak do Kowalskiego docierały tylko strzępy zdań. Natychmiast zrozumiał, że problem, o którym powiedział dyrektor, nie jest wyłącznie problemem biura zarządzania nieruchomości, ale dotyczy Edwarda osobiście. Jednak o tym Rogalski nie mógł wiedzieć, i być może dlatego uznał reakcję podwładnego za przejaw zawodowego zaangażowania. Pozew był tym, czego Kowalski zupełnie nie brał pod uwagę, i teraz dostrzegł swój błąd. Powinien był poczekać z przyjęciem kasy od Masłowskiego do czasu, aż nie będzie żadnych przeszkód, blokujących ogłoszenie przetargu.

– Jak zwykle mądry Polak po szkodzie – pomyślał Edward, próbując uspokoić gonitwę myśli. Zdawał sobie sprawę, że nawet jeśli sąd przyzna rację miastu, a nie najemcy, to minie wiele miesięcy,

nim będzie można ruszyć z przetargiem.

– Jednak to nie jedyny problem – westchnął ciężko Rogalski i wstał zza biurka. Skrzyżował ręce na piersiach i podszedł do okna. Milczał przez chwilę, jakby szukając odpowiednich słów. Kowalski wodził za nim wzrokiem, i rozmyślał czy może być coś gorszego niż fakt, że nie zdoła wywiązać się z umowy, jaką zawarł z gangsterem siejącym postrach w całym Wrocławiu.

– Z dobrze poinformowanych źródeł wiem, że CBA interesuje się organizowanymi przez nas przetargami – powiedział Rogalski, odwracając się od okna – wiem też, że wkrótce zaczną kontrolę. Wie pan, co to oznacza? – spojrzał pytająco na Kowalskiego. Edward w jednej chwili zrozumiał, że właśnie znalazł się między młotem a kowadłem. Pierwszym był Jarosław Masłowski, któremu obiecał załatwić najem lokalu. Jednak fakt, że sprawa właśnie trafiła do sądu, powodował, że nie będzie mógł obecnie wywiązać się z tej obietnicy. Natomiast kowadłem byli smutni panowie, tropiący afery korupcyjne na wszystkich szczeblach władzy i administracji publicznej. O ile ci drudzy działali zgodnie z prawem, więc jedyne co mogło mu grozić to kilka lat w celi, o tyle Masłowski miał w dupie jakiegokolwiek prawo, nie licząc prawa pięści. Gdyby Kowalski mógł wybierać, to wybrałby więzienie, ale w obecnej sytuacji miał niewiele do powiedzenia.

– Mam nadzieję, że dokumentacja przetargowa jest w porządku? – pytanie dyrektora wyrwało Edwarda z zamyślenia nad sytuacją, w której właśnie się znalazł.

– Oczywiście panie dyrektorze – zapewnił Kowalski, starając się, aby jego głos brzmiał przekonująco – u nas nie znajdą niczego niezgodnego z prawem – dodał, chcąc tym samym uspokoić Rogalskiego, który wyglądał na zdenerwowanego.

– Mam nadzieję – powtórzył mężczyzna i usiadł z powrotem za biurkiem.

– Mimo wszystko proszę przygotować mi kopię przetargów z tego roku – zażądał, chowając leżącą na blacie pozew do teczki.

Gdy tylko Kowalski znalazł się w swoim gabinecie, usiadł przy biurku, i ukrył twarz w dłoniach. Po raz pierwszy w życiu miał ochotę się rozplakać.

– Uspokój się stary. Przecież z nie takich opresji wychodziłeś – powtarzał sobie w myślach. Jednak podświadomie wiedział, że jest to tylko zaklinanie rzeczywistości, gdyż nigdy wcześniej nie miał na głowie tylu problemów jednocześnie. Mimo wszystko postanowił spróbować znaleźć jakieś wyjście. Już po chwili uznał, że tak naprawdę to ma tylko jeden kłopot i jest nim Jarosław Masłowski. Przy gangsterze CBA wyglądało jak grzeczny kotek. Podczas gdy on był nieobliczalnym i szalonym tygrysem. Kowalski zastanawiał się, czy wyjaśnienia, iż nie mógł nic zrobić w sprawie lokalu, trafią do gangstera. Gdyby miał do czynienia z kimś normalnym, to oddanie pieniędzy załatwiłoby sprawę, ale Masłowski nie wyglądał na kogoś takiego. Co więcej, ostrzegł, że w razie niepowodzenia zwrot łapówki go niezadowolony, i to najbardziej przerażało Edwarda. Mimo wszystko zdecydował się wziąć byka za rogi i porozmawiać z bandziorem. Odnalazł jego numer i zadzwonił.

– Tak panie Edwardzie? – Ton Masłowskiego, choć spokojny był zimny jak kostki lodu wyjęte z zamrażalnika.

– Panie Jarosławie musimy się spotkać.

– A czy coś się stało?

– Pojawiły się nieprzewidziane okoliczności – przyznał otwarcie Kowalski – na które niestety nie mam wpływu – wyjaśnił, chcąc od razu zaznaczyć swoją niewinność.

– To bardzo źle, że są rzeczy, nad którymi pan nie panuje – westchnął niezadowolony gangster – sądziłem, że mam do czynienia z odpowiedzialnym człowiekiem – dodał.

– Panie Jarosławie należę do bardzo odpowiedzialnych ludzi, i równie poważnie traktuję osoby, z którymi robię interesy – przekonywał Edward, wiedząc, że tak właściwie nie ma nic do stracenia – jednak tym razem chodzi o kwestie, które dzieją się poza zakresem moich obowiązków, i to nie ja o nich decyduję – wytłumaczył.

– Dobrze, w takim razie jutro o dwunastej zjawię się u pana w domu – zapowiedział Masłowski – i proszę mi nie podawać adresu, wiem, gdzie pan mieszka – dodał, i przerwał połączenie. Kowalski przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ekran smartfonu. Był przerażony tym, co właśnie usłyszał. Fakt, że Masłowski znał jego adres, nie wróżył niczego dobrego.

– No nic, co ma być, to będzie – pomyślał i chcąc odpędzić czarne myśli, postanowił zająć się przygotowaniem kopii dokumentacji przetargowych dla dyrektora. Ewentualna kontrola ponurych panów z CBA specjalnie go nie martwiła. Wszystkie dokumenty były w porządku, a jedyne czego mógł się obawiać, to zeznania osób, od których dostawał kasę za ustawienie przetargu. Jednak wątpił, aby któraś z nich chciała podłożyć mu świnie, gdyż tym samym podkładała ją również sobie. Poza tym każdego z kim szedł na układ, starał się sprawdzić pod kątem ewentualnej prowokacji, i gdy tylko coś mu nie pasowało, odmawiał płatnej pomocy, twierdząc, że on w takie rzeczy się nie bawi. Koncentrując się na zadaniu, zabrał się do pracy. Odszukanie wszystkich przetargów, jakie realizował od początku roku, zajęło mu prawie godzinę. Mimo że wszyscy głośno mówili o cyfryzacji, to rzeczywistość wyglądała tak, że wciąż najważniejszy był papier, tak jakby cała administracja miała układy z producentami papieru. Przed zaniemieniem dokumentacji do Rogalskiego Edward postanowił jeszcze raz sprawdzić wszystkie teczki. Pierwsza zawierała dokumentację przetargową sprzedaży warsztatów szkolnych. Szybko przewertował kilkadziesiąt kartek, a nie zauważając żadnych braków, odłożył ją na pustą stronę biurka. Już sięgał po kolejną teczkę, gdy naszły go dziwne myśli. Z wszystkich ustawionych przetargów, a było ich od początku roku zaledwie kilka, ten dotyczący warsztatów przy Krakowskiej wzbudził jego niepokój. Nie chodziło rzecz jasna o dokumentację, bo ta była w porządku, ale o to, co nastąpiło po przejściu budynku przez Daniela Oleksego. Już samo znalezienie tam szkieletu, które pokrzyżowało chłopakowi plany, z pewnością było dla niego frustrujące. A co będzie, jeśli smutni panowie z CBA zaczną go przesłuchiwać? Czy Oleksy okaże się na tyle mądry, aby trzymać język za zębami? A może przyparty do muru, zastraszone nie wytrzyma, pęknie i pójdzie z nimi na układ? Taki obrót sprawy oznaczał dla Edwarda koniec życia, jakie wiódł do tej pory. Kowalski wstał z biurka i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Takie spacerowanie od ściany do ściany pozwalało zebrać myśli, a czasami nawet znaleźć wyjście z kłopotliwej sytuacji.

– Może porozmawiać z Oleksym i uprzedzić go o kontroli oraz wszystkim, co mogło być z nią związane? – pomyślał, przystając przy oknie. To był jakiś pomysł i w miarę jak poddawał go coraz głębszej analizie, dochodził do wniosku, że w obecnej sytuacji jedyny rozsądny. Wrócił więc do biurka, usiadł na fotelu, wyciągnął z kieszeni marynarki smartfon i zadzwonił do Oleksego.

– Dzień dobry panie Danielu. Telefonuję, ponieważ chciałbym się z panem spotkać – oznajmił Kowalski. Chłopak wydał się zaskoczony nie tylko telefonem, jak też samą propozycją, co specjalnie Kowalskiego nie dziwiło.

– A może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

– Bardzo chętnie panie Danielu, ale nie przez telefon. Zapewniam jednak, że nasze spotkanie jest konieczne – oznajmił Kowalski, ucinając dalsze naciski Oleksego.

– Dobrze, dzisiaj jestem na warsztatach do osiemnastej. Proszę więc przyjechać o tej godzinie, wtedy będę już sam – zgodził się chłopak, a Edward poczuł, jak jeden kamień spada mu z serca.

– Na pewno przyjadę – zapewnił, i zakończył połączenie. Następnie zadzwonił do żony i uprzedził, że nie będzie go na obiedzie.

– A co to masz jakąś randkę? – próbowała zażartować Kasia, choć ton, jakim mówiła, zdradzał, że poważnie rozważa taką ewentualność.

– Kto by mnie chciał w tym wieku?

– Zapewniam cię, że znalazłyby się chętne – oznajmiła żona, czym mile polechtała jego męskie ego.

– O osiemnastej mam spotkanie, więc uznałem, że powrót do domu na godzinę to kiepski pomysł – wyjaśnił Edward bez wdawania się w szczegóły. Nigdy nie mówił Kasi z kim, gdzie i w jakiej sprawie się spotyka, a ona nie dopytywała, i był jej za to wdzięczny.

– A gdyby ci zrobiła deser lodowy? – zamruczała, cicho wzdychając do słuchawki.

– Kusząca propozycja, ale musi poczekać do wieczora – odpowiedział stanowczo Edward, i obiecując kupić żonie jakiś drobiazg, zakończył połączenie. Uspokojony zebrał teczki z dokumentami przetargowymi i zaniósł je do Rogalskiego.

– Panie Edwardzie jest pan pewien, że te teczki nie zawierają żadnego przysłowiowego trupa w szafie? – upewnił się dyrektor, patrząc wymownie na Kowalskiego.

– Panie dyrektorze, co jak co, ale tego może być pan pewien.

– Mam nadzieję, bo w przeciwnym razie obaj pożegnamy się z pracą – mruknął Rogalski pod nosem, i z zapalem zaczął przeglądać otrzymane dokumenty.

Kowalski opuścił gabinet szefa, cicho zamykając za sobą drzwi, i skierował się do wyjścia. Chciał zaczerpnąć świeżego powietrza, choć wątpił, aby to, czym oddychali Wrocławianie, zasługiwało na takie miano. Wyszedł z budynku, i bez żadnego konkretnego celu, ruszył przed siebie. Kiedy dotarł do niewielkiego skweru z ławeczkami, kwitnącymi krzewami i cicho szemrzącą fontanną na jego środku, przysiadł na jednej z ławek, wystawiając twarz do czerwcowego słońca. W pewnej chwili zadzwonił jego telefon. Mężczyzna spojrział na ekran. Numer był obcy. Przesunął kciukiem zieloną ikonkę i przyłożył aparat do ucha.

– Kowalski słucham – powiedział oficjalnym tonem.

– Dzień dobry z tej strony aspirant Justyna Nowicka, kilka dni temu złożyłam panu wizytę w sprawie dokumentacji warsztatów szkolnych przy ulicy Krakowskiej.

– A tak pamiętam – potwierdził, udając, że dopiero teraz przypomniał sobie spotkanie z młodą policjantką.

– Chciałabym się ponownie spotkać.

– Ale jak już mówiłem, w naszym archiwum nie ma żadnych innych dokumentów tego obiektu – wszedł jej w słowo.

– Tak wiem, ale mimo wszystko nalegam na spotkanie. Oczywiście, jeśli pan chce, mogę wysłać panu oficjalne wezwanie na komendę – przesłanie zawarte w tym jednym zdaniu było dla Kowalskiego aż nazbyt jasne. Wiedział, że policjantka nie odpuści.

– Dobrze, proszę mi tylko powiedzieć, kiedy i gdzie – ustąpił, chcąc mieć to jak najszybciej za sobą. Tym bardziej że uprzedzony przez Żeromskiego wiedział, czego może się spodziewać na spotkaniu, i był na nie w pełni gotowy.

– Może jutro u pana w biurze?

– Przykro mi, ale jutro mam urlop, jednak możemy się spotkać u mnie w domu – zaproponował Kowalski, i w tej samej chwili przypomniał sobie, że nazajutrz ma już umówione jedno spotkanie, i to takie, którego wolałby uniknąć, ale to niestety nie wchodziło w grę.

– Do trzynastej będę zajęty, ale później jestem do dyspozycji – dodał, zakładając, że rozmowa z Masłowskim nie będzie trwała aż tak długo.

– W takim razie jutro po trzynastej u pana w domu – podsumowała policjantka – rozumiem, że nadal mieszka pan przy Akacjowej? – dodała, a Kowalski uświadomił sobie, że jest ona kolejną osobą, która zna jego adres i to bez jego wiedzy.

– Tak na Akacjowej – rzucił krótko i tracąc kontrolę nad swoim zachowaniem, przerwał połączenie, co zupełnie nie było w jego stylu.

– Stary weź się w garść, opanuj nerwy, i wyluzuj – zbeszał się w myślach. Czuł, że spacer, który miał mu przynieść odprężenie, jeszcze bardziej go zestresował. Wstał z ławki i ruszył z powrotem do biura, choć najchętniej pojechałby do domu. Na szczęście w pracy tego dnia nie czekały go żadne inne niespodzianki. Gdy po szesnastej opuścił biuro, pierwsze kroki skierował do pobliskiego salonu jubilerskiego. Był tam stałym klientem, i tym razem również opuścił sklep biedniejszy o dwa tysiące, za to z gustownym pudełeczkiem zawierającym złote kolczyki w kształcie wachlarza. Wiedział, że Kasia będzie zachwycona, bo kilka miesięcy wcześniej kupił jej podobny wisior. Przed spotkaniem z Oleksem wstąpił jeszcze do małej włoskiej knajpki na porcję lazanii, i kiedy minęła osiemnasta, zaparkował przed budynkiem warsztatów na Krakowskiej. Oleksy czekał, oparty o swoje Volvo.

– Dziękuję, że się pan zgodził – powiedział na przywitanie Edward.

– Szczere mówiąc, pański ton sugerował, że nie mam innego wyjścia – odparł chłodno mężczyzna.

– Nie chciałem wywierać nacisku, ale jednocześnie uznałem, że powinienem pana uprzedzić o pewnych rzeczach – przyznał otwarcie Kowalski.

– O czym pan mówi? – zaniepokoił się Oleksy.

– Panie Danielu może wejdziemy do środka, zamiast stać tak na widoku? – zaproponował Edward, wskazując zamknięte drzwi warsztatów.

– Tam jest straszny bałagan, ale zapraszam do swojego samochodu – odparł chłopak i nie czekając na reakcję Kowalskiego, zajął miejsce za kierownicą. Edward obszedł auto i usiadł po stronie pasażera.

– Panie Danielu będę z panem zupełnie szczerzy – zaczął Kowalski, nie zamierzając owijać niczego w bawełnę – doszły do mnie słuchy, że CBA ma zamiar skontrolować wszystkie przetargi, jakie ogłaszało biuro nieruchomości. W tym również te, które ja prowadziłem – nowina sprawiła, że mężczyzna siedzący za kierownicą w jednej chwili stał się błąd jak zagruntowana ściana, przygotowana do położenia właściwej warstwy farby.

– Jeśli chodzi o dokumenty, to wszystko jest w porządku i tam do niczego nie mogą się przyczepić – zapewnił gorliwie Kowalski, chcąc uspokoić Oleksego.

– To, dlaczego mi pan o tym mówi?

– Może się zdarzyć, choć wcale nie musi, że CBA będzie chciało przesłuchać strony biorące udział w przetargach. Gdyby tak się stało, to najpewniej skontaktują się także z panem. Dlatego chciałem uprzedzić pana o takiej ewentualności – Oleksy słuchał uważnie, ale wyraz jego twarzy wskazywał, że myślami jest gdzie indziej.

– A jeśli do mnie przyjdą, to co mam mówić? – to pytanie było kluczowe w całej ich rozmowie i Edward liczył, że to właśnie Oleksy je zada.

– Panie Danielu, jeśli obaj chcemy uniknąć kłopotów, to powinien pan zeznać, że nikt od pana nie żądał żadnych pieniędzy.

– Tyle że, to będzie kłamstwo – stwierdził cicho Oleksy, a jego wymowne spojrzenie, uzmysłowiło Kowalskiemu, jak wielki popełnił błąd, decydując się na tę rozmowę. Zbyt dobrze znał ludzi i doskonale wiedział, co oznacza takie spojrzenie, zwłaszcza w zestawieniu ze słowem kłamstwo.

– Ile? – rzucił rzeczowo.

– Połowę tego, co panu dałem – odpowiedział bez wahania Oleksy.

– Dobrze niech będzie – zgodził się Kowalski – ale przy sobie takich pieniędzy nie wożę – zastrzegł.

– W porządku, proszę przyjechać jutro rano, powiedzmy o ósmej. Będę tu na pana czekał – odpowiedział Oleksy ugodowym tonem. Kowalski tylko skinął głową i wysiadł z samochodu.

– Właściwie to nie jest aż tak źle, przecież gnojek mógł zażądać całych dwudziestu tysięcy – pocieszył się Edward, wsiadając do swojego auta. Kiedy wreszcie dotarł do domu, był tak zmęczony, że zaraz po kolacji poszedł spać, prosząc Kasię, aby go nie budziła. Żonę wyraźnie zdziwiła ta prośba, ale nie dopytywała o powody, zajęta przymierzaniem nowych kolczyków. Kiedy następnego ranka Edward wstał z łóżka, Kasia jeszcze spała, cicho pochrapując. W pierwszej chwili chciał ją obudzić, ale po namyśle postanowił zrobić to później, gdy wróci ze spotkania z Oleksym. Zjadł lekkie śniadanie, wypił mocną kawę, i poszedł do garażu. Przeparkował Toyotę żony na podjazd, i ze schowka w kanale wyciągnął dziesięć tysięcy. Nim zamknął skrytkę, sprawdził jeszcze, czy kasetka wideo oraz płyta CD są na swoim miejscu. Uspokojony pojechał na Krakowską. Oleksy już na niego czekał. Edward niechętnie wszedł do środka budynku, który w pewnym sensie był przyczyną jego obecnych kłopotów. Rzeczywiście wewnątrz wyglądało jak pobożowisko. Bez słowa wręczył Oleksemu kopertę, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Kiedy wrócił do domu, Kasia wciąż spała. Przysiadł więc na brzegu łóżka, wsunął chłodną dłoń pod kołdrę, i przesunął nią po rozgrzanych plecach żony.

– Która godzina? – mruknęła zaspanym głosem, przeciągając się rozkosznie.

– Przed dziewiątą.

– Edward oszalałeś, przecież dla mnie to środek nocy – jęknęła z wyrzutem, próbując naciągnąć kołdrę na nagie ciało.

– A właściwie, co ty tu robisz? Dlaczego nie jesteś w pracy? – zapytała, w jednej chwili przytomniejąc. Usiadła na łóżku, przyglądając się badawczo Edwardowi.

– Dziś mam wolne, ale czekają mnie dwa spotkania w domu. Dlatego chciałbym, abyś między jedenastą a czternastą pojechała na zakupy, do kosmetyczki, czy gdzie tam chcesz – poprosił, wręczając żonie zwitek banknotów.

– Edek czy ty czasami nie masz jakichś kłopotów? – zainteresowała się Kasia, zupełnie ignorując leżące na pościeli pieniądze. Była autentycznie zaniepokojona.

– Kochanie już ci mówiłem, że kłopoty czają się za każdym rogiem, a sztuka polega na tym, aby ich unikać. Właśnie dlatego, muszę się dzisiaj spotkać z dwiema osobami – zakończył Kowalski, wychodząc z sypialni. Zszedł do kuchni i zrobił sobie drugą kawę. Po kilkunastu minutach w drzwiach stanęła Kasia, była kompletnie ubrana i gotowa do wyjścia.

– Czasami to godzinami przed szafą siedzi, a jak ją dobrze zmotywować, to w kwadrans potrafi się ubrać – pomyślał, jednak nie podzielił się z żoną swoimi przemyśleniami.

– Skoro tak ci zależy, aby mieć całą chatę tylko dla siebie, to postanowiłam pojechać od razu – oznajmiła naburmuszona, jednak iskierki w jej oczach zdradzały, że już nie może doczekać się zakupowego szaleństwa. Po chwili pozostał po niej tylko delikatny zapach perfum zawieszony w powietrzu jak niewidzialna, pachnąca pajęczyna.

Edward spokojnie dopił kawę, odczekał jeszcze kilka minut, i dopiero wtedy przeszedł do garażu. Tym razem ze skrytki w kanale wyjął czterdzieści tysięcy, dokładnie te same, które wręczył mu Masłowski oraz szarą kopertę zawierającą płytę CD. Wrócił do domu i usiadł w gabinecie przed laptopem. Przez chwilę obracał w dłoniach błyszczący krążek. Ostatni raz oglądał jego zawartość przed dziesięcioma laty, gdy postanowił przegrać nagranie z kasety na płytę. Oczywiście kasetę zachował, ale

gdyby teraz chciał ją odtworzyć, to nie miałby na czym, bo magnetowidy już dawno przeszły do lamusa. Nie umiał się zdecydować, czy powinien znowu zobaczyć to, co Jan Owczarek nagrał tej sierpniowej nocy w szkolnych warsztatach przy Krakowskiej. Wreszcie podjął decyzję i schował płytę do szuflady biurka. Uznał, że oglądanie morderstwa, które widziało się na własne oczy, jest ponad jego siły. Wystarczyło, że co kilka lat scena ta powracała w snach, o których długo nie potrafił zapomnieć. Dzwonek domofonu wyrwał Edwarda z rozmyślań o dalekiej i zarazem bliskiej przeszłości. Spojrzał na zegarek, dochodziła jedenasta. Najpierw pomyślał, że to Masłowski postanowił zjawić się wcześniej, niż zapowiedział. Ta możliwość w pewnym sensie była mu na rękę. Wolał mieć to spotkanie już za sobą, a oczekiwanie tylko pogłębiało jego zdenerwowanie. Jednak gdy podszedł do drzwi i spojrzął przez judasza, zobaczył na chodniku pracownika firmy kurierskiej. Rozczarowany przekręcił zamek i wyszedł przed dom.

– Mam przesyłkę do pani Katarzyny Kowalskiej – zawołał kurier, pokazując niewielkie pudełko. Edward odebrał przesyłkę i wrócił do domu. Odstawiając paczkę na stolik w holu, zastanowił się, co też żona tym razem zamówiła. Sądząc po nadawcy, były to jakieś kosmetyki. Już wiele razy miał zamiar porozmawiać z Kasią o tym, że jego zdaniem kupuje za dużo, ale nigdy nie znalazł w sobie odwagi, by to zrobić. Może dlatego, że Kasia była pięknym zaprzeczeniem jego rozsądku. Kwadrans przed południem usiadł przy oknie i przez szparę w roletcie obserwował ulicę. Białego passata dostrzegł tuż przed dwunastą. Masłowski wyglądał dokładnie tak, jak podczas ich pierwszego spotkania. Białe spodnie, koszulka, buty i skarpety kontrastowały z czarnymi jak smoła, długimi włosami i brodą tego samego koloru. Kowalski zbiegł po schodach i znalazł się przy drzwiach dokładnie w chwili, gdy zadzwonił domofon. Szybkim ruchem podniósł słuchawkę i nacisnął przycisk otwierający furtkę.

– Mieszka pan w naprawdę miłej okolicy – zauważył Masłowski, kiedy usiedli na tarasie za domem. Jego przyjazny ton zaskoczył Kowalskiego.

– Tak jest tu bardzo przyjemnie i spokojnie – potwierdził Edward, próbując opanować drżenie głosu.

– Napije się pan kawy, herbaty, a może czegoś zimnego? – zaproponował, chcąc odegrać rolę dobrego gospodarza, choć tak naprawdę wolałby, aby Masłowski jak najszybciej sobie poszedł.

– Proszę nie robić sobie kłopotu, zwłaszcza że moja wizyta nie ma charakteru towarzyskiego – odparł mężczyzna, akcentując dwa ostatnie słowa.

– Dobrze, to w takim razie przejdźmy do rzeczy – powiedział Edward, przejmując inicjatywę. Wyjął z kieszeni marynarki kopertę z pieniędzmi, i położył ją na stół.

– jak już wspominałem przez telefon zaistniały pewne okoliczności, na które niestety nie mam wpływu. Chodzi o to, że poprzedni najemca pozwał nas za jego zdaniem bezprawne rozwiązanie umowy.

– Wiem o tym – przerwał Masłowski – i szczerze mówiąc, gównu mnie to obchodzi – dodał, wstając z wiklinowego fotela. Przez chwilę przechadzał się po tarasie. Mimo potężnej sylwetki, jego ruchy były swobodne i miękkie. Wyglądał jak tygrys, który właśnie zagonił ofiarę w kozi róg, i zbiera siły do końcowego ataku.

– Panie Edwardzie mieliśmy umowę – przypomniał Masłowski, zatrzymując się nagle przed Kowalskim. Ten chciał wyjaśnić, że nic nie może w tej sytuacji zrobić, jednak nim zdołał otworzyć usta, Masłowski złapał go za ramiona i poderwał z fotela, jakby był pluszową zabawką.

– Już ci mówiłem, ty pierdolony palancie, że ze mną nie ma żartów – syknął gangster, zaciskając masywne dłonie na szyi Kowalskiego. Edward poczuł, że zaczyna brakować mu powietrza, i wiedział,

że to już koniec. Zastanawiał się tylko, dlaczego nie ma przed oczami filmu pokazującego sceny ze swojego życia. Życia, które za chwile miało się skończyć.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Mimo iż dochodziła już szesnasta, Nowicka postanowiła pojechać do centrum handlowego, w którym pracowała Izabela Sobótką. Chciała jak najszybciej poinformować córkę zaginionego milicjanta o badaniach genetycznych. Co prawda liczyła się z tym, że kobieta mogła już skończyć pracę, ale gdyby nawet nie zastała dziewczyny w sklepie, to spróbuje ustalić jej adres i telefon. Ruch na Wrocławskich ulicach, jak zwykle w porze popołudniowego szczytu, dawał się kierowcom we znaki, dlatego dotarcie do galerii, zajęło policjantce więcej czasu, niż zakładała. Dodatkowo, gdy już wjechała na podziemny parking, musiała krążyć kilka minut w poszukiwaniu wolnego miejsca. Tak więc, kiedy wreszcie weszła do sklepu, gdzie pracowała Sobótką, było już po szesnastej. Nie widząc dziewczyny wśród pracowników krzątających się po sklepie podeszła do lady.

– Dzień dobry, czy zastałam panią Izabelę Sobótkę? – zagadnęła niską, zielonooką brunetkę.

– Iza skończyła pracę o czwartej – odparła ekspedientka – ale proszę zaczekać, sprawdzę, czy już wyszła – dodała, znikając w drzwiach prowadzących na zaplecze. Nowicka podziękowała uśmiechem, i usunęła się na bok, robiąc miejsce klientce, chcącej zapłacić za zakupy.

– Pani do mnie? – usłyszała za sobą zaskoczony głos. Odwróciła się i westchnęła z ulgą.

– Tak nazywam się Justyna Nowicka i jestem z policji – ostatnie dwa słowa policjantka wypowiedziała szeptem, nie chcąc wywoływać niezdrowego zainteresowania, a z doświadczenia wiedziała, że słowo policja zawsze budziło ciekawość, czasami zupełnie niepotrzebną.

– Z policji? – zaniepokojona Sobótką zmarszczyła czoło.

– Tak – potwierdziła Justyna, wyjaśniając, że kilka dni wcześniej razem z Papajem odwiedziła jej matkę – może mama wspominała o naszym wizycie? – dodała mając nadzieję, że Izabela Sobótką została wtajemniczona w szczegóły ich wizyty.

– Tak mama mówiła o państwa odwiedzinach i tej niedorzecznej sprawie – potwierdziła kobieta.

– Czy w takim razie mogłybyśmy chwilę porozmawiać? – poprosiła Justyna.

– Ale ja nie znałam swojego ojca, więc nie wiem czy będę mogła państwu w jakikolwiek sposób pomóc.

– Zabiorę pani tylko kilka minut – zapewniła Nowicka wyczuwając niechęć Sobótki – a co do ewentualnej pomocy, to może ona okazać się nieoceniona – dodała wiedząc z doświadczenia, że ludzie czasami lubią być pomocni.

– No dobrze, tu niedaleko jest taka mała kafejka, może tam? – zaproponowała Sobótką. Nowicka skinęła głową i wyszła za dziewczyną ze sklepu. Po chwili siedziały przy okrągłym stoliku.

– Wie pani, ja urodziłam się kilka miesięcy po tym, jak mój ojciec zaginął, więc wszystko, co o nim wiem, pochodzi z opowieści, jakie słyszałam od matki i dziadków – zaczęła Sobótką rzeczowym tonem, pozbawionym emocji, co specjalnie Nowickiej nie dziwiło. W końcu trudno było wymagać, aby opowiedzieć o kimś, kogo znało się wyłącznie z opowiadań, była pełna osobistych refleksji – dlatego też jestem zdziwiona pani wizytą i tym, że chce pani ze mną rozmawiać na jego temat – mówiła dalej, patrząc wymownie na Nowicką.

– Tak właściwie to nie chodzi o rozmowę, ale o wykonanie badań DNA – odparła policjantka i w kilku zdaniach wyjaśniła Sobótce, że są one konieczne, aby wykluczyć ewentualność, iż człowiekiem zabetonowanym na szkolnych warsztatach jest jej ojciec.

– Osobiście uważam, że ojciec został pochowany na cmentarzu w Nowym Świątowie – stwierdziła Sobótka, tak pewnym tonem, że Justyna straciła nadzieję, iż dziewczyna zgodzi się na pobranie materiału porównawczego. Tym bardziej że wcale nie musiała tego robić.

– Jednak jak to mówią, dla świętego spokoju zrobię to, o co pani prosi – dodała po chwili namysłu. Nowicka podziękowała i wręczyła dziewczynie kopertę, w której były wszystkie informacje dotyczące miejsca, czasu oraz sposobu pobrania materiału porównawczego.

– A po ilu dniach będą wyniki? – zainteresowała się Sobótka, gdy opuściły kawiarnię i szły w stronę podziemnego parkingu.

– To wszystko zależy od wielu czynników, ale sądzę, że po tygodniu powinny już być – odpowiedziała, choć sama do końca nie wiedziała, czy w przypadku kości nie potrzeba więcej czasu.

Opuszczając parking Nowicka cieszyła się, że Izabela Sobótka wyraziła zgodę na przeprowadzenie badań DNA. Był to jedyny sposób pozwalający ustalić, czy szczątki z warsztatów należą do Mieczysława Sobótki. Choć Justyna miała za sobą wyjątkowo intensywny dzień, czekało ją jeszcze zrobienie zakupów oraz złożenie wizyty wytatuowanemu sąsiadowi, który miał czelność przeciąć oponę w jej samochodzie. Mówiąc damskiemu bokserowi, że zjawi się z rachunkiem za naprawę opony, nie żartowała, a groźby, jakie ciskał pod jej adresem, wcale nie robiły na niej wrażenia. Dzwoniąc do drzwi sąsiada, spodziewała się, że wyskoczy do niej z pięściami i była na to przygotowana. Jednak w uchylonych drzwiach zobaczyła kobietą postać. Na przestraszonej twarzy rysowała się niewolnicza uległość.

– Zastałam męża? – rzuciła Nowicka bojowym tonem.

– Nie, wyszedł na siłownię, a pani pewnie w sprawie tej opony. Proszę mi dać rachunek, zaraz zapłacę – sąsiadka mówiła szybko, tak jakby nie chciała dopuścić Nowickiej do słowa. Policjantka była przekonana, że kobieta kłamie, i tchórzliwy małżonek siedzi sobie w pokoju przed telewizorem, ale postanowiła przemilczeć ten fakt. Podała fakturę z warsztatu wulkanizacyjnego, a sąsiadka po chwili wręczyła jej dwieście złotych.

– Reszty nie trzeba – oświadczyła, widząc, że Nowicka sięga do torebki.

– Mój mąż to bardzo dobry człowiek, a ja go kocham – zapewniła kobieta, i nim Justyna zdążyła coś odpowiedzieć, zamknęła jej drzwi przed nosem.

– Dobry człowiek – prychnęła Nowicka, ruszając do siebie. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego kobiety będące ofiarami przemocy domowej tkwią w związkach bez przyszłości. Dlaczego pozwalają się bić, poniżać, a nawet wykorzystywać seksualnie. Jednak jeszcze bardziej zastanawiało ją, czemu tak zawzięcie bronią swoich oprawców. Z zawodowego doświadczenia wiedziała, że zachowania kobiet uwikłanych w takie relacje, mają zazwyczaj niewiele wspólnego z logiką, a rozsądek najczęściej przegrywa w starciu z chorym przywiązaniem, które nie wie, czemu ofiary próbują nazywać miłością. Nowicka widziała, co tacy dobrzy ludzie potrafili zrobić swoim żonom. W swoim zawodowym życiu naoglądała się posiniaczonych twarzy, połamanych palców oraz żeber, wybitych zębów, i wcale nie były to efekty kibolskich potyczek, ale skutki bycia z facetem, któremu powinno się na czole wytatuować „Tyran”. Mimo że sąsiadka nie chciała przyjąć jej pomocy, policjantka postanowiła otoczyć ją dyskretną opieką. Leżąc już w łóżku z najnowszym kryminałem Stefana Króla, nasłuchiwała niepokojących odgłosów z mieszkania na niższym piętrze, ale niczego podejrzanego nie usłyszała. Zmęczona odłożyła książkę i chwilę później już spała. Rano idąc do pracy, przystanęła przed

drzwiami sąsiadki, zamierzając z nią porozmawiać, ale po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że takim działaniem, zamiast pomóc, mogłaby kobiecie zaszkodzić. Zbiegła więc na parking, odszukała zielonego golfa, należącego do wytatuowanego byczka, i spisała jego numery rejestracyjne.

– Sprawdźmy, coś ty za jeden – mruknęła, idąc do swojego samochodu. Po przyjeździe na komendę najpierw ustaliła, do kogo należy zielony golf. Właścicielem auta był Paweł Karolak. Zdobyć kolejnych informacji o panu Karolaku zajęło jej dosłownie kwadrans. Pan Paweł miał dość bogatą kartotekę. Kilka razy był zatrzymywany w związku z pobiciem, jednak nie chodziło o pobicie żony, ale udział w bójkach podczas imprez sportowych. To akurat Nowickiej nie zdziwiło, bo maltretowane kobiety bardzo rzadko zgłaszały się na policję. Poza tym mężczyznę podejrzewano o handel narkotykami. Przy poprzednich występach trzy mandaty za przekroczenie prędkości, wyglądały naprawdę niewinnie.

– Czyli podrzędny bandzior podsumowała w myślach policjantka. Mimo to nie miała zamiaru go lekceważyć. Dobrze wiedziała, że tacy również potrafią być niebezpieczni. Z drugiej jednak strony nie zamierzała mu ustępować, bo wtedy wyczułby, że się go boi.

– No dobra koniec tej prywaty, trzeba wziąć się do zawodowej roboty – westchnęła, sięgając po notes, w którym poprzedniego dnia zapisała listę zadań, mogących pomóc wyjaśnić sprawę szkieletu z warsztatów przy Krakowskiej. Najpierw ustaliła miejsce zamieszkania Edwarda Kowalskiego, a następnie do niego zatelefonowała, aby umówić się na kolejną, tym razem planowaną rozmowę. Musiała sprawdzić, jak pan kierownik zareaguje na artykuł sprzed trzydziestu lat. Podejrzewała, że z jakiegoś powodu, wszyscy zamieszani w remont warsztatów kłamią. Należało tylko ustalić powód, a to mogło się okazać trudne. Jedyne, na co miała dowody to udział Owczarka, Kowalskiego i Żeromskiego w remoncie warsztatów, ale to wcale nie znaczyło, że dwaj ostatni mieli coś wspólnego z ciałem, które zostało tam zakopane. Kowalski początkowo nie wykazywał chęci do rozmowy. Dopiero kiedy wspomniała o możliwości wezwania go na przesłuchanie, zmiękł i zgodził się na spotkanie. Zadowolona Nowicka zadzwoniła do Papaja, aby poinformować go o spotkaniu z Kowalskim. Ku jej zdziwieniu, komisarz nie wykazał specjalnego zainteresowania, chciał natomiast aby Justyna natychmiast zjawiała się w literatce.

– Andrzej przypominam ci, że ja jestem tylko aspirantką i nie zarabiam tyle, co komisarz, więc nie stać mnie na codzienne kawki w lokalach – zażartowała, ale Papaj najwyraźniej potraktował jej uwagę poważnie.

– Spokojnie dzisiaj ja stawiam – oznajmił.

– Skoro tak, to prócz kawy zamów mi jeszcze gorącą szarlotkę z lodami – poprosiła, zapewniając, że zjawi się w lokalu za około dziesięć minut.

Gdy dotarła do „Literatki”, okazało się, że komisarza jeszcze nie ma.

– No tak najpierw popędza, a później sam się spóźnia – pomyślała z pewnym rozbawieniem.

– Czy mogę przyjąć zamówienie? – usłyszała nad sobą przyjemny głos kelnera. Był to ten sam mężczyzna, który obsługiwał ich poprzednim razem.

– Jeszcze nie, czekam na kogoś – odparła, posyłając kelnerowi ciepły uśmiech. Mężczyzna podziękował i wrócił do lokalu. Gdy zniknął w drzwiach, Nowicka zauważyła, że siedząca kilka stolików dalej blondynka o nieco skośnych szarych oczach przygląda się jej uważnie. Kobieta była sama, i wyglądała na to, że również na kogoś czeka. Zwiewna, błękitna sukienka w drobne niebieskie kwiaty i zgrabne brązowe sandaalki nadawały jej elegancji połączonej z zalotnością. Nowicka w swoich jeansach, białej bluzce i czarnych sneakersach nie mogła tamtej dorównać. Tyle że ona, choć siedziała

przy kawiarńnianym stoliku, to tak naprawdę była w pracy, a to znacznie ograniczało modowe fantazje. Zdyszany Papaj zjawił się pięć minut później.

– Bardzo was przepraszam, ale nie wiedziałem, że przejazd z Krzyków do centrum zajmie o tej porze tyle czasu – powiedział, zerkając to na Nowicką, to na blondynkę o szarych oczach. Policjantka i siedząca kilka stolików dalej kobieta, spojrzały na siebie zaskoczone.

– No tak przecież wy się nie znacie – zreflektował się komisarz, i dokonał prezentacji. Po chwili usiedli przy jednym stoliku. Nowicka natychmiast przypomniała sobie, jak Papaj wspominał o tym, że jego była żona pomaga mu nieoficjalnie w śledztwie, sprawdzając coś w aktach Instytutu Pamięci Narodowej.

– No dobra skoro już wiemy, kto jest kim, to zaczynamy – poprosił komisarz, spoglądając wyczekująco na byłą żonę. Kobieta odwzajemniła jego spojrzenie, a później przeniosła wzrok na Nowicką. Policjantka wyczuła w tym spojrzeniu źle skrywaną niechęć, ale zupełnie nie знаła jej źródła. Przecież z Papajem nie łączyło jej nic, prócz spraw zawodowych.

– Sprawdziłam kilka rzeczy, koncentrując się oczywiście na Pawlowskim, ale przy okazji wzięłam też na warsztat tego Owczarka – odezwała się Sylwia – i to od tego drugiego zacząć – dodała, tak jakby informacje na jego temat były ważniejsze.

– Jeśli wierzyć dokumentom, które zdołano uratować przed spaleniem lub przemiałem, to ze służbami specjalnymi Owczarek nie miał nic wspólnego, ba nawet się nim nie interesowano.

– Czyli ślepa uliczka – wszedł jej w słowo Papaj.

– Nie do końca – zaprzeczyła i już chciała mówić dalej, ale urwała, widząc kelnera niosącego ich zamówienie. Kelner sprawnie rozstawił na stoliku filiżanki z kawą oraz talerzyki z ciastem, i życząc smacznego, wrócił do lokalu.

– Więc odkryłam coś ciekawego – kontynuowała, gdy już zostali sami – ale zanim przejdę do sedna, muszę wam coś wyjaśnić – dodała.

– Sylwia czy chociaż tym razem możesz nam oszczędzić kilkunastu minut wykładu, który najpewniej nie będzie miał znaczenia dla sprawy – jęknął Papaj.

– Nie, bo to akurat ma znaczenie dla sprawy – rzuciła ostro, prawie wrogo.

– No dobra to dawaj, tylko postaraj się zmieścić w kwadransie, bo my w przeciwieństwie do ciebie jesteśmy w pracy – zadrwił komisarz. Jednak kobieta zupełnie się tym nie przejęła. Zamiast tego zaczęła belferskim tonem.

– Jesteście na tyle starzy, aby wiedzieć, że w czasach PRL-u wyjazdy zagraniczne były, delikatnie mówiąc mocno ograniczone. Jednak najpewniej nie wiecie, iż władza kontrolowała nawet tych, którym udało się dostać Paszport. Po pierwsze otrzymywali go na ściśle wyznaczony okres i po tym czasie musieli dokument zwrócić. Po drugie i o tym wie garstka ludzi – zaznaczyła, jakby właśnie zdradzała ważną państwową tajemnicę – istniał rejestr, w którym odnotowywano gdzie, kiedy i kto przekraczał granicę. Rzecz jasna nie dotyczyło to wszystkich, bo taka operacja technicznie byłaby trudna do wykonania. Do rejestru trafiały osoby wyjeżdżające za granicę minimum trzy razy w roku. Taki rejestr był na każdym przejściu granicznym, a musicie pamiętać, że tych przed 1989 rokiem było znacznie mniej niż po przemianach ustrojowych. Postanowiłam więc przejrzeć raporty sporządzane na podstawie tych rejestrów i właśnie tam znalazłam ciekawą informację. Okazało się bowiem, że Jan Owczarek bardzo często wyjeżdżał za granicę. Od 1979 do 1985 roku było to średnio pięć wyjazdów rocznie.

– Wiem, że na znalezienie tych danych musiałaś poświęcić wiele czasu, ale niestety nie wnoszą one niczego nowego do sprawy – przerwał byłej żonie zniecierpliwiony i rozczarowany Papaj – wiemy, że

Owczarek często korzystał z paszportu – ciągnął dalej komisarz – ale biorąc pod uwagę fakt, że był prezesem jednej z Wrocławskich spółdzielni i należał do partii, to nie ma w tym nic dziwnego. Tym bardziej że na zachodzie mieszkała jakaś jego rodzina – Sylwia słuchała wyjaśnień byłego męża, co jakiś czas kiwając głową.

– To wiele wyjaśnia – przyznała, gdy Papaj skończył swój wywód – ale o ile dobrze pamiętam, to mówiłeś, że Owczarek zaginął pod koniec sierpnia?

– Tak, dokładnie 23 – potwierdziła Nowicka, po raz pierwszy włączając się do rozmowy.

– No właśnie, a ostatni wpis w rejestrze pochodzi z 11 września 1985 roku, więc to chyba ma znaczenie dla sprawy – zakończyła Sylwia. Przez chwilę przy stoliku zapanowało milczenie. Dla Justyny było jasne, że to, co odkryła była żona Andrzeja, jest bardzo istotne. Policjantkę Nurtowała jednak pewna rzecz i postanowiła o nią dopytać, ale Papaj był szybszy.

– Jesteś tego pewna?

– Tak samo, jak tego, że przez pięć lat byliśmy małżeństwem – odparła sarkastycznie. W jednej chwili atmosfera zgęstniała. Byli małżonkowie wyglądali jak dwie chmury burzowe, które zaraz się zderzą. Nowicka wiedziała, że musi jakoś zareagować, aby zapobiec ciskaniu gromów.

– To ja idę upudrować noskę, a wy wyjaśnijcie sobie kilka spraw – bąknęła zażenowana, i wstała od stolika. Kiedy wróciła po kilku minutach, atmosfera wydawała się oczyszczona.

– Przepraszam czy mogę panią o coś zapytać? – poprosiła, zajmując swoje miejsce. Sylwia skinęła przyzwalająco głową.

– Ma pani informację, gdzie Owczarek przekroczył 3 września granicę? – kobieta spojrzała na Nowicką, nie kryjąc podziwu.

– Już myślałam, że żadne z was o to nie zapyta, ale widzę, że w policji są jeszcze bystre osoby – powiedziała z uznaniem, rzucając Papajowi wymowne spojrzenie.

– Owczarek wyjechał do Czechosłowacji, korzystając z przejścia granicznego Głuchołazy–Mikulovice – zakomunikowała Sylwia.

– No dobra, a co z Pawłowskim? – zapytał Papaj.

– Niestety rejestry graniczne, w których odnotowywano cudzoziemców, nie ocalały. Więc nie wiem, kiedy i jak Amerykanin opuścił Polskę – odparła kobieta, rozkładając bezradnie ręce.

– Dobra na nas już pora – zdecydował komisarz, kładąc na stoliku stuzłotowy banknot – dzięki za informację, bardzo nam one pomogą – zwrócił się do byłej żony serdecznym, niemal przeproszającym tonem.

– Żaden problem, jak będziesz miał jeszcze jakieś pytania, to znasz mój telefon – powiedziała kobieta, i zabrała się za nietknięte dotąd ciasto czekoladowe.

Papaj ruszył szybkim krokiem w kierunku ulicy Świdnickiej. Nowicka szła obok, co raz zerkając na komisarza. Całe spotkanie, a zwłaszcza sposób, w jaki byli małżonkowie rozmawiali z sobą, bardzo ją zastanawiało. Co prawda Papaj wspominał, że z obiema byłyimi żonami ma doskonale kontakty, ale ostatnie pół godziny, zdawały się temu przeczyć. Minęli Operę Wrocławską, gdy Nowicka zebrała się na odwagę.

– Andrzej czy wy się nie lubicie? – zapytała, mając nadzieję, że Papaj nie zarzuci jej wchodzenia z butami w cudze życie. Jednak on szedł mocno nad czymś zamyślony i dopiero po chwili przystanął.

– Kto z kim się nie lubi?

– No ty, i twoja była żona – wyjaśniła, próbując ukryć zawstydzenie.

– Ja i Sylwia? – Papaj wydawał się szczerze zaskoczony – ależ gdzie tam. Normalnie to można ją do rany przyłożyć – zapewnił lekko rozbawiony – tylko gdy widzi mnie w towarzystwie innej kobiety, to

wtedy nie wiedzieć czemu pokazuje pazurki – dodał, ruszając dalej.

– A mogę wiedzieć, nad czym tak intensywnie myślisz, bo od chwili opuszczenia Literatki jesteś na drugim końcu świata – Nowicka zmieniła temat.

– Ten wyjazd Owczarka. Nie uważasz, że jest w nim coś dziwnego? – powiedział komisarz, spoglądając pytająco na Nowicką. Policjantka już chciała przedstawić swoje przemyślenia, ale Papaj nie dał jej dojść do słowa.

– Najbardziej zastanawiające jest nie to, kiedy wyjechał, ale gdzie przekroczył granicę. Przecież od miejsca, w którym znaleziono zwłoki Sobótki, do przejścia granicznego jest najwyżej cztery kilometry – w zamyśleniu ciągnął komisarz.

– Sądziś, że Owczarek z jakiegoś powodu załatwił Sobótkę i najbliższym przejściem zwiął do Czechosłowacji, a stamtąd dalej na zachód?

– Rozważałem taką możliwość – przyznał Papaj – ale jeszcze bardziej interesujące jest, dlaczego zrobił to dopiero dwa dni po zakończeniu śledztwa w sprawie swojego zaginięcia. Przypadek, czy ktoś mu pomagał? – dodał, zawieszając głos.

– Nawet jeśli masz rację, i Owczarek najpierw zabił Sobótkę, a później uciekł, to szanse na jego odnalezienie są prawie żadne – odezwała się rzeczowo Nowicka. Komisarz nic nie odpowiedział, tylko pokiwał głową. Dalszą drogę do komendy pokonali w milczeniu. Papaj odezwał się, dopiero kiedy wchodzili do budynku.

– Przypomnij mi na kiedy umówiłaś się z tym Kowalskim? – poprosił, przepuszczając Nowicką w drzwiach.

– Jutro o trzynastej u niego w domu, mieszka na Akacyjowej – przypomniała, i bez pośpiechu ruszyła do pokoju zajmowanego przez stażystów

Po powrocie z pracy, Justyna sprawdziła kontrolnie parking, wypatrując zielonego golfa, ale samochodu nigdzie nie było. Oznaczało to, że sąsiadka z piętra niżej jest sama. – Może teraz do niej pójść i spróbować przekonać, aby zaważczyła o siebie? – zastanawiała się Nowicka, wchodząc do bloku. Ruszyła schodami w górę, gdy nagle ktoś złapał ją za ramię. Poczula strach podchodzący jej do gardła. Napastnik, kimkolwiek był musiał ukrywać się we wnęce, gdzie trzymano rowery i wózki dziecięce, bo wchodząc do budynku, nikogo przecież nie widziała. Policjantka zareagowała natychmiast, wychodząc z założenia, że najlepszą obroną jest atak. Jednym energicznym ruchem strąciła dłoń spoczywającą na jej ramieniu i błyskawicznie odwróciła się, gotowa do natarcia.

– Spokojnie, spokojnie, nie miałem zamiaru cię przestraszyć – powiedział wysoki dobrze zbudowany blondyn, robiąc jednocześnie krok w tył. Nowicka była zaskoczona widokiem mężczyzny. Z wszystkich znanych jej osób on był ostatnią, którą miałaby ochotę oglądać. Niedawny paraliżujący ją lęk został zastąpiony, przez złość, która podziałała na nią jak adrenalina, na mięsień sercowy.

– Co ty tutaj robisz? Jak mnie znalazłeś? – Ostry ton speszył mężczyznę.

– Justyna moglibyśmy porozmawiać? – poprosił cichym, niemal błagalnym głosem, ignorując jej pytania.

– A niby o czym mielibyśmy rozmawiać – rzuciła drwiąco.

– O nas – wszedł jej w słowo.

– Wiktor ty chyba zwariowałeś! O jakich nas! Przecież nas już nie ma i nie będzie! – zakomunikowała zdecydowanym tonem, a jej słowa rozniosły się echem po klatce schodowej.

– Wiem, że to wszystko moja wina, ale proszę, daj mi jeszcze jedną szansę – nie ustępował mężczyzna.

– Nie – oznajmiła kategorycznie Nowicka i ruszyła w górę schodów.

– Ale ja ciebie Kocham? – usłyszała za sobą. W głosie mężczyzny było slychać desperację.

– To szkoda, że nie pamiętałeś o tym, jak posuwałeś te wszystkie panienki na boku – zakpiła, spoglądając przez ramię na kogoś, kto wciąż formalnie był jej mężem – a teraz masz się stąd wynieść – zażądała – i przestań mnie śledzić – ostrzegła, przyspieszając kroku. Kiedy wreszcie dotarła do mieszkania, zatrzasnęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami, próbując uspokoić oddech. Spodziewała się, że prędzej czy później Wiktor ją odnajdzie, ale nie sądziła, że nastąpi to tak szybko. Gdy opadła z niej większa część emocji, podeszła do okna i ostrożnie wyjrzała na parking, szukając wzrokiem granatowej Toyoty, ale nigdzie jej nie dostrzegła. Zarejestrowała natomiast, że zielony golf damskiego boksera stoi na swoim miejscu.

– Wszyscy oni tacy sami albo biją, albo zdradzają – prychnęła i przeszła do kuchni zrobić sobie coś do jedzenia. Nieoczekiwane spotkanie z mężem zepsuło jej humor na resztę dnia i nawet gdy następnego ranka jechała do pracy, wciąż była w podłym nastroju.

– A co ty taka markotna? – zainteresował się Papaj, kiedy zajrzała do jego pokoju, aby obgadać plan rozmowy z panem Kowalskim. W głosie komisarza nie było ironii, ale autentyczna troska, która zaskoczyła Nowicką. Nie znała Andrzeja od tej strony, ba mało o nim wiedziała, nie licząc tego, co sam jej o sobie powiedział.

– Kłopoty z mężem – przyznała szczerze, nie mogąc dłużej dusić swoich emocji. Musiała z kimś o tym pogadać. Na siostrę, póki co nie mogła liczyć, bo zawałona pracą czasem tylko wysłała jej jakąś wiadomość. Papaj był pod ręką, a poza tym sam okazał zainteresowanie. Z mężami to raczej nie mam doświadczenia.

– Właściwie to już prawie były mąż – doprecyzowała.

– A to zmienia postać rzeczy, w kwestii rozwodów mam spore doświadczenie i jeśli mogę ci jakoś pomóc, to wał śmiało.

– Najpierw muszę złożyć pozew.

– Jak chcesz, to podeślę ci kilka wzorów – zaproponował Papaj, ale policjantka podziękowała, wyjaśniając, że ma zamiar wynająć adwokata.

– W każdym razie, jeśli będziesz potrzebowała pomocy, to jestem do usług – powtórzył komisarz. Nowicka była mu wdzięczna, nie tyle za zaproponowaną pomoc, ile za to, że nie dopytywał, dlaczego chce się rozwieść. Z jednej strony wydało się jej to dziwne. Wszak ciekawość jest naturalną cechą każdego człowieka, a policjanta w szczególności. Jednak po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że skoro facet ma za sobą dwa rozwody, to sam wie najlepiej, iż o pewne sprawy nie powinno się zwyczajnie pytać.

– To, co jedziemy do pana Kowalskiego? – zaproponowała, kierując rozmowę na sprawy zawodowe. Papaj spojrział na zegarek, który na jego nadgarstku wyglądał dość staroświecko. Nie był to jeden z tych nowoczesnych gadżetów, ale klasyczny, masywny czasomierz w stalowej kopercie z czarnym eleganckim cyferblatem. Całości dopełniała błyszcząca bransoleta.

– Daj mi chwilę, muszę tylko wykonać jeden telefon – poprosił.

– Dobra poczekam przy samochodzie – rzuciła, ruszając do drzwi.

Czekając na komisarza, rozmyślała o tym, jak podejść Kowalskiego. Jednak nie zdołała wymyślić niczego odkrywczego.

– Pozostaje zatem ostatnia możliwość, czyli improwizacja – westchnęła niezadowolona i spojrzała na wyświetlacz smartfonu, aby sprawdzić godzinę. W przeciwieństwie do Papaja nie miała zwykłego zegarka, smartfon zastępował jej zegarek, budzik, notatnik, aparat fotograficzny, dyktafon i wiele innych mniej lub bardziej przydatnych sprzętów.

– No gdzie ten Papaj? – zniecierpliwiona mruknęła pod nosem, zerkając ponownie na ekran smartfonu.

– Już idę! – usłyszała za sobą przepaszający głos komisarza.

– No za wiele czasu to my nie mamy – bąknęła z wyrzutem.

– Zawsze możemy pojechać twoim samochodem, a znając twoje możliwości, będziemy tam za trzy minuty – zaproponował komisarz, nawet nie próbując zatuszować aluzji do rajdu, jaki zafundowała mu kilka dni wcześniej.

– Tym razem może ty pokażesz, co potrafisz? – odgryzła się, i ostantacyjnie usiadła na miejscu pasażera. Komisarz nie zareagował, tylko spokojnie zapiął pas, uruchomił silnik i wyjechał z parkingu.

– Mam wątpliwości czy rozmowa z Kowalskim wniesie coś do sprawy – powiedział szczerze Papaj, kiedy odjechali sprzed komendy.

– A to dlaczego? – zdziwiła się Nowicka, próbując dociec, czemu jej ustalenia traktowane są po macoszu. Owszem może nie były one tak sensacyjne, jak historia o odnalezieniu złotego pociągu, którą zaczynała żyć cała Polska. Jednak to właśnie ona wyszperała w bibliotece artykuł, z którego jasno wynikało, w jakich okolicznościach doszło do zakopania zwłok na warsztatach.

– Przecież oni tam tylko robili remont – tłumaczył Papaj, zwalniając przed skrzyżowaniem, na którym właśnie zapaliło się czerwone światło. Nagle z oddali dobiegł ich zawodzący odgłos syreny, a kilka sekund później przez skrzyżowanie przemknął radiowóz.

– Kowalskiego trzeba przycisnąć i już – dodała, ucinając tym samym dyskusję o zasadności spotkania, na które właśnie jechali. Papaj tylko wzruszył ramionami, i gdy światło zmieniło się na zielone, wcisnął pedał gazu. Po dziesięciu minutach skręcali w aleję Akacjową.

– Tutaj miałem praktyki – Andrzej wskazał rozległy budynek. Tabliczka przy bramie informowała, że znajduje się w nim Młodzieżowy Ośrodek Wychowawczy im. Wojtki Bellona.

– A tam – komisarz pokazał kolejny budynek – w czasie wojny miał swoją rezydencję Gauleiter Hanke.

– Widzę, że sporo wiesz o historii Wrocławia.

– Jak się w jakimś miejscu mieszka od urodzenia, to poznanie jego historii jest w pewnym sensie czymś naturalnym – skwitował Papaj. Jechali dalej w milczeniu, mijając zadbane niezbyt duże działki. Na części z nich stały jeszcze stare, najpewniej przedwojenne wille. Pozostałe sądząc po architekturze budynków, zostały zabudowane znacznie później. Kiedy podjechali pod dom Kowalskiego, ze zdziwieniem zobaczyli stojący przed bramą radiowóz.

– Pan Kowalski chyba nie tylko z tobą się umówił – zażartował Papaj, wysiadając z auta. Obecność radiowozu nie wiedzieć czemu zaniepokoiła Nowicką. Również wysiadła i wspólnie z komisarzem podeszła do policyjnego samochodu. Zdenerwowany kierowca właśnie rozmawiał z kimś przez radiostację.

– Tak karetka ma być za kilka minut, ale trzeba jeszcze przysłać techników, aby zabezpieczyli ślady. Tam jest pełno krwi – usłyszeli, i zaskoczeni spojrzeli po sobie. Komisarz wyciągnął legitymację służbową i przedstawił się policjantowi.

– Może mi pan powiedzieć, co tam się stało? – spytał, wskazując podbródkiem dom Kowalskiego. Willa wyglądała na przedwojenną, ale było widać, że właściciel otacza ją dużą troską.

– Jakies pięć minut temu dostaliśmy zgłoszenie. Roztrzęsiona kobieta poinformowała operatora dyżurnego, że zabiła swojego męża. Przyjechaliśmy natychmiast i rzeczywiście w kuchni znaleźliśmy mężczyznę z ranami kłutymi brzucha i klatki piersiowej oraz rozhisteryzowaną, zapłakaną kobietę – zwięźle zrelacjonował policjant – jednak jak chłopaki zaczęli go sprawdzać, to się okazało, że facet żyje,

tylę że jest nieprzytomny – zakończył. W ciszy, która zapadła doskonale było słycać narastający dźwięk syreny pogotowia ratunkowego, który z każdą sekundą był głośniejszy i bliższy.

– To raczej sobie z panem Kowalskim nie porozmawiamy – stwierdził zamyślony Papaj, podchodząc do uchylonej furtki, ale nie wszedł na posesję, tylko przystanął na trawniku. Nowicka stanęła obok i próbowała uspokoić rozbiegane myśli.

– Dlaczego żona Kowalskiego chciała go zabić? – To pytanie dominowało nad kilkoma innymi, nawet tym czy Kowalski przeżyje. Przyjazd ambulansu przywrócił Nowicką do rzeczywistości. Dwóch ratowników z noszami oraz lekarz wbiegli do willi. Gdy znikali za drzwiami, na chodniku za karetką zatrzymała się bordowa Mokka, z której wysiadła prokurator Anna Moskał.

– Nasza ulubienica przyjechała – szepnęła Nowicka, szturchając Papaja w ramię, ale ten nie zareagował, tak jakby nie usłyszał rzuconej przed sekundą uwagi.

– To jednak pan prowadzi śledztwo? – zdziwiona Moskał spojrzała na komisarza.

– Nie tym razem – zaprzeczył Papaj z nutą zawodu w głosie.

– Ja tam rozczarowania nie odczuwam – oświadczyła z wyraźną drwiną prokuratorka i kamienną ścieżką ruszyła do willi.

– Wy to się chyba nie lubicie – zauważyła Nowicka, odprowadzając kobietę wzrokiem.

– To zależy od sytuacji – odpowiedział Papaj z tajemniczym uśmiechem, który bardzo zastanowił policjantkę, ale postanowiła go nie komentować. Tym bardziej że niedaleko nich zatrzymał się czerwony Nissan, z którego bez pośpiechu wysiadł komisarz Paweł Polak. – Ty Polak lepiej się pośpiesz, bo pani prokurator jest już na miejscu – rzucił Papaj do kolegi. Tamten jakby dopiero teraz ich dostrzegł i przystanął zaskoczony.

– A ty Papaj co tu robisz?

– Stoję i myślę, co takiego zrobił pan Kowalski, że własna żona postanowiła go zabić. A mówiąc poważnie, to nazwisko Kowalskiego wypłynęło w sprawie warsztatów i postanowiliśmy z nim porozmawiać – wyjaśnił – niestety spóźniliśmy się – dodał niezadowolony.

– Co ma wspólnego Kowalski z tym szkieletem? – zainteresował się Polak. Nowicka, uprzedzając Papaja, zrelacjonowała w kilku zdaniach swoje ustalenia.

– A to ciekawe – przyznał z namysłem Polak – jakbym znalazł coś interesującego to oczywiście dam znać – obiecał, idąc do domu, w którym rozegrała się tragedia. Przed drzwiami minęli go ratownicy niosący na noszach nieprzytomnego Kowalskiego. Mężczyzna był błądy i cały zakrwawiony.

– Jak z nim, przeżyje? – zagadnął Papaj idącego na samym końcu lekarza. Medyk spojrział nieufnie na komisarza, i już chciał go wyminąć, ale gdy ten pokazał legitymację, przystanął.

– Na pierwszy rzut oka nie wyglądało to najlepiej. Wie pan, krwi było jak przy świniobiciu – zaczął mężczyzna, wskazując podbródkiem na nosze, które ratownicy wsuwali właśnie do karetki – ale przy dokładniejszych oględzinach wyszło, że o dziwo, choć nieprzytomny to nie ma żadnych poważniejszych ran. Moim zdaniem facet z tego wyjdzie – zakończył optymistycznie i wsiadł do ambulansu, który natychmiast odjechał z jęklwym wyciem syreny.

– Co teraz robimy? – spytała Nowicka, spoglądając wyczekująco na Papaja, ale ten patrzył gdzieś ponad jej ramieniem i wyglądał tak, jakby właśnie zobaczył ducha. Policjantka odwróciła głowę. Dwóch policjantów wyprowadzało właśnie z willi młodą, piękną kobietę w poplamionej krwi sukience. Nawet zapłakana, z rozmazanym makijażem i włosami w nieładzie wyglądała bardzo ślicznie. Nowicka spojrzała zaskoczona. Kobieta musiała być młodsza od Kowalskiego co najmniej o dwadzieścia lat.

– Mogłaby być jego córką – szepnęła, ale komisarz wcale nie zareagował. Spięty, błądy, z rozchylonymi w zdumieniu ustami wpatrywał się w idącą wolnym krokiem kobietę. To nie był

zwyczajny zachwyty, ale coś znacznie więcej. Coś, czego w pierwszej chwili Nowicka nie pojmowała. Zrozumienie przyszło nagle i jeszcze bardziej zaskoczyło policjantkę.

– On ją zna – przemknęło jej przez myśl.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Papaj odprowadził wzrokiem odjeżdżającą karetkę, a następnie przeniósł spojrzenie na drzwi willi, które właśnie się otworzyły. Na progu zobaczył policjanta, wyprowadzającego kobietę ubraną w zakrwawioną sukienkę. Kobieta szła wolno, ociężale, a każdy jej ruch zdradzał zrezygnowanie i wewnętrzne rozbicie. Miała opuszczoną głowę, więc komisarz nie widział jej twarzy, a mimo to było w tej sylwetce coś niepokojąco znajomego. Nagle gdzieś za sobą Papaj usłyszał charakterystyczny odgłos migawki aparatu fotograficznego. Odwrócił się błyskawicznie, ale zobaczył jedynie plecy, znikającego za najbliższym drzewem rowerzysty.

– A to wredny skurwiel – wycedził przez zaciśnięte zęby. W pierwszym odruchu miał nawet ochotę rzucić się w pościg, ale w następnej sekundzie dotarło do niego, że to już nie ma sensu. Tłumiąc wściekłość, ponownie spojrzał na willę Edwarda Kowalskiego i doznał szoku. Kilka metrów przed nim w poplamionej krwią sukience stała kobieta, którą znał. Teraz gdy miała podniesioną głowę, dokładnie widział jej twarz. W pierwszej chwili pomyślał, że to tylko przypadkowe podobieństwo. Przecież wiele kobiet ma podobny owal twarzy. Jednak mały, lekko zadarty nos i duże niebieskie, teraz zapłakane oczy, nie pozostawiały cienia wątpliwości. Poczul, jak krew w jego żyłach zamarza. Znał tę kobietę, chociaż gdy spotkali się przed kilkoma tygodniami na kawie, a potem pojechali do niego i przez całą noc nie wychodzili z łóżka, nie miał pojęcia, jak się nazywa. Wiedział tylko tyle, że ma na imię Kasia i to mu wystarczyło. Nigdy nie legitymował kobiet ani tych, z którymi tylko wypił kawę lub drinka, ani tych, odwiedzających jego mieszkanie i śpiących w jego łóżku.

– Cholera jasna, szlag by to trafił – zaklął w duchu, próbując opanować emocje. Kątem oka dostrzegł, że Nowicka zauważyła jego reakcję. Jednak nie to go teraz martwiło. Większym zmartwieniem mogła okazać się Katarzyna Kowalska. Gdyby rozpoznała w nim mężczyznę, którego poderwała na portalu towarzyskim, mógłby być z tego niezły skandal. Papaj już widział te nagłówki w szukających taniej sensacji szmatławcach. „Policjant uwodził kobiety przez internet” lub „Komisarz policji miał romans z podejrzaną o zabójstwo”. Na szczęście Katarzyna Kowalska była w takim szoku, że minęła go, nawet nie patrząc w jego stronę.

– Nic tu po nas – uznał Papaj, gdy radiowóz z kobietą na tylnym siedzeniu odjechał spod willi.

– Słuchaj, skoro już tu jesteśmy, to rozejrzyjmy się po okolicy, może przepytajmy sąsiadów – nieśmiało zaproponowała Nowicka.

– Justyna, to nie my prowadzimy tę sprawę – przypomniał komisarz, czując, że jeśli zaraz się czegoś nie napije, to zamiast języka, będzie miał w ustach papier ścierny.

– Wiem, ale tak po cichu.

– Po cichu, to ty możesz – zaczął komisarz, ale przerwał, czując, że męski żart o pierdnięciu będzie nie na miejscu i może obrazić Nowicką.

– Chodź, muszę się czegoś napić – zmienił temat, wskazując podbródkiem osiedlowy sklep po drugiej stronie ulicy. Ruszyli chodnikiem, mijając bordową Mokkę Anny Moskal.

– Patrz taki ładny dzień, pachną akacje, a facet niemal zostaje zaszytletowany przez własną żonę – odezwał się Papaj, przerywając krępującą ciszę.

– Mylisz się.

– Jak to, przecież ten żółtodziób wyraźnie powiedział, że użyła noża – przypomniał komisarz.

– Mylisz się w kwestii akacji – uściśliła Nowicka. Papaj stanął jak wryty. Nie bardzo rozumiał, co ma jedno wspólnego z drugim.

– Powiedziałeś, że pachną akacje, a to jest kłamstwo. Musisz wiedzieć, że prawdziwa akacja nazywana po łacinie „Acacia Mill” – nie rośnie w Polsce, gdyż u nas jest dla niej za zimno. Ona lubi wyłącznie gorące klimaty. Na przykład w takiej Australii, do dziś rośnie prawie 400 gatunków akacji, która tam jest kolczasta, bez liści, z pięknymi kwiatami – zaczęła Nowicka, wskazując dłonią najbliższe drzewo, obsypane kremowymi, pachnącymi gronami – Akacja, którą my znamy, pochodzi z Ameryki Północnej, skąd w XVII wieku botanik króla Francji, Jan Robin, przywiózł garść suchych strąków, i na jego cześć nazwano je robinierami. Krzewy te są popularne we Francji. Musisz wiedzieć, że pszczoły bardzo je sobie upodobały, a miód nazywany mylnie akacyjowym ma wielu oddanych fanów. To, co rośnie u nas i w innych europejskich krajach to Robinia biała po łacinie Robinia pseudoacacia – podsumowała Nowicka, ruszając dalej.

– Bardzo ciekawy wykład – przyznał autentycznie zaskoczony Papaj – a możesz mi powiedzieć, skąd to wszystko wiesz? – dorzucił, przyglądając się bacznie mijanym drzewom akacji, które wcale akacjami nie były.

– Wiesz, kiedyś jeszcze na początku liceum, chciałam zostać botanikiem. Marzyły mi się wyprawy do odległych zakątków świata, i odkrywanie nieznanymi gatunków roślin.

– Ja z kolei marzyłem o karierze piosenkarza – wyznał Papaj, otwierając drzwi do sklepu i przepuszczając Nowicką przodem.

W sklepie panował przyjemny chłód. Komisarz podszedł do lodówki z napojami i wyjął małą butelkę wody gazowanej. Nowicka natomiast sięgnęła po wodę bez gazu. Kiedy podeszli do lady, aby zapłacić, z zaplecza wyszedł niski brunet, którego mięśnie piwne były doskonale wyprofilowane. Sprzedawca sięgnął po banknot, podany przez Papaję, i obrzucił ich uważnym spojrzeniem.

– I co złapaliście już tego bandytę? – spytał mężczyzna bez żadnych wstępów. Komisarz z Nowicką wymienili zdziwione spojrzenia – jak tylko go zobaczyłem, od razu wiedziałem, że coś się szykuje. Facet przyjechał białym passatem, jak jakiś Janusz – ciągnął sprzedawca, obracając w palcach dziesięciozłotowy banknot. Wzmianka o białym passacie sprawiła, że komisarz natychmiast stał się czujny. Fakt, że pod domem Kowalskiego widziano białego passata, jeszcze o niczym nie świadczył. Przecież po Wrocławiu jeździło zapewne kilkadziesiąt, jeśli nie kilkaset takich samochodów. Jednak instynkt gliniarza podpowiadał mu, że to nie zbieg okoliczności.

– A może pan opisać tego mężczyznę? – poprosił Andrzej, wiedząc, że odpowiedź sklepikarza, zweryfikuje jego podejrzenia.

– Twarzy dokładnie nie widziałem, bo stąd do domu Kowalskich jest ponad trzydzieści metrów, ale miał czarne długie związane w kucyk włosy, był średniego wzrostu, dobrze zbudowany i cały ubrany na biało – komisarzowi więcej nie trzeba było. Ten opis pasował tylko do jednej osoby, a fakt obecności Jarosława Masłowskiego u Kowalskich, był bardziej niż podejrzany.

– Jest pan pewien, że to był biały passat? – włączyła się do rozmowy Nowicka. Sprzedawca spojrzał na nią z pobłażliwością, jakby właśnie zadała najgłupsze pytanie pod słońcem. – Wie pani może i nie odróżniam balejażu od makijażu, ale doskonale wiem, jak wygląda passat. Kolory, przynajmniej te podstawowe, też potrafię rozróżnić i wiem, że był biały – odparł, i zadowolony ze swojej błyskotliwości, przeniósł wzrok na Papaję.

– A poza tym wszystko nagrała moja kamera – dodał.

– Kamera? – zapytali równocześnie Papaj i Nowicka.

– Tak mam kamerę przed sklepem. Niby okolica spokojna, ale zawsze lepiej, kiedy oko wielkiego brata obserwuje, co się wokół dzieje – wyjaśnił mężczyzna.

– Możemy spojrzeć na to nagranie? – ton komisarza nie pozostawiał złudzeń, że pytanie, choć grzeczne było w rzeczywistości poleceniem.

– Czemu nie – sprzedawca wrzucił ramionami, i zaprosił ich na zaplecze. W obszernym pomieszczeniu, służącym jednocześnie za magazyn i biuro panował idealny porządek. Na niewielkim biurku, ustawionym pod oknem stał otwarty laptop. Mężczyzna usiadł na obrotowym fotelu i ruchem myszki wybudził komputer z uśpienia.

– Zaraz to sobie obejrzymy – mruknął pod nosem, jakby był sam i miał zamiar obejrzeć film, dozwolony od lat osiemnastu. Rzeczywiście kilkanaście sekund później na ekranie pojawił się obraz z kamery. Sprzedawca cofnął nagranie do momentu, aż w kadrze ujrzeni białego passata, parkującego obok willi Kowalskich. Z samochodu wysiadł przeciętnego wzrostu brunet o budowie kulturysty, cały w bieli.

– On nawet skarpetki ma białe – zauważyła ze zdziwieniem Nowicka.

– Założę się, że majtki też – wyrwało się komisarzowi i aby zmienić temat rozmowy, zapytał sprzedawcę, czy wcześniej też widział pod domem Kowalskich białego passata. Mężczyzna zmarszczył brwi i wpatrując się w ekran laptopa, myślał przez dłuższą chwilę.

– Nie, prędzej nigdy tu nie przyjeżdżał – oświadczył wreszcie.

– Proszę nie kasować tego nagrania. Jeszcze dziś przyjedzie do pana ktoś z policji i skopiuje je – zapowiedział Papaj, ruszając z powrotem do sklepu. Nowicka i sprzedawca poszli za nim. – Dziękujemy, bardzo nam pan pomógł – powiedział komisarz, gdy był już przy drzwiach wejściowych.

– Znasz tego faceta w bieli? – pytanie Justyny nie było dla Papaja zaskoczeniem. Dziewczyna pracowała we Wrocławiu na tyle krótko, że mogła jeszcze nie słyszeć o Jarosławie Masłowski.

– Znam to mało powiedziane – oznajmił Andrzej, zaciągając się zapachem akacji, które jak sobie przypomniał, wcale akacjami nie były.

– Facet nazywa się Jarosław Masłowski i trzęsie połową Wrocławia. W świątku przestępczym nosi ksywę maselko, ale niech cię ona nie zwiedzie – ostrzegł komisarz, widząc uśmiezek na twarzy Nowickiej.

– Przewzisko wzięło się stąd, że choć wszyscy wiedzą, że gość handluje prochami na wielką skalę, prowadzi kilka przybytków z dziewczynkami, to niczego nie można mu udowodnić. Oficjalnie jest właścicielem agencji reklamowej i paru kwaciarni.

– Kwaciarni – zdziwiła się policjantka.

– Tak, tak kwaciarni, i to też nie jest przypadek. Kwaciarnie generują bardzo duże straty, a przestępcy wykorzystują ten fakt do prania brudnych pieniędzy. Tylko nie pytaj, jak to dokładnie działa, bo nie wiem – poprosił Papaj, zatrzymując się obok swojego samochodu.

– Andrzej chyba nie sądzisz, że Kowalskiego próbował załatwić ten Masłowski?

– Raczej nie – odpowiedział Papaj, upijając łyk chłodnej wody – po pierwsze, gdyby miał taki zamiar, to teraz, zamiast leżeć w szpitalnym łóżku, pan Edward chłodziłby się w prosektorium. Po drugie Masłowski przyjechał o dwunastej, odjechał kwadrans później, a jak wynika z nagrania pokazanego przez sklepikarza, kilka minut przed trzynastą wróciła żona Kowalskiego, i to ona zadzwoniła na 112 z informacją, że zabiła męża. Trzeba też pamiętać, że to ona, a nie Masłowski była utyłtana we krwi – wyliczał komisarz – jednak uważam, że już sama wizyta maselka w tym miejscu, daje do myślenia – dodał, zerkając na willę. Nagłe ich rozmowę, przerwał odgłos szybko

nadjeżdżającego samochodu, a po chwili niebieskie Ducato techników kryminalnych zaparkowało tuż obok. W uchyłonej szybie po stronie pasażera zobaczyli zaskoczoną twarz Cezarego Bendki.

Mężczyzna wysiadł i podszedł się przywitać.

– Papaj tylko mi nie mów, że to ty prowadzisz tę sprawę – jęknął zrezygnowany technik, przerażonym wzrokiem patrząc to na komisarza, to na bordową Mokkę Anny Moskal.

– Bardzo bym chciał, ale nie tym razem – odparł komisarz. Odpowiedź wyraźnie uspokoiła Bendkę, który bez pośpiechu wrócił do furgonetki.

– Co za parszywy dzień – mruknął, otwierając drzwi przestrzeni bagażowej – od rana ciągle kocioł. Najpierw dwa włamania, potem wisielec, przed chwilą bójka ze skutkiem śmiertelnym, a teraz jeszcze ta rzeźnia – relacjonował technik, wyciągając dwie sporych rozmiarów walizki. Jedną wziął sam, a drugą podał kierowcy – niech się ten dzień wreszcie skończy – jęknął, i ruszył do drzwi willi.

– Czarek sprawdź, czy w domu Kowalskiego są odciski palców Masełka – słowa Papaja sprawiły, że technik spojrzął na komisarza przez ramię.

– To on tu był?

– Tak jakieś półtorej godziny temu – potwierdził Papaj – a i jeszcze jedno, jak skończycie, to podejdźcie tam – wskazał sklep po drugiej stronie ulicy – i zabezpieczcie nagranie z kamery. Zarejestrowała przyjazd i odjazd Masłowskiego – wyjaśnił, widząc pytające spojrzenie Bendki.

– Andrzej jesteś pewien, że nie prowadzisz tej sprawy? – zażartował technik.

– My tylko chcieliśmy ugasić pragnienie – odparł Papaj żartobliwym tonem, unosząc do góry trzymaną w dłoni butelkę wody mineralnej.

– Co teraz robimy? – spytała Nowicka, kiedy technicy zniknęli wewnątrz willi Kowalskiego.

– Dobre pytanie – pomyślał komisarz, wypijając resztę wody. Rozmowa z Kowalskim, przynajmniej na razie nie była możliwa, więc ten punkt należało odłożyć na później. Masłowskiego nie mógł przesłuchać, nawet gdyby chciał, bo to nie on prowadził dochodzenie. Podobnie było z Kowalską. Choć w tym ostatnim przypadku wolałby, aby do konfrontacji nie doszło. Właśnie dlatego cieszył się, że to nie jemu Górski przydzielił tę sprawę. – Tak właściwie to nic tu po nas, a pomysłów na resztę popołudnia też nie mam, więc chyba wrócimy na komendę i zagrzebiemy się w papierkach – odpowiedział i szarmanckim gestem otworzył przed Nowicką drzwi samochodu.

– A może by tak pojechać i porozmawiać z panem Żeromskim? – zaproponowała nieśmiało.

– Co to nam da?

– Nie wiem, czy coś da, ale czuję, że ten facet coś ukrywa i może jak powiemy mu, co spotkało Kowalskiego.

– To się przestraszy i wyzna wszystko jak na ostatniej spowiedzi – dokończył Papaj, wchodząc Nowickiej w słowo.

– No coś w tym stylu – przyznała, zapinając pas bezpieczeństwa.

– Właściwie, czemu nie – zgodził się komisarz, zapalając silnik.

– Justyna sprawdź, proszę, czy na miejskich portalach nie ma już fotki zakrwawionej Kowalskiej – poprosił, gdy wjechali na Powstańców Śląskich – no muszę czymś faceta przekonać – wyjaśnił, widząc zdziwione spojrzenie Nowickiej.

– Miałaś nosa – stwierdziła po pięciu minutach, pokazując mu na ekranie smartfonu zdjęcie kobiety w zakrwawionej sukience, prowadzonej przez policjanta.

Żeromski na ich widok poczerwieniał jak przysłowiowy indor.

– Długo mnie będą jeszcze państwo nachodzić? – rzucił, nie kryjąc wściekłości.

- Tak długo, jak to będzie konieczne – odparł rzeczowo Papaj, rozglądając się uważnie po małym biurze, które jego zdaniem było urządzone tandetnie.
- Już ostatnim razem powiedziałem pani, że nie mam nic do powiedzenia – wykrzyczał mężczyzna, obrzucając Nowicką nienawistnym spojrzeniem.
- Wie pan, co stało się Edwardowi Kowalskiemu? – spytała policjantka, ignorując słowa mężczyzny.
- A co się miało niby stać?
- Pan Kowalski godzinę temu w ciężkim stanie został przewieziony do szpitala na oddział intensywnej terapii – wyjaśniła Nowicka. Żeromski zaniemówił i pobałdł.
- Jak to w ciężkim stanie? Co mu się stało? – wyjąkał po dłuższej chwili.
- Z pierwszych ustaleń wynika, że został napadnięty we własnym domu i zaatakowany nożem. Co więcej, mamy podstawy sądzić, że ma to związek z tymi warsztatami szkolnymi, więc lepiej będzie, jeśli pan z nami szczerze porozmawia – poradziła policjantka łagodnym tonem.
- Ale ostatnim razem, powiedziałem pani wszystko, co wiem – powtórzył mężczyzna, odzyskując pewność siebie.
- A ja odnoszę wrażenie, graniczące z pewnością, że nie wszystko – wtrącił cicho Papaj.
- Przecież przyznałem, że wtedy w 1985 roku, remontowaliśmy te warsztaty, ale to chyba nie przestępstwo?
- Panie Henryku, proszę na to spojrzeć z innej strony – teraz głos Papaja był głośniejszy i konkretny – pan, razem z Kowalskim i Owczarkiem macie związek z remontem warsztatów. Owczarek znika tuż po zakończeniu remontu. Kowalskiego ktoś próbuje zabić kilka dni po tym, jak pańska ekipa odnajduje na tych warsztatach szkielet, więc proszę mi nie wciskać, że to wszystko jest wyłącznie zbiegiem okoliczności – zakończył komisarz, jeszcze bardziej podnosząc głos.
- Ale ja naprawdę nie mam nic wspólnego ze zniknięciem Owczarka, i tym, co spotkało Edka – Żeromski szedł w zaparte.
- Z tymi sprawami zapewne nie – potwierdził Papaj – ale o warsztatach nie powiedział nam pan wszystkiego – oświadczył, ruszając do drzwi – i proszę mi wierzyć, że poznamy prawdę – zapewnił komisarz, spoglądając na Żeromskiego – ale wtedy nasza rozmowa będzie przebiegała zupełnie inaczej i nie w tym miejscu – rzucił twardo, wychodząc za Nowicką.
- Albo on rzeczywiście nic nie wie, albo jest takim dobrym aktorem – powiedziała policjantka, gdy byli już przy samochodzie. Papaj tylko wzruszył ramionami. Jego zdaniem facet ewidentnie kręcił, lecz wątpił, aby miało to coś wspólnego z odkopanym szkieletem. Wsiadł do auta i zapalił silnik. Nowicka jednak wciąż stała obok samochodu, tak jakby nie miała zamiaru wsiąść.
- Chyba nie sądzisz, że wybiegnie z okrzykiem, proszę zaczekać, powiem wszystko, co wiem? – prychnął zniecierpliwiony Papaj.
- Masz rację, to byłoby zbyt książkowe – przyznała Justyna, zajmując miejsce pasażera.
- Takie rzeczy, to znajdziesz tylko w kryminałach Stefana Króla – podpowiedział komisarz, sięgając do schowka i wyjmując z niego najnowszą powieść autora, którego media i czytelnicy już jakiś czas temu ochrzcili królem polskich kryminałów. Tytuł ten dotyczył jednak nie tyle nazwiska, ile ilości wydanych książek.
- Ja też mam! – pochwaliła się Justyna, wyciągając z torebki identyczny egzemplarz.
- To w takim razie za tydzień dzielimy się wrażeniami, a teraz spływamy na komendę – zarządził Papaj, ostro ruszając z miejsca.
- Wiszę ci duże piwo – usłyszał komisarz, gdy tylko przekroczył drzwi biura.
- Polak, a ty jeszcze w robocie? – zdziwił się, widząc siedzącego za biurkiem kolegę.

- Jak widzisz, dzisiaj nie było mi dane zjeść ciepłego obiadu – zażartował kolega – a mówiąc poważnie, to czekam, aż przywieżą mi Masłowskiego i właśnie za niego masz u mnie to piwo.
- Nie ma o czym gadać. To był czysty przypadek – mruknął Papaj, lekceważąc swój udział w zdobyciu informacji o pobycie gangstera w domu Kowalskiego. Przypadek czy nie, ale posunął sprawę do przodu – nie rezygnował Polak.
- Wiesz Paweł, zamiast tego piwa chciałbym wziąć udział w przesłuchaniu Masłowskiego – zaproponował Papaj – oczywiście, jako niemy obserwator – dodał, widząc malujący się na twarzy kolegi sceptycyzm.
- No nie wiem, co powie na to prokurator Moskał – wahał się Polak.
- To ona też będzie?
- Nie, ale gdyby jakimś cudem się dowiedziała
- To ty nie wiesz, że cudów nie ma – przerwał mu Papaj.
- No dobra niech ci będzie – ustąpił Polak – ale nie wiem, kiedy go dowiozą, więc musisz być cały czas na miejscu – Papaj podziękował i zadowolony rozsiadł się w swoim fotelu, a następnie wrócił do lektury najnowszej powieści Stefana Króla. Kiedy Polak wyszedł zrobić sobie kawę, Andrzej przerwał czytanie, uruchomił aplikację towarzyską i odszukał profil użytkowniczkici kici-kocia. Ze zdjęcia profilowego, patrzyły na niego roześmiane oczy Katarzyny Kowalskiej. Wiedział, że o pomyłce nie mogło być mowy, ale mimo wszystko wołał się upewnić.
- A kiedy będziesz przesłuchiwał żonę Kowalskiego? – zapytał, gdy Polak wrócił z kawą.
- W tym przesłuchaniu też chciałbyś uczestniczyć – zainteresował się kolega, stawiając kubek na blacie swojego biurka.
- Nie, nie, tak tylko zapytałem – odpowiedział Andrzej, odrywając wzrok od kuso ubranej kici-koci. Choć gdyby nie okoliczności, chętnie by jeszcze na nią popatrzył.
- Myślę, że dopiero jutro. Wiesz, ona jest w takim szoku, że lekarze musieli jej podać silne leki uspokajające – wyjaśnił kolega. Ta informacja specjalnie Papaję nie zdziwiła. Sam na własne oczy widział, w jakim stanie była podejrzana.
- Czy twoim zdaniem ona to zrobiła?
- Trudno stwierdzić – odpowiedział Polak po chwili – gdybym miał sądzić na podstawie zgromadzonych dowodów, to tak. Po pierwsze sama zadzwoniła na 112 i przyznała się do próby zabójstwa męża. Po drugie, na miejscu zdarzenia była tylko ona i ofiara. Jednak nie mam jeszcze jej zeznań, a te jak doskonale wiesz, mogą wnieść do sprawy wiele istotnych elementów.
- Mnie najbardziej ciekawi, czy Masłowski brał w tym wszystkim udział – powiedział zamyślony Papaj.
- Fakt, że był na miejscu na krótko przed zajściem, jeszcze o niczym nie przesądza – przypomniał Polak.
- Wiem, wiem – przytaknął komisarz – ale sam musisz przyznać, że to trochę dziwne. Jeden z ważniejszych wrocławskich gangsterów odwiedza miejskiego urzędnika w jego domu, a wspomniany urzędnik pół godziny później prawie traci życie – Polak już chciał coś odpowiedzieć, ale przeszkodziło mu wejście Cezarego Bendki. Technik wyglądał jeszcze marniej niż kilka godzin temu.
- Chłopaki ja jestem już za stary na tę robotę – zaczął, ciężko opadając na jeden z wolnych foteli.
- I mówi to ktoś, kto jest ode mnie o pięć lat młodszy – mruknął Papaj.
- Andrzej to nie kwestia wieku, tylko ilości pracy – skwitował Bendka i zmienił temat rozmowy.
- Byłem przed chwilą w szpitalu pobrać odciski z ciała Kowalskiego.
- To on umarł – przerwał technikowi Polak.

– Jeszcze nie – uspokoił Bendka, ale nie wygląda to dobrze – pokręcił z rezygnacją głową – w każdym razie ustalenia są takie: Uno, w willi Kowalskiego zabezpieczyliśmy kilkanaście różnych odcisków palców. Jednak najbardziej świeże były cztery z nich. Due, pierwsze należą do Kowalskiego, drugie do jego żony, trzecie do Masłowskiego, a czwartych jak dotąd, jeszcze nie zidentyfikowaliśmy. Tre, na ciele Kowalskiego też są wyraźne odciski. Te z okolic szyi, należą do Masłowskiego, a pozostałe do Katarzyny Kowalskiej – referował technik, wachlując się przyniesioną kopertą.

– Czy ty chcesz powiedzieć, że maselko dusił Kowalskiego? – zapytał zaskoczony Polak.

– Wszystko na to wskazuje – przyznał technik – a tu masz szczegółowy raport – dodał, kładąc przed Polakiem szarą kopertę, i ruszył do wyjścia.

– Czarek, czy ty się uczysz włoskiego? – spytał Papaj, gdy technik był już przy drzwiach.

– Ja nie, tylko moja córka i od trzech dni słyszę w domu wyłącznie włoskie liczebniiki.

– W takim razie Arrivederci – rzucił komisarz, gdy za Bendką zamykały się drzwi.

– No to robi się bardzo ciekawie – mruknął Papaj, gdy zostali sami w biurze.

– Prawie jak w powieściach Króla. Masłowski go poddusił, a żonka próbowała dobić nożem – dodał Polak, spoglądając wymownie na biurko Papaja, gdzie leżał tom o najnowszych perypetiach prywatnej detektyw Anny Bryłki. Miał zamiar powiedzieć coś jeszcze, ale tym razem przeszkodził mu dzwonek stacjonarnego telefonu.

– Dzwoni dyżurny, chyba wreszcie przywieźli Masłowskiego – zakomunikował i podniósł słuchawkę. Papaj wstał, włożył marynarkę, wyciszył telefon, schował go do kieszeni i już był gotowy do wyjścia.

Gdy weszli do Sali przesłuchań, Masłowski siedział przy stole. Dłonie w kajdankach położył na blacie. Wyglądał na rozluźnionego, tak jakby wiedział, że nic mu nie grozi.

– Miło mi panów widzieć – przywitał się, wyciągając skrepowane dłonie. Polak z Papajem wymienili szybkie spojrzenia.

– No dobra można go rozkuć – powiedział Polak do stojącego za Masłowskim policjanta. Funkcjonariusz sprawnie zdjął kajdanki i wyszedł z pomieszczenia.

– Po co to wszystko? – zapytał Masłowski, posyłając Polakowi kpiący uśmiech. Papaj usiadł na krześle pod ścianą i zgodnie z obietnicą nic nie mówił, tylko obserwował.

– Co robił pan dzisiaj u Edwarda Kowalskiego? – zaczął Polak, od razu przechodząc do konkretów. Papaj wiedział, że taka technika przesłuchiwania, zwłaszcza wtedy, gdy dysponowało się wieloma dowodami, przynosiła bardzo dobre efekty. Pozwalała nie tylko zaskoczyć przesłuchiwanego, ale także przylapać go na kłamstwie.

– U kogo? – zapytał Masłowski, udając zdziwienie.

– U Edwarda Kowalskiego – powtórzył Polak.

– Pierwszy raz słyszę to nazwisko – stwierdził mężczyzna po chwili zastanowienia.

– Jest pan tego absolutnie pewien?

– Oczywiście, że tak – zapewnił Masłowski, lecz lekkie drżenie głosu wskazywało, że zaczyna się denerwować.

– W takim razie jak to możliwe, że na szyi Edwarda Kowalskiego, którego pan oczywiście nie zna, zostały zabezpieczone pańskie odciski palców? – spytał Polak, patrząc Masłowskiemu prosto w oczy – gdyby to pana interesowało, to Kowalski walczy właśnie w szpitalu o życie – dodał komisarz, nie spuszczać wzroku z twarzy przesłuchiwanego.

– Brawo Polak – przyklasnęła w myślach Papaj, widząc jak na czoło Masłowskiego, występują kropelki potu.

– Policja powinna zainwestować w klimatyzację – poradził – a co do tej bajeczki, to możecie ją opowiadać komuś innemu – oświadczył, odzyskując pewność siebie.

– W takim razie proszę zerknąć na to – zaproponował Polak, wyjmując z koperty kilka zdjęć Edwarda Kowalskiego, zrobionych w szpitalu. Masłowski poblądł i głośno wciągnął powietrze.

– To jak panie Jarosławie, porozmawiamy szczerze?

– Tak, ale wyłącznie w obecności mojego adwokata – wyszeptał mężczyzna.

– Jak pan chce – Polak wzruszył ramionami i nacisnął przycisk, przywołujący czekającego na zewnątrz konwojenta – proszę zaprowadzić zatrzymanego do aresztu – powiedział, kiedy konwojent pojawił się w drzwiach. Masłowski posłusznie wyciągnął ręce, a gdy kajdanki z cichym szcęknięciem zatrzasknęły się na jego przegubach, wstał i wolno ruszył do wyjścia.

– Gratuluję – odezwał się Papaj, gdy zostali sami.

– Na razie nie ma czego – mruknął Polak, chowając zdjęcia Kowalskiego do koperty – zyskałem tyle, że Masłowski będzie miał o czym myśleć przez najbliższe godziny – dodał, podnosząc się z krzesła.

– Jak znam życie, to nie on będzie główkował, tylko jego papuga – sprostował Papaj.

– Może i masz rację. On mi nie wygląda na takiego, co potrafi myśleć – potwierdził Polak. Gdy wyszli z Sali przesłuchań.

Papaj skierował się do wyjścia. Popołudniowe słońce schowało się za gmach komendy, więc przed budynkiem panował przyjemny chłód. Andrzej zastanawiał się, co ma dalej robić. Najchętniej walnąłby się do łóżka, ale po chwili odrzucił ten pomysł. Spanie o tak wczesnej porze niesło z sobą ryzyko, że nie będzie mógł zasnąć wieczorem, a tego wołał uniknąć.

– Cześć! – usłyszał nagle za sobą kobiecy głos. Spojrzał przez ramię i zobaczył Edytę. Zaskoczenie było tak duże, że na moment odebrało mu mowę.

– Hej, a ty co tu robisz? – wykrztusił, podchodząc do dziewczyny.

– No wiesz, spodziewałam się bardziej serdecznego powitania. Coś w stylu, jak dobrze cię widzieć – urażony ton Edyty zirytował komisarza. Kolejny raz zaczął żałować, że podczas ich pierwszego spotkania powiedział jej, jaki zawód wykonuje.

– Po prostu nie sądziłem, że będziesz pierwszą osobą, jaką zobaczę po wyjściu z pracy – odparł chłodno.

– Ja też nie myślałam, że idąc na zakupy, natknę się na przystojniaka, z którym spędziłam ostatnią noc – wzmianka o minionej nocy speszyła Andrzeja. Dyskretnie zlustrował okolice, aby upewnić się, że nie ma w pobliżu nikogo znajomego, kto mógłby usłyszeć o jego erotycznych przygodach.

– Skoro już na siebie wpadliśmy, to może pójdziemy na kawę, do kina, lub na spacer? – zaproponowała Edyta z uwodzicielskim uśmiechem.

– To może najpierw kawa, a później pomyślimy co dalej – odparł miękko Papaj i ruszył w kierunku swojego samochodu. Gdy mijali wejście do komendy, w drzwiach pojawiła się Nowicka. Andrzej zaklął w myślach. Policjantka pomachała mu dłonią i ruszyła w przeciwną stronę. Komisarz odwzajemnił gest i przyśpieszył kroku.

– Koleżanka z pracy? – zapytała obojętnie Edyta.

– Tak.

– No to widzę, że w pracy też masz na co popatrzeć.

– Wiesz, niedaleko ogrodu botanicznego, jest taka mała klimatyczna kafejka. Podobno serwują tam znakomitą włoską kawę – zmienił temat, nie podejmując wątku Nowickiej. – Jak dotąd wszystko, co proponowałeś, było super, więc tym razem także ci zaufam – wymruczała dziewczyna. Dochodząc do samochodu, Andrzej zaczął mieć wątpliwości, czy to spotkanie naprawdę było przypadkowe. Co

prawda nie powiedział Edycie, w której komendzie pracuje, ale podczas pierwszej randki wspomniał, że z rynku do pracy ma kwadrans spacerem. To w połączeniu z tym, że jest policjantem, wystarczyło, aby domyślić się, gdzie szukać. Poza tym wiedziała jakim samochodem jeździ, a na parkingu przed komendą stała tylko jedna czarna Vitara z szarym dachem.

– O widzę, że ty też nabijasz kieszeń facetowi bez talentu – prychnęła złośliwie, wskazując na powieść Stefana Króla, którą Papaj trzymał w dłoni.

– Dlaczego bez talentu?

– Gość wymyślił sobie prywatną detektyw o rozmiarach wieloryba, nazwał ją Anna Brylka – zaczęła Edyta, zapinając pas bezpieczeństwa – choć nawiasem mówiąc, bardziej pasowałoby Bryła, na dodatek baba rozwiązuje sprawy, z którymi superman, Batman i MacGyver wspólnie by sobie nie poradzili, a ludzie to kupują – zakończyła, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– A czytałaś którąś z książek Króla?

– Wystarczy, że poczytam recenzje, a poza tym facet coraz częściej, jest oskarżany o plagiat.

– O tym nie wiedziałem – przyznał szczerze Papaj.

– Poczytaj sobie opinie w sieci, to zobaczysz – poradziła, wyjmując z torebki przeciwsłoneczne okulary.

– W wolnej chwili na pewno to zrobię – obiecał, uruchamiając silnik. Przez całą drogę zachodził w głowę, dlaczego Edyta postanowiła się z nim spotkać. Z jej paplaniny nie wynikało, aby miała jakiś konkretny powód, ale coś mu mówiło, że on istnieje.

W kawiarence zajętych było zaledwie kilka stolików. Andrzej zaproponował, aby usiedli w ogródku, gdzie nie było nikogo. Entuzjazm, z jakim Edyta podeszła do tego pomysłu, uzmysłowił Papajowi, że kobieta coś od niego chce, i wołała by o tym porozmawiać w miłym otoczeniu, ale bez świadków.

– No to teraz zagramy w otwarte karty – poprosił, gdy kelner odszedł zrealizować ich zamówienie.

– To znaczy? Zdziwiła się Edyta, udając zaskoczenie.

– To bardzo proste. Ty powiesz, jaki masz do mnie interes, a ja powiem czy mogę ci pomóc – wyjaśnił Papaj, patrząc Edycie prosto w oczy.

– Skąd masz pewność, że mam do ciebie jakiś interes?

– Ponieważ nie wierzę w przypadki, zbiegi okoliczności, szczęśliwe trafy i inne podobne bzdury. Dziewczyna próbowała wytrzymać jego spojrzenie, ale po chwili odwróciła wzrok.

– No dobra, mam pewien mały kłopot – zaczęła ściszym głosem – rano w drodze do pracy zatrzymał mnie patrol – wyznała – nic poważnego, po prostu lekkie przekroczenie prędkości – zapewniła – dostałam pięć punktów karnych i dwieście złotych mandatu.

– To chyba nie było tylko lekkie przekroczenie – wszedł jej w słowo komisarz.

– Śpieszyłam się do biura, i jakoś tak wyszło – westchnęła skruszona. Papaj podejrzewał już, co w dalszej części rozmowy usłyszy od Edyty i nie pomylił się.

– Problem polega na tym, że z tymi dzisiejszymi mam już dwadzieścia pięć punktów.

– I chciałabyś wiedzieć, czy można coś zrobić, abyś nie straciła prawa jazdy? – dopowiedział za nią. W odpowiedzi Edyta pokiwała głową. Komisarz miał właśnie przedstawić rozwiązanie jej problemu, ale widząc nadchodzącego kelnera, zamilkł.

– Sprawa jest bardzo prosta – zaczął, kiedy znowu zostali sami. Edyta spojrzała na niego z promiennym uśmiechem.

– Naprawdę! – wykrzyknęła uradowana jak mała dziewczynka na widok wymarzonej lalki.

– Tak – potwierdził – musisz tylko zdać egzamin, a prawko do ciebie wróci – wyjaśnił. Uśmiech z twarzy dziewczyny znikł tak samo szybko, jak się na niej pojawił.

– To wiem, nawet bez twojej pomocy – odburknęła zawiedziona.

– Ja niestety nie mam żadnych możliwości interweniowania w takich sprawach – oświadczył Papaj, rozkładając bezradnie ręce – i wcale nie chodzi o to, że nie chcę, lecz zwyczajnie nie mogę. Wszystko przechodzi przez system drogówki. Tam natychmiast jest zapisywane na koncie kierowcy. Jakakolwiek ingerencja w bazę danych zostaje automatycznie przesłana do odpowiednich komórek, weryfikujących jej zasadność – tłumaczył cierpliwie Andrzej. Edyta słuchała w milczeniu, popijając kawę z malej fikuśnie wyglądającej filiżanki.

– Tak więc w tej sprawie, nie będę mógł ci pomóc, ale bardzo chętnie odwiozę cię do domu – zaproponował, gdy opuścili lokal.

– To miło z twojej strony, ale wolę zamówić taksówkę – odparła Edyta oschłym tonem. Andrzej nie nalegał, a nawet było mu to na rękę. Spotkanie z Edytą wyszło z niego ostatki sił. Pożegnał się z dziewczyną i potwornie zmęczony pojechał do domu. Kiedy przekroczył próg mieszkania, usłyszał dźwięk nadchodzącej wiadomości.

– Rano podczas rozmowy, obiecał pan kawę – przeczytał SMS od Anny Moskał.

– Tak i nadal podtrzymuję propozycję. Co powie pani na jutrzejsze popołudnie? – odpisał i nie czekając na odpowiedź, wszedł do łazienki, rozebrał się, i wziął długi zimny prysznic.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Przez całą drogę do biura Henryka Żeromskiego, Nowicka miała wielką ochotę wprost zapytać Papaja, czy zna Katarzynę Kowalską. Jednak nie potrafiła zdobyć się na odwagę, lecz wiedziała, że tak tej sprawy zostawić nie może. Kwestię potencjalnej znajomości komisarza i podejranej o próbę zabójstwa, należało wyjaśnić. Postanowiła więc uczynić to przy najbliższej, nadarzającej się okazji. Jednak, gdy jechali do komendy po nieudanej wizycie u Żeromskiego, również stchórzyła, a później już nie miała szans porozmawiać z komisarzem. Ona musiała zająć się zaległą robotą papierkową, a Papaj gdzieś zniknął. Kiedy po zakończeniu pracy poszła do jego biura, zastała zamknięte drzwi.

– No trudno, pogadamy sobie jutro – pomyślała, zbiegając po schodach, na których spotkała komisarza Polaka.

– Nie wiesz, gdzie się podział Papaj? – zagadnęła, mając nadzieję, że Paweł będzie coś wiedział.

– Przed chwilą wyszedł, ale jak się pośpieszysz, to może złapiesz go przy samochodzie – odpowiedział i nie czekając na jej reakcję, ruszył do góry. Nowicka skorzystała z rady i popędziła w dół. Gdy wypadła przed komendę zobaczyła Papaja, lecz ku jej zdumieniu komisarz nie był sam, ale towarzyszyła mu młoda, atrakcyjna brunetka. Zaskoczona Justyna pomachała do niego, i ruszyła do swojego samochodu. Przez całą drogę do domu, zastanawiała się, czy Wiktor znowu będzie czekał gdzieś pod blokiem, lub na klatce. Teraz kiedy znał jej adres, musiała być przygotowana na takie sytuacje, jak poprzedniego dnia. Szczerze wątpiła, żeby tak zwyczajnie dał jej spokój. Skoro zadał sobie tyle trudu, aby ją odnaleźć, na pewno nie zrezygnuje z przekonania jej, do odbudowy ich małżeństwa. Ona jednak już postanowiła i nie miała zamiaru sklejać czegoś, co i tak nie przetrwa próby czasu. Nie wierzyła w to, że skłonności Wiktora do skoków w bok znikną, jak lupież po użyciu cudownego szamponu, reklamowanego przez Krzysztofa Ibisza. Parkując obok bloku, zlustrowała uważnie okolicę, ale nie dostrzegła niczego podejrzanego. Klatka schodowa również nie kryła żadnych niespodzianek, więc bez przeszkód dotarła do mieszkania. Dopiero kwadrans później, ktoś zadzwonił do drzwi. Justyna podeszła na palcach i przyłożyła oko do wizjera. Przed drzwiami stał młody mężczyzna, ubrany w strój poczty kwiatowej. Ogromny kosz czerwonych róż przesłaniał połowę jego sylwetki. W pierwszym odruchu nie miała zamiaru otwierać i przyjmować żadnych kwiatów, lecz po chwili namysłu zrobiło się jej żal doręczyciela. W końcu on tylko wykonywał swoją pracę.

– Mam kwiaty dla pani Justyny – powiedział chłopak, gdy uchyliła drzwi. Kiedy tylko kosz z różami znalazł się w rękach Nowickiej, kurier pożegnał się i życząc miłego dnia, zaczął zbiegać po schodach. Justyna zamknęła drzwi i wniosła kosz do salonu. Róże były naprawdę cudowne. Niestety świadomość, kto je przysłał, psuła przyjemność z patrzenia na ich pachnące, rozwinięte pąki.

– Jedno trzeba mu przyznać, ma gest – pomyślała, otwierając dołączoną do bukietu kopertę. Wewnątrz znalazła mały bilecik.

– „Proszę, zadzwoń i porozmawiajmy” – przeczytała i natychmiast przedarła kartonik na kilka kawałków.

– Twoje niedoczekanie – wycedziła, jakby Wiktor mógł ją usłyszeć, i wyszła do kuchni zrobić sobie obiad, a właściwie obiadokolację, bo na pierwsze było zbyt późno, a na drugie za wcześnie. Gdy już

uporała się z sałatką, której przygotowanie tylko w przepisie zajmowało piętnaście minut, a w rzeczywistości dwa razy tyle, postanowiła porozmawiać z siostrą. Ostatni raz gadały przez Skype parę dni temu i Justyna była ciekawa, co słychać u Pauliny. Zniosła talerz z sałatką do salonu, postawiła go obok stojącego na stole laptopa i połączyła się z siostrą.

– Co tam zajadasz? – zainteresowała się Paulina, kiedy wymieniły już informacje meteorologiczne.

– Sałatkę meksykańską – odpowiedziała Justyna, pokazując do kamery zawartość talerza.

– Mam tylko nadzieję, że temu, kto podarował ci te piękne róże, stojące na komodzie zaserwowałaś coś bardziej pożywnego – Justyna dopiero teraz zorientowała się, że za sobą ma komodę z koszem róż, jakie przysłał jej Wiktor.

– Po pierwsze kwiaty przyniósł mi kurier – zaczęła, odstawiając posiłek obok komputera – a nie mam w zwyczaju dokarmiać doręczycieli, choć akurat temu przydałaby się taka kuracja – uśmiechnęła się na wspomnienie patykowatego chłopaka – po drugie przyjąłem je tylko i wyłącznie z grzeczności, bo jak wiesz, jestem dobrze wychowana. Po trzecie, gdyby ten, kto je zamówił, przyniósł je osobiście, to nawet bym mu drzwi nie otworzyła – zakończyła Justyna.

– A więc jednak cię znalazł – bardziej stwierdziła, niż zapytała Paulina, przygryzając dolną wargę.

– Tak, wczoraj czekał na mnie przy wejściu do bloku, a dzisiaj przysłał kwiaty.

– Justyna nie uważasz, że to zaczyna przypominać stalking? – Nowicka miała ochotę się roześmiać, i tylko poważny ton siostry, powstrzymał ją przed taką reakcją.

– Nie sądzę. On po prostu myśli, że zdoła przekonać mnie do powrotu.

– Na twoim miejscu nie bagatelizowałabym tego, co robi – poradziła Paulina poważnym głosem – a teraz muszę już kończyć, bo za chwilę wychodzę na uczelnię – dodała już bardziej swobodnym tonem. Przez pozostałą część dnia Nowicka rozmyślała nad słowami siostry. Sugestia, że Wiktor może być stalkerem w pierwszej chwili ją rozbawiła. Przecież na ogół stalkerami były osoby, które nie znały swoich ofiar. Natomiast oni przez trzy lata byli małżeństwem, a wcześniej dwa lata parą. Dlatego uważała, że zna Wiktora na tyle, by wiedzieć na co go stać. Jednak analizując ostatnie kilka miesięcy, zaczynała mieć wątpliwości. Skoro był zdolny do tego, aby przez ponad rok ukrywać romans z koleżanką z pracy, to dlaczego nie miałby zabawić się w stalkera? Przecież to właśnie jego ciągle nachodzenie Justyny w mieszkaniu, a nawet w pracy skłoniły ją do wyjazdu z Kłódzka? Co prawda nie czuła fizycznego zagrożenia ze strony Wiktora, a jego zachowanie bardziej ją denerwowało, niż wywoływało strach, ale może jednak Paulina miała rację, sugerując stalking. Zastanawiający był również fakt, że kurier doręczył kwiaty, gdy tylko wróciła do domu. To oznaczało, że jednak Wiktor musiał ją śledzić lub obserwować blok. Tylko w ten sposób mógł wiedzieć, że jest w mieszkaniu.

– Pora na odpoczynek od pracy oraz faceta, który jeszcze oficjalnie wciąż był jej mężem – uznała, wchodząc do łazienki i nalewając wody do wanny. Gdy kąpiel była gotowa, zabrała trzynasty tom przygód detektyw Anny Brylki, zanurzyła się w pachnącej gęstej pianie i zaczęła czytać. Lektura była tak wciągająca, że gdy otrząsnęła się z literackiego transu, siedziała w letniej wodzie, a zegarek na ekranie smartfonu wskazywał dwudziestą trzecią dwanaście.

– Oj panie Król, przez pana zaczynam zarywać noce – rzuciła z wyrzutem, zerkając na okładkę książki. Szybko wyszła z wanny, wytarła ciało szorstkim ręcznikiem, co trochę ją rozgrzało, umyła zęby i pomaszzerowała do sypialni. Mijając salon, ostatni raz zerknęła na bukiet czerwonych róż stojący na komodzie.

Wychodząc rano do pracy Nowicka ze znacznie większą uwagą, niż dotychczas obserwowała okolicę. Wypatrywała samochodów, których wcześniej nie widziała przy bloku, dziwnie zachowujących się osób i wszystkiego, co mogło być podejrzane. Jednak niczego takiego nie dostrzegła.

– Albo zrezygnował, albo jest mistrzem kamuflażu – mruknęła do siebie, wyjeżdżając z parkingu. Podczas jazdy, obserwowała jadące za nią pojazdy, lecz i to nic nie dało. Gdy wreszcie dotarła do komendy, poczuła się znacznie pewniej. Dochodziła właśnie do schodów, kiedy usłyszała za sobą głos oficera dyżurnego.

– Pani aspirant, jakiś mężczyzna chce z panią rozmawiać – zawołał policjant.

– No tak, mogłam się tego spodziewać, że teraz będzie mnie nachodził w pracy – pomyślała Justyna, czując, jak wzbiera w niej fala wściekłości. Od razu przypomniała sobie ukradkowe uśmiešky kolegów z poprzedniej komendy, kiedy Wiktor czekał na nią przed wejściem z kwiatami, i kłęcząc, błagał o chwilę rozmowy. Justyna nie zamierzała pozwolić, aby takie cyrki powtórzyły się tutaj. Dlatego postanowiła skutecznie wyperswadować Wiktorowi mrzonki o ich wspólnym życiu.

– Gdzie on jest? – zapytała, z trudem hamując narastającą furię. Widziała, że policjanta zaniepokoiła tak nagła zmiana w jej zachowaniu, ale wcale się tym nie przejęła.

– Tutaj jestem – usłyszała za sobą zaleźniony głos. Jednak ku zaskoczeniu Justyny nie należał on wcale do Wiktora. Kiedy się odwróciła, zobaczyła przed sobą Henryka Żeromskiego.

– Dzień dobry panu – odezwała się, diametralnie zmieniając ton głosu i mimikę twarzy. Była teraz uśmiechniętą i przyjaźnie nastawioną policjantką – podobno chciał pan ze mną rozmawiać?

– Tak pani aspirant – potwierdził mężczyzna, spuszcżając wzrok.

– Dobrze w takim razie zapraszam – powiedziała, biorąc od dyżurnego klucz do jednego z pokoi przesłuchań. Idąc wolno pustym o tej porze korytarzem, słyszała za sobą ciężkie kroki mężczyzny, który nie dalej jak wczoraj nie miał zamiaru rozmawiać, a dzisiaj zgłosił się dobrowolnie. Była ciekawa, co skłoniło Żeromskiego do zmiany zdania oraz jakimi informacjami będzie się chciał podzielić.

– Proszę panie Henryku – zachęciła, przepuszczając mężczyznę przodem. Znaleźli się w niewielkim pokoju o jasnych pastelowych ścianach, którego wyposażenie stanowił stół i dwa krzesła.

– Zechce pan chwileczkę zaczekać. Pójdę tylko po komputer i będziemy mogli zacząć rozmowę – poprosiła.

– Tak oczywiście – odparł Żeromski głosem drżącym ze zdenerwowania. Nowicka wyszła z pokoju i szybko wbiegła na piętro. Na korytarzu zobaczyła Papaja w towarzystwie Pawła Polaka i Anny Moskal.

– Andrzej możesz na sekundę – poprosiła.

– Słuchaj, zgłosił się Henryk Żeromski i najwyraźniej postanowił współpracować – oznajmiła, gdy odeszli kilka metrów. Oczy komisarza w jednej chwili stały się duże i okrągłe jak pięć złotych.

– Czyli jednak facet ma coś na sumieniu, bo inaczej to by nas zwyczajnie olał – mruknął Papaj, marszcząc w zamyśleniu czoło.

– Zgadza się – potwierdziła Justyna – mam tylko nadzieję, że to coś ważnego – dodała, spoglądając na stojących nieopodal Polaka i Moskal.

– A wy co tak się naradzacie? – zapytała szeptem.

– Za godzinę odbędzie się przesłuchanie Masłowskiego – wyjaśnił komisarz – wczoraj Polak już z nim gadał. Początkowo zaprzeczał znajomości z Kowalskim i obecności w jego domu, ale jak dowiedział się, że jego odciski są nie tylko w Willi, ale też na szyi Kowalskiego, to poprosił o możliwość kontaktu z adwokatem i zaniemówił.

– A na szyi Kowalskiego rzeczywiście są jego odciski? – Nowicka nie kryła zaskoczenia.

– Ponad wszelką wątpliwość tak – potwierdził Papaj.

– Słuchaj, czy będę mogła wziąć udział w tym przesłuchaniu?

– Tak, ale pod dwoma warunkami. Po pierwsze jako obserwator, lecz nie powinnaś się czuć poniżona, bo ja też będę występował w takiej roli. Po Drugie musisz w godzinę uwinąć się z panem

Henrykiem.

– Masz to, jak w banku – zapewniła Justyna, ruszając do biura. Porwała ze swojego biurka laptop, a wychodząc, zgarnęła jeszcze dwie butelki wody mineralnej i dwa tekturowe kubki.

– Przepraszam, że to tyle trwało, ale pomyślałam, że chętnie się pan napije i poszłam jeszcze po wodę – usprawiedliwiła się Nowicka, siadając na krześle po drugiej stronie stołu.

– Na początku chcę panu bardzo podziękować za przyjście. Uważam, że to dobrze, iż zdecydował się pan na rozmowę – zaczęła policjantka – tym bardziej że jak sam pan zauważył, zaczynają się dziać bardzo niepokojące rzeczy – na potwierdzenie jej słów, Żeromski nieznacznie skinął głową.

– Proszę więc mi powiedzieć wszystko, co pan wie – poprosiła miękko, przyjacielskim tonem.

– A jaką mam pewność, że to, co powiem, zostanie między nami?

– Gwarancji żadnej teraz dać nie mogę, ale jeśli nie będzie to podlegało pod jakiś paragraf, to sądzę, że nie spotkają pana żadne prawne konsekwencje – zapewniła Nowicka. Mężczyzna przez chwilę nad czymś się zastanawiał. Wreszcie podjął decyzję, nabrał powietrza i próbując opanować zdenerwowanie, zaczął mówić.

– Z Jankiem Owczarkiem znaliśmy się jeszcze z czasów szkolnych. Co prawda on był kilka lat starszy ode mnie, ale kumpłował się z moim zmarłym bratem Tadeuszem. Owczarek był lepszy facet. Ledwie skończył studia, a już partia dała mu stołek prezesa. Jednak trzeba przyznać, że potrafił zarządzać spółdzielnią – oświadczył Żeromski z uznaniem – pewnego dnia, gdy porządkowałem strych w domu swoich dziadków, znalazłem skrytkę w podłodze, a w niej jakieś dokumenty po niemiecku i dziwne rysunki. Ponieważ Owczarek znał język, poprosiłem, aby je przetłumaczył. Po tygodniu wezwał mnie do swojego biura i mówi:

– Słuchaj Heniek, te papiery mogą nam przynieść kupę szmalu i to w twardej walucie – oświadczył. Spojrzałem na niego i sądząc, że żartuje, wybuchnąłem śmiechem. Jednak on ciągnął dalej:

– Znalazłeś plany miejsc, w których szwaby, przed opuszczeniem Wrocławia ukryli sporo dzieł sztuki – wyjaśnił. Wtedy zrozumiałem, że nie żartuje. Dokumenty dotyczyły dwóch miejsc. Pierwszym był budynek poczty na Powstańców Śląskich, a drugim warsztaty szkolne na Krakowskiej. Owczarek, korzystając ze swoich znajomości, załatwiał zlecenia na wykonanie remontów w tych miejscach. W trakcie prac ja i Kowalski, szukaliśmy ukrytych przedmiotów, które następnie zawoziliśmy do Owczarka. Ten z kolei wywoził je do Berlina Zachodniego i tam sprzedawał. Dwa dni przed swoim zniknięciem również pojechał do Niemiec z ostatnią partią kościelnych kielichów, które były zakopane pod posadzką warsztatów. Wtedy widziałem go po raz ostatni. Byłem przekonany, że postanowił tam zostać. Wykiwał nas na kilka tysięcy marek. Ja to jakoś zniosłem, ale Kowalski to się odgrażał, że pojedzie za nim i się z nim policzy. Tyle że nie chcieli mu dać paszportu – Nowicka słuchała w zamyśleniu. Historia opowiedziana przez Żeromskiego mogła być prawdziwa, ale nie musiała.

– Czy jak szukaliście tych skarbów na warsztatach, przekopywaliście ziemię pod posadzką?

– Oczywiście, bo skrzynie były zakopane dość głęboko – potwierdził mężczyzna. Nowicka zauważyła, że zdenerwowanie, jakie towarzyszyło Żeromskiemu, z wolna zaczęło ustępować. Mówił coraz swobodniej, i nie był już tak spięty, jak na początku rozmowy. Fakt ten działał na korzyść policjantki, bo zeznania osób wyluzowanych były bardziej wartościowym materiałem, niż tych, których zżerał stres. Poza tym Nowicka zamierzała wypytać mężczyznę o kilka spraw, z których jedna mogła mieć dla śledztwa duże znaczenie.

– Czy teren warsztatów w trakcie remontu był jakoś zabezpieczony albo przez kogoś pilnowany?

– Skądże znowu, każdy tam mógł wejść i nie raz zdarzały się kradzieże materiałów. Wie pani, wtedy były takie czasy, że niczego nie można było kupić, więc się kradło na potęgę – wyznał Żeromski

i dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że jego słowa mogą zostać zrozumiane opacznie.

– Oczywiście ja nie kradłem – dodał szybko. Justyna nie zamierzała ciągnąć tego wątku, ale zadała pytanie, z którym dość długo zwlekała.

– Czy mówi panu coś nazwisko Elżbieta Witos? Reakcja Żeromskiego była zaskakująca. Mężczyzna lekko drgnął, jego twarz oblała się rumieńcem, a spojrzenie ucieкло gdzieś w bok.

– Elka była Janka sekretarką – odparł mężczyzna po chwili zastanowienia.

– Czy tylko sekretarką? – naciskała Nowicka, czując, że Żeromski nie powiedział jej całej prawdy.

– Mieli z sobą romans – przyznał – ale Owczarek nie traktował tego zbyt poważnie – zastrzegł, patrząc Justynie prosto w oczy – dla niego liczyła się tylko żona i córka – zapewnił. Nowicka jakoś nie potrafiła uwierzyć w słowa Żeromskiego. Uważała, że facet, dla którego liczy się rodzina, nie szuka szczęścia w ramionach innej kobiety. Jednak swoimi refleksjami nie zamierzała dzielić się z Żeromskim. Przebiegła wzrokiem po spisanych zeznaniach, ale żadne dodatkowe pytania nie przychodziły jej do głowy. Poprawiła kilka błędów w tekście i poszła go wydrukować.

– Czy za to, co pani opowiedziałem, pójdę do więzienia? – spytał Żeromski, podpisując swoje zeznania.

– Do więzienia raczej nie, ale proszę pamiętać, że kradzież i wywóz dzieł sztuki to przestępstwa, które nie ulegają przedawnieniu. Co prawda pan ich nie wywoził, ale niestety pomagał w ich znalezieniu. Sądzę jednak, że fakt, iż zgłosił się pan do nas z własnej woli i o wszystkim opowiedział, z pewnością zostanie potraktowany jako okoliczność łagodząca – podsumowała, chowając podpisane zeznania do teczki.

– Czy Edward przeżyje? – zapytał nagle Żeromski, po raz pierwszy okazując zainteresowanie losem Kowalskiego.

– Lekarze są dobrej myśli – odpowiedziała policjantka, odprowadzając mężczyznę do wyjścia.

Kiedy za Henrykiem Żeromskim zamknęły się drzwi, Nowicka odwróciła się na pięcie i szybko pobiegła do pokoju przesłuchań wyposażonego w lustro weneckie. Papaj Siedział za stołem, przysłuchując się rozmowie prowadzonej w sąsiednim pokoju.

– Ominęło mnie coś ciekawego?

– Nie, dopiero zaczynają – uspokoił ją komisarz, podając kubek z aromatyczną gorącą kawą.

– Wielkie dzięki, tego mi było trzeba, następnym razem ja stawiam – obiecała Justyna, upijając łyk kawy. Usiadła wygodnie i wsłuchiwała się w dochodzące z głośników głosy. Przesłuchanie prowadził Polak, obok którego siedziała Anna Moskal. Naprzeciw nich siedział Masłowski, cały w bieli oraz jego adwokat, ubrany w elegancki grafitowy garnitur.

– W imieniu swojego klienta, chciałem złożyć oświadczenie – odezwał się prawnik, gdy tylko Polak przebrnął przez wszystkie kwestie formalne – otóż Jarosław Masłowski przyznaje, że zna Edwarda Kowalskiego i był u niego wczoraj. Jednakże zaprzecza, aby wyrządził panu Kowalskiemu jakąkolwiek krzywdę. Owszem jego odciski palców, mogą znajdować się na szyi Edwarda Kowalskiego, ale jest to efekt gestów serdeczności, jakie mężczyźni wymienili na powitanie – Nowicka nie mogła uwierzyć, w to, co właśnie usłyszała. Papaj najwyraźniej także, bo zaśmiewał się, jak małe dziecko.

– Tego jeszcze nie grali, gesty serdeczności – prychnął, opanowując śmiech – ciekawe, co jeszcze ta papuga wymyśli – dorzucił, spoglądając na siedzącego do nich tyłem prawnika.

– Co zaś się tyczy celu spotkania – kontynuował adwokat – to mój klient oświadcza, że miało ono związek z łapówką, jakiej Edward Kowalski zażądał od niego, w zamian za korzystne dla mojego klienta rozstrzygnięcie przetargu, na wynajem lokalu usługowego we wrocławskim rynku. Kilka dni temu mój klient przekazał panu Kowalskiemu trzydzieści tysięcy złotych, a wczoraj zawiózł mu drugie

tyle. Oświadczenie Jarosława Masłowskiego jest jednocześnie zawiadomieniem o możliwości popełnienia przestępstwa przez Edwarda Kowalskiego i dziś rano zostało złożone we Wrocławskiej prokuraturze rejonowej – zakończył adwokat. Polak i Moskal popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

– Oświadczenie pańskiego klienta, będzie oczywiście dołączone do protokołu przesłuchania – zaczęła Moskal – ale chcielibyśmy, aby odpowiedział on na kilka naszych pytań.

– Nie ma takiej możliwości – uciął ostro prawnik – poza oświadczeniem mój klient nie będzie odpowiadał na żadne pytania – dodał już znacznie łagodniejszym tonem.

– Dobrze, ma do tego prawo – stwierdziła sucho prokurator – o dalszym losie pana klienta zadecyduje sąd, do którego jeszcze dziś trafi wniosek o zastosowanie środka zapobiegawczego w postaci tymczasowego aresztu na okres trzech miesięcy – zakomunikowała i odwracając się do Polaka, poprosiła o wyprowadzenie podejrzanego. Papaj i Nowicka poczekali, aż Masłowski oraz jego prawnik opuszczą pokój przesłuchań i wewnętrznymi drzwiami, łączącymi oba pomieszczenia weszli do wciąż siedzących za stołem Polaka i Moskal.

– Gesty serdeczności – odezwał się Papaj, przedrzeźniając prawnika.

– Każda linia obrony jest dobra, pod warunkiem, że przekona sąd – westchnęła prokurator, chowając do teczki rozłożone na stole dokumenty.

– W sumie ma pani rację – poparł ją Polak.

– A właściwie, to dlaczego pojechaliście wczoraj do Kowalskiego? – zapytała nagle Moskal, podnosząc głowę znad dokumentów i spoglądając pytająco na papaja i Nowicką.

– Nazwisko Kowalskiego wypłynęło w sprawie szkieletu z warsztatów. Okazało się, że trzydzieści lat temu nadzorował on remont tego obiektu, a biorąc pod uwagę, że właśnie wtedy zakopano tam zwłoki, uznaliśmy, że warto porozmawiać z nim o tym remoncie – wyjaśniła Justyna – przed dwoma dniami zadzwoniłam więc do Kowalskiego i umówiliśmy się na wczoraj w jego domu – dokończyła, a Papaj skinieniem głowy, potwierdził jej słowa.

– To teraz będziecie musieli poczekać, aż Kowalski dojdzie do siebie. Na szczęście, jak powiedział mi dzisiaj rano lekarz prowadzący, wszystko jest na dobrej drodze – poinformowała prokurator, i jakby coś nagle sobie przypominając, zwróciła się do Polaka.

– Panie komisarzu, a kiedy mają przywieźć na przesłuchanie Katarzynę Kowalską?

– Dzisiaj o czternastej.

– To zdążę jeszcze popracować w biurze – powiedziała Moskal bardziej do siebie, niż obecnych w pokoju i ruszyła do drzwi.

– Sądziś, że ten wątek z łapówką to ściema – zapytał Papaj Polaka.

– Trudno powiedzieć – wzruszył tamten ramionami – ale fakty są takie, że willa Kowalskich urządzona jest kosztownie, Katarzyna Kowalska nie pracuje, więc warto sobie zadać pytanie, czy z samej pensji urzędnika, nawet na kierowniczym stanowisku można tak luksusowo wyposażyć dom i jeszcze go utrzymać? – w rozważaniach Polaka, Nowicka dostrzegła sporo sensu. Jednak rewelacje usłyszane od Żeromskiego, mogły w prosty sposób wyjaśnić wszystkie wątpliwości. Co prawda policjantka nie dowiedziała się, ile tak naprawdę mężczyźni zarobili na odnalezionych dziełach sztuki, ale Żeromski mówił o kwotach, sięgających dziesiątków tysięcy marek. Taka suma, nawet po tylu latach i wymianie na euro, mogła przecież zapewnić odpowiedni poziom życia przez długie lata.

– Nie mam pojęcia czy Kowalski bierze łapówki, ale wiem coś, co może rzucić nowe światło na jego finanse – odezwała się Justyna, natychmiast koncentrując na sobie uwagę obu mężczyzn. Mieli tak przenikliwe spojrzenia, że postanowiła nie wystawiać na próbę ich cierpliwości.

– Przed godziną, ucięłam sobie sympatyczną pogawędkę z Henrykiem Żeromskim.

– A kto to jest? – wszedł jej w słowo Polak.

– Później ci wyjaśnię – obiecał Papaj, prosząc Nowicką, aby mówiła dalej.

– Żeromski opowiedział bardzo ciekawą historię. Okazuje się bowiem, że te warsztaty tak naprawdę nie wymagały remontu, ale był on jedynie pretekstem do odnalezienia skarbów, jakie Niemcy uciekając przed sowietami, zakopali pod podłogą – Justyna, w kilkunastu zdaniach streściła sensacyjne wyznanie Żeromskiego. Gdy skończyła w pokoju zapadła cisza. Pierwszy przerwał ją Papaj.

– To może też tłumaczyć zniknięcie Owczarka – powiedział cicho, patrząc znacząco na Nowicką.

– Jakiego znowu Owczarka? – rzucił coraz bardziej zdezorientowany Polak.

– To też ci później wyjaśnię – zapewnił Papaj, ruszając do wyjścia, Justyna poszła za nim. Kiedy znaleźli się na korytarzu, komisarz wyjął z kieszeni dzwoniący telefon.

– Dzień dobry panie doktorze, przepraszam, że nie odbierałem, ale właśnie kończyłem przesłuchanie – odezwał się Papaj, przysiadając na parapecie niskiego okna. Przez dłuższą chwilę Słuchał uważnie swojego rozmówcy.

– Czyli jest tak, jak zakładaliśmy – powiedział, podziękował za telefon i zakończył połączenie. Nowicka nawet bez wyjaśnień Andrzeja domyśliła się kto i w jakiej sprawie dzwonił.

– Szkielec z warsztatów to Mieczysław Sobótka? – bardziej stwierdziła, niż zapytała. Komisarz potwierdził skinieniem głowy.

– Kuchciński nie ma żadnych wątpliwości – dodał, wstając z parapetu – trzeba zawiadomić jego żonę i córkę – westchnął, chowając telefon do kieszeni.

– Kiedy? – zapytała Justyna, czując, jak ogarniają ją sprzeczne uczucia. Pierwszym była satysfakcja z tego, że udało im się ustalić, kim był mężczyzna, zakopany pod posadzką szkolnych warsztatów. Drugie znacznie mniej przyjemne dotyczyło, konieczności poinformowania rodziny zmarłego o dokonanych ustaleniach. Zdawała sobie sprawę, że ta informacja może być dla Anny Sobótki szokująca. Przecież od prawie trzydziestu lat w grobie jej męża spoczywał ktoś obcy.

– Nie ma sensu tego odwlekać. Jedziemy do Nowego Świątowa – zarządził Papaj, ruszając do wyjścia.

Przez pewien czas jechali w milczeniu, każde pogrążone w swoich myślach. Jednak kiedy minęli autostradowe bramki, Nowicka zdobyła się na odwagę i postanowiła wyjaśnić znajomość Papaja z Katarzyną Kowalską.

– A co z przesłuchaniem żony Kowalskiego? Nie powinniśmy przy tym być? – rzuciła mimochodem, chcąc skierować rozmowę na odpowiednie tory. Co prawda mogła Papaja zaskoczyć i bezceremonialnie, bez żadnych wstępów zapytać, czy zna żonę Kowalskiego. Woląla jednak przygotować grunt pod to kluczowe pytanie. Komisarz zmarszczył czoło, zmrużył oczy i spojrzał na nią podejrzliwie.

– Wątpię, abyśmy zdążyli wrócić do czternastej, a poza tym jej zeznania raczej nie wniosą do naszej sprawy niczego nowego. Przecież w czasie remontu tych warsztatów jej nawet na świecie nie było.

– No tak, ale mąż mógł coś wspominać o tamtych czasach – zasugerowała Nowicka, nie dając za wygraną.

– Dobra, zadzwonię do Polaka i poproszę go o zadanie Kowalskiej kilku pytań dotyczących naszej sprawy – ustąpił komisarz.

– Andrzej, czy ty znasz Katarzynę Kowalską? – Papaj milczał, tak jakby nie dosłyszał pytania, ale wyraz jego twarzy wystarczył za odpowiedź.

– Jak na to wpadłaś? – zapytał po dłuższej chwili.

– Gdy wtedy, przed willą, zobaczyłeś Kowalską, wyglądałaś tak, jakbyś ujrzał ducha, więc nie trzeba być Herkulesem Poirot czy Jane Marple, aby domyślić się, że ją znasz.

– O widzę, że gustujesz w twórczości królowej światowego kryminału – zadrwił i dociskając pedał gazu, wyprzedził kolumnę czterech tirów. Nowicka już chciała odwdziżyć się równie ciętą ripostą, ale po chwili namysłu zrezygnowała. Milczeli oboje i tylko głos Edyty Bartosiewicz śpiewającej o zegarze gnającym do przodu, wypełniał wnętrza samochodu.

– Tak właściwie, to jej nie znam – odezwał się wyraźnie zażenowany Papaj – a o tym, że jest żoną Kowalskiego, dowiedziałem się dopiero wczoraj, kiedy ją zobaczyłem – oświadczenie Andrzeja, wydało się Justynie dziwne.

– Albo się kogoś zna, albo nie – tym razem to Nowicka, pozwoliła sobie na drwinę.

– Czyli należysz do tych osób, które uważają, że coś jest albo białe, albo czarne? – policjantka nie bardzo wiedziała, jak odpowiedzieć na taki zarzut. Komisarz najwyraźniej wcale tego nie oczekiwał, bo mówił dalej.

– Poznałem ją kilka tygodni temu na jednym z portali randkowych. Umówiliśmy się na drinka i spędziliśmy z sobą noc. Tak w wielkim skrócie wyglądała nasza znajomość – czego, jak czego, ale takiego wyznania Justyna się nie spodziewała. Dlatego też zupełnie nie wiedziała, jak powinna zareagować.

– No to teraz mnie zastrzeżesz – przyznała szczerze.

– Nie miałem takiego zamiaru, ale skoro chciałaś wiedzieć, skąd znam Katarzynę Kowalską, to doszedłem do wniosku, że najlepsza będzie prawda. Dlatego też uważam, że teraz powinienem trzymać się od pani Kowalskiej z daleka.

– Czy ona wie, że pracujesz w policji?

– Chyba nie sądzisz, że wszystkim kobietom, z którymi idę do łóżka, mówię o tym, kim jestem i gdzie pracuję? – wypalił Papaj. Kierunek, w jakim zmierzała rozmowa, krępował Justynę i najchętniej zmieniłaby temat.

– Poza tym swoje życie osobiste uprawiam jako prywatna osoba, a nie funkcjonariusz na służbie.

– Wiesz, jak byłam na szkółce, to jeden z prowadzących miał takie powiedzenie: „Policjant, lekarz i pisarz są zawsze na służbie”.

– No to trafiłaś na miłośnika „07 zgłoś się”.

– Dlaczego?

– Z tego serialu pochodzi ten cytat. Było to ulubione powiedzenie majora Wołczyka, tyle że w oryginale zamiast policjanta był milicjant – wytłumaczył Andrzej, podjeżdżając do punktu poboru opłat.

– Jak by się tak zastanowić, to ty też masz coś wspólnego z tym serialem.

– A niby co? – zdziwił się Papaj.

– O ile się nie mylę, to porucznik Borewicz, podobnie jak ty miał złamany nos – zauważyła Justyna i już miała dodać, że także bardzo lubił kobiety, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– No rzeczywiście, masz rację – potwierdził komisarz, gładząc z czułością garb na swoim nosie.

Tym razem Annę Sobótkę zastali przed domem. Kobieta obcinała sekotem przekwitłe róże. Mały brązowo beżowy kundelek wylegiwał się przy furtce. Gdy tylko podeszli zerwał się z miejsca i zaczął wściekle ujadać.

– Bazyl cicho! – krzyknęła kobieta, podchodząc do furtki – to znowu państwo – zdziwiła się, ale tym razem nie okazała niechęci, jak podczas pierwszej wizyty, tylko zaskoczenie.

– Chcielibyśmy jeszcze raz z panią porozmawiać – poprosiła Nowicka.

– Ale ja już wszystko powiedziałam.

– Jesteśmy wdzięczni za poprzednią rozmowę, lecz pojawiły się nowe okoliczności i fakty, które musimy wyjaśnić – oznajmił Papaj rzeczowym tonem. Kobieta wahała się przez chwilę.

– Skoro tak, to zapraszam – skapitulowała – proszę tylko poczekać, aż zamknę psa – dodała, przywołując czworonoga. Niezadowolony Bazyl odstąpił od furtki i poszczekując złowrogo, pobiegł za właścicielką.

– Takie małe kundelki są najgorsze – stwierdziła Justyna, a widząc pytające spojrzenie komisarza, opowiedziała przygodę z dzieciństwa, kiedy będąc na wakacjach u ciotki, została ugryziona przez niewinnie wyglądającego kundelka, należącego do księdza, któremu razem z kuzynką zanosły obiad.

– Skoro to był pies księdza, to powinna była wystarczyć woda święcona, a nie wizyta na pogotowiu i cztery szwy – zażartował komisarz, kiedy skończyła opowiadać.

– Bardzo śmieszne, może powinieneś założyć kabaret?

– Jakoś nie przyszło mi to nigdy do głowy, ale skoro tak uważasz, to będę musiał o tym poważnie pomyśleć – odparł, próbując ukryć rozbawienie. Dalszą rozmowę, przerwało nadejście Anny Sobótki. Kobieta otworzyła furtkę i poprowadziła ich do domu. Po chwili siedzieli w tym samym salonie, co kilkanaście dni wcześniej. Gdzieś z piętra dochodziło uparte ujadanie psa.

– Co tym razem państwa do mnie sprowadza?

– Jak już mówiliśmy, podczas pierwszej wizyty, w trakcie remontu warsztatów szkolnych został odkryty szkielet mężczyzny, a tuż obok torba, w której znajdował się pistolet. Kiedy ustaliliśmy, że broń należała do pani męża, zaczęliśmy podejrzewać, że to jego szczątki – zaczęła Nowicka.

– Ale przecież powiedziałam, że Mietek leży na tutejszym cmentarzu – kobieta weszła Justynie w słowo.

– Tak, pamiętam – potwierdziła policjantka – i nie ukrywam, że ta informacja kazała nam dokładniej przyjrzeć się wszystkim okolicznościom, w jakich zaginął pani mąż. Dodatkowo, aby rozwiązać wszystkie potencjalne wątpliwości, zostały przeprowadzone badania DNA. Materiał porównawczy pochodził od pani córki.

– Tak, Iza coś o tym wspominała – wtrąciła mimochodem Sobótki. Robiła wrażenie znudzonej, jakby to, co Nowicka miała do powiedzenia, zupełnie jej nie interesowało.

– No więc dziś rano otrzymaliśmy wyniki, które nie pozostawiają żadnych wątpliwości. DNA pani córki i szkieletu z warsztatów są zgodne – zakomunikowała Justyna – a to oznacza, że na tutejszym cmentarzu nie spoczywa pani mąż, tylko ktoś inny – wyjaśniła spokojnie Justyna. Anna Sobótki nie zareagowała na wiadomość, której zapewne wcale się nie spodziewała. Milczała przez dłuższą chwilę, jakby analizując, co ta informacja dla niej oznacza.

– To musi być jakaś pomyłka – wyszeptwała, i błagalnym wzrokiem wpatrywała się w twarz Nowickiej.

– Przykro nam, ale to niestety prawda – odezwał się Papaj.

– Nie, to niemożliwe – Sobótki zawyla, jak śmiertelnie zranione zwierzę. Krew odpłynęła z jej twarzy, wargi zsiniały, na czoło wystąpiły krople potu, a ciałem zaczęły wstrząsać konwulsje. Nowicka i Papaj, natychmiast poderwali się z foteli i doskoczyli do kobiety.

– Dzwonił po karetkę, ona ma zawał! – krzyknęła Justyna.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Papaj spojrział na zegarek, a następnie na Nowicką.

– Minęły już prawie dwie godziny – powiedział zdenerwowany, przenosząc spojrzenie na drzwi prowadzące do Sali operacyjnej.

– Musimy czekać – odpowiedziała spokojnie Justyna, powtarzając słowa lekarza dyżurnego.

– Idę po kawę. Też będziesz chciała? – zapytał Andrzej, wstając z krzesła. Miał dość siedzenia i czekania. Biel ścian oraz ten specyficzny szpitalny zapach, budził w nim złe wspomnienia.

– Za kawę dziękuję, ale herbaty chętnie się napiję – odparła Justyna. Głos miała zmęczony podobnie jak wyraz twarzy.

– Dobra zobaczę, co da się zrobić – rzucił Papaj, i wolno ruszył do schodów. Idąc długim ponurym korytarzem, słyszał echo własnych ciężkich kroków. Kiedy wyszedł przed szpital, rozejrzał się zdezorientowany. W Nysie był zaledwie raz, czy dwa i kompletnie nie znał miasta.

– Przepraszam, jak dojść do rynku? – zaczął dwie dziewczyny, wyglądające na licealistki. Wyższa z dziewcząt wskazała mu kierunek. Komisarz podziękował i ruszył przed siebie. Idąc nierównym chodnikiem, rozmyślał nad wydarzeniami ostatnich kilku godzin. Jadąc do Nowego Świętowa nawet nie przypuszczał, że będzie musiał ratować ludzkie życie, choć jako policjant był na to przygotowany. Czy gdyby wiedział, że wyniki badania DNA, przyprawią Annę Sobótkę o zawał serca, to zrezygnowałby z ich przekazania? Zapewne nie, ale zrobiliby to w jakiś inny sposób. Tylko czy ta inna forma, dawała gwarancję uniknięcia tego, co się stało? Jego rozmyślenia przerwał dzwonek telefonu. Widząc, że dzwoni Polak, przypomniał sobie o pytaniach do żony Edwarda Kowalskiego, jakie przekazał koledze jeszcze przed wizytą u Anny Sobótki.

– Cześć Andrzej – usłyszał w słuchawce zmęczony głos, wskazujący na to, że dla Polaka także mijający dzień nie należał do lekkich – mam dla ciebie kilka informacji, niestety większość złych – uprzedził komisarz.

– No dobra dawaj – zachęcił Papaj – widocznie dzisiaj jest dzień złych nowin – dodał bardziej do siebie niż kolegi.

– Zacznę od tego, że Katarzyna Kowalska nic nie wie o remoncie na warsztatach. Według niej mąż o niczym takim nie wspominał. Twierdzi również, że w ich domu nie ma żadnych zabytkowych przedmiotów, choć w tej kwestii może się mylić, bo dzieła sztuki jej nie interesują, i zwyczajnie się na nich nie zna. Z kolei nazwisko Owczarka gdzieś słyszała, prawdopodobnie podczas rozmowy męża z Żeromskim, który czasami u nich bywał – Papaj słuchał bez większego zainteresowania. Już wtedy, gdy prosił Polaka o przysługę, wiedział, że nic z tego nie będzie, a ustalenia kolegi tylko potwierdziły jego przeczcucia.

– W takim razie, sorry stary, że zawracałem ci gitarę – przeprosił Papaj, dochodząc do skrzyżowania. Rozejrzał się uważnie w poszukiwaniu czerwonej wieży, która miała być jednym z punktów orientacyjnych na trasie do rynku.

– Żaden problem – uciął Polak – ale powiem ci, że ta Kowalska podobnie jak Masłowski, przyjęła dość oryginalną linię obrony.

– To znaczy? – tym razem Andrzej okazał większe zainteresowanie. Był ciekaw w jaki sposób kobieta będzie chciała okpić wymiar sprawiedliwości.

– Kowalska zeznała, że gdy wróciła z zakupów, znalazła męża leżącego na podłodze w kuchni. Podobno mężczyzna nie dawał oznak życia. Próbowała nim potrząsać, ale to nie przyniosło efektu. Wtedy złapała za leżący na blacie nóż, i nie wiedząc czemu zaczęła na oslep dźgać męża. Opamiętała się dopiero wtedy, kiedy zobaczyła, że jej ręce są całe we krwi.

– Albo choroba psychiczna, albo umiejętności aktorskie – pomyślał Papaj i przypominając sobie, jaką fantazją w łóżku wykazywała się Kocia-Kicia, obstawiał to drugie.

– To masz chłopie niezły cyrk – rzucił współczująco.

– Niestety – potwierdził Polak – ale przynajmniej Kowalski odzyskał przytomność. Co prawda według lekarza, dopiero za kilka dni będzie można go przesłuchać, jednak zagrożenie życia minęło. Być może dzięki jego zeznaniom, dowiemy się, jak było naprawdę. – Tym razem w głosie Polaka prócz zmęczenia słychać było także nadzieję.

– A co z wnioskiem o areszt dla Masłowskiego? – spytał Papaj, zbliżając się do rynku i wypatrując jakiejś kawiarni. W głębi rozległego placu nieco po lewej dostrzegł masywną bryłę katedry. Komisarz zauważył, że prócz niej na rynku było jeszcze kilka kamieniczek, wyglądających na zabytkowe. Pozostałą część zabudowy stanowiły kilkukupietrowe bloki, wzniesione zapewne w czasach PRL-u.

– Sąd przychylił się do wniosku i Masłowski, podobnie jak Kowalska trafił do pudła – poinformował Polak. Wiadomość o aresztowaniu Masłowskiego poprawiła Papajowi nastrój.

– Wiesz, muszę już kończyć – powiedział Andrzej, wylawiając wśród sklepowych witryn napis Café „Bombonierka”. Przebiegł przez ulicę, przemierzył niewielki skwer, i po chwili wszedł do przytulnej kawiarni. Wewnątrz pachniało kawą i ciastem. Przy stolikach siedziało kilkanaście osób. Cichy gwar rozmów i nastrojowa muzyka tworzyły relaksacyjny klimat. Papaj obrzucił łakomym spojrzeniem zawartość witryny, w której wystawiono ciasta, babeczki, i taki wybór deserów, jakiego komisarz dawno nie widział. Przez chwilę stał niezdecydowany, pożerając wzrokiem wszystkie te smakołyki. Nagle, nachalne wibrowanie telefonu, zepsuło mu całą przyjemność. Przekonany, że to wiadomość od Nowickiej sięgnął do kieszeni i wyciągnął smartfon. Ku jego zdziwieniu na ekranie widniała ikonka powiadomienia z aplikacji randkowej. Nigdy wcześniej jej nie widział, ale doskonale wiedział, że pokazuje się tylko wtedy, gdy w pobliżu znajduje się inny użytkownik serwisu, spełniający oczekiwania, jakie Papaj zamieścił na swoim profilu. Kliknął powiadomienie i po chwili zobaczył zdjęcie profilowe Alutki24. Duże brązowe oczy dziewczyny, przesłonięte czarnymi rzęsami, gęstymi jak pajęczyna, patrzyły odważnie.

– Czy w czymś mogę pomóc? – usłyszał nagle miły dziewczęcy głos. Uniósł głowę i zbaraniał. Przed nim we własnej osobie stała właścicielka dużych brązowych oczu. Dziewczyna, widząc jego minę, uśmiechnęła się serdecznie.

– Mamy doskonały sernik z brzoskwiniami – oznajmiła, wskazując na jedno z ciast.

– To ja poproszę dwie porcje, i do tego dwie kawy na wynos – powiedział Andrzej, odzyskując głos. Obserwując jak Alutka24 kroi ciasto, zwrócił uwagę, że dziewczyna musiała niedawno być u fryzjera, bo na zdjęciu profilowym z portalu randkowego, miała znacznie dłuższe włosy. Poza tym wszystko się zgadzało. Papaj jednym gestem polubił profil dziewczyny i przesłał jej buziaka. Był ciekaw czy kiedy Alutka24 zobaczy wiadomość, skojarzy jej nadawcę z facetem, któremu sprzedała sernik i kawę.

– Czy to wszystko? – zapytała dziewczyna, pakując do papierowej torby kubki z kawą i pudełko z ciastem.

– A o pani numer telefonu mogę prosić? – zapytał na tyle cicho, aby nikt inny poza nim i ekspedientką nie usłyszał prośby. Alutka24 spiorunowała go wzrokiem, ale na komisarzu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

– Może to się panu wydać dziwne, ale nie korzystam z czegoś takiego jak telefon – oświadczyła tonem, który z niedawną serdecznością miał niewiele wspólnego.

– To wielka szkoda – stwierdził, udając rozczarowanie. Zapłacił i z papierową torbą w dłoni ruszył z powrotem do szpitala. Mijając jeden z bloków, usłyszał z otwartego okna głos prezentera radiowego, informującego, że za dziesięć minut będzie godzina szesnasta. Papaj po raz drugi w ciągu kwadransa zbaraniał.

– O murwa mać – zaklął pod nosem. Zlokalizował wzrokiem najbliższą ławkę, szybko do niej podszedł, i ciężko opadł na drewniane siedzisko. Torbę z kawą i sernikiem postawił obok, wyciągnął telefon i wybrał numer Anny Moskal.

– No cześć – powiedziała ciepło. Komisarz, choć siedział na ławce, to o mało co z niej nie spadł. Ton, jakim został powitany, zupełnie nie pasował do tego, którym do tej pory komunikowała się z nim pani prokurator. Przemknęło mu nawet przez głowę, że pomyliła jego numer z kimś innym.

– No Hej, z tej strony Papaj – zaczął ostrożnie, przygotowany na nagłą zmianę w głosie i zachowaniu kobiety.

– No przecież wiem, że to ty – przyznała z tą samą serdecznością, co gdy odebrała telefon.

– Jestem w Nysie w szpitalu i obawiam się, że będziemy musieli przelożyć naszą kawę – powiedziała Papaj jednym tchem.

– A co ty robisz w szpitalu? Czy coś ci się stało? – troska w głosie Anny Moskal była tak autentyczna, że komisarzowi aż zrobiło się głupio.

– Mi nic nie jest, ale Anna Sobótką miała zawał – zaczął i przez kolejne kilka minut relacjonował wydarzenia ostatnich kilku godzin.

– To dlaczego ja dopiero teraz dowiaduję się o wynikach badań DNA? – zapytała z wyrzutem, kiedy skończył opowiadać. Życzliwość wyparowała z jej głosu jak przysłowiowa kamfora.

– Sądziłem, że prokuratura też dostała wyniki – bronił się Andrzej, sprawdzając wolną dłoń czy kawa jest jeszcze ciepła.

– Nawet jeśli, to do mnie one nie dotarły.

– A to już trzeba mieć pretensje do tych, co u was listy roznoszą, a nie do bogu ducha winnego gliniarza – zadrwił Papaj, i natychmiast zrozumiał swój błąd.

– Jutro rano chcę otrzymać od pana szczegółową notatkę do akt sprawy – oznajmiła zimno i bez pożegnania zakończyła połączenie.

– Psia krew, co za parszywy dzień – burknął komisarz, i szybkim krokiem ruszył w stronę szpitala.

– Już myślałam, że zablądziłeś i nawet zamierzałam pójść cię szukać – tym razem to nie on drwił, ale z niego drwiono.

– Justyna, wystarczy, że przed chwilą miałem rozmowę z prokuratorką.

– A to pani Moskal jest winna. Skoro tak, to najmocniej przepraszam – wyznała potulnie Nowicka, odbierając kubek z letnią kawą. Upiła łyk i skrzywiła się z niesmakiem.

– O ile mnie pamięć nie myli, zamawiałam herbatę – oznajmiła z lekkim wyrzutem. Wpatrzony w uchylone drzwi Sali operacyjnej Papaj, zignorował jej uwagę.

– Co z Sobótką? – spojrział pytająco na Nowicką.

– Będzie żyła, choć zawał był dość rozległy. Jednak minie kilka, a może nawet kilkanaście dni nim dojdzie do siebie.

– No to przynajmniej jakaś dobra wiadomość, w gąszczu tych wszystkich, kiepskich informacji – Papaj odetchnął z ulgą. W milczeniu dopili kawę, a następnie zeszli na parking, gdzie zostawili samochód.

– Po drodze zapraszam cię na herbatę, a do tego przepyszny sernik z brzoskwiniami – zapowiedział komisarz, pokazując na trzymaną w dłoni torbę.

– Ty to chyba masz słabość do sernika?

– Do serników, i to we wszelkiej postaci – sprostował Andrzej, zapalając silnik.

Na miejsce postoju wybrali tę samą stację benzynową, na której pili kawę, gdy pierwszym razem wracali z Nowego Świętowa.

– Wiesz, nie sądziłam, że to będzie dla niej aż takim szokiem – odezwała się Nowicka, nawiązując do tego, co zaszło w domu Anny Sobótki.

– Pewnych reakcji nie jesteśmy w stanie przewidzieć, a czas nie tylko goi rany, ale może je też rozdrapywać – stwierdził z namysłem Papaj.

– Wiem, wiem, ale mimo wszystko spodziewałam się mniejszego wstrząsu. Myślałam, że po trzydziestu latach nie wywoła to aż takich emocji.

– Najważniejsze, że wszystko skończyło się tak, jak się skończyło – zauważył komisarz – a teraz gdy już wiemy czyj to szkielet, zajmijmy się ustaleniem, kto zabił i zakopał Mieczysława Sobótkę – dodał z przekonaniem.

– I ty sądzisz, że to jest możliwe?

– Nie sądzę, ale jestem przekonany, a co więcej mam już nawet pierwszego podejrzanego – odparł tajemniczym tonem. Na potwierdzenie swoich słów, położył na stole fotografię, przedstawiającą Adama Pawłowskiego oraz Mieczysława i Annę Sobótkę.

– Jeśli masz na myśli tego Amerykanina, to musiałbyś zdobyć mocne dowody, co po tylu latach graniczy z cudem, a samo zdjęcie to żaden dowód – stwierdziła Nowicka, upijając tyk zielonej herbaty i nabierając na plastikowy widelczyk kawałek sernika.

– Ja nie twierdzę, że udowodnienie winy będzie łatwe – przyznał komisarz – ale póki nie minął okres przedawnienia, mamy obowiązek dochodzić prawdy – przypomniał, nieco pompatycznym tonem – a poza tym od chwili, gdy znaleźliśmy pistolet i ustaliliśmy, do kogo należał, miałem przecucie, że zabitym jest właśnie Sobótka. Dlatego biorąc pod uwagę fakt jego współpracy z wywiadem i konszachty z Pawłowskim, uważam, że to on go zabił – stwierdził kategorycznie Papaj i także zabrał się za kawę i sernik.

Kiedy wreszcie dojechali do Wrocławia, dochodziła dziewiętnasta. Papaj wysadził Nowicką obok komendy, gdzie miała zaparkowany samochód, a sam ruszył do siebie. Po kolacji jeszcze raz przejrzał wszystko, co otrzymał od Sylwii na temat działalności Sobótki i Pawłowskiego. Było tego niewiele. Kilka krótkich notatek służbowych, jeden dłuższy raport i parę zdjęć. Rano jadąc do Nowego Świętowa, zamierzał zapytać Annę Sobótkę, czy знаła Adama Pawłowskiego. Gdyby kobieta zaprzeczyła, pokazałby jej zdjęcie wykonane w jakiejś wrocławskiej kawiarni. Mogło przecież być tak, że Pawłowski używał innych personaliów. Jednak teraz, gdy kobieta leżała w szpitalu nie zamierzał ani pytać o znajomość z Amerykaninem, ani pokazywać zdjęcia. Obawiał się jej reakcji i zwyczajnie, wołał dmuchać na zimne.

– Dzisiaj, to już chyba nic nie wymyślę – uznał i zaczął chować materiały do teczki. Gdy wkładał zdjęcie z pamiętnym kontenerem szpiegowskim w formie kamienia, coś go zastanowiło. Ponownie przyjrzał się fotografii, a zwłaszcza kamieniowi. Był pewien, że gdzieś już go widział, i to całkiem niedawno. Wyteżył pamięć, ale nie potrafił przypomnieć sobie tego miejsca. Jego bezskuteczne próby

przerwał dźwięk powiadomienia z aplikacji randkowej. Sięgnął po telefon i tak jak przypuszczał, zobaczył wiadomość od Alutkiz24.

– „Mam nadzieję, że wam smakowało” – napisała dziewczyna. Papaj wiedział, że użycie sformułowania „wam smakowało” było celowe.

– „Tak, oczywiście. Mój dziadek nie mógł się nachwalić sernika” – odpisał i w myślach przeprosił ducha swojego protoplasty.

– To w takim razie zapraszam ponownie, tylko tym razem dziadka zostaw w domu” – sugestywność wiadomości była, aż nadto czytelna i Andrzej żałował, że do Nysy jest tak daleko.

– „Jeśli będę kiedyś w okolicy, to się odezwę” – zapowiedział, ale na tę wiadomość nie otrzymał już odpowiedzi. Czekał jeszcze dłuższą chwilę, aż w końcu wstał od stołu i poszedł spać, zostawiając prysznic na rano.

Gdy nazajutrz Papaj wszedł do biura, Polak siedział za swoim biurkiem i zawzięcie uderzał w klawisze laptopa, mrucząc coś pod nosem.

– Cześć pracy – rzucił wesoło Andrzej, podchodząc do swojego biurka.

– Jak ty możesz z nią pracować? – zapytał Polak, nie przerywając pisania. W pierwszej chwili Papaj nie zrozumiał, o kim kolega mówi. Dopiero gdy dodał – ona wszystko chce mieć na piśmie. W tej prokuraturze to jej chyba nie lubią – dotarło do komisarza, że chodzi o Annę Moskał.

– Dobrze, że mi o niej przypomniałeś, bo muszę ją poprosić o kilka rzeczy – podziękował Andrzej, i też zabrał się za pisanie pisma. Po pierwsze musiał otrzymać zgodę na ekshumację ciała z cmentarza w Nowym Świątowie, a po drugie trzeba było ustalić, kiedy rodzina będzie mogła odebrać szczątki Mieczysława Sobótki. Druga sprawa mogła jeszcze poczekać, ale pierwszą Papaj chciał załatwić błyskawicznie. Choć zdawał sobie sprawę, że okres na ekshumację rozpoczyna się dopiero 16 października, to miał nadzieję na otrzymanie zgody we wcześniejszym terminie. Tym bardziej że od pochówku ciała minęło prawie trzydzieści lat, więc jedyne co wydobędą z trumny, to kości. Papaj przebiegł wzrokiem po treści e-maila, a uznając, że jest dość formalny, jak dla Anny Moskał kliknął ikonkę wysyłania wiadomości. Następnie wstał i ruszył do drzwi.

– Tylko nie mów, że już skończyłeś? – zdziwił się Polak.

– Z panią prokurator trzeba krótko i jasno – poradził Papaj, wychodząc na korytarz. Podszedł do okna i obracając w dłoni smartfon, rozważał, czy powinien zatelefonować do prokuratorce. W końcu podjął decyzję i wybrał jej numer.

– Przepraszam za wczoraj – zaczęła, gdy tylko odebrała.

– Trudno, siła wyższa – odpowiedziała chłodno.

– Przed chwilą wysłałem ci e-maila w sprawie ekshumacji i wydania rodzinie szczątków Sobótki.

– Niestety nie ma mnie w biurze, ale jak wrócę, to natychmiast się tym zajmę – zapewniła rzeczowo, i tak oficjalnie jakby nie mogła swobodnie rozmawiać. Papaj podziękował i obserwując uliczny ruch, zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Nagle usłyszał za sobą trzaśnięcie drzwi i szybkie kroki, ktoś szedł w jego stronę. Spojrzył przez ramię i zobaczył Polaka.

– Słuchaj, dzwoniли do mnie ze szpitala. Kowalski chce, abym do niego przyjechał – zakomunikował kolega.

– Ale przecież lekarz mówił, że będzie mógł zeznawać dopiero za kilka lub kilkanaście dni – zdziwił się Andrzej.

– Tak, lecz wygląda na to, że facet nie chce czekać tyle czasu. Poza tym lekarz prowadzący, też chciał zamienić ze mną kilka słów, więc stwierdziłem, że pojedę.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, to ja i Nowicka też chętnie pogadamy sobie z panem Kowalskim, skoro stał się taki chętny do rozmowy – poprosił Papaj.

– A Nowicka musi jechać?

– Chciałbym, aby pojechała – przyznał Andrzej – tym bardziej że to ona powiązała Kowalskiego z remontem tych warsztatów – wyjaśnił i w skrócie opowiedział, jak do tego doszło.

To rzeczywiście powinna – zgodził się Polak, nie kryjąc podziwu dla zdolności młodej policjantki.

Lekarz opiekujący się Edwardem Kowalskim był niski, miał sympatyczną, choć nalaną twarz i nosił okulary w staromodnych rogowych oprawkach. Mimo dość powolnych ruchów, mówił konkretnie i zwięźle.

– Pacjent został przyjęty z ranami kłutymi. Jednak choć początkowo wyglądały one dość poważnie, to po bliższych oględzinach okazało się, że w zasadzie nie zagrażały jego życiu.

– Jak to, przecież gdy zabierała go karetka, był nieprzytomny – wtrącił zdziwiony Polak.

– Tak, ale przyczyną utraty przytomności nie były obrażenia, lecz zawał mięśnia sercowego – wyjaśnił spokojnie lekarz – na szczęście nie był on zbyt rozległy. Co więcej, rany zadane nożem jeszcze go osłabiły. Wiem, że to brzmi paradoksalnie, ale tak właśnie uważam – dodał, widząc ich zaskoczenie.

– Czyli żona Kowalskiego mówiła prawdę – mruknął do siebie Polak, gdy opuścili gabinet lekarza i skierowali się do Sali, w której leżał Kowalski. Mężczyzna, choć blady, nie wyglądał na chorego.

– Mówiąc, że chciałbym rozmawiać z policją, nie miałem na myśli całej komendy – powiedział na powitanie. Papajowi nie spodobał się drwiący ton pacjenta, ale postanowił pozostawić jego wypowiedź bez komentarza.

– W takim razie my poczekamy na korytarzu i przyjdziemy, jak komisarz Polak z panem skończy – odezwała się Nowicka i ruszyła do drzwi. Oniemiały Papaj zrobił to samo.

– Prywatnie też jesteś taka ostra? – zapytał, gdy usiedli na ustawionej pod ścianą ławce.

– To zależy dla kogo, i w jakiej sprawie – odparła słodko.

– Poprosiłem panią prokurator, aby wystąpiła z wnioskiem o ekshumację zwłok z cmentarza w Nowym Świątowie – Papaj zmienił temat.

– Teraz, kiedy już wiadomo, że na warsztatach znaleziono Sobótkę, nie powinno być z tym problemów – zauważyła Nowicka.

– Nie byłbym taki pewien.

– Andrzej możesz mi powiedzieć, dlaczego ty i Anna Moskal macie do siebie dość specyficzny stosunek zawodowy – w pierwszej chwili Papaj pomyślał, że użycie przez Justynę słowa „stosunek”, nie było przypadkowe.

– Czyżby się czegoś domyślała? – przemknęło mu przez głowę.

– Czasami mam wrażenie, że jedno chce drugiemu coś udowodnić, tylko nie bardzo wiem co – w tym, co powiedziała Nowicka, było sporo racji i komisarz doskonale o tym wiedział. Jednak nie chciał wtajemniczać jej w swoje życie prywatne. Wystarczyło, że знаła okoliczności, w jakich poznał Katarzynę Kowalską.

– Śpięcia na linii policja, prokuratura to nic nowego, a co do mnie i pani prokurator, to mamy zupełnie odmienne charaktery, poczucie humoru i podejście do wykonywanego zawodu – skwitował Papaj i zamilkł, oczekując na reakcję Nowickiej.

– Zauważyłam – rzuciła krótko. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale przeszkodziło jej pojawienie się Polaka.

– To teraz jest wasz – oznajmił, siadając obok Papaja – możecie go zjeść – dodał, przeglądając zrobione zapiski.

– Dziękujemy za pozwolenie i na pewno z niego skorzystamy – oświadczyła Nowicka, ruszając do Sali.

Kowalski obrzucił ich niechętnym spojrzeniem, ale się nie odezwał.

– Jak pan pamięta, byliśmy umówieni kilka dni temu na rozmowę u pana w domu – zaczęła Justyna, siadając na przysuniętym do łóżka krześle – niestety wtedy nie udało nam się porozmawiać. Dlatego teraz tutaj jesteśmy. To jest komisarz Andrzej Papaj, z którym prowadzę śledztwo w sprawie szkieletu znalezionej na warsztatach przy ulicy Krakowskiej – Kowalski spojrzał na Papaję z zainteresowaniem.

– Gdyby facet wiedział, że jego żona i ja, to by z pewnością któregoś z nas zabił – pomyślał komisarz i mimowolnie uciekł spojrzeniem przed badawczym wzrokiem mężczyzny.

– Proszę mi łaskawie wyjaśnić, co ja mam wspólnego z jakimś tam szkieletem? – przerwał nagle Kowalski, spoglądając wyczekująco na Nowicką. Papaj stał oparty o parapet, ciekaw jak policjantka poradzi sobie z przesłuchaniem mężczyzny. Nie miał zamiaru się wtrącać, tym bardziej że to był jej pomysł. Musiał jednak przyznać, że Kowalski dobrze zaczął, pytając o jego związek ze szkieletem, a nie remontem warsztatów.

– Właśnie tego chcielibyśmy się dowiedzieć – wyjaśniła spokojnie Nowicka – póki co wiemy, że w czasie kiedy zakopano ciało, pan nadzorował remont tych warsztatów – dodała, pokazując Kowalskiemu artykuł z gazety. Mężczyzna spojrzał na kartkę i zrobił minę, jakby właśnie sobie coś przypomniał.

– Wie pani, to było tak dawno, że już o tym zapomniałem, ale rzeczywiście nadzorowałem remont tego budynku – potwierdził, oddając Nowickiej artykuł – jednak o żadnym szkielecie nic nie wiem – zaprzeczył stanowczo.

– Nie pamięta pan, czy kręcili się tam jacyś podejrzani ludzie? – Justyna nie dawała za wygraną. Komisarz wiedział, że to tylko zagrywka przed wyłożeniem na stół asa, którym były zeznania Henryka Żeromskiego.

– Jeszcze raz mówię, to było tak dawno, że nie pamiętam nic prócz tego, że firma, w której wtedy pracowałem, wykonywała ten remont – powtórzył mężczyzna – więc jeśli nie ma pani więcej pytań, to chciałbym odpocząć, bo te rozmowy trochę mnie zmęczyły.

– Rozumiem – Nowicka skinęła głową – mam tylko jeszcze jedno pytanie i już sobie idę. Co było w skrzyniach, jakie razem z Henrykiem Żeromskim wykopał pan na remontowanych warsztatach? – Kowalski drgnął, jak porażony prądem i zmienił się na twarzy.

– Teraz to już zupełnie nie rozumiem, o co pani chodzi – stwierdził, próbując zapanować nad drżeniem głosu.

– To w takim razie, postaram się to wyjaśnić – zapewniła Nowicka, wyjmując z teczki zeznanie Żeromskiego.

– „Razem z Edwardem Kowalskim, wykopywaliśmy skrzynie z dziełami sztuki, które następnie Jan Owczarek wywoził do Berlina zachodniego i tam sprzedawał” – przeczytała, i spojrzała uważnie na Kowalskiego.

– Pierdolony kapuś – syknął mężczyzna i zrezygnowany opadł na poduszki.

– Nie wiem, czy jest pan świadomy tego, że kradzież dzieł sztuki to przestępstwo, które nie ulega przedawnieniu – mówiła dalej Nowicka, ignorując uwagę Kowalskiego o Żeromskim.

– Nawet jeśli sąd da wiarę zeznaniom tego idioty, to według pani, jaki wyda wyrok? – zapytał Kowalski, a na jego bladej zmęczonej twarzy pojawił się złośliwy uśmiech.

– Na pewno skazujący – zapewniła z przekonaniem – i nawet jeśli tylko w zawieszeniu, to z pracą w administracji samorządowej może się pan pożegnać, bo doskonale panu wiadomo, że niekaralność w takich służbach to podstawa – dodała z równie złośliwym uśmiechem. Kowalski w jednej chwili przygasł i wyglądało, iż zrozumiał, w jak fatalnym znalazł się położeniu.

– Do tego jeszcze te oskarżenia o korupcję – przypomniała cicho Nowicka i wstała z krzesła.

– proszę wszystko na spokojnie, dokładnie przemyśleć, może jednak coś sobie pan przypomni – zaproponowała, ruszając do drzwi. Kowalski wyglądał jak ktoś, kto właśnie toczy wewnętrzną walkę.

– Czy jeśli wam pomogę, to mogę liczyć na waszą pomoc?

– Co pan przez to rozumie? – odezwał się Papaj, zaintrygowany słowami mężczyzny. Kowalski milczał przez dłuższą chwilę.

– Po prostu proponuję uczciwy układ – powiedział w końcu – ja pomogę policji wyjaśnić zagadkę szkieletu z warsztatów, a policja zapomni o dziełach sztuki i tych pseudo łapówkach – dokończył, patrząc badawczo to na Nowicką to na Papaję. Komisarz rozważał w myślach usłyszaną właśnie propozycję. Z jego punktu widzenia sprawa szkieletu była już właściwie rozwiązana. Owszem nie miał dowodów na to, że Pawłowski zabił Sobótkę, ale przynajmniej ustalił, kim był mężczyzna zakopany na warsztatach. Mimo to w słowach Kowalskiego kryła się jakaś zagadka, tak jakby mężczyzna wiedział coś, o czym oni nie mieli pojęcia.

– Dobrze, jeśli pańskie informacje pomogą rozwiązać sprawę szkieletu, pomożemy panu – zgodził się Papaj – oczywiście w miarę naszych prawnych możliwości – dodał.

– Taka obietnica mnie nie satysfakcjonuje. Chcę jasnej deklaracji – zażądał Kowalski.

– W takim razie, muszę znać więcej szczegółów proponowanej przez pana pomocy – zażądał Papaj. Słowa komisarza sprawiły, że Kowalski znowu zamyślił się na dłuższą chwilę.

– Zrobimy tak, ja teraz opowiem pewną historię, po jej wysłuchaniu będą mieli państwo dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji. Jeśli będzie po mojej myśli, przedstawię dowód potwierdzający autentyczność opowiedzianej historii – powiedział Kowalski. Teraz ciekawość Papaję była rozpalona, jak piec hutniczy.

– W takim razie słuchamy – zachęcił Andrzej, pokazując gestem Nowickiej, aby z powrotem usiadła.

– Skoro rozmawialiście z Żeromskim, to w swojej opowieści pominę to, co już zapewne wiecie, a skoncentruję się na tym, o czym Henryk nie ma pojęcia. Owczarek miał bzika na punkcie nowinek technicznych. Jako pierwszy z naszej trójki kupił sobie kolorowy telewizor i nie był to Rubin, ale Sony. Także jako pierwszy posiadał magnetowid i kamerę. Wymyślił więc sobie, że będzie nagrywał, jak wykopujemy te skrzynie i wyjmujemy ich zawartość. Później jechał do Berlina Zachodniego z kasetą i pokazywał kupcom, co ma na sprzedaż. Tak samo było z warsztatami. Najpierw zawiózł kasetę, a później towar. Kiedy wrócił z pieniędzmi, powiedział mi, że na warsztatach jest jeszcze jedna skrzynia, której nie było na znalezionych przez Żeromskiego planach. Miała ona być zakopana nie w hali głównej, ale pod tylną ścianą warsztatów. W nocy z 20 na 21 sierpnia, nie informując Żeromskiego, poszliśmy ją odkopać. Owczarek jak zwykle zabrał z sobą kamerę. Jednak choć kopaliśmy w różnych miejscach, niczego nie znaleźliśmy. Gdy uznaliśmy, że trop był fałszywy, wyszliśmy z warsztatów. Już mieliśmy odejść do zaparkowanego dwie ulice dalej Forda, należącego do Owczarka, kiedy zobaczyliśmy jadący ulicą samochód. Bojąc się, że to może być milicja, schowaliśmy się za ustawionymi przy ścianie workami z cementem. Kryjówka była na tyle bezpieczna, że mogliśmy obserwować okolice. Chwilę później pod budynek podjechał duży fiat. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn. W świetle latarni byli bardzo dobrze widoczni. Obaj mieli jasne włosy, różnili się jedynie

wzrostem. Przez chwilę rozmawiali, ale tak cicho, że docierały do nas tylko pojedyncze słowa. W pewnej chwili jeden z nich ruszył z powrotem do samochodu. Wtedy ten drugi złapał go od tyłu za szyję i udusił – zakończył Kowalski. Przez chwilę milczał, a potem sięgnął po butelkę z wodą, stojącą na stoliku. Papaj słuchał opowieści jak zahipnotyzowany. Nawet jeśli początkowo, uważał ją za konfabulację, to wzmianka o uduszeniu wszystko zmieniła.

– A co jest dowodem potwierdzającym prawdziwość pana opowieści? – zapytała Nowicka, ubiegając Papaję, który miał zamiar zadać dokładnie to samo pytanie.

– Ale to jeszcze nie koniec tej historii – Kowalski znacząco zawiesił głos i po chwili opowiadał dalej.

– Patrzyliśmy, jak morderca zaciągnął ciało do budynku, jednak tego, jak je zakopywał, nie widzieliśmy, bo w środku było ciemno. Kiedy po godzinie odjechał, wyszliśmy z ukrycia i wtedy Owczarek oznajmił, że nagrał scenę morderstwa. Gdy go zapytałem, dlaczego to zrobił, z tajemniczym uśmiechem odpowiedział, że z tego też mogą być duże pieniądze. Początkowo nie wiedziałem, co miał na myśli. Jednak odwołując mnie do domu, zdradził, co zamierza. Korzystając ze znajomości w wydziale komunikacji, miał zamiar odszukać właściciela samochodu i zaproponować mu odkupienie taśmy. Pomysł wydał mi się niedorzeczny, ale Owczarek obstawał przy swoim. Dwa dni później wezwał mnie do swojego gabinetu. Powiedział, że wie, do kogo należy samochód, ale nie zdradził szczegółów. Stwierdził jedynie, że już rozmawiał z mordercą i za taśmę dostaniemy pięć tysięcy dolarów, co na tamte czasy było małą fortuną. Wręczył mi również kasetę, mówiąc, że to jest kopia i gdyby coś mu się stało to mam ją dostarczyć na milicję. Tamtego dnia widziałem Owczarka ostatni raz w życiu. Kasety oczywiście nie oddałem, bo jak bym wyjaśnił, co robiłem na remontowanych warsztatach o pierwszej w nocy.

– Rozumiem, że to ta kasetę ma być dowodem potwierdzającym pana opowieść? – zapytał Papaj, który o ile początkowo wierzył Kowalskiemu, to po wysłuchaniu opowieści do końca, zaczął mieć wątpliwości co do autentyczności całej tej historii.

– Tak – potwierdził mężczyzna – i gdy dojdziemy do porozumienia, przekażę ją państwu – zapewnił. Papaj nie zamierzał składać żadnych poważnych deklaracji. Po pierwsze nie miał takich uprawnień, a po drugie musiał przeanalizować wszystkie wątpliwości.

– Proszę pamiętać, że moja propozycja jest ważna tylko dwadzieścia cztery godziny – przypomniał Kowalski, gdy byli już w drzwiach.

Kiedy wyszli na korytarz, komisarz rozejrzał się za Polakiem, ale kolegi nigdzie nie było.

– No tak, Polak sobie pojechał, a my mamy do wyboru zapchany autobus, albo własne nogi – wymamrotał niezadowolony, kierując się do wyjścia.

– Trochę ruchu jeszcze nikomu nie zaszkodziło, dlatego proponuję spacer – pomysł Justyny nie przypadł komisarzowi do gustu. Jednak z drugiej strony, była to lepsza opcja niż jazda zatłoczonym autobusem.

– Wierzysz mi? – zapytała Nowicka, gdy opuścili szpital.

– Z początku nawet wierzyłem, ale motyw z kamerą wideo i szantażowaniem mordercy jest moim zdaniem naciągany.

– A to dlaczego?

– Nie wiem, czy ci wspominałem, ale jak byłem u Antoniego Wilczyńskiego, wiesz tego milicjanta, który prowadził obie te sprawy, to on powiedział mi niezwykle ciekawą rzecz. Twierdzi i jest tego pewien, że na dzień lub dwa przed zaginięciem Sobótki i Owczarka widział ich razem, jak rozmawiali niedaleko komisariatu.

– Tak pamiętam, ale co to ma wspólnego z opowieścią Kowalskiego? – zdziwiła się Justyna.

- Ma i to bardzo wiele. Kowalski zeznał, że morderstwo miało miejsce w nocy z 20 na 21 sierpnia. Z kolei my wiemy, że Sobótka jeszcze 23 sierpnia był w pracy i zaginął dopiero następnego dnia. Do tego należy dodać fakt, że Wilczyński widział Sobótkę rozmawiającego z Owczarkiem 22 lub 23 sierpnia. To wszystko w zestawieniu z wynikami badań DNA, które przecież potwierdziły, że na warsztatach zakopano Sobótkę, daje gotową odpowiedź, że Kowalski nie mógł w nocy z 20 na 21 sierpnia być świadkiem morderstwa – podsumował Papaj.

- A jeśli ktoś się myli? – zasugerowała Nowicka.

- Też o tym pomyślałem – przyznał komisarz – i to jest jedyne logiczne wyjaśnienie tych rozbieżności – dodał – jednego jesteśmy pewni, bo to wynika z dokumentów, że zaginięcie Sobótki zostało zgłoszone 24 sierpnia, natomiast posadzkę na warsztatach wylano 26 sierpnia. To oznacza, że zwłoki zostały zakopane między piątkiem a niedzielą – zakończył.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Słuchając przemyśleń Papaja o historii, jaką usłyszeli z ust Edwarda Kowalskiego, Justyna musiała przyznać rację komisarzowi. Kluczowe nieścisłości dotyczyły dat, a zwłaszcza tych podawanych przez Kowalskiego. Wątpiła jednak, aby mężczyzna na poczekaniu wymyślił tak niesamowitą historyjkę. Poza tym, dla czego miałby to robić? Przecież musiał sobie zdawać sprawę, że Polska, to nie Ameryka, i układy między podejrzanym a wymiarem sprawiedliwości, były zawierane na zupełnie innych zasadach.

– Andrzej, a może by tak przeszukać dom Kowalskiego? – podzieliła się pomysłem, który nagle wpadł jej do głowy.

– Sądzisz, że ta kaseta naprawdę istnieje?

– Ręki sobie uciąć nie dam, ale jak dla mnie to Kowalski nie wygląda na faceta obdarzonego bujną wyobraźnią, który w minutę wymyśla historyjkę godną wątku z powieści Stefana Króla. Tym bardziej że jak zauważyłeś, opowiadając, nie robił długich przerw dla wymyślenia kolejnych fragmentów.

– Może to nie taki głupi pomysł – mruknął Papaj po chwili zastanowienia – tylko musiałbym poprosić o pomoc Polaka – dodał, marszcząc grube, ciemne brwi.

– No to w czym problem? – zdziwiła się Nowicka – przecież to twój kumpel, siedzicie w jednym pokoju.

– Wiesz, co innego pożyczyć sobie piątką na kawę, a co innego robić lipne przeszukanie – wyjaśnił Andrzej, taksując spojrzeniem mijającą ich młodą, długonogą blondynkę – ale oczywiście spróbuję – zapewnił, wyjmując z kieszeni telefon. Nowicka słuchała, jak wyluszcza Polakowi sprawę, ale z wyrazu twarzy Papaja, niewiele mogła wyczytać.

– Dobra, to będą czekał na telefon – powiedział komisarz i zakończył połączenie.

– Będzie nas to kosztowało duże piwo, ale zgodził się, zwłaszcza że sam też chciałby się tam rozejrzeć. Jak tylko pani prokurator podpisze zgodę, to ma do mnie zadzwonić – zrelacjonował ustalenia z Polakiem.

– Wiesz, wczoraj przed pójściem spać, przeglądałem materiały otrzymane od Sylwii, dotyczące Sobótki i Pawłowskiego – Andrzej zmienił nagle temat rozmowy – na jednym z nich jest pokazany kontener szpiegowski w kształcie kamienia. Patrząc na niego mam nieodparte wrażenie, że już go widziałem – ale nie na jakimś innym zdjęciu – zastrzegł Papaj – tylko w rzeczywistości. Niestety ni cholery nie mogę sobie przypomnieć gdzie – westchnął bezradnie.

– Kamień mówisz – zastanowiła się Nowicka, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

– Tak, taki owalny wielkości połowy cegłówki – powtórzył komisarz, patrząc na Justynę z nadzieją.

– Niestety u mnie w głowie też pustka – bąknęła przepraszająco.

– Pewnie sobie kiedyś przypomnę.

– Zazwyczaj tak to właśnie działa, że gdy chcemy sobie coś przypomnieć, to mamy w głowie próżnię, a gdy wcale o tym nie myślimy, wtedy doznajemy olśnienia – skwitowała filozoficznie Nowicka.

Dochodzili właśnie do komendy, kiedy minęła ich bordowa Mokka.

- Przyjechała twoja ulubiona pani prokurator – mruknęła zaczepnie Justyna.
- A już sądziłem, że się z tobą zaprzyjaźnię – odburknął komisarz, przewracając oczami.
- Na to nigdy nie jest za późno.

- Tak, ale pod warunkiem, że przestaniesz mi dogryzać – zakomunikował Papaj, i ruszył w kierunku wysiadającej z samochodu prokuratorki. Nowicka natomiast weszła do budynku komendy i poszła do siebie. Przeglądając otrzymane e-maile, wróciła myślami do opowieści Edwarda Kowalskiego. Dla niej dziwne było, że facet w połowie lat osiemdziesiątych dysponował kamerą wideo. W polskich sklepach czegoś takiego na pewno nie kupił. Co prawda często wyjeżdżał na zachód, więc teoretycznie mógł ją sobie stamtąd przywieźć. Nagle wpadł jej do głowy prosty sposób na sprawdzenie, czy w kwestii kamery Kowalski mówił prawdę. Nowicka sięgnęła do torebki po telefon i wybrała numer Henryka Żeromskiego. – Mam do pana tylko jedno pytanie – powiedziała, kiedy mężczyzna odebrał połączenie – czy Jan Owczarek posiadał kamerę wideo? – Żeromski wydawał się zaskoczony nie tyle jej pytaniem, ile telefonem.

- I pani ma chęć do mnie dzwonić? – wrzasnął wzburzony. Teraz zupełnie nie przypominał mężczyzny, który poprzedniego ranka składał zeznania o procederze, w jakim brał udział razem z Kowalskim i Owczarkiem.

- Oo, pan Kowalski już rozmawiał z Żeromskim – pomyślała, ale nie dawała za wygraną.

- Zapytam jeszcze raz. Czy Owczarek miał kamerę? – Teraz to ona podniosła głos – i albo mi pan odpowie, albo spotkamy się na komendzie, ale tym razem to pana tutaj radiowozem przywiozę – zagroziła, obojętna na zdziwione spojrzenia, które skupili na niej pozostali, obecni w pokoju policjanci.

- Tak miał kamerę – wycedził Żeromski i przerwał rozmowę.

- Czyli jedna wątpliwość już wyjaśniona – mruknęła zadowolona i zadzwoniła do Papaja, aby poinformować go o tym, co właśnie ustaliła.

- To świetnie – przyznał komisarz, lecz w jego głosie nie było słycać entuzjazmu – wybacz, ale teraz nie bardzo mogę rozmawiać, oddzwonię później – przeprosił.

- Nie, to nie – bąknęła do siebie Nowicka i wróciła do przeglądania poczty

Kiedy przeczytała ostatnią z wiadomości, wyłączyła komputer i zeszła do pokoju Papaja.

- Andrzeja nie ma? – udała zaskoczenie.

- Był, ale jakieś pół godziny temu wyszedł, zapowiadając, że już go dzisiaj nie będzie – poinformował Polak.

- Tak właściwie to chciałam z tobą pogadać – odezwała się po krótkiej chwili zastanowienia. Zaskoczony mężczyzna spojrzał na nią uważnie.

- Chciałam zapytać, czy jest już zgoda na przeszukanie willi Kowalskiego?

- Tak, dostarczono mi ją jakieś dziesięć minut temu.

- Papaj o tym wie?

- Jeszcze nie, dzwoniłem do niego przed chwilą, ale ma wyłączony telefon.

- Kiedy moglibyśmy tam wejść?

- Teoretycznie nawet dzisiaj, ale praktycznie bez technika wołę tam nie wchodzić, a Bendka ma czas dopiero jutro, między dziewiątą a dwunastą, o ile nie wypadnie nic nagłego – wyjaśnił rzeczowo Polak.

- Dobra, to w takim razie do jutra – pożegnała się Nowicka i wstała z krzesła. Ruszyła do drzwi, ale nagle się zatrzymała i odwróciła do Polaka.

- Paweł, a możesz mi powiedzieć, co zeznał Kowalski – poprosiła – wiem, że to nie dotyczy naszego śledztwa, ale jestem ciekawa, co tak naprawdę tam się stało – dodała, widząc wahanie komisarza.

– Dobra siadaj – zgodził się Polak. Justyna szybko wróciła na przed chwilą zwolnione miejsce.

– Analizując zeznania wszystkich zamieszanych w sprawę, mogę stwierdzić dwie rzeczy – zaczął komisarz – po pierwsze Masłowski chciał nastraszyć Kowalskiego i dlatego trochę go poddusił. Jednak nie na tyle, aby facet stracił przytomność. Według Kowalskiego Masłowski chciał go zmusić do ustawienia przetargu. Natomiast Masłowski twierdzi, że to Kowalski sam zaproponował. Niezależnie, która wersja jest prawdziwa, Masłowskiemu nie możemy przedstawić zarzutu usiłowania zabójstwa. Druga Sprawa dotyczy Kowalskiej. Kowalski zeznał, że po wyjściu Masłowskiego poszedł do kuchni i zaczął kroić wątróbkę na obiad. W pewnej chwili zrobiło mu się słabo, a kiedy odzyskał świadomość, leżał w szpitalnym łóżku. Wszystko zatem wskazuje na to, że Kowalska mówiła prawdę, twierdząc, że znalazła męża na podłodze w kuchni i z niewiadomych dla niej powodów zaczęła go dźgać nożem – Polak zakończył swój wywód i patrzył na Nowicką z wyczekiwaniem, jakby oczekując komentarza do przedstawionych ustaleń.

– Może Kowalska ma problemy psychiczne – zasugerowała Justyna. Była to pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy.

– Pomyślałem o tym samym, i dlatego ma trafić na obserwację psychiatryczną – potwierdził komisarz, dyskretnie zerkając na zegarek. Dla Nowickiej był to aż nadto wyraźny sygnał do zakończenia wizyty.

– Dobra to ja uciekam i widzimy się jutro – przypomniała, zamykając za sobą drzwi. Idąc na parking, rozważała, czy nie zadzwonić do Papaja, ale skoro wyłączył telefon, to musiał być czymś bardzo zajęty. Próbowwała wypatrzyć jego samochód, ale czarnej Vitary z szarym dachem nigdzie nie było. Zamiast tego dostrzegła dziewczynkę idącą w jej kierunku. Sądząc po wzroście, mała mogła mieć najwyżej dziesięć lat. Jasne krótko ścięte włosy bardziej pasowały do chłopca i tylko niebieska sukienka w różnokolorowe motyle nie pozostawiała wątpliwości. Jednak tym, co przykuło uwagę Nowickiej, był niesiony przez dziewczynkę czarny futerał na skrzypce. Taki sam, jaki ona miała w dzieciństwie. Nienawidziła tego instrumentu, i nim dotarło do jej rodziców, że ich córka nie zostanie światowej sławy skrzypaczką, minęły dwa długie lata, które wolałyby wymazać z pamięci. Może właśnie dlatego, gdy słyszała kogoś grającego na skrzypcach, dostawała gęsiej skórki. Zupełnie tak, jak osoby wrażliwe na dźwięk kredy przyciskanej do tablicy, Skrzypienie styropianu czy odgłos widelca przesuwanego po talerzu. Z rozmyślań o traumach przeszłości wyrwał ją głos dziewczynki.

– Przepraszam, czy mogłaby pani zadzwonić do mojego taty? – poprosiła z pewnym zawstydzeniem – miał mnie odebrać z lekcji muzyki – wyjaśniła – ale go nie ma, a moja komórka się rozładowała – dodała. Nowicka miała ochotę zabrać dziecko na komendę, powiadomić rodziców i zagrozić im kuratorem za tak lekceważące podejście do obowiązków rodzicielskich. Jednak uznała takie działanie za zbyt pochopne. Przecież ojciec dziewczynki mógł na przykład utknąć w korku, ba może nawet próbował skontaktować się z córką, ale jej rozładowany telefon na to nie pozwolił.

– A może cię odwiezie do domu? – zaproponowała Justyna.

– Nie, dziękuję. Rodzice nie pozwalają mi rozmawiać z obcymi, a szczególnie panami.

– Ale ze mną rozmawiasz – Nowicka uśmiechnęła się serdecznie.

– Ale tylko dlatego, że rozładował mi się telefon i pani jest kobietą – rzeczowa odpowiedź dziewczynki dowodziła, że wie, jak należy się zachować.

– No dobra, a znasz numer do taty? – w odpowiedzi dziewczynka wyrecytowała dziewięć cyfr. Policjantka wybrała numer i podała telefon dziewczynce.

– Tato, to ja Zuzia. Rozładowała mi się komórka i dzwonię od jednej pani, którą spotkałam na parkingu. Ja już skończyłam lekcje i czekam na ciebie – powiedziała dziewczynka z lekkim wyrzutem.

Mężczyzna coś odpowiedział, lecz Nowicka nie zrozumiała.

– Powiedział, że zaraz będzie, bo stoi w korku – zaszczębiotała uradowana dziewczynka, oddała telefon i dźwigając futerał ze skrzypcami, podreptała do wolnej lawki.

– Zaradne dziecko – pomyślała Justyna, wsiadając do samochodu. Zastanawiała się przez chwilę czy nie poczekać aż ojciec dziewczynki przyjedzie, ale uznała, że nie ma bardziej bezpiecznego miejsca niż parking przed komendą policji i ruszyła do domu.

Papaj oddzwonił dopiero następnego ranka tuż po siódmej.

– Słuchaj, wczoraj naprawdę nie mogłem rozmawiać – zaczął się usprawiedliwiać.

– Andrzej ja nie jestem twoją żoną, abys się przede mną tłumaczył – ucięła Nowicka.

– To akurat dobrze dla ciebie – mruknął komisarz – ale tak właściwie to dzwonię w sprawie przeszukania willi Kowalskiego – wyjaśnił.

– Podobno dzisiaj mamy tam jechać. Tak przynajmniej usłyszałam od Polaka.

– Właściwie to już tam jedziemy – przyznał Papaj – ale spokojnie poczekamy i bez ciebie nie wejdziemy do środka – zapewnił.

– Tylko byście spróbowali – warknęła Justyna, zakończyła połączenie, w biegu włożyła buty, ze stolika w przedpokoju porwała torebkę i już zbiegała po schodach. Papaj rzeczywiście dotrzymał słowa i razem z Polakiem i Bendką czekał przed domem Kowalskich.

– Ciekawe czy wobec swoich żon też jesteście tacy posłuszni? – zapytała Nowicka, witając się z obecnymi, z których tylko Papaj postanowił zmierzyć się z jej pytaniem.

– Ja nigdy nie byłem, a teraz to już nie muszę.

– A to ciekawe – zdziwiła się Justyna – przy najbliższej okazji będę musiała zapytać Sylwię – dodała.

– Jędza – warknął Andrzej, i ruszył do furtki. Kiedy weszli do środka willi, wszyscy zdębieli. Cały dom wyglądał jak po przejściu huraganu. Połamane meble, rozprute krzesła i kanapy. Wszędzie walające się papiery i odłamki szkła.

– No ktoś już tu przed nami był – mruknął ironicznie Papaj, przechodząc ostrożnie między potłuczonymi doniczkami.

– Myślisz, że szukał tego, co my chcieliśmy znaleźć? – spytała Nowicka, zatrzymując się na środku obszernego salonu.

– Nie mam pojęcia, ale to nie wygląda na pięćminutową wizytę, tylko na kilkugodzinną imprezę – zauważył, podchodząc do drzwi prowadzących na taras. Ich dolna połowa była rozbita.

– Wejść musieli tędy – mruknął, pokazując wyraźne ślady butów.

– A tak właściwie to, czego szukamy? – zainteresował się nagle Bendka.

– Nie powiedzieliście mu? – zaskoczona Nowicka spojrzała na Papaja i Polaka.

– Jakoś tak wyszło – machnął ręką Papaj, przyglądając się ścianie, na której wisiał jedynie pusty uchwył do telewizora.

– Szukamy kasety do magnetowidu – wyjaśniła Justyna. Technik spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Rozumiem, że to taki żarcik?

– Nie, my naprawdę szukamy kasety wideo – zapewnił go Papaj i dopiero wtedy Bendka uwierzył w cel ich wyprawy.

– Zdajecie sobie sprawę, że nawet jak już ją znajdziecie, to będziecie jeszcze musieli w jakimś muzeum poszukać odtwarzacza, bo ja takich zabytków nie mam na stanie – poinformował bardzo rzeczowym tonem. Papaj i Nowicka spojrzeli po sobie.

– To był twój pomysł, więc teraz kombinuj – rzucił komisarz.

– Może najpierw znajdziemy tę kasetę, a później będziemy martwili się resztą – odpowiedziała słodko i wyszła z salonu. Przez chwilę stała, nie mogąc się zdecydować, gdzie powinna zacząć poszukiwania. Ukradkiem spojrzała na Papaja, który z zapalem sprawdzał pootwierane meble. W końcu zajrzała do dwóch pokoi sąsiadujących z salonem. Pierwszym był zapewne gabinet. Świadczyło o tym biurko, kilka regałów na segregatory, których zawartość zaścielała podłogę. Na zakurzonym blacie biurka odcinał się prostokąt, pozbawiony kurzu.

– Tam musiał stać laptop – pomyślała Nowicka, i przeszła do kolejnego pomieszczenia, którym była niewielka jadalnia. Jej całe wyposażenie stanowił stół, cztery krzesła i drewniany barek. Na stole leżały jakieś papiery i kilka otwartych książek, wśród których rzucała się w oczy najnowsza powieść Stefana Króla.

– To za co się zabierasz? – spytał Papaj, stając obok.

– Chyba pójdę na górę – stwierdziła Justyna i ruszyła do schodów. Wnętrze willi, nawet mimo panującego wszędzie bałaganu świadczyło o zamożności właścicieli. Podłogi wykonane z egzotycznego drewna, na szerokich schodach miękkie puszysty dywan tłumiący kroki. Piętro urządzone równie luksusowo co parter, jednak tutaj bardziej rzucała się w oczy praktyczność.

– No tak dół reprezentacyjny, a góra dla domowników – skomentowała Justyna pod nosem. Na piętrze panował identyczny chaos. Odzież wymieszana z różnymi częściami bielizny wałała się nawet po korytarzu. Nowicka zajrzała do pierwszego pokoju z brzegu, będącego sypialnią. Na środku stało duże łóżko z rozprutym materacem. Pod jedną ze ścian leżała sterta ubrań, wysoka na jakiś metr. Podeszła wolno do toaletki. Szuflady i przegródki, w których zapewne Katarzyna Kowalska trzymała biżuterię, były puste. Fakt, że w domu brakowało sprzętów RTV i biżuterii wskazywał na włamanie o charakterze rabunkowym. Jednak równie dobrze celem włamywaczy było coś zupełnie innego, a kradzież miała być tylko zasłoną dymną. Mimo dokładnego sprawdzenia toaletki, komody i szafy Nowicka niczego nie znalazła. Wychodząc z sypialni, zobaczyła Polaka przeszukującego sąsiednie pomieszczenie, wyglądające na pokój gościnny.

– Masz coś? – spytał komisarz, nie przestając przeglądać zawartości komody.

– Nic, i wątpię abyśmy znaleźli tę kasetę.

– Więcej wiary pani aspirant, więcej wiary – usłyszała za sobą zagadkowy głos Papaja. Kiedy zaintrygowana spojrzała przez ramię, zobaczyła komisarza machającego do niej okrągłym, błyszczącym krążkiem.

– Ale przecież to miało być na kasecie, a nie płycie – przypomniała, podchodząc bliżej.

– Bendka twierdzi, że to bardzo stara płyta, taka z końcówki lat dziewięćdziesiątych. Pomyślałem więc, że może Kowalski, idąc z duchem czasu, przegrał nagranie z kasy na płytę.

– Tego nie brałam pod uwagę – przyznała szczerze – a gdzie to znalazłeś? – dodała z ciekawioną.

– Grzecznie leżało w szufladzie biurka – odparł komisarz, puszczając do niej oko. Nowicka natychmiast pożałowała, że nie przeszukała gabinetu.

– Tutaj chyba tego nie obejrzymy – rozejrzała się po zdemolowanym wnętrzu.

– Spokojnie, Czarek pobiegł do samochodu po laptopa, więc za chwilę się przekonamy, co jest na płycie – wyjaśnił Papaj, kierując się w stronę schodów. Nowicka i Polak poszli za nim. Kiedy dotarli do ostatniego stopnia, w drzwiach wejściowych ukazał się Bendka z laptopem pod pachą.

– No dawaj, dawaj chłopie, bo nas już tu ciekawość podgryza – ponaglił go Andrzej, przechodząc do jadalni. Podeszedł do stołu i bezceremonialnie zgarnął jego zawartość na podłogę. Technik postawił na blacie laptop, a sam usiadł na jednym z rozprutych krzesel. Odebrał od Papaja płytę i umieścił ją w napędzie. Następnie kliknął ikonę odtwarzacza. Jednak żadne nagranie nie pojawiło się na ekranie.

– O murwa mać, chyba zepsuta – mruknął rozczarowany Papaj. Jakby na potwierdzenie jego słów na ekranie wyświetlił się komunikat, informujący o uszkodzeniu nośnika lub braku odpowiednich sterowników. Bendka, wyjął płytę i dokładnie ją obejrzał.

– Wygląda na całą – mruknął i ponownie umieścił krążek w napędzie.

– Sądzę, że to wina braku odpowiednich kodeków – wyjaśnił – postaram się ich poszukać, ale nie gwarantuję, że coś tak zabytkowego będzie jeszcze w sieci – zastrzegł.

– Ile ci to zajmie? – spytał zniecierpliwiony Papaj.

– Powiedzmy kwadrans, więc możecie pójść do tego sklepiku po drugiej stronie ulicy i kupić mi jakiś energetyk – poprosił technik, uruchamiając przeglądarkę internetową.

– Jak myślisz uda mu się? – zapytała Nowicka, gdy byli już na zewnątrz.

– Czarek to łebski facet i idę o zakład, że nie spocznie, póki nie znajdzie sposobu na odtworzenie tej płyty – zapewnił Papaj, otwierając drzwi do sklepu. Za ladą stał ten sam mężczyzna co kilka dni wcześniej. Jednak tym razem nie był tak rozmowny, jak poprzednio. Co więcej, Nowicka odnotowała, że gdy ich rozpoznał, wyraźnie się zmieszał. Andrzej wyjął z lodówki energetyka i podszedł do kasy.

– Nie widział pan czy przy willi Kowalskich kręcił się ktoś podejrzany? – pytanie Papaja jeszcze bardziej go onieśmieliło.

– Niczego nie widziałem – odparł i bez słowa wydał komisarzowi resztę.

– Jakiś dziwny ten sklepikarz – bąknął Papaj w drodze powrotnej – wtedy to gadał jak najęty niczym osioł ze Shreka, a teraz ani Be, ani Me – ciągnął dalej i co chwilę odwracał głowę w kierunku sklepu.

– Mam wrażenie, że nasza wizyta go wystraszyła – dodała Nowicka.

– Trzeba będzie się mu przyjrzeć – mruknął Andrzej – ale najpierw chodźmy zobaczyć, co zdziałał Bendka. Kiedy weszli do willi, technik z zadowoloną miną siedział na schodach i czytał premierowe dzieło Stefana Króla.

– Jak tam lektura? – przerwał mu Papaj.

– Przewidywalna, ale mimo to wciągająca.

– A nasz film?

– Gotowy do odtworzenia – stwierdził Bendka i odkładając książkę na szeroką balustradę, ruszył do jadalni. Nowicka, Papaj i Polak pośpieszyli za nim.

Technik poprawił ustawienie monitora i kliknął ikonę odtwarzania. Najpierw na ekranie pojawił się zaśnieżony obraz, a dopiero po chwili jakieś słabo oświetlone wnętrze.

– Dlaczego nic nie słychać? – zdziwił się Papaj.

– Powinieneś się cieszyć, że coś w ogóle widać – odburknął urażony technik – a mówiąc serio, to na oryginale pewnie jest również dźwięk, ale ktoś, kto zgrywał to z kasety, najpewniej zapomniał podłączyć jeszcze kabel audio, i w rezultacie mamy tylko sam obraz – wytłumaczył rzeczowo. W kadrze pojawił się nagle mężczyzna, trzymający w rękach jakiś przedmiot. Niestety oświetlenie pomieszczenia było tak słabe, że Nowicka nie mogła zobaczyć jego twarzy. Natomiast z ruchów, jakie nieznamy zaczął wykonywać, domyśliła się, że trzymanym przedmiotem jest łopata.

– Czarek przewiń do przodu, bo te wykopki są mało ciekawe – poprosił Papaj. Technik spełnił prośbę komisarza i obraz przyspieszył.

– Teraz zwolnij – rzucił Papaj, gdy scenografia uległa zmianie. Jeden szybki ruch technika wystarczył, aby obraz znowu był normalny. Teraz kamera obejmowała teren przed warsztatami. Zawieszona nad wejściem latarnia dawała dostatecznie dużo światła, aby można było rozróżnić wysiadających z dużego fiata mężczyzn. Od strony kierowcy wysiadł Pawłowski, a od strony pasażera Sobótko. Mężczyźni stanęli przed maską samochodu i zaczęli rozmowę. Z mowy ciała nic nie

wskazywało, aby się kłócili, wręcz przeciwnie ich twarze były spokojne, a nawet uśmiechnięte. W pewnej chwili pawłowski wyjął z marynarki jakiś pakunek i wręczył Sobótce, który schował go do trzymanej w dłoni skórzanej teczki.

– To ta teczka – mruknął Papaj, co Bendka potwierdził skinieniem głowy. Nowicka co chwilę zerkała na wyświetlacz swojej komórki, gdzie uruchomiony stoper wskazywał, że mężczyźni rozmawiają już ponad pięć minut.

– Naprawdę nie da się nic zrobić z tym dźwiękiem – upewniła się, spoglądając prosząco na Bendkę.

– Niestety dupa blada – odparł technik z całym przekonaniem. Nowicka żalowała, że nie mogą posłuchać, o czym Sobótka i Pawłowski rozmawiali. Po kolejnych dwóch minutach rozmowy mężczyźni podali sobie ręce i Pawłowski ruszył do samochodu. Gdy otwierał drzwi, Sobótka upuścił torbę, doskoczył do Pawłowskiego i nim tamten zdążył zareagować, objął jego szyję ramieniem i zacisnął uchwyt. Papaj, który oglądał nagranie w wielkim skupieniu, drgnął zszokowany.

– Co jest do kurwy nędzy – zaklął i spojrział pytająco na Nowicką. Polak i Bendka jak na komendę popatrzyli na Papaja.

– To ty umiesz po ludzku przeklinać? – wyjął technik.

– Rozumiesz coś z tego – zapytał Nowicką, ignorując uwagę Czarka. Justynę też zszokowało to, co zobaczyła, ale w przeciwieństwie do Andrzeja w kilka sekund pojęła, co tak naprawdę się stało. Jednak, zamiast powiedzieć o swoich domysłach, patrzyła jak Mieczysław Sobótka, zaciąga martwe ciało Pawłowskiego do hali. Chwilę później nagranie się skończyło, a na ekranie laptopa pojawiły się czarno-białe kropki.

– Rozumiesz coś z tego – powtórzył Andrzej tym razem znacznie głośniej.

– Tak, chyba wiem, o co w tym wszystkim chodzi – odparła Nowicka, zadowolona, że tym razem to nie Papaj, ale ona znalazła rozwiązanie zagadki.

Kiedy wyszli z willi na chodnik spadły pierwsze grube krople ulewy.

– Mój wóz jest bliżej – zawołał Papaj, przekrzykując przetaczający się grzmot. Pobiegli w stronę odległego o kilka metrów samochodu, i gdy wsiedli, lunęło na dobre.

– Pierwsza taka burza w tym roku – zauważył komisarz. Justyna uznała, że uwaga Papaja pasuje do sytuacji. Przecież ich śledztwo też właśnie zaczynało być burzliwe.

– No dobra to teraz wyjaśnij mi jak to możliwe, że badania DNA potwierdziły naszą pierwotną hipotezę, a na filmie wyraźnie widać jak To Sobótka morduje Pawłowskiego – poprosił Andrzej.

– Zacznijmy od tego, że moim zdaniem, nasza hipoteza o szczątkach była logiczna – odezwała się po chwili Nowicka – zwłaszcza w kontekście znalezienia broni należącej do Sobótki. Późniejsze ustalenia o jego powiązaniach z wywiadem i znajomości z Pawłowskim utwierdziły nas jeszcze bardziej w przekonaniu, że Sobótka padł ofiarą wywiadowczej gry. Ostatnim elementem, który miał udowodnić i przypieczętować naszą teorię były badania DNA i one potwierdziły, że mężczyzna znaleziony na warsztatach był ojcem Izabeli Sobótki, ale to nie jest równoznaczne z tym że mężczyzną tym był Mieczysław Sobótka.

– Zaraz, zaraz czy ty sugerujesz – przerwał jej Papaj.

– Tak sugeruję, że ojcem Izabeli Sobótki był Adam Pawłowski – dokończyła, uprzedzając komisarza.

– Ale przecież oni się nie znali.

– Czyżby, a to zdjęcie, na którym widać całą trójkę? – przypomniała Justyna.

– Uważasz, że na podstawie jednego zdjęcia można wysunąć tak daleko idące wnioski?

– Zdjęcie potwierdza, że Anna Sobótka i Adam Pawłowski się znali. Z Kolei nagranie Owczarka nie pozostawia wątpliwości, kto kogo zabił – Nowicka obstawała przy swoich domysłach – a poza tym, teraz rozumiem już, dlaczego Anna Sobótka tak emocjonalnie zareagowała na to, co jej powiedzieliśmy – dodała z przekonaniem.

– Może i masz rację – przyznał Papaj, bębniąc palcami po kierownicy. Ulewa powoli cichła i w przerwie między chmurami pokazało się słońce. W jego promieniach mokre od deszczu ulice i drzewa lśniły jakimś magicznym blaskiem. Jednak po chwili ciężka burzowa chmura przesłoniła oślepiającą tarczę i znowu wszystko wokół było przygaszone, mokre i smutne.

– Czyli musimy znowu porozmawiać z Anną Sobótką? – zapytał Andrzej.

– Nie sądzę, aby to był dobry pomysł. Po pierwsze taka rozmowa mogłaby mieć negatywny wpływ na jej zdrowie, a po drugie kobieta może zwyczajnie nie chcieć z nami rozmawiać na ten temat – odpowiedziała zamyślona Nowicka.

– To masz jakiś lepszy plan?

– Tak, uważam, że powinniśmy skontaktować się z ambasadą amerykańską. W końcu jakby nie patrzyć Pawłowski był ich obywatelem – powiedziała bardzo poważnie Nowicka, spoglądając na Papaję – ja mówię serio – dodała, widząc, że komisarz uśmiecha się pod nosem.

– Takie kontakty to tylko oficjalnie i to pewnie przez MSZ trzeba załatwić – skrzywił się Andrzej.

– Myślę, że tak – potwierdziła Nowicka, otwierając okno. Chłodne orzeźwiający powietrze wypełniło wnętrze samochodu.

– Najpierw jednak musimy o wszystkim zameldować Górskiemu – oświadczył Papaj, przekręcając klucz w stacyjce.

Godzinę później Nowicka, Papaj, prokurator Moskal i inspektor Górski siedzieli w gabinecie tego ostatniego.

– Dopiero oglądając film nagrany przez Owczarka, poznaliśmy prawdziwy przebieg wypadków, i doszliśmy do wniosku, że ojcem Izabeli Sobótki jest Adam Pawłowski – Nowicka skończyła referować najnowsze ustalenia i spojrzała po obecnych. Pierwszy odezwał się Górski.

– Wiemy zatem, kto został zakopany na warsztatach, ale co w takim razie stało się z Mieczysławem Sobótką? – zapytał, spoglądając to na Papaję, to na Nowicką.

– No cóż, mamy pewne hipotezy – zaczął Andrzej – ale z oczywistych względów ich udowodnienie może być trudne. Bezsporne jest, że Sobótka zabił Pawłowskiego. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć, że Owczarek spotkał się z Sobótką i zapewne go szantażował. Wnioskujemy to na podstawie zeznań Kowalskiego oraz Wilczyńskiego. Natomiast później obaj mężczyźni znikają. Zakładamy więc, że Sobótka zwiabił Owczarka w jakieś ustronne miejsce na przykład pod pretekstem przekazania pieniędzy. Tam go zabił, a następnie przebrał trupa w swoje ubranie i wywiózł do lasu koło Glucholaz, pozorując samobójstwo, a sam uciekł na zachód – zakończył Papaj.

– Po ekshumacji zwłok z cmentarza w Nowym Świątowie i dokonaniu badań DNA będziemy mogli zweryfikować czy są to zwłoki Jana Owczarka – dopowiedziała Nowicka, spoglądając wymownie na milczącą prokuratorkę.

Zgoda na ekshumację będzie najpóźniej pojutrze – zapowiedziała Anna Moskal.

– Reasumując, ja szybko przekazuję sprawę wyżej, pani prokurator pilotuje kwestie ekshumacji, a wy cierpliwie czekacie w pogotowiu – podsumował Górski i wstał od stołu, dając tym samym do zrozumienia, że narada skończona.

– Co robimy z panem sklepikarzem? – spytała Nowicka, gdy weszli do pokoju Papaję. Komisarz zmarszczył czoło i przez chwilę się zastanawiał.

– Sądziś, że może mieć on coś wspólnego z włamaniem do willi Kowalskich? – zapytał.

– Nie mam pojęcia, ale sam stwierdziłeś, że jego zachowanie było zastanawiające – przypomniała.

– No tak, tylko powody mogły być zupełnie inne, niż sądzimy – mruknął Papaj, ale mimo to wyciągnął telefon i zadzwonił do Polaka. Rozmawiał krótko i rzeczowo.

– Paweł ma go prześwietlić – poinformował po skończonej rozmowie.

– Słuchaj, a nie powinieneś o naszych ustaleniach powiedzieć swojej bylej żonie? – Andrzej uniósł wysoko brwi i spojrzął badawczo na Justynę.

– No wiesz, w końcu sporo nam pomogła. Gdyby nie ona nie wiedzielibyśmy połowy tego, co wiemy – wyjaśniła Nowicka.

– To, co robimy, jej nie interesuje – oświadczył cicho i zimno – i nigdy nie interesowało – dodał z jakąś dziwną nostalgią.

– Mimo wszystko uważam, że powinieneś powiedzieć, a co zrobisz to twoja sprawa – skwitowała Justyna i wstała z fotela. Nie czekając na reakcję Papaja, ruszyła do wyjścia.

– Kim była ta dziewczynka, z którą wczoraj rozmawiałaś na parkingu? – pytanie Andrzeja zatrzymało ją w pół kroku. Zdjęła dłoń z klamki i odwróciła się w stronę komisarza.

– Skąd wiesz, że rozmawiałam z jakąś dziewczynką?

– Polak mi powiedział, gdy czekaliśmy na ciebie przed willą Kowalskiego.

– A on skąd wie?

– Zobaczył cię, jak wychodził z roboty – Nowicka przypomniała sobie, że gdy poprzedniego dnia wyszła od Polaka, ten szykował się do wyjścia.

– Wyobraź sobie, że ta dziewczynka czekała na ojca, który miał ją odebrać ze szkoły muzycznej. Tatus nie przyjeżdżał, a jej rozłądował się telefon. Zadzwoniłam więc i okazało się, że facet stoi w korku.

– Ze szkoły muzycznej? – zdziwił się szczerze Papaj.

– Tak, uczy się grać na skrzypcach – potwierdziła Justyna.

– Dziwne, bo tutaj w pobliżu nie ma żadnej muzycznej szkoły.

– Jesteś pewien? – tym razem to Nowicka była zdziwiona.

– Tak jak tego, że to Sobótka zabił Pawłowskiego, a nie odwrotnie – odrzekł poważnie Andrzej.

Idąc do samochodu Nowicka rozmyślała o małej dziewczynce z futerałem na skrzypce. Wiadomość, że w pobliżu nie ma żadnej szkoły muzycznej, zastanowiła ją. Już siedząc w samochodzie, wyjęła telefon i sprawdziła adresy wrocławskich szkół muzycznych. Jedna z nich mieściła się trzysta metrów od komendy.

– Trzysta metrów to i dużo i mało – uznała, chowając telefon do torebki, a mimo to przez całą drogę do domu sprawa małej dziewczynki ze skrzypcami nie dawała jej spokoju. Idąc z parkingu do bloku, dyskretnie lustrowała okolicę, jednak wszystko wyglądało tak samo, jak zazwyczaj. Kiedy już była przy drzwiach dogonił ją posłaniec, ten sam, który kilka dni wcześniej dostarczył bukiet róż od Wiktora.

– Dobrze, że panią widzę, znowu mam dla pani kwiaty – oznajmił chłopak, wręczając jej jeszcze większą wiązanek niż ostatnio, tyle że prezent wcale jej nie ucieszył. Odebrała bukiet, podziękowała i ruszyła do mieszkania.

– Jakie piękne kwiaty – zachwyciła się starsza pani z parteru, która właśnie wychodziła z jamnikiem na spacer – komuś musi bardzo na pani zależeć – dodała konspiracyjnym szeptem.

– Nie, to w ramach podziękowania – skłamała Justyna, dla której cała ta sytuacja była krępująca. Zaczynała ją denerwować otrzymywanie kwiatów. Wstawiając bukiet do wiaderka, bo w wazonie się nie mieścił, postanowiła nie przyjmować kolejnych takich prezentów. – Może w ten sposób

uświadomię Wiktorowi, że powinien dać sobie spokój – pomyślała, przechodząc do kuchni. Wstawiała właśnie wodę na herbatę, kiedy zadzwonił Papaj.

– Gdzie jesteś – usłyszała podniecony głos komisarza.

– Już w domu, a coś się stało?

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o tym kontenerze szpiegowskim w kształcie kamienia?

– No tak, pamiętam.

– Już wiem, gdzie go widziałem – w głosie Andrzeja prócz podekscytowania było słycać ulgę i zadowolenie.

– Gdzie? – zainteresowała się Justyna.

– W domu Anny Sobótki – oświadczył Papaj.

– Jesteś pewien?

– Tak – zapewnił z przekonaniem – ten kamień, gdy byliśmy tam pierwszy raz, leżał w salonie i przytrzymywał uchylone drzwi balkonowe – dodał, a wtedy także Justyna przypomniała sobie niepozorny przedmiot, na który wtedy nie zwróciła uwagi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Papaj jechał szybko, ale bez zbędnej brawury. Kiedy zahamował przy bloku, w którym mieszkała Nowicka, ta stała już przy drzwiach wejściowych do budynku. Szybko podeszła i usiadła na miejscu pasażera.

– Rozmawiałaś z córką Sobótki? – zapytał komisarz, ostro ruszając z miejsca.

– Tak, jest w domu matki i zgodziła się na naszą wizytę.

– To dobrze – mruknął Andrzej, przejeżdżając przez skrzyżowanie na żółtym świetle.

– Uważasz, że w tym kamieniu coś jeszcze jest?

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznał szczerze komisarz – ale to, że jest on w domu Anny Sobótki, raczej nie wygląda na przypadek.

– A co jeśli to nie żaden kontener szpiegowski, tylko najzwyczajniejszy kamień, jakich pełno na polach? – Papaj zaskoczony pytaniem Nowickiej, uniósł wysoko brwi. Taka ewentualność nawet mu do głowy nie przyszła.

– Wtedy wyjdziemy na kompletnych durniów – przyznał z rozbijającą szczerością.

– Ty wyjdiesz – poprawiła Justyna.

– No tak, sukces zawsze ma wielu ojców, ale porażki to zazwyczaj sieroty – mruknął, podjeżdżając do autostradowych bramek.

– Widzę, że ogarnął cię nastrój filozoficzno-egzystencjalny – skomentowała Nowicka.

– Pewnie dlatego, że nie zdążyłem wypić popołudniowej kawy.

– W takim razie dzisiaj ja zapraszam – oznajmiła Justyna – znam w Nysie taki fajny lokal. Mają tam doskonałą kawę i równie dobre ciasta – dodała z rozmarzeniem. Papaj natychmiast przypomniał sobie kawiarnię o wybuchowo brzmiącej nazwie „Bombonierka”, a zwłaszcza pracującą tam dziewczynę, która na portalu towarzyskim ukrywała się pod Nickiem Alutka24. Jakież więc było jego zdumienie, kiedy po przyjeździe do Nysy Nowicka zaprowadziła go do „Bombonierki”. Jednak To widok krzątającej się za ladą dziewczyny, wprawił go w prawdziwe zakłopotanie. Miał tylko nadzieję, że Alutka24 zajęta obowiązkami, nie zwróci na niego uwagi. Nowicka wybrała stolik przy oknie. Był on oddalony od części sprzedażowej lokalu, więc Papaj poczuł się trochę pewnie.

– Wiesz, że ta kawa i ciasto, które konsumowaliśmy ostatnio, pochodziły z tego lokalu – zagadnął komisarz, przeglądając kartę.

– No właśnie, miałam takie wrażenie, że jedno i drugie coś mi przypomina – przyznała Justyna, odkładając menu na bok.

– Czy już mogę przyjąć zamówienie? – głos, który komisarz usłyszał nad sobą na szczęście, nie należał do tajemnicznej alutki24. Jednak, gdy dziesięć minut później zobaczył, kto podchodzi z tacą do ich stolika, miał ochotę zapaść się pod ziemię. Uśmiech, jaki przesłała mu kelnerka, nie pozostawiał wątpliwości, że go poznała.

– Życzę smacznego – powiedziała dziewczyna, kończąc rozkładać na stole zamówienie – i proszę pozdrowić dziadka – dodała z drwiną, i nie czekając na odpowiedź, ruszyła do sąsiedniego stolika, aby przyjąć nowe zamówienie.

– To było do ciebie? – wyszeptła Justyna, a Andrzej poczuł, że się czerwieni.

– Raczej nie, bo ani nie mam dziadka, ani nie znam tej dziewczyny – odpowiedział szybko Papaj, próbując uśmiechem pokryć zakłopotanie, i mając nadzieję, że Justyna nie będzie dalej drażyła tego tematu. Na szczęście jego życzenie się spełniło.

Kiedy zaparkowali przed domem Anny Sobótki, słońce chowało się za widocznym na horyzoncie lasem. Izabela Sobótka wyglądała na zmęczoną, ale biorąc pod uwagę fakt, że musiała zajmować się chorą matką, nie było to dla Papaja niczym dziwnym. Doskonale pamiętał czas, gdy opiekował się swoim umierającym ojcem. Trwało to kilka miesięcy, ale nawet teraz po siedmiu latach wiedział, co znaczy opieka nad chorym. Gdy tylko znaleźli się w salonie, Nowicka dokonała prezentacji.

– To jest komisarz Andrzej Papaj, razem prowadzimy śledztwo w sprawie, w której pojawił się wątek pani ojca – Papaj uściśnął podaną dłoń, jednak jego wzrok mimowolnie powędrował do miejsca, gdzie po raz ostatni widział zagadkowy kamień, który mógł być szpiegowską skrytką, albo tylko zwykłym, polnym kamieniem. Ku jego rozczarowaniu drzwi na taras były zamknięte, a tajemniczego kamienia nigdzie nie dostrzegł.

– Przez telefon była pani bardzo tajemnicza – zagadnęła Izabela Sobótka, spoglądając na Nowicką z wyczekiwaniem.

– Wiem, wiem, ale woleliśmy porozmawiać z panią osobiście – usprawiedliwiła się Justyna – tym bardziej że jak zaraz się pani przekona, cała ta sprawa, jest według nas jedną wielką zagadką – dodała. Papaj dyskretnie rozglądał się po wnętrzu, ale nigdzie nie widział tego, po co tak naprawdę tutaj przyjechał. Miał wielką ochotę od razu wyjawić cel swojej wizyty, ale Nowicka uważała, że najpierw trzeba Izabeli Sobótkie nakreślić sytuację.

– Dlatego na początku muszę ujawnić kilka faktów, które mogą być dla pani zaskakujące – ciągnęła Justyna. Kobieta lekko skinęła głową, jakby tym gestem dawała do zrozumienia, że jest gotowa zmierzyć się z tym, co zaraz usłyszy.

– Po pierwsze, pani ojciec pracował dla wywiadu – ku zdziwieniu policjantów Izabela Sobótka nie zareagowała jak ktoś, kto właśnie dowiaduje się o czymś, o czym nie miał pojęcia.

– Cholera ona o tym wie – przemknęło przez głowę Papajowi, który kierowany impulsem zapytał:

– Pani o tym wiedziała? – kobieta przez chwilę nic nie mówiła.

– Tak, kilka lat temu matka mi powiedziała – potwierdziła domysły komisarza. Tym razem to Nowicka okazała zaskoczenie, jednak bardzo szybko się opanowała.

– W takim razie będzie prościej, jeśli pani powie, co wie o przeszłości ojca, a my uzupełnimy to swoją wiedzą – zaproponowała.

– Z tego, co powiedziała mi matka, zrozumiałam, że był podwójnym agentem i pracował dla CIA. Kiedy został zdemaskowany, postanowiono usunąć go po cichu i dlatego cała ta szopka z zaginięciem i samobójstwem w lesie. Jednak ostatnie wydarzenia zdają się zaprzeczać tej teorii, przynajmniej w kwestii jego śmierci.

– A czy matka mówiła coś o tym, kto skłonił go do pracy na rzecz CIA? Zapytał Papaj.

– Tak, według niej był to daleki kuzyn Mieczysława, którego ojciec walczył w armii generała Andersa, a po zakończeniu wojny, wyemigrował do stanów. Tam ożenił się z amerykańką i urządził – komisarz nie miał pojęcia, czy Pawłowski i Sobótka, rzeczywiście byli rodziną, ale obecnie nie miało to większego znaczenia.

– Matka ma nawet zdjęcie tego kuzyna – dodała nagle kobieta. Wstała z fotela i podeszła do regału, stojącego przy przeciwległej ścianie. Po chwili wróciła, trzymając w dłoniach gruby oprawiony w ciemną skórę album. Z namaszczeniem przewracała kartki.

– O proszę, to on – pokazała czarno-białe zdjęcie, zrobione gdzieś nad morzem. Na kraciastym kocu siedziała Anna Sobótka w towarzystwie swojego męża oraz niskiego bruneta. Papaj i Nowicka, unieśli brwi zdziwieni tym, co właśnie zobaczyli. Mężczyzna ze zdjęcia, nie był Adamem Pawlowskim, co więcej nawet go nie przypominał.

– A wie pani, jak ten kuzyn się nazywał? – zapytała Nowicka.

– Na imię miał Mark – odparła Izabela Sobótka po chwili zastanowienia – ale nazwiska nie pamiętam – dodała. Nagle Papajowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Otworzył teczkę z materiałami otrzymanymi od Sylwii.

– Czy tego mężczyznę widziała pani na jakichś rodzinnych fotografiach? – zapytał, podając kobiecie zdjęcie wykonane w kawiarni. Sobótka przyglądała się uważnie fotografii.

– Tak, oczywiście w albumie jest kilka zdjęć z tym mężczyzną – potwierdziła i po krótkich poszukiwaniach, wskazała odpowiednie fotografie. Na wszystkich były te same osoby, Mieczysław Sobótka, jego żona oraz Adam pawlowski.

– Matka mówiła, że to jakiś ich wspólny znajomy, jeszcze z czasów szkolnych, ale nigdy nie wymieniała jego imienia, ani nazwiska.

– Jakoś mnie to nie dziwi – pomyślał Papaj, przyglądając się fotografiom z rodzinnego albumu Anny Sobótki.

– Mam jeszcze jedno, dość osobliwe pytanie – odezwał się komisarz, postanawiając przejść do właściwego tematu ich wizyty – gdy byliśmy u pani matki wcześniej, to przy drzwiach tarasowych leżał taki duży kamień. Czy wie pani, co się z nim stało?

– Kamień? – tym razem kobieta nie kryła zaskoczenia pytaniem.

– Tak, szary, owalny, wielkości połowy cegłówki – opisał Andrzej.

– A o to panu chodzi? – Sobótka sięgnęła do wiklinowego kosza stojącego obok jej fotela i wyjęła przedmiot, na którym Papajowi tak bardzo zależało.

– Czy mogę go zobaczyć? – poprosił, wyciągając rękę. Kobieta bez słowa podała mu kamień.

– Rzeczywiście, jak na swoje rozmiary, jest dość lekki – pomyślał komisarz, obracając go w dłoniach. Próbował opuszkami palców wyczuć jakąś szczelinę lub inne miejsce, służące do otwarcia skrytki, ale powierzchnia kamienia była gładka.

– Czy moglibyśmy pożyczyć ten kamień? – Papaj wiedział, że jego prośba wyda się kobiecie co najmniej dziwna.

– Pożyczyć? A po co policji zwyczajny kamień?

– Nie mogę zdradzać szczegółów, ale musimy go poddać pewnym badaniom, ważnym z punktu widzenia prowadzonego śledztwa – wyrecytował komisarz, mając nadzieję, że takie wytłumaczenie, zaspokoi ciekawość kobiety.

– Proszę bardzo, ja nie mam nic przeciwko i sądzę, że matka też nie miałaby – zgodziła się Izabela Sobótka.

– A czy moglibyśmy pożyczyć również to zdjęcie? – poprosiła Justyna, wskazując na fotografię z tajemniczym brunetem, który miał zwerbować Mieczysława Sobótkę do pracy dla CIA.

– Jeśli to państwu w czymś pomoże, to bardzo proszę – pozwoliła kobieta, wyjmując z albumu zdjęcie.

Gdy kwadrans później Papaj wsiał do samochodu, nie potrafił ukryć przed Nowicką zadowolenia.

– Cieszysz się, jak filatelista na widok rzadkiego okazu znaczka – skomentowała, zapinając pas bezpieczeństwa.

– Cieszył to ja się będę, jak poznam zawartość tego kamyka – odparł komisarz, uruchamiając silnik.
– A dlaczego chciałaś pożyczyć to zdjęcie? – zapytał, zmieniając temat.
– Chcę je pokazać twojej byłej żonie – takiej odpowiedzi, Papaj zupełnie się nie spodziewał.
– A co ona ma z tym wspólnego?
– Może Sylwia zdoła ustalić, kim jest ten tajemniczy Mark.
– A niby jakim sposobem? – zapytał z przekąsem komisarz.
– Takim samym, jak ustaliła to, co teraz wiemy – wyjaśniła spokojnie Nowicka. Dla komisarza najważniejszy był kamień i nie zamierzał otwierać nowego wątku w sprawie. Tym bardziej że facet ze zdjęcia, wcale nie musiał być tajemniczym krewnym Mieczysława Sobótki, a i opowieść pani Anny również nie musiała być prawdziwa. Jednak nie zamierzał przekonywać Nowickiej do porzucenia tego tropu i przez całą drogę do Wrocławia nie poruszał już tematu zdjęcia.

Gdy odwiózł Nowicką do domu, natychmiast zadzwonił do Sylwii.

– Mam tylko nadzieję, że nie dzwonicz, aby zwracać mi tylek jakimiś głupotami – ostrzegła, nim jeszcze zdążył powiedzieć cześć.

– Bardzo serdeczne powitanie – zauważył – ciekawe, czy obecnego męża też tak witasz – dodał po nosem.

– Papaj dzwonicz grubo po dwudziestej drugiej i uważasz, że powinnam skakać z radości, bo zatelefonował mój były mąż? – rzuciła drwiąco.

– A jeśli ten były mąż ma kamień, o którym zawsze marzyłaś?

– Żeby mnie na coś takiego podrywać, to musiałbyś bank obrabować, bo mój wymarzony brylant kosztuje kilkanaście milionów zielonych.

– No milionów zielonych, to w tym kamieniu pewnie nie ma, ale myślę, że kilkanaście tysięcy, można w nim spokojnie upchnąć – po tych słowach w słuchawce zapanowała cisza i komisarz sądził, że Sylwia przerwała połączenie.

– Jeśli łęsz, to ci nogi z tyłka wyrwę – ostrzegła. Zdecydowanie z jakim wypowiedziała groźbę, wskazywało, że nie żartuje.

– Będę po ciebie za dwadzieścia minut – rzucił Papaj.

– Nie po mnie, tylko u mnie – wtrąciła Sylwia – nie mam zamiaru nigdzie wychodzić. Przed chwilą skończyłam brać kąpiel, właśnie otworzyłam wino, a męża nie ma w domu – wyjaśniła zalotnym tonem, a po chwili szczerze się roześmiała.

– Nie boisz się życzliwych sąsiadów, którzy doniosą szanownemu małżonkowi, że gdy on wyjeżdża na delegację, to ty gachów przyjmujesz?

– Oj Papaj, Papaj, czy ty też uważasz, że facet, który zaprasza do siebie panienki, niekoniecznie lekkich obyczajów, to król życia, a kobieta goszcząca u siebie, nawet porządnych mężczyzn, to kurwa?

– Ależ gdzie tam – bronił się komisarz – ja wyznaję zasadę, że każdy żyje, śpi i pije na własny rachunek – oznajmił, przekręcając potencjometr. Charakterystyczny głos Kuby Sienkiewicza, śpiewającego o dzieciach, które wesoło wybiegły ze szkoły, zapaliły papierosy i wyciągnęły flaszki, wypełnił wnętrze samochodu.

Sylwia z prawdziwą nabożnością oglądała kamień i co chwilę porównywała go z tym widocznym na zdjęciu. Papaj przypatrywał się jej z zaciekawieniem. Wyglądała jak mała dziewczynka, zachwycona gwiazdkowym prezentem.

– Wiesz, jak się to otwiera? – zapytał, przerywając milczenie.

– Czy ja Przypominam ci agentkę służb specjalnych?

– Pod kilkoma względami tak – potwierdził Papaj.

– Ciekawe pod którymi?

– No jesteś atrakcyjna, mądra, sprytna – wyliczał, próbując zachować poważny wyraz twarzy.

– Ty mi tu nie słodź, tylko pomyśl jak się dobrać do tej skrytki – odburknęła Sylwia, kładąc kamień na stole. Andrzej bezradnie rozłożył ręce. Jeszcze nim odjechał spod bloku Nowickiej, spędził kilkanaście minut na oglądaniu kamienia, ale żadna z wymyślonych na poczekaniu koncepcji, nie przyczyniła się do jego otwarcia.

– Zanim do ciebie dotarłem, zmarnowałem prawie kwadrans, próbując otworzyć to cholerstwo. Najpierw pomyślałem, że to się rozkręca, ale gdzie tam, nawet nie drgnęło.

– A może trzeba tym rzucić o podłogę, to wtedy się otworzy? – oznajmiła Sylwia, i nim Papaj zdążył zareagować, ze wściekłością, cisnęła kamieniem o lśniący parkiet.

– Tego także próbowałem – powiedział ze spokojem – ale muszę przyznać, że zrobiłem to delikatniej – dodał, kładąc kamień z powrotem na stole.

– W takim razie, ja nie mam więcej pomysłów – poddała się Sylwia, spoglądając wymownie na zegarek.

– Rozumiem, że audycja skończona? – zapytał Papaj.

– Jak na gliniarza, jesteś bardzo domyślny – zakpiła – ale mówiąc serio, jutro mam ciężki dzień w pracy – zakończyła, wstając od stołu.

– A ja chciałem ci jeszcze pokazać film na dobranoc.

– Jaki znowu film? – zdziwiła się Sylwia.

– Przynies laptopa, to sama zobaczysz – odpowiedział, sięgając do kieszeni marynarki po płytę, którą dał mu Bendka. Dzięki swoim zdolnościom technik prze konwertował film do formatu, który można było odtworzyć na dowolnym komputerze i odtwarzaczu. Sylwia bez słowa przyniosła laptop i postawiła przed Papajem. Komisarz umieścił płytę w napędzie i uruchomił odtwarzanie. W milczeniu i skupieniu oglądali ostatnie chwile życia Adama Pawłowskiego. Kiedy Sobótka rzucił się na Amerykanina, Sylwia wydała krótki okrzyk, zasłoniła usta dłonią i z przerażeniem w oczach, spojrzała na Andrzeja.

– Skąd to masz? – wyjąkała. Jej twarz była blada, jak przysłowiowa ściana, a wargi drżały przy każdym słowie. Papaj w kilku zdaniach opisał okoliczności zdobycia nagrania. – Najdziwniejsze jest to, że badania DNA potwierdziły zgodność próbek pobranych od Izabeli Sobótki, ze szczątkami z warsztatów i gdyby nie to nagranie, dalej uważałbym, że znaleziony szkielet, należy do Mieczysława Sobótki – zakończył komisarz, wyjmując z napędu krążek, i chowając go do koperty.

– Czyli Pawłowski i Sobótka mieli romans – odezwała się Sylwia, powoli dochodząc do siebie.

– Nowicka też tak sądzi – przyznał Papaj, wstając i ruszając do wyjścia.

– Nie zapomniałeś czegoś? – pytanie Sylwii, przypomniało mu o kamieniu.

– A rzeczywiście, mój kamień szczęścia – zadrwił i zawrócił po przedmiot, który jak przypuszczał, krył w sobie wiele tajemnic. Kiedy wreszcie dotarł do siebie, było już grubo po północy. Przed pójściem spać, uruchomił jeszcze aplikację randkową. Wśród kilku wiadomości była również wiadomość od „Alutki24”.

– Mam nadzieję, że przekazałeś dziadkowi pozdrowienia? – napisała dziewczyna.

– Tak, ja i moja siostra bliźniaczka, pozdrowiliśmy naszego dziadka od ciebie – odpisał po chwili namysłu, wyłączył telefon i wsunął się pod zimną pościel.

Kiedy następnego popołudnia, Papaj pisał zaległe raporty, jak burza wpadł do jego pokoju Górski. Andrzej spjrzał na szefa kompletnie zaskoczony. Przełożony rzadko kiedy sam fatygował się do

swoich podwładnych, nawet do tych, którzy prywatnie byli jego przyjaciółmi. W pracy wszystkich traktował tak samo.

- Andrzej, zbieraj się, jedziesz na lotnisko – rzucił od progu.
- Na lotnisko? – Papaj nie potrafił ukryć zdziwienia.
- Tak na lotnisko, a co mówię niewyraźnie, czy zapomniałeś umyć uszy?
- Zrozumiałem gdzie, tylko nie wiem po co?

- Nie po co, tylko po kogo – odrzekł inspektor z zagadkowym wyrazem twarzy – za trzy godziny wylądaje specjalny samolot, którym przyleci dwóch agentów CIA – wyjaśnił Górski i ciężko opadł na jeden z foteli – widocznie z jakiegoś powodu zależy im na tej sprawie, skoro tak szybko przysłali swoich ludzi – dodał ściszym tonem, nerwowo stukając palcami o blat biurka – tak czy inaczej ty, jako prowadzący śledztwo masz być ich opiekunem – dodał już znacznie głośniej.

- Ale mój angielski jest na poziomie przedszkola – zaprotestował Papaj – a znając obecne sposoby nauczania, to przedszkolaki mówią lepiej niż ja – dodał zawstydzony.

- O to akurat nie musisz się martwić. Jeden z agentów podobno doskonale mówi po polsku – uspokoił Górski i wstał z fotela – tylko nie skompromituj nas przed wujem Samem – poprosił, ruszając do wyjścia.

- A mogę zabrać z sobą Nowicką? Ona również aktywnie uczestniczy w śledztwie – zapytał, gdy Górski był już przy drzwiach.

- Możesz – zgodził się inspektor po chwili namysłu i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

- No to jeszcze mi teraz jankesów brakuje – warknął Papaj, wybierając numer Nowickiej. Ta odebrała prawie natychmiast.

- To chyba dobrze, mogą nam pomóc zidentyfikować szczątki – stwierdziła, gdy komisarz skończył relacjonować rozmowę z Górskim.

- Jakoś do tej pory dawaliśmy sobie radę bez nich, i dotarliśmy prawie do mety – mruknął niezadowolony Papaj. Jak dla niego wszystko działo się za szybko. Przecież amerykańskie mogły dowiedzieć się o całej sprawie zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu, a mimo to z jakiegoś powodu, natychmiast zdecydowali o wysłaniu ludzi na drugi koniec świata. Rozumiałby, gdyby chodziło o ratowanie agentów z opresji, ale w tym przypadku sprawa dotyczyła kogoś, kto został zabity prawie trzydzieści lat temu. Rozmyślenia komisarza przerwało wejście Bendki. Technik trzymał w dłoni kamień, a wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, iż jemu również nie udało się rozpracować sposobu otwierania skrytki.

- Andrzej, na mój gust to zwykły kamień – oświadczył technik – może tylko proporcje wagi i rozmiarów są trochę dziwne – dodał, kładąc kamień przed komisarzem – ale bywają takie minerały, ot choćby pumeks – zakończył swój wywód.

- Dzięki, że spróbowałeś – podziękował Papaj, uświadamiając sobie właśnie, że wizyta agentów CIA, może mu pomóc w poznaniu zawartości kamienia.

Na lotnisko przyjechali kilka minut przed czasem i skierowali się do wejścia dla pracowników.

- Już podchodzą do lądowania – poinformował kierownik zmiany, wskazując głową okno. W oddali nisko nad ziemią Papaj dostrzegł niewielki, lśniący w słońcu samolot, który z każdą sekundą stawał się większy i wyraźniejszy.

- To Gulfstream G550, jeden z najbardziej luksusowych odrzutowców świata – oświadczył kierownik zmiany, nie kryjąc podziwu i zazdrości. Maszyna łagodnie opadła na pas startowy i wolno podkołowała do jednego z hangarów. Kiedy Papaj z Nowicką zobaczyli agentów CIA, spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Pierwszym był niski, szczupły mężczyzna około sześćdziesiątki. Uwagę przykuwała

jego bujna, siwa czupryna oraz okulary w grubych stalowych oprawkach. Drugim agentem była młoda na oko trzydziestoletnia kobieta o jasnych, sięgających ramion włosach i zielonych dużych oczach.

– Dzień dobry, nazywam się Marta Rowenson – powiedziała kobieta płynną polszczyzną, z ledwie słyszalnym obcym akcentem – a to jest Henry Tawot – przedstawiła mężczyznę.

– Miło mi państwa poznać – odpowiedział Papaj, przedstawiając Nowicką oraz siebie. Kiedy agentka podała mu dłoń, przytrzymał ją nieco dłużej, niż wypadało. Musiał przyznać, że Marta była wyjątkowo piękną kobietą. W owalnej, opalanej twarzy kryła się jakaś łagodność, jednak zdecydowane spojrzenie nie pozostawiało złudzeń, że ta kobieta, doskonale wie, czego chce od życia, a co więcej potrafi to zdobywać.

– Chcielibyśmy najpierw zobaczyć wszystkie materiały, jakie zgromadziliście w sprawie Sobótki i Pawlowskiego – przetłumaczyła Marta. Władczy ton Amerykanina zirytował Papaję.

– A to dupek. Uważa, że skoro jest z CIA to wszystko mu wolno – pomyślał komisarz i już wiedział, że między nim a siwą czupryną, jak w myślach nazwał agenta, nie zawiąże się nic sympatii i wzajemnego zaufania. Dojeżdżając do skrzyżowania, postanowił pokazać Amerykaninowi, kto tutaj jest panem i zahamował tak gwałtownie, że Henry musiał złapać się uchwytu nad drzwiami.

– Przecież było żółte – syknęła Nowicka, która także lekko poleciała do przodu.

– Żółte, to nie zielone – odparł Papaj, posyłając jej przepraszający uśmiech.

– Możesz przetłumaczyć Henremu moje przeprosiny – poprosił, napotyając w lusterku wstecznym rozbawione spojrzenie Marty.

– A mam dodać, że go nie lubisz? Zaskoczony komisarz uniósł wysoko brwi.

– Może lepiej nie – Papaj zrobił przepraszający gest i kierowany wyrzutami sumienia ruszył ze skrzyżowania z przesadną ostrożnością. Zastanawiał się, jak kobieta odgadła jego myśli. Przyszło mu nawet do głowy, że może tam w stanach uczyć ich takich rzeczy.

Po przyjeździe na komendę udali się do salki konferencyjnej, gdzie czekał już bendka. Tym razem nagranie z warsztatów odtwarzano z rzutnika. Na dużym ekranie całe zajście, było jeszcze bardziej realistyczne, niż na ekranie laptopa. Komisarz, który oglądał je już kilka razy, patrzył bez specjalnego zainteresowania i bardziej koncentrował się na długich nogach Marty. W pewnej chwili dotarło do niego, że amerykańskie również nie są skupieni na odtwarzanym nagraniu.

– Cholera, czyżby oni też już to widzieli? – przemknęło mu przez myśl. Gdyby było tak, jak przypuszczał, to by znaczyło, że po pierwsze agenci wiedzieli znacznie więcej, niż sądził, a po drugie, jakimś cudem weszli w posiadanie materiałów ze śledztwa. O ile wiedział, do ambasady miała zostać przekazana wyłącznie informacja, że znalezione szczątki należą do Pawlowskiego, a o żadnych dokumentach ze śledztwa nie było mowy.

– Trzeba będzie szczerze porozmawiać z tą dziwną parą – postanowił Papaj, przenosząc spojrzenie na ekran i wtedy zobaczył coś, na co nie zwrócił uwagi, gdy wcześniej oglądał nagranie. Przedmiotem, który Pawlowski przekazał Sobótkce, a ten schował go do skórzanej teczki, był kamień. Choć było go widać jedynie przez krótką chwilę, komisarz nie miał wątpliwości, że wygląda tak samo, jak ten, który bezpiecznie spoczywał w szufladzie jego biurka.

– Czy aby bezpiecznie? – przemknęło mu przez głowę. Przecież jeśli dla CIA zdobycie materiałów ze śledztwa nie stanowiło problemu, to przeszukanie jego biurka było jak bułka z masłem. Papaj wstał i najpierw cicho wymknął się z Sali, a później biegiem, ruszył do swojego pokoju. Kiedy zdyszany wpadł do środka, siedzący za swoim biurkiem Polak, spojrzał na niego zdezorientowany.

– Ktoś cię goni? – zażartował, ale widząc poważną minę Papaję, natychmiast spoważniał.

– Wchodził ktoś do nas? – rzucił przez ramię Papaj, podchodząc szybko do swojego biurka i gwałtownie otwierając szufladę, która ku jego przerażeniu była pusta.

– Nie, nikogo nie było – zapewnił Polak.

– O murwa mać, przecież to nie tutaj – komisarz zaklął pod nosem i otworzył kolejną szufladę. Kamień tak, jak go zostawił, leżał spokojnie na zapasowej koszuli. Papaj odetchnął z ulgą i bez słowa wyszedł na korytarz, gdzie niemal zderzył się z Nowicką.

– Andrzej, co ty do cholery wyprawiasz?

– Nic takiego, musiałem coś sprawdzić.

– Ale teraz, kiedy mamy tych amerykańców na głowie?

– Tak właśnie teraz – warknął ostro Papaj i nie czekając na reakcję Nowickiej, zbiegł na parter do sali konferencyjnej. Marta i Henry rozmawiali z Bendką.

– Jak państwo widzieli, dowody jasno wskazują na winę Mieczysława Sobótki – odezwał się Papaj oficjalnym tonem, mimo że już na lotnisku przeszedł z agentami na ty.

– Czy prócz pistoletu znaleźliście przy szczątkach coś jeszcze? – przetłumaczyła pytanie Marta.

– Nie, kompletnie nic – odparł technik – zwłoki przed zakopaniem zostały zupełnie rozebrane, a teczka z bronią była jakiś metr od szkieletu – wyjaśnił. Agenci byli rozczarowani odpowiedzią i Papaj domyślił się, że pytając o coś jeszcze, mieli na myśli kamień.

– Może i macie wtyki w tym budynku, ale nie wiecie, kto ma to, czego szukacie – pomyślał z satysfakcją.

– Bardzo dziękujemy za pomoc – powiedziała Marta do Bendki – a z panem i panią Nowicką spotkamy się jutro w Zakładzie medycyny Sądowej – zwróciła się do Papaja tym samym oficjalnym tonem, jakim on operował przed chwilą i posyłając komisarzowi ironiczny uśmiech, ruszyła za Henrym do wyjścia.

– Czarek czy dawałeś komuś to nagranie? – zapytał Papaj, kiedy już zostali sami.

– Tylko tobie, a dlaczego pytasz?

– Bo mam dziwne przeczucie, że nasi amerykańscy przyjaciele nie byli nim szczególnie zainteresowani. Tak jakby już go wcześniej widzieli.

– Ja odniosłem podobne wrażenie – potwierdził technik, zabierając się do pakowania sprzętu.

– To jest nas troje – rzuciła Nowicka – jak widać, ręce CIA są długie – dodała filozoficznie.

– Ale oczy jakby niedowidzące – mruknął Papaj, myśląc o kamieniu schowanym w szufladzie biurka.

Następnego ranka punktualnie o dziewiątej Papaj przyjechał po agentów do hotelu i już razem pojechali na spotkanie z doktorem Kuchcińskim.

– Jak minęła noc? – zapytał komisarz, chcąc nawiązać towarzyską konwersację. Nie był już zły na gości zza oceanu. Ostatnie kilkanaście godzin wystarczyły, aby doszedł do wniosku, że oni tylko robią swoje, i trudno ich winić, że mają taką pracę, a nie inną.

– Bardzo szybko – odpowiedziała Marta, a widząc pytające spojrzenie Papaja, dodała – byliśmy tak zmęczeni, że nawet nie mieliśmy siły, aby pospacerować po mieście, a słyszałam wiele dobrego o Wrocławiu i jego zabytkach.

– Mogę wam dzisiaj pokazać miasto, bo, o ile wiem, olatujecie dopiero jutro – zaoferował się komisarz. Marta przetłumaczyła jego propozycję, ale mina Henrego wskazywała, że nie jest zainteresowany.

– Henry raczej będzie chciał wypocząć przed podróżą powrotną, ale ja chętnie skorzystam – odpowiedziała, szczególnie akcentując słowo chętnie. Kuchciński czekał już na nich w Sali sekcyjnej.

Jednak na stole zamiast kompletnego szkieletu Pawlowskiego leżała jedynie czaszka. Patolog przywitał się ze wszystkimi. Było widać, że jest bardzo przejęty sytuacją.

– Wszystko gotowe – zwrócił się do Marty, a Papaj poczuł, że po raz kolejny dzieje się coś poza jego plecami.

– Mikroskop również? – upewniła się amerykanka.

– Tak, mikroskop też – potwierdził skwapliwie Kuchciński, wskazując dłonią stolik w głębi pomieszczenia.

– Dobrze, więc zaczynamy – odparła kobieta, podając mu niewielką kartkę. Patolog spojrział na nią, a następnie podszedł do stołu sekcyjnego. Po chwili podszedł do stolika z mikroskopem i postawił na blacie niewielką metalową tackę, na której znajdował się ząb.

– Wiesz, co tu jest grane? – wyszeptał Papaj, spoglądając pytająco na Nowicką. Ta tylko się uśmiechnęła i przytaknęła ruchem głowy. Komisarz patrzył jak Kuchciński malutkim wiertelkiem rozwierca ząb, a następnie przy pomocy pincety, wyjmując z niego coś tak małego, że Papaj nie potrafił tego dostrzec z odległości trzech metrów.

– Proszę – zachęcił patolog, wskazując Henremu mikroskop. Agent podszedł, zdjął okulary i nachylił się nad mikroskopem. Marta stanęła obok i zapisywała na kartce litery i cyfry, dyktowane przez mężczyznę.

– Muszę na chwilę wyjść – oznajmiła, gdy Henry skończył. Kiedy Marta zniknęła za drzwiami, Nowicka nachyliła się do Papaja.

– Przeglądając stare gazety w bibliotece – zaczęła mówić tak cicho, że komisarz ledwie mógł ją zrozumieć – natknęłam się na artykuł o amerykańskim wynalazcy, który opracował płytkę o wymiarach czterech milimetrów kwadratowych, na której można było zapisać do tysiąca znaków. W tekście sugerowano, że takie płytki są umieszczane w zębach agentów.

– I ty sądzisz, że on to miał? – odparł Andrzej, wskazując leżący na tacce ząb. Nowicka przytaknęła ruchem głowy, bo w uchylonych drzwiach pojawiła się Marta.

– Tak, teraz jesteśmy pewni, że to są szczątki Adama Pawlowskiego – zwróciła się do patologa – proszę przygotować je do transportu – dodała i nie czekając na odpowiedź, ruszyła do wyjścia.

Po odwiezieniu Nowickiej na komendę i Henrego do hotelu Papaj zabrał Martę na Wrocławski rynek. Spacerując wśród wiekowych kamienic, opowiadał o historii miasta, o zabytkach, ciekawych ludziach, którzy tworzyli Wrocław. Nawet kiedy pili kawę w „Literatce”, cały czas mówił. Marta słuchała, zadając co pewien czas jakieś pytanie. Kiedy po obiedzie zjedzonym w chińskiej knajpce, wyruszyli na zwiedzanie Ostrowa Tumskiego, minęli wielki afisz, zapowiadający spotkanie autorskie ze Stefanem Królem.

– Kto to jest ten Stefan Król? – zainteresowała się Marta, spoglądając na afisz.

– To taki nasz mistrz kryminału – wyjaśnił Papaj – wy macie swojego Kinga, a my naszego Króla – dodał żartobliwie. Kiedy doszli do mostu Katedralnego, kobieta przystanęła, zachwycona okoliczną architekturą. Oparta o balustradę, roziskrzonym wzrokiem prześlizgiwała się po okolicznych kościołach. Nagle spojrzała badawczo na papaja.

– Gdzie go masz? – zapytała, ledwie słyszalnym szeptem. W pierwszej chwili komisarz udał, że nie rozumie pytania.

– Nie graj durnia, bo głupio ci to wychodzi. Wiemy, że kamień jest u ciebie.

– I rozumiem, że wam bardzo, ale to bardzo na nim zależy? – mruknął Papaj, analizując swoje położenie. Marta w milczeniu skinęła głową.

– Zaproponuję ci układ – odezwała się wreszcie.

– Jak ci oddam kamień, to darujesz mi życie – zadrwił komisarz.

– W zamian za kamień, oferuję ci poznanie prawdy.

– Kiepski interes, zwarzywszy, że już ją znam.

– Tylko ci się tak wydaje – oświadczyła Marta, mrużąc duże zielone oczy. Papaja zastanowiła ta uwaga. Spojrzał uważnie na kobietę, próbując ocenić czy blefuje.

– Teraz sobie myślisz, że próbuję cię podejść – komisarz był zaskoczony słowami Marty, machinalnie skinął głową. Dopiero po chwili niezadowolony ze swojej reakcji, zacisnął wargi.

– Wiesz, że Sobótka zabił Pawłowskiego. Podejrzewasz, że później pozbył się Owczarka, a następnie uciekł z kraju – Marta spokojnie i rzeczowo wyliczała fakty, jakie Papaj i Nowicka, ustalili w ciągu kilkunastu dni śledztwa – jednak twój problem polega na tym, że swoich podejrzeń nie potrafisz udowodnić – ciągnęła, patrząc Papajowi prosto w oczy – a my ci w tym pomożemy – zapewniła. Komisarz wątpił, aby amerykanie przez dwadzieścia cztery godziny zdołali odkryć coś, czego on nie ustalił przez ponad tydzień. Jednak propozycja Marty, mogła mu pomóc w zupełnie innej kwestii. Przez chwilę zastanawiał się, jak to rozegrać, aż w końcu podjął decyzję.

– Dobrze, ale prócz obiecaney prawdy i dowodów, chcę zobaczyć, co jest w kamieniu – jego warunki wyraźnie Martę zaskoczyły.

– A dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Z czystej ciekawości – przyznał zgodnie z prawdą. Teraz to Marta w skupieniu, namyślała się nad odpowiedzią.

– Niech ci będzie – ustąpiła.

– Musimy pojechać do mnie, bo kamień mam w domu – rzucił Papaj, ruszając w stronę Galerii Dominikańskiej, gdzie zaparkował samochód.

– Przytulnie mieszkasz – zauważyła Marta, przechadzając się nonszalancko po salonie.

– Lubię wygodę i prostotę.

– To tak jak ja – wyznała, zapalając stojącą na stoliku świecę. Po chwili delikatny lawendowy zapach wypełnił pomieszczenie. Następnie podniosła najnowszą powieść Stefana Króla, leżącą na sofie i przekartkowała.

– Może być ciekawe – oceniła, odkładając książkę na miejsce.

– Dopiero zacząłem czytać, ale zapowiada się interesująco – potwierdził komisarz.

– Czego się napijesz? Mam kawę, herbatę.

– A zieloną dostanę – weszła mu w słowo.

– Oczywiście i to aż w trzech odmianach.

– To zrób mi którąkolwiek, a ja w tym czasie skorzystam z toalety – poprosiła i zniknęła za drzwiami łazienki.

– Tam go nie znajdziesz – mruknął Papaj pod nosem i zabrał się za przygotowanie herbaty. Chwilę później drzwi od łazienki cicho zaskrzypiały. Komisarz spojrział przez ramię i kilka razy zamrugał powiekami.

– O murwa – zaklął, głośno wciągając powietrze. Marta stała przed nim zupełnie naga.

– To może herbatę wypijemy później – wyszeptwała miękkiem, zmysłowym głosem i zalotnie mrużąc oczy, zrobiła krok w stronę sypialni. Papaj stał jak zamurowany. Czegoś takiego, kompletnie się nie spodziewał, ba nawet o tym nie marzył. Do rzeczywistości przywołał go gwizd czajnika. Przekreślił kurek kuchenki i ruszył za Martą, zrzucając po drodze ubrania.

– Uważam, że nie skompromitowałeś polskiej policji – wyszeptwała Marta godzinę później. Na dźwięk jej słów Papaj osłupiał. Przez chwilę patrzył na kobietę szeroko otwartymi oczami. To samo

zdanie poprzedniego dnia, wypowiedział Górski, gdy przyszedł do Papaja z informacją o przylocie amerykańskich agentów. Komisarz nie wierzył w zbiegi okoliczności i wiedział, że wypowiedź Marty była celowa. Zapewne w ten sposób chciała mu pokazać, na co stać CIA.

– Powiniennem cię udusić – wysyczał przez zaciśnięte zęby.

– To zrób to – zachęciła. Zamiast tego Papaj obrócił ją na brzuch i wymierzył siarczystego klapsa. Marta zachichotała, przewracając się z powrotem na plecy.

– Czy cała komenda jest naszpikowana waszymi pluskwami?

– W komendzie nie ma żadnej naszej pluskwy – zapewniła, przestając się śmiać.

– To dlaczego przemawiasz do mnie tak jak mój szef?

– Od pewnego czasu używamy dronów, aby likwidować ludzi, do których mamy utrudniony dostęp – Papaj nie rozumiał, co ma wspólnego zabijanie przy pomocy dronów z podsłuchiwaniami, ale nie przerywał – jednak te małe latające cuda, przydają się również w innych zadaniach, na przykład podsłuchiwaniami. Małe drony, wielkości ważki przylatuje i siada na parapecie, a super czułe mikrofony rejestrują wszystko w odległości dziesięciu metrów i nawet szyba nie jest dla nich przeszkodą – komisarz nigdy nie słyszał o czymś podobnym, ale w ustach agentki CIA brzmiało to bardzo prawdopodobnie.

– Od teraz będę zabijał wszystkie owady większe od muchy – zapowiedział i wyszedł z sypialni. Gdy wrócił, niósł w dłoniach kamień.

– Łap – zawołał, rzucając go do Marty. Ta błyskawicznie uniosła ręce i złapała przedmiot w locie, po czym zniknęła z nim pod kołdrę. Kiedy się wynurzyła, w każdej z dłoni trzymała jedną połówkę kamienia.

– Jak to zrobiłaś?

– Umawialiśmy się, że zobaczysz tylko jego zawartość, a o pokazywaniu techniki otwierania nie było mowy – przypomniała Marta, teatralnie grożąc mu palcem. Papaj podszedł i usiadł na łóżku. Odebrał od kobiety dwie połówki kamienia, i zaczął im się badawczo przyglądać. W wydrążonej skrytce, leżały ciasno zwinięte banknoty dolarów.

– Zadowolony? – spytała Marta, uśmiechając się dwuznacznie.

– I tak i nie – odparł, marszcząc brwi.

– To szkoda – oznajmiła niepocieszona.

– Spokojnie, jeśli chodzi o ciebie, to też nie skompromitowałaś CIA – zadrwił komisarz – po prostu sądziłem, że w tym kamieniu będą jakieś materiały wywiadowcze, a były tam tylko pieniądze – dodał oddając Marcie połówki kontenera.

– Szczerze mówiąc, ja też na to liczyłam – przyznała agentka, i jednym płynnym ruchem złączyła obie części fałszywego kamienia.

– A co z obiecaną prawdą? – Papaj spojrział pytająco na Martę.

– Spokojnie, ona też będzie – zapewniła, odkładając kamień na nocną szafkę. Następnie przekreśliła się na brzuch, i eksponując zgrabne nagie pośladki zaczęła opowiadać.

– Przede wszystkim, zacznijmy od tego, że Sobótka pracował dla CIA od 1983 roku – wyjaśniła Marta, i ignorując zdziwienie Papaja, ciągnęła dalej – był jednym z cenniejszych agentów. Przekazywał nam wiele cennych informacji. Może nie były one tak sensacyjne jak te otrzymane od Kuklińskiego, ale trzeba pamiętać, że w tamtym czasie komunistyczne służby, znacznie bardziej uważnie patrzyły swoim agentom na ręce. Problemy zaczęły się, kiedy Pawłowskiego skierowano do polski, a dokładnie, gdy poznał żonę Sobótki. Adam i Anna mieli romans, ale to chyba zdołałeś wydedukować?

– Tak, z drobną pomocą – potwierdził Papaj.

– Sobótka zaczął się czegoś domyślać i dlatego centrala zdecydowała o wycofaniu – kontynuowała Marta, odgarniając niesforny kosmyk, uparcie opadający jej na twarz – pech chciał, że na kilka dni przed jego wyjazdem, Hans Joachim Tiedge, wysoko postawiony agent NRD, pracujący w centrali wywiadu RFN, nie wytrzymał napięcia i uciekł do Berlina Wschodniego. Tiedge dysponował tak dużą wiedzą, że mogła ona zdekonspirować połowę agentów CIA, działających na terenie państw socjalistycznych. Dlatego trzeba było błyskawicznie ewakuować Pawłowskiego oraz Sobótkę – to są fakty – zaznaczyła Marta – a to, co teraz usłyszysz, jest wyłącznie przypuszczeniem – według nas, mężczyźni spotkali się, aby ustalić ostatnie szczegóły ucieczki, i to właśnie wtedy, Sobótka zabił Pawłowskiego. Następnego dnia Jan Owczarek, zaproponował Sobótkę wykupienie kasety, a ten nie miał innego wyjścia, jak się zgodzić. Gdzie doszło do spotkania, tego nie wiem, ale podejrzewam, że plan Sobótki zakładał zapłacenie okupu, odebranie kasety, a następnie likwidację szantażysty. Niestety nie docenił Owczarka, który przejrzał jego zamiary i pierwszy zaatakował. Efekt zaskoczenia zrobił swoje, Sobótka był martwy i na tym kończą się domysły, a ponownie zaczynają fakty – zaznaczyła Marta – Owczarek upozorował samobójstwo Sobótki, i po kilkunastu dniach opuścił Polskę, korzystając z własnego paszportu. Następnie pojechał do Austrii, a stamtąd do stanów.

– Tylko mi nie mów, że to wszystko ustaliliście w jeden dzień – wszedł jej w słowo Papaj.

– Oczywiście, że nie – przyznała – o śmierci Sobótki, wiedzieliśmy już w marcu 1986 roku, gdy znaleziono jego ciało. Niestety nie mieliśmy pojęcia, co stało się z Pawłowskim, ale uznaliśmy, że skoro nie wrócił do USA, to również jest martwy. Pozostałe elementy układanki, dopasowaliśmy po tym, jak wczoraj obejrzelśmy film. Ustalenie, gdzie mieszkał świętej pamięci Jan Owczarek, zajęło nam kilka godzin.

– To on nie żyje?

– Niestety – potwierdziła Marta, a spoglądając na zegarek, dodała z jakąś chłodną satysfakcją – dwadzieścia minut temu miał wypadek samochodowy i zginął na miejscu – Papaj patrzył na kobietę z niedowierzaniem.

– My, zawsze rozliczamy się do końca, nawet po tylu latach – oznajmiła jeszcze bardziej lodowatym tonem. Andrzej poczuł zimny dreszcz, przebiegający mu po plecach. Chciał coś powiedzieć, ale przerwał mu dzwonek telefonu. Spojrzał na wyświetlacz i ze zdziwieniem zobaczył, że telefonuje Górski. Było to dziwne, bo komendant bardzo rzadko dzwonił do podwładnych, a jeśli już, to zawsze miał ważny powód.

– Muszę odebrać, to szef – powiedział całując Martę w usta.

– No cześć stary co tam się urodziło? – zapytał wesołym tonem.

– Nic się nie urodziło, tylko umarło, a konkretnie zostało zabite – odpowiedział Górski zmęczonym, chłodnym tonem. Papaj miał już zaprotestować przeciwko przydzieleniu mu nowej sprawy. Przecież od jutra zaczynał urlop. Co prawda miał go spędzić w Karkonoszach, a nie tak jak planował w górach skandynawskich, ale urlop był urlopem i należał mu się jak psu micha.

– Dwie godziny temu zamordowano Stefana Króla – zakomunikował komendant.

– Tego Króla? – przerwał Papaj, chcąc się upewnić, czy dobrze usłyszał.

– A znasz jakiegos innego Króla, który pisze kryminały? – spytał Górski, nie kryjąc zniecierpliwienia.

– No nie – potwierdził Andrzej.

– To aż dziwne, że o tym nie słyszałeś, przecież to teraz numer jeden we wszystkich mediach.

– Przez ostatnie kilka godzin byłem trochę zajęty – wyjaśnił komisarz lubieżnie spoglądając na nagą Martę.

- Andrzej, wiem że od jutra miałeś zacząć urlop, ale musisz wiedzieć, że wstępne ustalenia wskazują, iż śmierć Króla jest powiązana z morderstwami na osiedlu Słonecznym – oznajmił Górski. Słowa przełożonego sprawiły, że Papaj w jednej chwili zapomniał o rozwiązanej właśnie sprawie, czekającym go urlopie, i nawet naga, atrakcyjna kobieta leżąca obok przestała się liczyć. Wszystko to zostało zastąpione obrazem młodego małżeństwa, brutalnie zamordowanego w garażu własnego domu.

POLECAMY RÓWNIEŻ

Tomasz Wandzel

- *Chłopiec z Kresów – historia prawdziwa*
- *Hycel*
- *Dom w chmurach*
- *Blanka L – Sława, pieniądze i seks*
- *Kłamstwa i sekrety – historia Róży Wittelsbach*
- *Chwila prawdy – niewiarygodna historia Krystyny Górskiej*
- *Chłopiec, który przeżył Auschwitz – historia prawdziwa*
- *Grzeczna dziewczynka*
- *Żółty długopis*
- *Córka zakonnika*
- *Zwłoki przy molo.*

Komisarz Andrzej Papaj

- *Dotrzeć do prawdy, tom 1*
- *Uciec od prawdy, tom 2.*

Róża Wielopolska

- *Czyste zło, tom 1*
- *Święte zło, tom 2.*

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Polecamy również](#)